

Zbigniew Nienacki

Pan Samochodzik i człowiek z UFO

Olsztyn-Białystok, 1988

PROLOG

Zdarzyło się to miesiąc przed moim służbowym wyjazdem do stolicy Kolumbii, Bogoty. Pracowałem wtedy bardzo intensywnie, przygotowując materiały do referatu, jaki w Bogocie na międzynarodowym kongresie, poświęconym sprawie ochrony muzeów przed coraz liczniejszymi włamaniami, miał wygłosić mój bezpośredni zwierzchnik, Marczak, dyrektor Centralnego Zarządu Muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Tezy naszego referatu były następujące: na całym świecie mnożą się kradzieże dzieł sztuki i w związku z tym muzea bogatych krajów coraz bardziej udoskonalają systemy zabezpieczające zbiory przed złodziejami. Są to systemy niezwykle kosztowne, wyposażone w skomplikowane aparaty elektroniczne. Biedniejszych państw nie stać na ich zastosowanie. A zresztą, jak wynikało z faktów, które skrzętnie odnotowywałem, doskonaleniu systemów zabezpieczających towarzyszyło zawsze doskonalenie sposobów włamań i kradzieży. Świat był więc widownią swoistej eskalacji: coraz droższe urządzenia zabezpieczające i coraz sprytniejsze sposoby ich unieszkodliwiania. Jak długo miała trwać ta eskalacja?

Stwierdziliśmy w naszym referacie, że indywidualni złodzieje dzieł sztuki należą już do przeszłości, zamiast nich powstały ogromne, międzynarodowe gangi przestępcze. Tym właśnie gangom powinno się przeciwstawiać nie coraz lepsze środki zabezpieczające, ale międzynarodową organizację dla zwalczania gangów, złożoną z rozmaitych specjalistów do walki z kradzieżami dzieł sztuki. Tylko powstanie takiej organizacji mogło — naszym zdaniem — położyć tamę narastającej fali włamań i kradzieży do muzeów. Albowiem dane statystyczne na ten temat były po prostu przerażające. W ciągu minionych czterech lat na całym świecie skradziono czterdzieści dwa tysiące dzieł sztuki o łącznej wartości trzydziestu milionów dolarów. Codziennie łupem złodziei padało średnio od czterystu pięćdziesięciu do pięciuset takich dzieł...

Pewnego dnia, gdy mozoliłem się nad doбором najwłaściwszych słów dla zobrazowania tych zagadnień, do mojego pokoju w Ministerstwie wniesiono nagle drugie biurko. W ślad za nim zjawiła się dziwna osoba. Z początku nie wiedziałem, czy to kobieta, czy mężczyzna, bo miała krótko przycięte włosy, zmierzwione i przypominające ptasie gniazdo. Nosiła ta osoba spodnie i coś w rodzaju luźnej, wełnianej tuniki zrobionej na drutach, podobnej do worka na pszenicę. Na jej szyi wisiał przedziwny naszyjnik — na grubym łańcuszku kołysały się drewniane klocki zupełnie takie same, jakimi kiedyś bawiłem się w przedszkolu. Ile ta osoba mogła mieć lat? — dwadzieścia osiem? czterdzieści? sześćdziesiąt? Tak na dobrą sprawę widziałem tylko jasną cerę policzków, mocno zaciśnięte usta oraz wyraźnie zarysowany podbródek bez zarostu.

— Czego pan lub pani sobie życzy? — zwróciłem się do niej uprzejmie.

— To pan o mnie nic nie wie? — zdumiała się owa osoba głosem kobiecym i miłym dla ucha.
— Jestem Florentyna, pańska sekretarka.

Przerażenie odebrało mi głos. Przypomniałem sobie kłopoty, jakie przeżyłem z poprzednią sekretarką, panną Moniką. Wówczas to Marczak zgodził się, żebym sam sobie wynalazł odpowiedniego współpracownika, niekoniecznie zresztą kobietę. A oto teraz przysłano bez mojej wiedzy jakąś pannę Florentynę, dziwną osobę z klockami na szyi.

Bez słowa wyszedłem z pokoju i udałem się do swego zwierzchnika.

Marczak unikał mego spojrzenia. Coś tam chrząkał, pomrukiwał, przesuwał papiery na biurku, a potem zerknąwszy w okno oświadczył urzędowym tonem:

— Dwa lata w pańskim dziale był blokowany wolny etat. Od dwóch lat obiecywał pan, że wynajdzie sobie sekretarkę i nic z tego nie wyszło. Nie stać nas na taką rozrzutność, panie Tomaszu. Proszę się więc nie dziwić, że w tych dniach minister raczył się osobiście zainteresować tą sprawą i musieliśmy przyjąć pannę Florentynę.

— Kim ona jest? — zapytałem grzecznie.

Marczak bezradnie rozłożył ręce.

— Nie wiem, panie Tomaszu. Minister wezwał mnie do siebie i powiedział jak do przyjaciela: „Prowadzisz ożywioną korespondencję z muzeami na całym świecie, wyjeżdżasz wkrótce do Bogoty, aby wygłosić referat. Panna Florentyna zna doskonale dziesięć języków. Taka osoba będzie ci bardzo potrzebna, choćby z tego względu, że referat należy przełożyć na kilka języków”. Odrzekłem ministrowi, że mogą to zrobić wynajęci tłumacze. Ale on znowu rzekł do mnie jak do przyjaciela: „Ta pani pracowała najpierw w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego, ale z jakichś tajemniczych względów wkrótce jej wymówiono. Potem zatrudniono ją w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Niestety, jest osobą pozbawioną jakichkolwiek umiejętności dyplomatycznych i narobiła im mnóstwo kłopotów. Zadzwonili do mnie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych (a wiesz, że musimy się z nimi liczyć) i poprosili, abym znalazł dla niej u nas jakąś pracę”.

— Nie uznaję protekcji — oświadczyłem.

— Ja także, panie Tomaszu — przytaknął gorliwie Marczak. — Ale w tym wypadku musimy ustąpić. Nasz minister mnie o to poprosił, a jego poprosił inny minister. To jednak pana wina, że do tej pory nie znalazł pan sobie sekretarki.

— I co ja mam z nią zrobić? — westchnąłem.

— Nie wiem, panie Tomaszu — zakłopotał się szczerze Marczak. — Może weźmiemy ją ze sobą do Bogoty, przyda się nam jako tłumacz w rozmowach z muzealnikami innych krajów. Nasz referat też przełoży na dziesięć języków.

Z ciężkim sercem wróciłem do swojego pokoju, gdzie zastałem pannę Florentynę, siedzącą za wniesionym niedawno biurkiem i przeglądającą jakieś zagraniczne czasopismo.

Połowa referatu na kongres w Bogocie była już gotowa. Wręczyłem go jej i poleciłem, aby przetłumaczyła na dziesięć języków.

— Przepraszam panią, ale jakie języki pani zna? — zapytałem.

— Angielski, niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, rosyjski, holenderski, grecki, duński. Mogę także dość swobodnie rozmawiać po japońsku, w języku suahili oraz papiamento.

— Papiamento? — pomyślałem, że żartuje sobie ze mnie.

Lecz ona odparła z powagą:

— Papiamento jest językiem używanym przez ludność zamieszkującą Antyle Holenderskie. To mieszanina holenderskiego, hiszpańskiego, portugalskiego, francuskiego oraz języków afrykańskich. Znam również trochę...

— Nie, nie, dosyć — oświadczyłem błagalnie.

Od tej chwili przez prawie dwa tygodnie nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem w żadnym języku, nawet po polsku. Z początku próbowałem do niej zagadnąć, pytałem o to i owo, ale zbywała mnie półsłówkami albo po prostu monosylabami. Zresztą tak naprawdę nie mieliśmy wspólnego tematu do rozmowy. Ona знаła dziesięć języków, ja natomiast byłem detektywem. Mnie interesowali złodzieje dzieł sztuki i włamania do muzeów. Ona sprawiała wrażenie osoby zajętej jakimiś własnymi wewnętrznymi troskami i po prostu ograniczała się do wykonywania tego, co jej zleciłem.

Aż wreszcie po dwóch tygodniach usłyszałem znowu głos Florentyny. Przeglądała właśnie tygodnik włoski „Epoca” i nagle wykrzyknęła z największym entuzjazmem:

— Niech pan sobie wyobrazi, że, jak mówią dane statystyczne, do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego bardzo dużo Niezidentyfikowanych Obiektów Latających, czyli Unidentified Flying Objects, zwanych w skrócie UFO ukazywało się właśnie nad Kolumbią.

— I co z tego?

— Przecież mam z panami wyjechać do Bogoty. Ach, jakie to będzie cudowne, jeśli uda mi się tam porozmawiać z kimś, kto widział UFO.

— Panią interesują podobne sprawy?

— Ja po prostu żyję nimi dzień i noc — wykrzyknęła niemal z dzikim entuzjazmem. — Przeczytałam wszystko, co napisano o UFO i UFO-ludkach. Koresponduję z największymi znawcami tego zagadnienia oraz z dziesiątkami ludzi w różnych krajach, którzy widzieli UFO, a nawet kontaktowali się z UFO-ludkami. Znajomość wielu języków jest w tym niezwykle przydatna.

— O tak, oczywiście — przytaknąłem ze zrozumieniem. — Przepraszam za niedyskretne pytanie: pani jest mężatką? ma pani dzieci?

Florentyna zarumieniła się lekko i odparła z niechęcią:

— Nie wyszłam za mąż i mieszkam z mamusią. Kobieta ogarnięta pasją naukową nie może tracić czasu na głupie randki z mężczyznami. Dzieci też, oczywiście, nie posiadam.

— Wszystko jasne — kiwnąłem głową. — Tak więc UFO to pani jedyna namiętność. Z jej powodu wędruje pani od jednej instytucji do drugiej, nigdzie długo nie zagrzewając miejsca. Niestety, muszę panią poinformować, że i ja w żadne UFO nie wierzę. Uważam tę sprawę za wymysł pseudonaukowców i fantastów. Jeśli pragnie pani pracować w moim dziale, to proszę nigdy przy mnie nie mówić o UFO, UFO-ludkach i tym podobnych historiach.

W odpowiedzi usłyszałem ciche:

— Zgadzam się, panie kierowniku...

A kiedy zerknąłem w jej stronę, zauważyłem, że odsunęła nieco kępkę kosmyków zasłaniających jej czoło i oczy. W tych oczach — o dziwo, bardzo dużych i bardzo ładnych — ujrzałem łzy. A choć ostrzegano mnie już wiele razy, iż łzy stanowią broń najczęściej używaną przez kobiety, poczułem głęboką skruchę, zrobiło mi się bardzo przykro i oświadczyłem łagodnie:

— Nie jestem kierownikiem tyranem. Przysięgam, że na wiele może pani sobie pozwolić. Postaram się tolerować pani ewentualne wychodzenie po zakupy w godzinach pracy, a nawet jeśli najdzie panią ochota, aby zatańczyć na własnym biurku, nie powiem złego słowa. Ale o jedno naprawdę błagam: ani słowa o UFO.

Zrozumiała. I odtąd znowu niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Aż wreszcie przyszedł dzień naszego odlotu do Bogoty i znaleźliśmy się w trójkę na międzynarodowym lotnisku na Okęciu. Dyrektora Marcza i mnie celnicy przepuścili do samolotu po pobieżnym tylko sprawdzeniu bagaży. Natomiast pannę Florentynę spotkała z ich strony wielka podejrzliwość. Zaprowadzili ją do specjalnego pomieszczenia, gdzie została poddana osobistej rewizji. Na szczęście panna Florentyna nie posiadała rzeczy zakazanych do wywozu i po jakimś czasie wraz z nami znalazła się w samolocie.

— Niech się pani nie martwi, bo to się niekiedy zdarza — pocieszył ją dyrektor Marczak.

— To mój przepiękny, nowoczesny naszyjnik wzbudził zainteresowanie celników — oświadczyła panna Florentyna. — Zbadali dokładnie wszystkie klocki podejrzewając, że zawierają schowki, w których kryją się jakieś nie oclone towary.

A ja poczułem raptem strach na myśl, że z tak dziwacznie ubraną osobą będę musiał reprezentować nasz kraj za granicą. Dlatego zapytałem złośliwie:

— A pani tunika? Czy ona nie wzbudziła podejrzeń celników? Nie sądzi pani, że ta tunika trochę przypomina worek na pszenicę? O ile wiem, nie ma w naszym kraju zakazu wywozu worków na pszenicę. A jednak, jeśli ktoś wywozi taki worek...

— Stop — odezwała się ostro, czerwona ze złości panna Florentyna. — Pan nie ma gustu i nie zna się na nowoczesnej modzie. Tę tunikę sama zrobiłam szydełkiem, a mój naszyjnik

wszystkim się podoba. Tak, tak, zauważyłam, że jest coś we mnie, co budzi pańską niechęć. Teraz wiem co: mój zbyt elegancki wygląd.

To powiedziawszy, panna Florentyna zajęła w samolocie fotel obok mnie i w ten sposób, niemal ramię w ramię, ale w milczeniu, odlecieliśmy do Bogoty.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZASKAKUJĄCE WYDARZENIE W BOGOCIE • KTO STRACIŁ GŁOWĘ, A KTO JĄ TRZYMAŁ WYSOKO • ROZPACZ DYREKTORA MARCZAKA • FLORENTYNA TRAFIA NA UFO-LOGÓW • NA CO CHCIAŁEM POŻYCZYĆ PIENIĄDZE • DOBROĆ FLORENTYNY • PIĘKNA MULATKA • CO KRYŁA CZARNA TOREBKA • JAK ZOSTAŁEM NAZWANY „EL SENOR COCHECITO” • CZUJNOŚĆ FLORENTYNY

Był to chyba największy skandal, jaki w ostatnim czasie zdarzył się w historii muzealnictwa. Wszystkie światowe gazety pisały o nim na pierwszych stronach — nie szczędząc ironii, szyderstwa, a także wyrazów oburzenia i przestrogi. Po tygodniu informacje o owym skandalu zeszyły na dalsze strony, ale nawet najskromniejsza notatka w tej sprawie zawsze zawierała odrobinę szyderstwa, i to pod adresem muzealników, których i ja jestem przedstawicielem. Czytając gazety, ludzie śmieli się z nas w tramwajach, metrach, kawiarniach i prywatnych mieszkaniach. Muzealnicy stali się obiektem dowcipów opowiadanych sobie na przyjęciach. Pewna wielka firma o światowej renomie o mało nie została zrujnowana, kilkunastu starszych wiekiem muzealników skierowano na emerytury, wielu muzealnych detektywów, cieszących się dotąd zasłużoną sławą, poniosło szwank na honorze.

Skandal ów nastąpił podczas Międzynarodowego Zjazdu Muzealników, który odbywał się w Bogocie i poświęcony był sprawie zabezpieczenia muzeów przed coraz bardziej rozprzestrzeniającą się plagą włamań. Trzeciego dnia obrad, późnym wieczorem, gdy na mównicy w sali konferencyjnej hotelu Hilton znalazł się przedstawiciel firmy „Wilson and Company”, specjalizującej się w systemach alarmowych, na salę dotarła wiadomość, że przed półgodziną grupa zamaskowanych włamywaczy uśpiła strażników, sforsowała idealny system alarmowy firmy „Wilson and Company” i zrabowała najcenniejsze eksponaty z magazynów słynnego na całym świecie Muzeum Złota w Bogocie. Wiadomość tę przyniósł inspektor policji don Salazar Esponzoa. Niespodziewanie wszedł na salę konferencyjną, wskoczył na podium, dość szorstkim gestem odsunął z mównicy przedstawiciela firmy „Wilson and Company” i podniesionym głosem, z żywą gestykulacją właściwą Latynosom, powiadomił nas o włamaniu i kradzieży.

Tego, co się potem stało na sali konferencyjnej, po prostu nie potrafię opisać. Przedstawiciel firmy „Wilson and Company” zemdlony osunął się na podłogę, muzealnicy — szacowni przecież i godni panowie — poderwali się ze swych miejsc i zasypali inspektora setkami pytań, co spowodowało, że można było ogłuchnąć od wrzasku. Na własne oczy widziałem, jak dyrektor Luwru szarpał sobie włosy na głowie, przerażony, że podobna historia może się zdarzyć również i w Paryżu, a dyrektor British Museum, chłodny Anglik z nieodłączną fajką w zębach, upuścił tę fajkę na ziemię i, co gorsza, sam ją potem przydeptał i złamał. Nie będzie przesady, jeśli stwierdzę, że wszyscy zachowali się tak, jak gdyby na chwilę potracili

zmysły. Nie będzie przesady, jeśli dodam, że jedynie dwaj ludzie pozostali spokojni: dyrektor Marczak i ja, jego urzędnik do specjalnych poruczeń. Siedzieliśmy spokojnie właśnie dlatego, że wczoraj na tej samej sali konferencyjnej dyrektor Marczak wygłosił referat, w którym staraliśmy się przekonać zebranych muzealników z całego świata, że stosowanie coraz doskonalszych systemów alarmowych nie ma sensu, gdyż jednocześnie doskonala się sposoby włamań. To, co się wydarzyło, potwierdziło naszą tezę.

Napisałem, że w ogólnej wrzawie i tumulcie tylko dyrektor Marczak i ja zachowaliśmy spokój. Był to jednak spokój pozorny. Dyrektor Marczak w latach swej młodości kilkakrotnie odwiedzał Amerykę Południową i wydał nawet książkę pt. „Sztuka prekolumbijska”, dlatego wiadomość o okradzeniu magazynów słynnego Muzeum Złota wstrząsnęła nim również mocno jak i innymi uczestnikami międzynarodowej konferencji. Ale Marczak wysoko cenił sobie godność dyrektorską i uważał, że nawet w najbardziej dramatycznej chwili powinien okazywać powściągliwość i spokój godny zwierzchnika Centralnego Zarządu Muzeów. Podobnie pozorny był i mój spokój, a przenikające moją duszę uczucie dumy nie pozbawione zostało domieszki goryczy, ponieważ nasz referat nie został wysłuchany z należytą uwagą. I trudno się temu dziwić, skoro na sali znajdowało się wielu przedstawicieli firm oferujących systemy alarmowe i sekretne zamki, które miały uczynić muzea niedostępnymi dla włamywaczy twierdzami.

Inspektor policji opuścił salę, czemu się nikt nie dziwił, bo przecież czekało go śledztwo w sprawie włamania i pościg za przestępcami. Na odchodnym obwieścił, że włamywacze wkrótce zostaną schwytani, a ich łup odzyskany, wątpię jednak, czy ktokolwiek wierzył w to optymistyczne zapewnienie. Po jego odejściu przewodniczący obrad uspokoił tumult na sali ogłaszając przerwę i zapowiadając na dzień jutrzejszy uroczyste zakończenie konferencji. Potem — zgodnie z uprzednim planem — wszyscy zaproszeni goście mieli odbyć wycieczkę do słynnego Parku Archeologicznego w San Augustin.

Uczestników konferencji zakwaterowano w hotelu Hilton, w którym się ona odbywała. Wjechaliśmy windą na czternaste piętro, gdzie dano nam dwom do dyspozycji luksusowy apartament, a pani Florentynie mały pokój. I tutaj dopiero daliśmy upust swoim prawdziwym odczuciom.

— To straszne, panie Tomaszu. To po prostu okropne — jęknął dyrektor Marczak zapadając się w niezwykle miękki fotel kryty skórą. — Muzeum Złota w Bogocie jest czymś zupełnie wyjątkowym. Posiada piętnaście tysięcy unikatowych wyrobów ze złota, pochodzących z epoki prekolumbijskiej, to jest ośmiokrotnie więcej niż wszystkie tego rodzaju zbiory na świecie. W tym muzeum znajduje się przebogata kolekcja szmaragdów kolumbijskich, a wśród nich największy na świecie nie oszlifowany szmaragd. Pal sześć zresztą szmaragdy! Najcenniejsze są wyroby starodawnej sztuki złotniczej. Nie wszystkie piętnaście tysięcy przepięknych wyrobów ze złota można było umieścić w gablotach muzealnych, co jakiś czas przecież trzeba zmienić ekspozycję. Ogromna ilość owych cudownych rzeczy pozostawała więc w magazynach. I pomyśleć, że padły one łupem złodziei. W tej sprawie nie ma co mówić o stracie wartości milionów dolarów, ponieważ są to zabytki o nieocenionej wartości, nie do odtworzenia, stanowiące wartość historyczną. Jeśli na domiar złego owi włamywacze po prostu przetopią te przedmioty w sztaby, ludzkość poniesie nieodwracalną stratę.

Dyrektor Marczak, zapewne powodowany rozpaczą, mówił do mnie jak do kogoś, kto pierwszy raz w życiu dowiedział się o istnieniu Muzeum Złota. A przecież nieobca mi była cudowna sztuka prekolumbijska. Swoje pierwsze kroki po przylocie do Bogoty skierowałem

właśnie do Muzeum Złota, gdzie spędziłem prawie cały dzień. Słuchałem jednak Marcza w milczeniu, nie przerywając, bo rozumiałem, jakie uczucia miotają tym nie tylko zasłużonym muzealnikiem (dla którego sięgnięcie ręką po zabytek było niemal świętokradztwem), ale i autorem książki o sztuce prekolumbijskiej.

— Trzeba coś zrobić, panie Tomaszu, aby uratować te skarby. Nie możemy tu tkwić bezczynnie. Powinniśmy działać, pomagać w schwytaniu przestępców — wołał zrozpaczony Marczak, a ja siedziałem bezradnie w fotelu i ćmiłem znakomite kolumbijskie cygaro.

Bo cóż mogliśmy uczynić dla sprawy odzyskania owych skarbów w obcym kraju, z garścią pesos w kieszeni, dostarczonych nam przez organizatorów konferencji? Za kilka dni, po obejrzeniu Parku Archeologicznego w San Augustin, mieliśmy odlecieć do kraju.

Marczak wołał do mnie, że trzeba działać, pomagać, robić coś, aby odzyskać zrabowane przedmioty, ale równie dobrze jak i ja wiedział, że nic uczynić nie możemy. Ta sprawa przerastała siły nie tylko nas dwóch, ale i dziesiątków innych muzealników, ba, nawet policji kolumbijskiej. Tylko zgromadzone siły całej światowej policji mogły dokonać cudu, schwytać włamywaczy i odebrać im zdobycz. Byliśmy bowiem pewni, że system alarmowy firmy „Wilson and Company” przełamać mogła tylko doskonale zorganizowana banda, wyposażona w najnowocześniejszą technikę. Być może już w tej chwili kilka helikopterów należących do bandy przewiozło zdobycz na statek stojący niedaleko brzegów Kolumbii. Wkrótce zaś zrabowane z Muzeum Złota skarby znajdą się w niedostępnej kryjówce. Po jakimś czasie złodzieje rozpoczną pertraktacje z szejkami naftowymi lub innymi miliardami, aby ten i ów skradziony przedmiot odsprzedać po bajońskiej cenie.

W swoim czasie Marczak i ja stoczyliśmy zawziętą walkę z „Niewidzialnymi” — międzynarodowym gangiem złodziei dzieł sztuki. Udało nam się nawet schwytać ich przywódcę, niejakiego Marlona Mendozę. Po tym fakcie na krótko skończyły się włamania do światowych muzeów, zapewne owa banda szukała nowego przywódcy i organizatora. I chyba go znalazła, bo potem włamania zaczęły się od nowa, i to coraz bezczelniejsze. Tym bardziej że kradzieże dzieł sztuki stawały się zajęciem lukratywnym. A działało się tak dlatego, że jedynie dzieła sztuki nie tylko nie traciły nic na swej wartości w dobie ogólnej inflacji, ale przeciwnie, ich wartość rosła z roku na rok. Była to więc najlepsza lokata kapitału dla kogoś, kto miał dużo pieniędzy. Nietrudno więc zgadnąć, że posiadacze ogromnych fortun nabywali dzieła sztuki nawet od złodziei i trzymali je w sejfach, do których nikt nie miał dostępu.

W takiej sytuacji powstawały nowe gangi, starające się sprostać żądaniom bogaczy. Łupy swoje gangsterzy zbywali po wysokich cenach i ogromne sumy inwestowali w dalszy rozwój gangów, które stawały się jak gdyby ponadnarodowymi przedsiębiorstwami. Dysponowały setkami włamywaczy, a także specjalistami od wszelkiej innej roboty, nawet od zabijania. Gangsterzy kupowali myśli i wynalazki inżynierów, aby przełamać systemy alarmowe. Mieli do swej dyspozycji laboratoria, samoloty, statki, przekupywali celników i policjantów. Walka z taką organizacją gangsterską wymagała ogromnych środków finansowych, a tych, jak zwykle na szlachetne cele, brakowało.

O tym właśnie myślałem słuchając pełnych rozpaczyny nawoływań dyrektora Marcza. Czułem swoją bezradność i dlatego nawet nie zabierałem głosu. Milczałem i paliłem cygaro. W końcu i dyrektor Marczak uświadomił sobie naszą sytuację, także zamilkł i zamyślił się.

Nie wiem, jak długo siedzielibyśmy naprzeciw siebie w miękkich fotelach, każdy z nas pogrążony w niewesołych medytacjach, gdyby do naszych drzwi nie zapukała panna Florentyna. Zjawiła się ubrana w swoją straszliwą tunikę i miała jak zwykle na piersiach klockowaty naszyjnik. Ale jej czarne oczy błyszczały niezwykłą radością:

— Przepraszam pana, panie dyrektorze — zwróciła się do Marczaka dygając jak małe dziewczątko — bardzo przepraszam, że dziś po południu urwałam się z obrad konferencji. Poznałam tu jednak pewnego UFO-loga, a jak pan wie, sprawy UFO są mi najbliższe. Otóż ten UFO-log udowodnił mi na podstawie statystyki, że najczęściej latających spodków pokazywało się w Kolumbii nad górami Sierra Nevada de Santa Marta. Dlaczego właśnie tam? Czy to nie ciekawa sprawa? I czy panowie nie wiedzą, gdzie leżą góry Sierra Nevada de Santa Marta? Gdybym została tu trochę dłużej, ów UFO-log poznałby mnie z pewnym człowiekiem, prawdopodobnie jednak wariatem, ponieważ przebywa na terenie sanatorium dla nerwowo chorych. Otóż ten człowiek twierdzi, że jest z UFO...

— Do diabła z UFO — przerwał jej gwałtownie dyrektor Marczak. — Pani nie wypełnia swoich obowiązków. Powinna pani nam towarzyszyć na obradach, a tymczasem wymyka się pani z konferencji. Stała się rzecz straszna. Gdyby pani była wraz z nami, być może dzięki znajomości dziesięciu języków, dowiedziałyby się pani jakichś szczegółów dotyczących owej okropnej sprawy.

I dyrektor Marczak opowiedział panie Florentynie o włamaniu do magazynów Muzeum Złota.

Oczy Florentyny straciły swój radosny blask.

— O mój Boże, pan ma rację! — szepnęła. — Zaniedbałam swoje obowiązki. Ale postaram się wszystko naprawić. Zresztą jest z nami pan Tomasz. Wiem, że on nie zna się na nowoczesnej modzie, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość: słynie jako znakomity detektyw. Słyszałam o tym od wielu ludzi i nawet czytałam o nim w zagranicznych gazetach.

Marczak pokiwał głową i rzekł ze smutkiem:

— Pan Tomasz jest rzeczywiście dobrym detektywem, ale i on tu nic nie może zdziałać. Jedyne co nam pozostaje, to położyć się spać. Jutro czeka nas zakończenie konferencji i wycieczka do Parku Archeologicznego w San Augustin.

Pochlebiała mi wiara panny Florentyny w moje umiejętności. A że lubimy ludzi, którzy mają o nas dobre zdanie, natychmiast pomyślałem, że być może panna Florentyna nie jest jednak najgorzej ubraną osobą na świecie i oprócz wad ma także zalety, a należy do nich obiektywizm.

Pogrzebałem w kieszeni marynarki i wyjąłem z niej garść pesos.

— Gdyby tak pan dyrektor pożyczył mi kilka pesos... — zaproponowałem nieśmiało.

— A na co one panu? Teraz, po nocy...

— Na dole jest bar czynny do trzeciej nad ranem. Myślę, że powinienem tam wypić kieliszek brandy.

— Co takiego? — szczerze oburzył się Marczak. — Przecież pan jest abstynentem. Zawsze stawiałem pana za wzór innym pracownikom.

Skruszony opuściłem głowę na piersi i wyjaśniłem:

— Ostatnio przeczytałem w pewnej powieści cieszącej się ogromnym powodzeniem u czytelników, że bohater, również detektyw, gdy tylko miał kłopoty, wypijał kieliszek brandy i potem na chwilę rozjaśniało mu się w głowie.

— I to za moje pesos? Za te kilka pesos, które zaoszczędziłem z naszych diet, żeby kupić pamiątkę z Kolumbii? Czy pańskie pesos na ten cel nie wystarczą? — spytał poirytowany dyrektor.

— Mieszkamy w hotelu Hilton — przypomniałem Marczakowi. — To najdroższy hotel w Bogocie. Obawiam się, że ceny w barze są odpowiednio wysokie. Co będzie, jeśli zamówię brandy i zabraknie mi pieniędzy? Chyba pan nie chce, abym naraził na szwank dobre imię Centralnego Zarządu Muzeów?

— Tak, tak, oczywiście. Przenigdy nie wolno nam się kompromitować — pośpiesznie zgodził się ze mną Marczak.

— Da mi więc pan kilka pesos?

Marczak zastanowił się.

— A może zamówi pan tylko wodę sodową? — zaproponował.

— Po wodzie sodowej nie rozjaśnia się w głowie...

Marczak ciężko westchnął, pogrzebał w kieszeni i wreszcie wręczył mi monetę — pięćdziesiąt centavos, coś w rodzaju pięćdziesięciu groszy. Czyniąc zaś ten wspaniałomyślny gest, nie omieszkał głośno zastanowić się:

— Nie jestem pewien, czy nie łamię przepisów. Nie dano nam tych skromnych diet na alkohol.

Nie pozostało mi nic innego, jak schować monetę do kieszeni i podziękować Marczakowi za jego szczerą. Wstałem z fotela i w towarzystwie Florentyny opuściłem nasz apartament. Kilkanaście kroków szliśmy w milczeniu korytarzem, aż w pewnej chwili znaleźliśmy się tuż obok drzwi do jej pokoju. Wtedy delikatnie dotknęła mojego ramienia.

— Panie Tomaszu — szepnęła nieśmiało. — Chcę panu coś ofiarować.

To mówiąc włożyła klucz do zamka drzwi swego pokoju i otworzyła je na oścież.

Byłem zaskoczony. A cóż takiego chciała mi ofiarować panna Florentyna, otwierając przede mną drzwi? Lecz ona wbiegła do pokoju i po chwili wróciła z garścią pesos w dłoni.

— To, co dał panu dyrektor Marczak, nie wystarczy na kieliszek brandy — oświadczyła, skromnie kryjąc oczy za opuszczonymi powiekami. — Oszczędzałam na kupno jakiegoś drobiazgu, wiem jednak, że muszę się poświęcić dla sprawy.

— Nie mogę przyjąć od pani pieniędzy — odezwał się mój męski honor.

Monetę, którą mi wcisnęła, włożyłem z powrotem w jej dłoń i pobiegłem do windy.

Nie zamierzałem, rzecz jasna, raczyć się alkoholem. Po prostu, gdy siedziałem na górze naprzeciw Marczaka, przyszło mi na myśl, że nie tylko my dwaj, lecz także inni uczestnicy konferencji zapewne komentują wypadek włamania do Muzeum Złota. Muzealnikom zaś towarzyszą muzealni detektywi, a niektórzy z nich, podobnie jak bohater wspaniałej powieści, lubią odwiedzać bary, gdzie po kieliszku brandy rozjaśnia się im w głowie. Chciałem znaleźć się wśród nich, posłuchać rozmów i uwag, dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie włamania. Garść pesos potrzebna mi była, aby dla zacieśnienia znajomości z kimś dobrze poinformowanym, zaproponować mu właśnie kieliszek brandy.

Po ogromnym hallu hotelowym spacerował tylko portier w liberii. Nie musiałem pytać go o drogę, gdyż czerwony neon nad schodami prowadzącymi do podziemi wyraźnie informował: „Coctail-bar”. Zszedłem po tych schodach do dość sporego pomieszczenia, gdzie w półmroku królował ogromny, półkolisty bufet z wysokimi stołkami, a ściana za barem przypominała witrynę sklepu z najdroższymi i najbardziej kolorowymi butelkami przeróżnych alkoholi. Niestety, ku mojemu rozczarowaniu, coctail-bar był pusty. A ściślej, prawie pusty. Na wysokim stołku siedziała samotnie młoda kobieta w wieczorowej, skąpej sukni na cienkich ramiączkach i sączyła przez słomkę jakiś coctail z wysokiej, cienkiej szklanki. Za barem urzędował barman w białej marynarce i z czarną muszką pod brodą — chyba Metys, bo miał oliwkową cerę, wystające kości policzkowe i nieprzeniknioną twarz o dziwnie nieruchomych oczach. No cóż, nie uwzględniłem faktu, że dyrektorzy muzeów zaproszeni na konferencję do Bogoty byli przeważnie starszymi panami, nienawykłymi przesiadywać nocami w coctail-barach. Detektywi zaś, których ze sobą przywieźli, nie należeli do osób sownie opłacanych i jeśli naszła ich ochota na rozjaśniającą umysł brandy, woleli chyba pójść do baru na sąsiednią ulicę, gdzie alkohol kosztował taniej.

Zamierzałem wyjść z podziemia, gdy barman raptownie ożywił się, zrobił zapraszający gest ręką i uśmiechnął się szeroko. W moim kierunku obróciła się także samotna dama — przepiękna, młoda Mulatka. Przypomniałem sobie, że widziałem ją na naszej konferencji, jej uroda zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. A że zawsze miałem upodobanie do pięknych kobiet, tedy nieco nonszalanckim krokiem skierowałem się do stołu barowego i zasiadłem na wysokim stołku. Barman wytwornym gestem podał mi kolorową kartę coctaili, win i wódek. Skierowałem wzrok jedynie na ceny i wybrałem, rzecz jasna, trunek najtańszy. Gdy składając kartę jak skrzydła kolorowego motyla, wymieniłem jego nazwę (trudną zresztą do wymówienia i zapamiętania), barman lekko uniósł do góry brwi, jak gdyby nie potrafiąc pohamować zdumienia. A jednak z powagą postawił przede mną malutkie naczynie wypełnione... pieprzem.

Piękna Mulatka głośno roześmiała się, a potem zeskoczyła ze swego stołka, podeszła do mnie i powiedziała po angielsku:

— Pan się zapewne pomylił, señor Polacco. Nie zauważył pan, że w karcie oprócz dużych napisów w języku hiszpańskim są także mniejszymi literami wydrukowane nazwy trunków w

języku angielskim, francuskim i niemieckim. Poproszę jeszcze raz o kartę — zwróciła się do barmana.

Nietrudno było zgadnąć, skąd wiedziała, że jestem Polakiem. Do klapy marynarki miałem przypięty znaczek konferencji, a na owym znaczku zostało wyszczególnione moje imię, nazwisko oraz kraj, z którego przybyłem.

— Dziękuję, señora — odrzekłem grzecznie, jeszcze raz przyjmując kartę i wczytując się w nią już bardzo dokładnie.

— Señorina — poprawiła mnie. — Señorina Leticia.

Dowiedziałem się, że jest panną i przy okazji poznałem jej imię. Nie pozostało mi więc nic innego, jak rozstać się z kartą alkoholi, zeskoczyć ze stołka, przedstawić się, pocałować ją w rękę, a dopiero potem znowu wdrapać się na stołek i kontynuować studia nad cenami trunków. Wybrałem najtańszy gin z tonikiem, który i tak miał pochłonać połowę moich zasobów gotówkowych. W tym czasie señorina Leticia przeniosła się ze swego stołka na sąsiadujący ze mną. Na szczęście zabrała ze sobą słomkę i szklankę z coctaiłem.

Umoczyłem usta w szklance z ginem i zapaliłem cygaro.

Panna Leticia uśmiechnęła się do mnie jeszcze promienniej i oświadczyła z głębokim przekonaniem:

— Wysłuchałam wczoraj referatu polskiej delegacji. Zamiast napędzać pieniądze do kas firm produkujących systemy alarmowe, zalecaliście zgromadzenie międzynarodowego funduszu na walkę z gangami rabusiów dzieł sztuki. To, co się wydarzyło w Muzeum Złota, udowodniło, że mieliście całkowitą rację.

Mój Boże, któż z nas nie jest łasy na pochlebstwa. Tym bardziej gdy słyszy je z ust pięknej kobiety. Bo panna Leticia była naprawdę osobą o niezwyklej urodzie. Miała smagłą, delikatną cerę, pełne usta, czarne, gęste włosy ufryzowane na modne „afro” i ogromne, czarne oczy w oprawie długich, ciemnych rzęs (o takich oczach pisze się w powieściach, że są aksamitne). Jej ojcem był człowiek biały, a matką Murzynka. Tu, w Kolumbii, nie miało to żadnego znaczenia, albowiem Kolumbijczycy szczycą się tym, że nie istnieje u nich rasizm. Białych nie traktuje się w Kolumbii lepiej ani gorzej, a może nawet trochę gorzej, szczególnie amerykańskich gringo, jak się ich tu nazywa. Uchodzą za ludzi pyszałkowatych, okazują bowiem innym swoją wyższość i chcą imponować portfelami pełnymi dolarów.

— Pani jest bardzo uprzejma — odpowiedziałem. — Nasz referat był wynikiem wielu przemyśleń, a także doświadczeń. Kiedyś udało się nam rozbić gang „Niewidzialnych” i potem przez jakiś czas był spokój z włamaniami do muzeów.

— Zdaje się, że czytałam o tym nawet w naszych kolumbijskich gazetach — oświadczyła señorina Leticia, kładąc na kontuarze stołu barowego swoją malutką, czarną torebkę. — O ile pamiętam, dość poważną rolę odegrał w tej sprawie pewien detektyw o bardzo zabawnym pseudonimie „Pan Samochodzik”.

— To właśnie ja — skłoniłem się uprzejmie, pełen pychy. — We Francji nazywają mnie „Monsieur la Bagnolette”. W Czechach „Pan Autak”, w Słowacji „Pan Tragacik”. Po polsku zaś „Pan Samochodzik”.

— A po hiszpańsku — klasnęła radośnie w dłonie — po hiszpańsku będzie „El Señor Cohecito”. Mój Boże, tak sławny człowiek siedzi w moim towarzystwie i pije tylko gin z tonikiem. Barman, proszę o jakiś bardziej wyszukany trunk.

— O nie, señorina — zaprotestowałem stanowczo. — Ja piję tylko tonik. Gin zamówiłem wyłącznie po to, aby nie zrobić przykrości barmanowi.

Wyglądała na niezwykle zainteresowaną moją osobą. Schlebiałem sobie, że moja aparycja, a nie fakt rozbicia gangu „Niewidzialnych”, tak wielkie uczyniła na niej wrażenie. Poufale położyła dłoń na mojej ręce i zapytała:

— Jak pan sądzi, don Thomas, kto dokonał włamania do Muzeum Złota? Czy zrobiła to grupa tutejszych włamywaczy, czy jakiś międzynarodowy gang?

— Nie znam szczegółów, señorina. Ale skoro Muzeum posiadało system alarmowy firmy „Wilson and Company”, to nie mogli go sforsować zwykli amatorzy. Sądzę, że międzynarodowy gang „Niewidzialnych” zdołał się zorganizować na nowo po klęsce, jaką mu zadaliśmy. W Europie jeszcze boją się działać, bo ocalałych z pogromu członków gangu „Niewidzialnych” wciąż ma na oku inspektor Raymond Connor i jego specjalna brygada ze Scotland Yardu, dlatego prawdopodobnie przeczucili się na inne kontynenty, przede wszystkim do Ameryki Południowej.

— Sądzi pan, że naszej policji uda się odzyskać skradzione eksponaty?

— Nie znam umiejętności kolumbijskiej policji, señorina. Być może znajdują się w jej szeregach znakomici fachowcy. Rzecz jednak w tym, że jeśli owego zuchwałego rabunku dokonali „Niewidzialni”, to bezcenne zabytki muzealne są już w tej chwili poza granicami Kolumbii. Myślę, że tak silny gang rozbić można tylko przy współpracy policji całego świata, a raczej specjalnie powołanej do tego celu międzynarodowej brygady. Na utworzenie czegoś takiego trzeba mnóstwo pieniędzy. A tak się, niestety, składa, señorina, że świat współczesny stać na kolosalne zbrojenia, a brakuje pieniędzy na walkę z handlarzami narkotyków i złodziejami dzieł sztuki.

W tym momencie w drzwiach baru pokazała się panna Florentyna ubrana w swą tunikę i okropny naszyjnik. Jednym rzutem oka objęła wnętrze baru, a potem jak pantera rzuciła się w naszym kierunku i położyła dłoń na torebce señoriny Leticii.

— Na Boga, panie Tomasz — jęknęła. — Czy pan nie widzi, że w tej torebce jest ukryty mały magnetofon, który nagrywa pańskie słowa?

Señorina Leticia zrozumiała, że została zdemaskowana. Zdjęła swoją dłoń z mojej ręki, wyrwała torebkę pannie Florentynie i szybkim krokiem skierowała się do drzwi baru. Zanim zniknęła mi z oczu, odwróciła się i posyłając mi uśmiech, zawołała:

— Do zobaczenia, amigo!

Po panie Leticii pozostał na kontuarze nie dopity kieliszek coctailu. A ponieważ nie widziałem, aby za niego płaciła, pomyślałem ze strachem, że na mnie spadnie obowiązek uiszczenia podwójnego rachunku.

— Czy mam zapłacić również za tę panią? — z drżeniem w głosie zapytałem barmana.

— O nie, señor. Ta pani ma u nas otwarty, nieograniczony kredyt.

— Kim ona jest, u licha? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia, señor. Barmana nie interesują takie sprawy. Wiem tylko, że pan jest prawdziwy hombre.

Nie znałem hiszpańskiego, ale wiedziałem, że hombre oznacza stuprocentowego, twardego, odważnego mężczyznę.

— Hombre? — zdumiałem się.

— A tak — skinął głową, rozejrzał się po barze, jak gdyby upewniając się, że oprócz naszej trójki nie ma nikogo obcego, i dodał szeptem: — Z tą señoriną mało kto odważy się rozmawiać. Wszyscy goście jej unikają. Mówią, że to niebezpieczna kobieta. A pan zachował się jak prawdziwy hombre i długo z nią rozmawiał.

Z ulgą zapłaciłem za swój napój i razem z panną Florentyną opuściłem bar. W holu hotelowym, w windzie i na korytarzu w milczeniu i ze skrucą musiałem wysłuchać jej pełnej gorczy mowy:

— To tak pan postępuje, panie Tomaszu? Nie mogłam zasnąć myśląc, że nie wziął pan ode mnie pieniędzy i być może znajduje się pan w tarapatach finansowych. Miałam okropne wyrzuty sumienia. Zaniedbałam bowiem dziś swoje obowiązki. Te wyrzuty sumienia wygnały mnie z pokoju na poszukiwanie pana. I co zobaczyłam? Dał się pan omotać jakiejś pięknej Mulatce, zapewne szpiegowi, który nagrywał rozmowę z panem. Miał rację dyrektor Marczał ostrzegając mnie, że jest pan flirciarzem, któremu każda kobieta może zawrócić w głowie.

Przed drzwiami jej pokoju przyznałem z godnością:

— Ma pani rację, panno Florentyno. Ta piękna Mulatka miała chyba magnetofon ukryty w torebce i coś mi się zdaje, że źle postąpiłem wdając się z nią w rozmowę.

To powiedziawszy, pełen skruchy udałem się do naszego apartamentu. Na szczęście dyrektor Marczał już spał i nie musiałem mu zdawać relacji z niefortunnej przygody w coctail-barze.

ROZDZIAŁ DRUGI

JAK SIĘ WŁAMANO DO MAGAZYNÓW MUZEUM ZŁOTA • REWELACJA KOLUMBIJSKIEJ GAZETY • JAK ZOSTAŁ UŚMIERZONY GNIEW MARCZAKA • PIĘKNO BOGOTY • KTOŚ NAS ŚLEDZI • PRZYKRA PRYZGODA MARCZAKA •

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY • KIM JEST RALF DAWSON? • DZIWNA PROPOZYCJA
• WARIAT CZY OSZUST? • PIERWSZE SPOTKANIE Z CZŁOWIEKIEM Z UFO

Wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem, panna Florentyna zjawiła się w naszym apartamencie z plikiem gazet, w których spodziewaliśmy się znaleźć podane przez dziennikarzy szczegóły zuchwałego włamania do Muzeum Złota. Były to miejscowe, kolumbijskie gazety wydawane w języku hiszpańskim, a ponieważ nie znałem tego języka, musiałem z konieczności zdać się na pannę Florentynę oraz dyrektora Marcza, który także władał hiszpańskim.

Marczak przejrzał dwie gazety i poinformował mnie, że, jak wynika z relacji dziennikarzy, złodzieje unieszkodliwili strażników wpuszczając usypiający gaz przez otwór wentylacyjny, a następnie posłużyli się specjalnie skonstruowanym laserem. Z okna domu położonego naprzeciwko Muzeum wycelowali laser prosto na zawieszoną na ścianie główną skrzynkę alarmową i po prostu ją spalili. W ten sposób system alarmowy został unieruchomiony, uśpieni strażnicy nie stawiali oporu, złodzieje bez trudu sforsowali sekretne zamki pomieszczeń magazynowych. Do sal muzealnych bali się wejść, gdyż chronił je dodatkowy system alarmowy. Gmach opuścili tylnym wyjściem, ładując łupy prawdopodobnie do trzech ciężarówek, które odjechały w nieznanym kierunku.

— Szukaj wiatru w polu — powiedziałem. — Te ciężarówki wkrótce znajdą się porzucone w górach o pięćdziesiąt kilometrów od Bogoty, gdzie zapewne przygotowano uprzednio lądowisko dla śmigłowców. Ci, którzy dokonali włamania, nie liczyli się z kosztami. Świadczy o tym także fakt użycia lasera. Przecież lasera nie można kupić w sklepie tak jak zwykłą strzelbę. A to, zdaje się, był laser specjalnie skonstruowany do tej akcji. Gdzie szukać sprawców?

— To prawda, panie Tomaszu — zgodził się ze mną Marczak. — Kolumbia to kraj rozległy, przecięty wzdłuż górskimi łańcuchami, pełnymi głębokich dolin i dzikich pustkowi. A do tego selwas — nieprzebyta dżungla. Szukać w takim kraju kryjówek bandytów to chyba trudniejsze niż przysłowiowej igły w stogu siana.

W tym momencie panna Florentyna, zajęta studiowaniem kolumbijskich gazet, zachichotała głośno.

— Minionej nocy — rzekła — pan Tomasz nie wydał na próżno pieniędzy. Postąpił jak szukająca reklamy hollywoodzka aktorka filmowa, i udzielił wywiadu przedstawicielce „Wiadomości Bogoty”. Oto tytuł na pierwszej stronie wybitny tłustym drukiem: „Jeden z największych detektywów muzealnych, zwany Señor Cohecito, stwierdza autorytatywnie, że skradzione dzieła sztuki znajdują się już za granicami Kolumbii”. I dalej: „Señor Cohecito ma duże sukcesy w walce ze złodziejami dzieł sztuki. To on w swoim czasie pomógł rozbić słynny gang «Niewidzialnych», działający w Europie, oraz przyczynił się do schwytania jego przywódcy o nazwisku Marlon Mendoza. Korzystając z faktu, że tak słynny detektyw znajduje się wśród uczestników konferencji w Bogocie, nasza policja, a szczególnie inspektor Salazar Esponosa, powinni bezzwłocznie zwrócić się o pomoc do tego świetnego fachowca w celu odzyskania skradzionych zabytków”.

— Dość! Dość! — jęknąłem. — Niech mi pani tylko powie, kto jest podpisany pod tymi enuncjacjami?

Dyrektor Marczak odebrał Florentynie egzemplarz „Wiadomości Bogoty”, przebiegł wzrokiem wydrukowany artykuł i powiedział ze srogim marszem na czole:

— Dziennikarka, która zrobiła panu tę reklamę, nazywa się Leticia Lucinante. Czy to imię i nazwisko coś panu mówi?

— Aż za wiele, dyrektorze. Wczoraj w coctail-barze przysiadła się do mnie pewna bardzo ładna Mulatka i, okazując ogromne zainteresowanie naszym referatem, wysondowała moją opinię o włamaniu do Muzeum Złota. Powinienem się domyślić, że to dziennikarka.

Florentyna nie omieszkała się pochwalić:

— Gdyby nie moja czujność, panie dyrektorze, kto wie, co jeszcze powiedziałby pan Tomasz tej strasznej kobiecie. Na szczęście, pamiętna pańskich przestroóg, również zeszałam na dół do coctail-baru. Od razu spostrzegłam magnetofon ukryty w torebce i przerwałam ów „romans”.

— Dziękuję pani, panno Florentyno — pochwalił ją Marczak. — Na przyszłość proszę nadal opiekować się Tomaszem, który rzeczywiście traci głowę dla byle spódniczki.

— Leticia Lucinante nie była w spódniczce, ale w bardzo wydekoltowanej sukni — zauważyłem.

— Co za różnica: spódniczka czy suknia? — wzruszył ramionami Marczak.

— A jednak ważne, panie dyrektorze — powiedziałem. — bo gdyby Leticia Lucinante była ubrana na przykład w obszerną, szydełkową tunikę i chciała ze mną rozmawiać o UFO, a nie o naszym referacie, na pewno nie udałoby się jej wciągnąć mnie w pułapkę.

— Pan nie zna się na nowoczesnej modzie — pogardliwie stwierdziła Florentyna. — Czy pan myśli, że to takie trudne zmienić tunikę na krótką spódniczkę? Elegancka kobieta nie powinna jednak tego czynić.

— Do licha, o czym wy mówicie? — oburzył się Marczak. — Co ma wspólnego sprawa mody z tym niebywałym artykułem? Czy wiecie, co o nas powiedzą uczestnicy konferencji? Że jesteśmy tanimi reklamiarzami. Pan Tomasz nagadał tej dziennikarce masę głupstw. Bo jakie są podstawy, aby twierdzić, że skradzione eksponaty znajdują się już poza granicami Kolumbii? Jeśli kolumbijska policja wkrótce znajdzie kryjówkę bandytów gdzieś w pobliskich górach, pan Tomasz wyjdzie na głupca. I zarazem skompromituje nasz Centralny Zarząd Muzeów.

Dyrektor Marczak znowu zajrzał do gazety i policzki jego pokrył rumieniec:

— Czy wiecie, co ona napisała? „Polska delegacja z profesorem doktorem Janem Marczakiem na czele wysunęła na konferencji jedyną słuszną propozycję: utworzenia międzynarodowego funduszu do walki ze złodziejami dzieł sztuki. W świetle tego, co się stało minionej nocy w Muzeum Złota, ta propozycja zyskuje na wadze i powinna zostać jak najszybciej rozpatrzona przez kompetentne czynniki. Nie mamy bowiem do czynienia ze

złodziejami amatorami, ale z doskonale zorganizowanym gangiem. Świadczy o tym fakt użycia lasera i inne szczegóły techniczne włamania”.

Po tych słowach dyrektor Marczak chrząknął z zadowoleniem i rzekł do mnie łaskawie:

— Owszem, to nie jest głupia osoba. Ona jedna, jak mi się wydaje, zwróciła uwagę na znaczenie naszej propozycji. To nawet nie jest źle, że wymieniła moje nazwisko oraz mój tytuł naukowy. Dlatego, jeśli jeszcze kiedyś zechce pan późnym wieczorem zejść do baru, pożyczę panu odpowiednią kwotę. Kto wie, może dziś wieczór także zajrzę z panem do tego baru, aby napić się toniku lub wody sodowej. Leticję Lucinante warto wprowadzić w szczegóły naszej propozycji. Im więcej zyskamy sojuszników, tym lepiej, panie Tomaszu.

Odetchnąłem z ulgą. Dyrektor Marczak był człowiekiem mądrym i wielkim znawcą muzealnictwa, ale to wcale nie znaczy, że nie miał skłonności do ulegania pochlebstwom. Fakt, że Leticja Lucinante wymieniła jego tytuł naukowy, a przede wszystkim wskazała na niego, jako inspiratora najlepszego — jej zdaniem — projektu walki ze złodziejami dzieł sztuki, wprowadził go w dobry humor. A gdy po zejściu na dół do wspólnej sali jadalnej stwierdził, że wielu delegatów przygląda się nam z życzliwą ciekawością, humor mu się jeszcze bardziej poprawił. Po śniadaniu w holu hotelowym otoczyli Marczaka przedstawiciele wielu gazet i zasypali pytaniami o ów projekt. Podobno dziennikarze poszukiwali również i mojej osoby, aby przeprowadzić ze mną wywiad, lecz ja, przewidując to, przezornie umknąłem do apartamentu i udawałem, że nie istnieję, to znaczy nie otwierałem drzwi i nie podnosiłem słuchawki telefonu. W ten sposób zaoszczędziłem sobie (dowiedziałem się o tym nieco później) przykrej rozmowy z inspektorem policji Salazarem Esponozą, który uznał moją wypowiedź w „Wiadomościach Bogoty” za obraźliwą dla policji. Zresztą wkrótce okazało się, że zgodnie z moimi przypuszczeniami, ciężarówki włamywaczy znaleziono porzucone na górskiej przełęczy, na drodze między Bogotą a miejscowością Villavicencio. W tym miejscu policjanci odkryli ślady dwóch dużych helikopterów, które odleciały w kierunku zachodnim, to jest w stronę wybrzeża Pacyfiku.

Marczak udzielał wywiadów bardzo długo, a jako tłumaczka służyła mu panna Florentyna. Spotkałem się z nimi dopiero w południe w sali konferencyjnej, gdzie zgodnie z wczorajszą zapowiedzią miało się odbyć uroczyste zakończenie międzynarodowego spotkania. Na trybunę jednak wyszedł profesor Dawid Rawilson, przewodniczący delegacji brytyjskiej, i w imieniu organizatorów konferencji przełożył jej uroczyste zakończenie na godziny wieczorne. Tymczasem uczestnicy konferencji mieli bowiem podjąć bardzo ważną rezolucję, którą zamierzali dopiero opracować.

Do wieczora pozostało nam parę godzin.

— Pokażę panu Bogotę — zaproponował mi Marczak. — Byłem tu przed dwudziestoma laty, gdy pisałem swoją książkę o sztuce prekolumbijskiej. Myślę, że będę dobrym przewodnikiem.

— To cudowne — klasnęła w ręce panna Florentyna. — Ja także bardzo pragnę zobaczyć Bogotę.

Dyrektor Marczak spojrzał krytycznie na pannę Florentynę, a że podczas naszej porannej rozmowy został uczulony na sprawy mody, jej obszerna, szydełkowa tunika i klockowaty naszyjnik wzbudziły w nim wątpliwości. Jak wielu mężczyzn, prawdopodobnie wołał kobiety

w spódniczkach i sukienkach. Pomyślał, że panna Florentyna będzie swoim strojem zwracać ogólną uwagę, a nie chciał być przedmiotem sensacji.

— Niestety, panno Florentyno — rzekł z fałszywym smutkiem w głosie. — Przede wszystkim obowiązek, a potem przyjemność. Przełożyła pani nasz referat na dziesięć języków i dzięki temu zyskaliśmy sporo zwolenników naszych postulatów. Zna pani także język suahili i papiamento. Może warto w tych językach przedstawić choćby skróconą treść naszego referatu?

W ten oto sposób pozbyliśmy się panny Florentyny, jej okropnej tuniki i jeszcze okropniejszego naszyjnika.

Zresztą już po chwili na ludnej ulicy zapomnieliśmy o tej sprawie. Bogota to cudowne miasto. Leży w dolinie długiej na sześćdziesiąt i szerokiej na czterdzieści kilometrów, otoczonej niebotycznymi górami, bardzo żyznej, pełnej zieleni, kanałów irygacyjnych i pociętej siecią dróg. Kiedyś podobno był w tym miejscu krater wygasłego wulkanu, zasypanego w ciągu wieków odłamkami skał.

Bogota, jaką poznał dyrektor Marczak przed dwudziestu laty i dzisiejsza, to dwa różne miasta. Obecnie zamieszkuje ją prawie trzy miliony mieszkańców, co roku przybywa sto tysięcy nowych — przeważnie ludzi z prowincji: Indian, Metysów, Mulatów, którzy w stolicy szukają łatwiejszego chleba. Ulice wypełnia hałas i zaduch spalin tysięcy samochodów, na chodnikach tłoczy się niezliczone mrowie ludzkie. Wędrówka po ulicach jest trudna, ponieważ wszędzie, w bramach i na chodnikach, stoją stragany przekupniów oferujących najrozmaitsze towary, od kolorowej, prostokątnej tkaniny z otworem na głowę, zwanej ruan, po szmaragdy sprzedawane ponoć „za bezcen” przez poszukiwaczy skarbów. Przechodzący ulicą cudzoziemiec ciągle jest chwytny za rękaw i obsypywany propozycjami kupna zegarka, losu na loterię, tajemniczego skarbu. Nieustanny napływ przybyszów, chęć szybkiego wzbogacenia się powodują, że miasto rozrasta się wzdłuż i wszerz. Od czasu poprzedniej tu bytności Marcza na miejscu nędznych lepierek wyrosły wspaniałe wieżowce, prawdziwe drapacze chmur. Między nimi można jednak zobaczyć małe, nędzne domostwa, najlepszy dowód, że miasto rozbudowało się z wielkim pośpiechem. Takim właśnie wieżowcem jest hotel Hilton przy Carrara Siedem, czyli Siódmej Przecznicy, ale on znajduje się w nowej części miasta. Stare miasto to przede wszystkim plac Bolívara i dzielnica wokół kościoła San Ignacio, którego budowę rozpoczęto jeszcze w tysiąc sześćset czwartym roku. Kto jednak szuka egzotyki i przeróżnych ciekawostek, ten powinien udać się w okolice hotelu Tundama, gdzie wąskie zaułki przecięto nowoczesnymi arteriami komunikacyjnymi. Trwa tam szalony ruch, kłębi się barwny tłum o różnych kolorach skóry. To w okolicach tego hotelu zobaczyć można Indian, którzy przybyli do stolicy, aby wprost na chodniku oferować do sprzedaży wyroby swej sztuki i płody rolne. Aż zatyka oddech zapach płynący z małych knajpek, gdzie na węglu drzewnym na żeliwnym ruszcie smaży się mięso. I wszędzie hałas. Z każdej knajpki, z każdego okna, niemal z każdej bramy dobiegają głośne dźwięki ludowej muzyki kolumbijskiej, bardzo rytmicznej, choć, jak na mój gust, nieco monotonnej.

W pewnej chwili dyrektor Marczak spojrział na zegarek i stwierdził z przykrością, że czas poświęcony na wędrówkę po Bogocie mija zbyt szybko. O tej porze w hotelu Hilton podawano do stołu wykwinny obiad opłacony przez organizatorów konferencji. Mieliśmy więc do wyboru: albo czym prędzej wrócić do hotelu i zrezygnować z dalszego zwiedzania

miasta, albo machnąć ręką na obiad. Na posiłek w którejkolwiek z małych knajpek w centrum Bogoty stać nas nie było.

Marczak zadzwęczał swoją garścią pesos, które miał w kieszeni.

— Wypijemy po małej czarnej w jakiejś pobliskiej kawiarence i w dalszą drogę, panie Tomaszu — zdecydował. — Być może już nigdy więcej nie będziemy mieli okazji poznać zabytków tego miasta. A kawa kolumbijska, jak pan wie, jest znakomita i wzmocni nasze siły.

Wstąpiliśmy do mikroskopijnej kafejki, zajęliśmy miejsce przy malutkim, okrągłym stolczku i zamówiliśmy dwie kawy. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu ktoś nas śledzi. Przez okno kawiarenki widziałem na ulicy spacerującego mężczyznę, który rzucił mi się w oczy już kilkakrotnie. Pierwszy raz, gdy wsiadaliśmy do zatłoczonego autobusu przed hotelem — on wskoczył za nami, niemal w ostatniej chwili. Potem zauważyłem go za naszymi plecami na Avenida Jimenez. Chyba dostrzegł mój badawczy wzrok, ponieważ szybkim krokiem wyprzedził nas, doszedł do rogu ulicy i dał sobie oczyścić trzewiki jednemu z kilkunastu pucybutów siedzących na chodniku. Wtedy to straciłem go z oczu, aby tutaj, przed kawiarnią, znowu ujrzeć. A więc ciągle szedł za nami.

Nie wyglądał na policjanta ani gangstera. Ani w ogóle na kogoś, kto zawodowo zajmuje się śledzeniem innych. Wysoki, szczupły mężczyzna, najpewniej Europejczyk, w eleganckich, szarych spodniach z flaneli i szarej tweedowej marynarce oraz w nieskazitelnie białej koszuli. Rysy twarzy miał delikatne i bardzo jasną karnację skóry. W jego stroju zauważało się elementy tutejsze, jak gdyby od dawna mieszkał w Kolumbii. Na głowie nosił duże, czarne sombrero, pod kołnierzykiem miał fantazyjnie zawiązaną czarną wstążeczkę. Pod pachą trzymał zwinięty w rulon bardzo kolorowy ruan, który w zimny ranek albo wieczór zarzucało się tutaj na plecy i piersi.

Nie powiedziałem Marczakowi o swoich spostrzeżeniach, gdyż zapewne wyśmiałby mnie. Bo kto i po co miałby nas śledzić? Spokojnie dopiłem kawę, poczekałem, aż Marczak pozbędzie się swoich pesos i wyszliśmy na ulicę.

Osobnik w czarnym sombrero udawał, że ogląda wystawę jakiegoś sklepu. Ruszyliśmy wolnym krokiem w kierunku placu Bolivara. Marczak, wzmocniony kawą, ożywił się i zaczął opowiadać legendę o założeniu miasta Bogota, legendę, która sprowadziła wiele nieszczęść na Indian kolumbijskich.

— Trzeba panu wiedzieć, panie Tomaszu, że płaskowyż, na którym leży teraz Bogota, przed setkami lat należał do Indian Muiscas. Podobno żyli oni w takim zepsuciu moralnym, że rozgniewani bogowie ukarali ich za to i cała dolina zamieniła się w jezioro. Wkrótce jednak pojawił się biały bóg z wielką brodą, okoliczna zaś ludność indiańska, która przed potopem schroniła się w góry, nazwała go Bochica. Ów bóg złotą laską trzykrotnie uderzył w skały zamykając jezioro od południa i wówczas wody spłynęły w doliny potokiem i połączyły się z nurtem rzeki Magdaleny. W ten sposób powstał wodospad Tequendama, a na suchym dnie jeziora znowu mogli zacząć żyć Indianie. Niestety, drogi panie Tomaszu, jak pan wie, w Kolumbii dużo jest prastarych wyrobów ze złota. Z tego powodu zrodziła się legenda, że na dnie któregoś z jezior, na terenie zamieszkanym przez Indian Muiscas, istnieje El Dorado, kraina pełna złota i szczęścia. Ta legenda przyciągnęła tutaj aż trzech zdobywców na czele wojowniczych drużyn. Byli to: prawnik Gonzalo Jimenez de Quesada, konkwistador Sebastian de Belalcazar i Nicolau Federmann. Domyśla się pan, ilu wodzów i Indian z

plemienia Muiscas zginęło okrutnie, ponieważ nie potrafiło albo nie chciało wskazać drogi do El Dorado? Jedno jest pewne, że ów Gonzalo Jimenez de Quesada, poszukiwacz El Dorado, założył Bogotę w tysiąc pięćset trzydziestym ósmym roku, a jedynym El Dorado na świecie pozostaje do dziś port lotniczy w Bogocie, bo tak właśnie został on nazwany.

Zajęty słuchaniem i marszem po ulicy nawet nie spostrzegłem, że Marczak idzie z coraz większym trudem i mówi coraz wolniej. Raptem umilkł, zachwiał się i gdybym nie chwycił go w ramiona, osunąłby się na chodnik.

Ktoś pomógł mi podtrzymać Marczaka. Tak, to był właśnie śledzący nas osobnik. Rzucił swój kosztowny ruan, podjął nogi Marczaka i wskazując głową pobliski sklep, powiedział coś do mnie po hiszpańsku, a kiedy zorientował się, że nie znam tego języka, przeszedł szybko na angielski.

— To brak tlenu, proszę pana. Zwykły brak tlenu. Trzeba tego pana przenieść do drogerii i zadzwonić po pogotowie tlenowe.

Nie była to stosowna chwila, aby pytać, kim jest. Najważniejsze, że chciał nam pomóc. Przenieśliśmy więc Marczaka do pobliskiej drogerii, położyliśmy go na znajdującej się tam kanapce. Mężczyzna w czarnym sombrero chwycił słuchawkę telefonu, wykręcił numer i szybko rzucił w mikrofon kilka słów po hiszpańsku. Nie minęło dziesięć minut, gdy z rykiem syren zajęchało auto pogotowia, dwóch Metysów w białych fartuchach wyskoczyło z butlą i maską tlenową, którą przytknięto do ust Marczaka. W miarę jak tlen z butli dostawał się do płuc, Marczak odzyskiwał przytomność, na policzki powracały mu rumieńce.

Tak oto Bogota dała nam do zrozumienia, że jest pięknym i ciekawym miastem, ale nie każdy może się w nim czuć dobrze. I trudno się temu dziwić — przecież leży na wysokości dwóch tysięcy sześciuset metrów. Wędrować po ulicach to tak samo, jakby spacerować po szczycie tatrzańskiej Łomnicy. W powietrzu po prostu brakuje tlenu, co zaczynają odczuwać szczególnie ludzie starsi wiekiem z dolegliwościami układu krążenia i układu oddechowego. W hotelu Hilton mieliśmy klimatyzację, Marczak czuł się świetnie. Ale wystarczył dłuższy marsz przez miasto, by brak tlenu dał znać o sobie, powodując omdlenie. Zresztą klimat Bogoty w ogóle musi się wydać przykry człowiekowi, który przybył ze strefy umiarkowanej. Pobyt tutaj wymaga stopniowo przyzwyczajania organizmu nie tylko do bardzo rozrzedzonego powietrza, ale i niezwykłych skoków temperatury. Bardzo zimne są ranki i wieczory. Dlatego pierwszym zakupem każdego cudzoziemca zamierzającego dłużej pozostać w Bogocie jest ciepły ruan, który narzuca się na siebie dla ochrony przed chłodem.

Po piętnastu minutach Metys w białym fartuchu odjął maskę od ust Marczaka i oświadczył, że wszystko jest okay i że starszemu panu wróciły już siły i zdrowie. Zażądał za tę usługę równowartość trzech dolarów. Człowiek w czarnym sombrero bez słowa wyjął portfel, odliczył pieniądze i wręczył je pracownikowi pogotowia tlenowego. A ja zaczerwieniłem się ze wstydu, bo nie miałbym czym zapłacić. W kieszeni posiadałem jedynie pięćdziesiąt centavos.

Powinienem być zapewne zaprotestować przeciw szczodrości obcego człowieka. Może należało sprzedać zegarek albo poprosić pracowników pogotowia o odesłanie rachunku pod adresem naszej Ambasady w Bogocie. Ale przez owe piętnaście minut, gdy Marczak oddychał przez maskę tlenową, uważnie obserwowałem owego człowieka i, sam nie wiem z jakich przyczyn, poczułem do niego sympatię. Miał nie więcej niż trzydzieści lat, a kiedy na

chwilę zdjął swoje eleganckie sombrero, zobaczyłem bardzo jasne, krótko przycięte włosy. Szare oczy, jasna cera bez opalenizny, zęby tak białe i równe, że wydawały się sztuczne, dłonie o długich palcach i wypiełgnowanych paznokciach — wszystko to wskazywało, że jest dżentelmenem. Szare oczy spoglądały uważnie, władczo — odnosiło się wrażenie, że ten człowiek lubi i potrafi narzucać swą wolę. Ale zarazem jego uśmiech miał w sobie coś chłopięcego i ujmującego.

Po odjeździe pogotowia ratunkowego on wyszedł na ulicę i zatrzymał taksówkę.

— Nie, nie — bronił się dyrektor Marczak. — Czuję się już znakomicie i pójdziemy pieszo.

Marczak wiedział, że taksówki w Bogocie są drogie i nie stać nas na korzystanie z ich usług. Ów obcy jak gdyby zrozumiał nasze uczucia, bo powiedział, uśmiechając się i zdejmując z głowy kapelusz:

— Nie przedstawiłem się panom. Nazywam się Ralf Dawson. Jestem Anglikiem od dziesięciu lat przebywającym w Kolumbii. Dziś w południe wprowadziłem się do hotelu Hilton. Zauważyłem, że dziennikarze bardzo się panami interesują i dowiedziałem się od nich, że jesteście muzealnikami z dalekiego kraju. A ponieważ ja także zdecydowałem się wracać do hotelu taksówką, miło mi będzie, jeśli panowie skorzystają z tego samego pojazdu.

No cóż, zaproszenie brzmiało uprzejmie i nie było w nim niczego, co mogłoby nas obrazić. Domyśliłem się, że ten człowiek kryje jakąś zagadkę, jego spotkanie z nami nie miało żadnych cech przypadku, a uprzejmość dyktowały chyba specjalne względy. Ale to wcale nie przeszkadzało, aby wraz z nim zabrać się taksówką do hotelu Hilton. Instykt detektywa nakazywał mi wierzyć, że wkrótce zagadka tego człowieka sama się wyjaśni.

W drodze do hotelu milczeliśmy. Raz tylko, gdy mijaliśmy skrzyżowanie Dziesiątej i Dziewiętnastej ulicy i ujrzałem przepiękny widok pokrytej zielenią góry Monserate z białym klasztorem na szczycie, wyrwał się z mej piersi okrzyk:

— Jakże tu pięknie. Szkoda, że już niedługo wyjeżdżamy i że zapewne nigdy tu nie powrócę.

Ralf Dawson oświadczył z powagą:

— To nie jest wcale takie pewne, mister Thomas. Mam przeczucie, że będzie się pan jeszcze nieraz zachwycał pięknem Bogoty.

— Jest pan może odrobinę jasnowidzem? — zapytałem bez ironii, aby go nie urazić.

Skinął głową i odparł serio:

— Tak. A ściślej, miewam przeczucia, które bardzo często się sprawdzają.

W hotelu Dawson odprowadził Marczaka aż do naszego apartamentu i poradził mu, aby się położył do łóżka i wypoczął.

— To dobrze panu zrobi — tłumaczył. — Bo przecież musi pan wziąć udział w wieczornym zakończeniu konferencji. Słyszałem od dziennikarzy, że podjęte zostaną jakieś bardzo ważne decyzje. Spokój i godzina snu może się okazać najlepszym lekarstwem na pana dolegliwość.

Natychmiast zorientował się, że dyrektor dzieli ze mną apartament i moja obecność może Marczakowi zakłócić spokój.

— Pana zaś, mister Thomas, zapraszam do swego pokoju. Mieszkam piętro wyżej. Proponuję kieliszek sherry i pogawędkę. W tym czasie mister Marczak prześpi się i wypocznie.

Przyjąłem zaproszenie. Ja również miewałem przeczucia, które się często sprawdzały. Tym razem byłem pewien, że na osobności Dawson zechce ze mną o czymś ważnym porozmawiać.

Mieszkał w jeszcze bardziej luksusowym apartamencie niż my. Miał do dyspozycji małą sypialnię, dość spory salonik i dużą łazienkę. Mówił chyba prawdę, że dopiero dziś się tu wprowadził, bo zauważyłem stojące w korytarzu dwie nie rozpakowane eleganckie walizki.

Zaprosił mnie do saloniku, otworzył drzwiczki szafki chłodniczej misternie ukrytej w ścianie.

— A więc sherry, whisky, gin? — zapytał.

— Tonik — odpowiedziałem.

Skinął głową i wyjął dwie butelki toniku.

— Domyślałem się, że nie lubi pan alkoholu. Ja także rzadko go używam.

Uprzejmym gestem wskazał mi fotel, z oszklonej serwantki wyjął szklanki i rozlał do nich tonik. Usiadł w fotelu naprzeciw mnie.

— Nie mogę pana poczęstować ani cygarem, ani papierosem. Nie palę — oświadczył z przepraszającym uśmiechem. — Ale dym mi nie przeszkadza.

Zostało to powiedziane po to, abym sobie pozwolił na wypalenie cygara, co też i uczyniłem. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i po chwili do apartamentu wszedł boy hotelowy, który wręczył Dawsonowi szarą kopertę. Gospodarz przeprosił mnie i podszedł do okna, gdzie przez dziesięć minut przeglądał jakieś papiery. Potem wrócił na swoje dawne miejsce, napił się toniku i rzekł:

— Wydaje mi się, że powinienem panu powiedzieć coś więcej o sobie. Tym bardziej że, jak to zdążył pan zdaje się zauważyć, siedłem za wami podczas spaceru po mieście, co mogło wyglądać podejrzanie. A ja po prostu szukałem okazji, aby z panem nawiązać kontakt. I przypadek, przykry dla pana Marczaka, przyszedł mi z pomocą.

Łyknął toniku, uśmiechnął się przyjaźnie i mówił dalej:

— Wspomniałem, że jestem Anglikiem i nazywam się Ralf Dawson. Od prawie dziesięciu lat przebywam na terenie Kolumbii, mieszkam pięćdziesiąt kilometrów od Bogoty w pięknym parku otoczonym wysokim murem. W tym parku znajduje się czterdzieści luksusowo urządzonych pawilonów, a ściślej, maleńkich domków, gdzie pod staranną opieką doktora Rodrigo Alvaraza, znakomitego psychiatry i psychoanalityka, przebywa wiele bardzo zamożnych osób. Nie jest to jednak szpital dla wariatów w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Raczej sanatorium dla ludzi znerwicowanych, odrobinę nie zrównoważonych. Każdy z nas ma własny domek, może spotykać się z innymi pacjentami lub ich unikać, korzystamy ze wspaniałej biblioteki, prenumerujemy czasopisma, mamy basen pływacki i kort tenisowy. Niektórzy z nas, jak na przykład ja, zaliczani do osób nieszkodliwych dla otoczenia, otrzymują przepustki na krótkie podróże. Mamy prawo przyjechać do Bogoty i zamieszkać w hotelu albo nawet odbyć dalszą podróż, aby odwiedzić krewnych, znajomych, przyjaciół.

„On nie jest znerwicowany — pomyślałem. — Ten człowiek ma nerwy jak powrozy”.

— Jak pan zdążył zapewne wywnioskować z moich słów, należę do ludzi zamożnych. Jestem jeszcze młodym i pełnym życia człowiekiem, niechże się więc pan nie dziwi, że monotonne życie w zakładzie doktora Alvareza już mi się nieco znudziło. Dziś rano przeczytałem w gazetach o włamaniu do Muzeum Złota i zapoznałem się z wywiadem, jaki z panem przeprowadziła dziennikarka z „Wiadomości Bogoty”. Pomyślałem: „A gdybym tak zajął się sprawą odzyskania owych unikatowych zbiorów, wykorzystując do tego celu najlepszych detektywów? Czy nie byłoby to jakimś nowym elementem w moim monotonnym życiu, wspaniałą przygodą, która być może stanowiłaby nawet lekarstwo na moją nerwicę?” Zwierzyłem się ze swych myśli doktorowi Alvarezowi i on przyznał mi rację. „To będzie dla pana znakomita terapia” — stwierdził. Udzielił mi zezwolenia na wyjazd do Bogoty i oto jestem tutaj, siedzę przed panem. I jednocześnie składam propozycję: czy zechce pan, za odpowiednio wysokie wynagrodzenie, które zresztą sam pan ustali, współpracować ze mną w sprawie odzyskania zbiorów z magazynów Muzeum Złota?

Odpowiedziałem:

— Ależ to nonsens. Taka sprawa wymaga działania setek specjalistów, i to na całym świecie.

Uśmiechnął się wyrozumiale:

— Jestem zdania, że nie setki policjantów, ale właśnie kilka osób, nawet dwie, pan i ja, mając do dyspozycji poważne środki finansowe, prędzej i skuteczniej trafi do celu. Nic zresztą nie stoi na przeszkodzie, aby korzystać z informacji policjantów. To przecież tylko kwestia odpowiedniej sumy pieniędzy. Co się zaś tyczy pana osoby, właśnie przed chwilą boy hotelowy przyniósł mi z tutejszej prywatnej agencji detektywistycznej wycinki z gazet dotyczące pana działalności. Wystarczyło mi rzucić na nie okiem, aby się upewnić, że pan jest człowiekiem, którego potrzebuję.

Przecząco pokręciłem głową:

— Niestety, pracuję w polskim Ministerstwie Kultury i Sztuki, przyjechałem tutaj jedynie na międzynarodową konferencję. Muszę wracać do kraju, gdzie czeka mnie wiele pracy.

— Otrzyma pan takie honorarium, jakiego sobie pan zażyczy.

— Nie jestem człowiekiem zamożnym. Żyję bardzo skromnie. Ale nie należę także do ludzi, o których można powiedzieć, że są „do wynajęcia”.

— A jednak przed kilkoma laty pracował pan we Francji na prywatne zlecenie i wygrał pan walkę z tak zwanym Fantomasem. Wzmiankę o tym znalazłem w jednym z wycinków prasowych.

— To prawda. Uczyniłem to jednak tylko w ramach swego urlopu, i to nie za pieniądze, ale na prośbę pewnej kobiety, z którą się przyjaźnię. Przykro mi, że muszę panu odmówić.

— Może teraz również mógłby wziąć pan urlop? Porozmawiam o tym z panem Marczakiem...

— Niech pan tego nie robi. Nie udzieli takiej zgody, nie ma do tego prawa.

— Rozumiem — znowu uśmiechnął się przyjaźnie. — Zresztą takiej właśnie odmownej odpowiedzi od pana oczekiwałem. Przekonuję się jeszcze raz, że jest pan właściwym człowiekiem.

Zdziwiła mnie jego reakcja. Nie złościł się z powodu mojej odmowy, nie nakłaniał powtórnie, ale zachowywał się jeszcze bardziej przyjaźnie i życzliwie. Bacznie patrzył na mnie swoimi szarymi oczyma i jak gdyby czytając w moich myślach, powiedział:

— Nie obrażam się na pana i nie gniewa mnie pańska odmowa, ponieważ wiem to, o czym pan jeszcze nie wie, a co stanie się dziś wieczorem na waszej konferencji. Dlatego wierzę, że sprawa naszej współpracy stanie się znowu aktualna.

— To wykluczone. Nie będę nigdy pracował prywatnie — oświadczyłem wstając z fotela.

— Radzę wystrzegać się mówienia słowa „zawsze” oraz słowa „nigdy” — zaznaczył, również wstając z fotela. — Myślę, że spotkamy się wkrótce w nieco innych okolicznościach. A co do mojej choroby, wyjawię panu to, co powiedziałyby panu doktor Alvarez, gdyby nie obowiązywała go tajemnica lekarska. Otóż od czasu do czasu wydaje mi się, że jestem człowiekiem, który tu przybył z UFO, czyli, jak się to mówi, z Niezidentyfikowanego Obiektu Latającego. I co gorsza, czasami mam uczucie, że potrafię czytać w cudzych myślach albo robić coś, czego żaden inny człowiek zrobić nie potrafi. Ot, na przykład, spowodować, żeby nagle rozdzwonił się aparat telefoniczny, który stoi pod oknem.

W tym momencie uśmiech zniknął z jego ust. Zaczął z napięciem wpatrywać się w aparat telefoniczny.

Twarz mu jakby stężała, a skóra na policzkach naprężyła się.

I aparat rozdzwonił się ostro, gwałtownie...

Nie bawiły mnie takie sztuczki. Ukłoniłem się i rzekłem chłodno:

— Oprócz mnie i dyrektora Marczaka przebywa w Bogocie panna Florentyna. Ta kobieta jest podobno wielką znawczynią spraw UFO. Wydaje mi się, że znajdzie pan w niej interesującą rozmówczynię, a kto wie, może także i przyszłego współpracownika. Proszę się nie zrażać faktem, że chodzi w przedziwnej szydełkowej tunice i nosi naszyjnik z ogromnych klocków...

Opuściłem pokój Dawsona przekonany, że miałem jednak do czynienia z chorym nerwowo człowiekiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

POWOŁANIE BIURA KOORDYNACYJNEGO • POCZĄTEK WALKI Z GANGIEM
ZŁODZIEI DZIEŁ SZTUKI • PODROŻ DO SAN AUGUSTIN • I ZNOWU RALF
DAWSON • NA TROPACH TAJEMNICZEJ KULTURY • DZIWNY LIST • INDIAŃSKI
NASZYJNIK • GROŹNE SPOTKANIE Z POSZUKIWACZAMI SKARBÓW • W
OBLICZU ŚMIERCI • NIESPODZIEWANY RATUNEK

Następnego dnia już o świcie wraz z dwudziestokilkuosobową grupą uczestników konferencji zająłem miejsce w samolocie, który przeniósł nas do miejscowości Popayan, skąd dużym autokarem wyruszyliśmy w kilkugodzinną podróż do Parku Archeologicznego w San Augustin. Jechałem bez dyrektora Marcza — on pozostał w Bogocie, zajęty niezwykle ważnymi sprawami, o których dowiedzieliśmy się w trakcie zakończenia międzynarodowej konferencji. Okazało się, że włamanie do Muzeum Złota do tego stopnia wstrząsnęło ludźmi odpowiedzialnymi za ochronę zabytków kultury, że kilku wpływowych uczestników konferencji, zgodnie z sugestiami zawartymi w referacie naszej delegacji, powołało Międzynarodowy Komitet Ochrony Zabytków. Zwrócono się telefonicznie i telegraficznie do ministrów kultury kilku bogatszych państw świata i uzyskano od nich odpowiednio wysokie kwoty pieniężne na rzecz specjalnego Funduszu Ochrony Zabytków. Międzynarodowy Komitet miał powołać Biuro Koordynacyjne do walki z gangami, dokonującymi kradzieży dzieł sztuki na całej kuli ziemskiej. Zdecydowano, że w skład owego Biura Koordynacyjnego wejdą ludzie najbardziej doświadczeni. Biuro miało zorganizować specjalną kartotekę złodziei dzieł sztuki, a także zatrudnić najrzeczniejszych detektywów oraz nawiązać ścisłą współpracę z Interpolem. W ten sposób cały nasz glob zostałby objęty siatką agentów informujących o wszelkich kradzieżach dzieł sztuki oraz szlakach ich przemytu. Uchwalono, że siedzibą tak Międzynarodowego Komitetu, jak i Biura Koordynacyjnego będzie Paryż. Na razie, tu w Bogocie, miano jeszcze przez kilka dni dyskutować o kształcie Komitetu oraz ustalić zakres działań przyszłego Biura Koordynacyjnego. Ukonstytuował się również ów Międzynarodowy Komitet. Wybrano przewodniczącego oraz czterech zastępców. Dyrektor Marczak został jednym z wiceprzewodniczących, co było zrozumiałe, ponieważ to jego myśli wyłożone w naszym referacie zyskały nareszcie realny kształt i zostały przyjęte przez wszystkich uczestników konferencji. Tak więc dyrektor Marczak pozostał w Bogocie, a wraz z nim i panna Florentyna, której znajomość dziesięciu języków była w tej chwili Marczakowi potrzebna. Wycieczkę do San Augustin uznano za bardzo atrakcyjną — Marczak doszedł do wniosku, że powinienem skorzystać z okazji poznania zabytków sztuki prekolumbijskiej. Dlatego zostałem przez niego wyłączony z prac organizacyjnych Komitetu i mogłem wziąć udział w tej ciekawej imprezie.

Samolot do Popayan nie został specjalnie wynajęty, ale miał normalny rejs komunikacyjny, dlatego nie byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem w nim Ralfa Dawsona. Na szczęście ja siedziałem z przodu, a on z tyłu, ograniczyliśmy się więc tylko do wymiany ukłonów. Zdziwiłem się jednak trochę, kiedy ujrzałem go w autokarze do San Augustin. Zaraz jednak wyjaśniłem sobie tę sprawę bez specjalnego trudu: w autokarze pozostało kilka wolnych miejsc i człowiek z odpowiednią sumą pieniędzy mógł bez problemu zabrać się z nami. Tym bardziej że, jak to zdążyłem zauważyć, kierownik naszej wycieczki zaprzyjaźnił się z Dawsonem i w autokarze siedział obok niego.

Nie widziałem zresztą żadnego powodu, aby zaprzętać sobie głowę Ralfem Dawsonem, szczególnie że nie był natrętny i nie usiłował mnie już więcej nakłaniać do współpracy. Z

Popayan do San Augustin jedzie się przez Andy, wysokie na cztery tysiące metrów. Urzekające widoki stromizn skalnych i przepięknych, głębokich wąwozów pochłaniały całą moją uwagę. Szosa wznosiła się wysoko krętymi serpentynami, to znów opadała w dół tak raptownie, że aż dech zapierało w piersiach i chwilami głuchło się od nagłych zmian ciśnienia. Droga przez góry była niebezpieczna, w każdej chwili z wysokich, nagich szczytów mogły osunąć się lawiny skał i kamieni; kilkakrotnie stawaliśmy nawet, aby usunąć z szosy wielkie głazy, które spadały przed godziną lub może kwadransiem.

Ale po jakimś czasie, kiedy już przywykłem do niezwykłych widoków górskich i oswoiłem się z dzikim krajobrazem, myśli moje powróciły jednak do osoby Dawsona. Broniłem się przed tym — niestety, bez rezultatu. On siedział za mną, podobnie jak w samolocie, wydawało mi się, że patrzy na moje plecy i tył głowy; niemal fizycznie czułem ten wzrok na sobie i to zmuszało mnie do myślenia o nim.

Nie czułem do niego wrogości czy niechęci — to pewne. Zachował się szlachetnie, gdy nagle zasłabł dyrektor Marczak. Potem zaproponował współpracę, a gdy odmówiłem, pożegnał mnie z taką samą uprzejmością. Tylko ta jedna sztuczka z telefonem wydała mi się bardzo tandetna. Przecież to nietrudno umówić się z kimś, na przykład z boyem hotelowym, który przyniósł kopertę, żeby o określonej minucie, a nawet sekundzie, zatelefonował do pokoju, a potem wytrzeszczyć oczy na aparat telefoniczny i poczekać, aż odezwie się sygnał. Tak, to było tandetne i jakoś nie bardzo pasowało do wytwornie zachowującego się Dawsona. Czemu on to zrobił? I dlaczego, od razu na wstępie, poinformował mnie, że jest nerwowo chory i przebywa w sanatorium doktora Alvareza? Kto zechce współpracować z wariatem? Nawet, jeśli ów wariat posiada dużo pieniędzy i uchodzi za nieszkodliwego?

Znałem kilku ludzi o silnie zachwianej równowadze psychicznej. Ciekawe, że żaden z nich nigdy by w ten sposób o sobie nie powiedział, ba, każdy z nich był głęboko przekonany, że to inni mają zachwianą równowagę psychiczną, natomiast on jest właśnie najbardziej normalny. Czyżby Ralf Dawson pozostawał wyjątkiem? A może raczej on po prostu chciał uchodzić za szaleńca lub niezrównoważonego? Innymi słowy — był to człowiek zupełnie normalny, bez żadnych kłopotów z nerwami i własną psychiką. W jakim jednak celu prowadził ze mną tę dziwną grę? I chyba prowadził ją nadal, skoro wybrał się do San Augustin. „O nie, to już przesada — strofowałem się w duchu. — On nie prowadzi żadnej gry, a tylko korzysta z okazji, aby zobaczyć Park Archeologiczny. Pragnął odnaleźć ukradzione skarby, a to znaczy, że interesują go zabytki”.

Moje rozmyślenia przerwało zatrzymanie się autokaru. Przybyliśmy do celu podróży — małego, liczącego pięć tysięcy mieszkańców miasteczka San Augustin, z ruchliwym i pełnym gwaru ryneczkiem, kościołem, uliczkami, przy których znajdowało się mnóstwo małych sklepików. Hoteli było niewiele, bo też i turyści na ogół rzadko tu zagląдают, ponieważ Park Archeologiczny i jego kamienne rzeźby nie cieszą się na świecie taką sławą, jak na przykład budowle Inków czy Majów. Przyczyna owego braku popularności tkwi także i w tym, że przedziwne rzeźby i grobowce w okolicach San Augustin odkryto dopiero w naszym stuleciu, a właściwie w połowie naszego wieku. Tak się bowiem stało, że gdy w XVI wieku przybyli tutaj hiszpańscy zdobywcy, płaskowyż San Augustin zastali zupełnie bezludny, bez jakichkolwiek śladów wspaniałej, rozkwitającej tu przez setki lat kultury. Albowiem Indianie zamieszkujący ten teren, otoczony z czterech stron górami, stanowiącymi naturalną twierdzę — płaskowyż o klimacie wiecznej wiosny — postanowili go opuścić i schronić się w pobliskich górach. Może słyszeli od zbiegów z innych okolic, że hiszpańscy najeźdźcy niszczą starą kulturę, beczeszczą grobowce, poszukując złota i klejnotów? W niedostępne

kryjówki górskie zabrali wszystko, co się dało unieść. Ślady po sobie starannie zatarli, nawet ogromne, kamienne rzeźby zdołali zasypać ziemią. I tak przez dwa wieki płaskowyż San Augustin skrzętnie krył swoją tajemnicę, aż wreszcie w tysiąc siedemset pięćdziesiątym siódmym roku pewien zakonnik, wysłany w te strony przez biskupa z Popayan w celu poszukiwania złota w starych grobowcach, odnalazł kilka kamiennych rzeźb ukrytych w ziemi. Wzmianka o nich nikogo jednak nie zainteresowała — wszak szukano złota, a nie piękna zaklętego w kamieniu. I znowu niemal przez dwa wieki cudowna kultura Indian z San Augustin pozostała nikomu nie znana i nie naruszona. Aż dopiero w naszych czasach najpierw angielska, a potem niemiecka wyprawa archeologiczna zwróciła uwagę na San Augustin. Prace wykopaliskowe na większą skalę rozpoczęły się w połowie XX wieku, wówczas to wspianała cywilizacja i kultura San Augustin uchyliła rąbka swej tajemnicy — odkopano setki kamiennych, ogromnych posągów, rytualne baseny wydrążone w kamienistych potokach, niezliczone ilości grobowców obłożonych cienkimi, kamiennymi płytkami, kamienne kurhany wznoszące się nad sarkofagami i rzeźbami przystrojonymi w biżuterię: bransolety, naszyjniki, nakrycia głowy, pectorały. Odnaleziono także ślady dawnych zabudowań mieszkalnych — okrągłych domków o stożkowych dachach średnicy około czterech metrów, o ścianach zrobionych z plecionego bambusu. Aż dziwne, że twórcy kamiennych, monumentalnych rzeźb ani nie budowali świątyń z kamienia, ani też kamiennych domów.

I tak, rok po roku, każda wyprawa archeologiczna odkrywała nowe zagadki i tajemnice San Augustin — dziś wiemy, że mieszkańcy tych terenów byli wspaniałymi rolnikami: uprawiali kukurydzę, jute, orzeszki ziemne, trudnili się także myślistwem i zbieractwem. Wielu z nich zajmowało się rzemiosłem — wyrabiali przedmioty ze złota i miedzi, wykonywali z gliny piękne ornamentowe talerze, czarki, wazy, puchary na krótkich i długich nóżkach, miski, dzbany i urny. Wiemy także, jak wyglądali twórcy tej kultury i cywilizacji, zdołano ich wygląd odtworzyć na podstawie rzeźb, poznano ich organizację społeczną, rytuały pogrzebowe, wierzenia religijne. Udało się też ustalić, że kultura tego plemienia istniała na terenie San Augustin przez dwa tysiące lat, to jest od piątego wieku przed naszą erą aż do najazdu Hiszpanów. Byli więc rówieśnikami starożytnych Greków, ale ich kultura rozwijała się znacznie dłużej.

Obszar objęty badaniami archeologicznymi ma kilkaset kilometrów kwadratowych i wiele dni trzeba, aby go zwiedzić. Trzy dni proponuje się na obejrzenie zabytków najważniejszych, dających wyobrażenie o całej tajemniczej zaginionej cywilizacji. Napisałem: tajemniczej. W rzeczywistości bowiem, choć tak wiele już dowiedziano się o życiu i sztuce dawnych mieszkańców płaskowyżu — każdy rok ujawnia coraz nowe zagadki i każe sądzić, że kryje się ich jeszcze wiele.

Umieszczono nas w małym hoteliku z pokojkami bez okien. Światło do pokoju wpadało przez oszklone drzwi, wychodzące na pełen kwiatów wewnętrzny podwórzec zwany patio. Byliśmy zmęczeni wielogodzinną jazdą autokarem, ciągłą zmianą ciśnienia. Nasz przewodnik zapowiedział, że tylko dwa dni dano nam na zapoznanie się z zabytkami San Augustin, a więc czeka nas mordercze tempo. Zobaczymy ścisły Park Archeologiczny oraz El Bosque, czyli „Las rzeźb”. Drugi dzień poświęcimy na wizytę w Alto de los Idolos oraz Fuente de Lavapatatas, czyli w basenie do rytualnego obmywania stóp. Należało odpocząć w hotelu, nabrać sił do wyprawy.

Kolację podano przy dużym stole ustawionym wśród egzotycznych kwiatów w hotelowym patio. Chciałem jak najszybciej odpocząć — jadłem więc szybko, nie nawiązując rozmów ze

współtowarzyszami wycieczki, choć wśród nich było kilka ciekawych osób, historyków sztuki i muzealników. Podano nam miejscowe potrawy o dość specyficznym smaku, ale nawet nie zainteresowałem się, z czego i jak je przyrządzono oraz jakie noszą nazwy. Natychmiast po kolacji położyłem się do łóżka i choć zmrok dopiero zaczynał zapadać, zaraz zasnąłem.

Obudził mnie jakiś dziwny szmer, jak gdyby ktoś pukał cichutko do drzwi pokoju. Otworzyłem oczy i nastawiłem uszu, ale szmer czy też lekkie pukanie nie powtórzyło się więcej. Usiadłem na łóżku i wówczas za oszklonymi drzwiami ujrzałem cień ludzkiej postaci, która przez szparę między drzwiami i framugą wsunęła do mego pokoju coś płaskiego i białego — chyba kopertę z listem.

Zerwałem się z łóżka i podbiegłem do drzwi. Tajemniczy cień okazał się jednak szybszy, przez oszklone drzwi ujrzałem, jak rozplywa się wśród kwiatów w patio, potem usłyszałem stuk drzwi z sieni prowadzącej na ulicę. Byłem w pidżamie i nie widziałem sensu w uganianiu się za tajemniczą postacią. Tym bardziej że pod nogami leżała biała koperta. Ten ktoś, kto znalazł się pod moimi drzwiami, był po prostu posłańcem. Należało raczej zapoznać się z listem.

Zapaliłem światło w pokoju i rozerwałem kopertę.

— „Señor Cochecito” — przeczytałem nagłówek.

Ktoś niewprawną ręką, w pełnej błędów angielszczyźnie napisał zadziwiające zaproszenie:

Jeśli jest pan człowiekiem odważnym i interesują Pana zaginione skarby, proszą wyjść zaraz z hotelu. Tuż za rogiem ulicy, po lewej stronie, czeka na Pana grono przyjaciół.

Nie taję, że byłem zaskoczony i naprawdę nie miałem pojęcia, jak należało postąpić. Podrzeć list i położyć się spać? Zachować go i rano spróbować wyjaśnić sprawę przy pomocy naszego przewodnika? A może jednak pójść na spotkanie, bo przecież interesowały mnie zaginione skarby...

Wreszcie jednak ubrałem się i opuściłem pokój. Minąłem patio, sień i znalazłem się na pograżonej w mroku ulicy. Lamp tu nie było, nikły krąg światła dawała tylko żarówka umieszczona nad drzwiami hotelu; dalej już zalegała ciemność. Nie posiadałem ciepłego ruana, natychmiast więc przeniknął mnie nocny ziąb. Przezornie wzięłem szalik, teraz owinałem go wokół szyi i podniosłem kołnierz marynarki, a przyzwyczajwszy trochę oczy do mroku, ruszyłem w lewą stronę, tak jak mi to nakazano w anonimowym liście.

Po kilkunastu krokach zbliżyłem się do małej, skręcającej w lewo uliczki. I tuż za rogiem ujrzałem trzech mężczyzn siedzących w kucki pod ślepą ścianą jakiegoś domu. Mieli na sobie ciepłe ruany, szerokoskrzydłe kapelusze nasunięte na oczy, każdy z nich nosił ogromną maczetę. Wyglądali na strudzonych wędrowców, których nie stać na miejsce w hotelu i dlatego drzemią na ulicy.

Odgłos moich kroków zbudził jednego z nich. Leniwie wstał ze swojego miejsca, wyprostował się i zatrzymał mnie cichym okrzykiem:

— Amigo!

Zrobił dwa kroki w moim kierunku. Rysów jego twarzy nie potrafiłem rozróżnić z powodu mroku. Pamiętam, że miał dużą, czarną brodę. Nagle poczułem w dłoni coś ciężkiego. Brodacz włożył w moją rękę nanizane na sznurek gliniane paciorki, chyba ornamentowane, co wyczuwałem koniuszkami palców.

— Weź to, amigo — odezwał się łamaną angielszczyzną. — To prawdziwy skarb, prosto z indiańskiego grobu. Weź ten podarunek od przyjaciół.

Mówił prawdę. Naszyjnik chyba dopiero został wyjęty z indiańskiego grobu. Gliniane kulki jeszcze oblepiał piasek. Domyśliłem się, z kim mam do czynienia. Przewodnik opowiadał mi o pladze poszukiwaczy skarbów. Nocami penetrują oni tereny wykopalisk i ogarnięci myślą o wzbogaceniu się, odsprzedają za bezcen, przeważnie cudzoziemcom, amerykańskim gringo. Przewodnik ostrzegał nas przed nimi, określając ich jako „niebezpiecznych ludzi”. I tak oto znalazłem się oko w oko z owymi poszukiwaczami i miałem przyjąć ich podarunek — naszyjnik wydobyty z indiańskiego grobowca.

— Nie chcę waszego podarunku — oświadczyłem po angielsku, starając się oddać brodaczowi naszyjnik.

On jednak nie chciał go przyjąć.

— No, señor. Podarunku nie wolno zwracać — powiedział stanowczo. — Jeśli ktoś zwraca podarunek, to obraża tego, kto go daje. A na obrazę odpowiada się nożem.

Co miałem uczynić? Rzucić im naszyjnik pod nogi i uciekać do hotelu? A może raczej należało przyjąć podarunek, a jutro rano przekazać naszyjnik dyrekcji Parku Archeologicznego, aby trafił do zbiorów muzealnych?

— Si, señor. Gracias — rzekłem po hiszpańsku i schowałem naszyjnik do kieszeni.

Chciałem obrócić się na pięcie i odejść do hotelu, ale brodacz chwycił mnie za ramię i zatrzymał w miejscu.

— Señor — odezwał się uprzejmie, z trudem dobierając angielskie słowa. — Ty dostałeś podarunek od przyjaciół i teraz daj podarunek swoim przyjaciołom. Tak wypada postąpić. Podarunek za podarunek.

— Czego chcecie? — odezwałem się zniecierpliwiony. Zrozumiałem bowiem, że to nie był z ich strony żaden podarunek, a po prostu w tej formie postanowili mi sprzedać naszyjnik.

— Ty nam podaruj pięćdziesiąt dolarów — usłyszałem.

Wzruszyłem ramionami i wyciągnąłem z kieszeni naszyjnik.

— Nie mam pięćdziesięciu dolarów. Nie mam ani jednego dolara — oświadczyłem.

— Nie kłam — rzekł groźnie brodacz. — Ty jesteś gringo. Każdy gringo ma dużo dolarów.

Zacząłem mu tłumaczyć, że nie jestem amerykańskim cudzoziemcem, ale cudzoziemcem z Polski, bez dolarów. Nie słuchał mnie albo nie rozumiał tego, co do niego mówię.

— Pięćdziesiąt dolarów — powtarzał coraz natarczywiej i groźniej. Dwóch drzemiących pod ścianą mężczyźn nagle wstało, otoczyli mnie i wyciągnęli z pochew swoje maczety.

— Weźcie swój podarunek. Nie mam ani jednego dolara. — Otworzyłem swój portfel pokazując im, że nie posiadam żadnego banknotu.

— Przyjąłeś podarunek. I ty nam daj podarunek — brodacz wyciągnął z pochwy swoją maczetę.

Sytuacja była naprawdę groźna. Ton głosu brodacza stawał się coraz bardziej gniewny, a koniec jego maczety znajdował się coraz bliżej mego gardła. I poczułem strach, bo pojąłem, że być może zginę w ciemnej uliczce San Augustin, i to z powodu zwykłego nieporozumienia. Uciekać? Spróbować któregoś z chwytów dzudo albo karate? Poprzewracać ich i wziąć nogi za pas? Nie, to było niemożliwe. Mieli w rękach gołe maczety i obstąpili mnie ze wszystkich stron. Przy tym uważnie śledzili każdy mój ruch. Gdybym tylko spróbował przewrócić jednego, dwóch pozostałych przebiłoby mnie swymi maczetami.

I raptem, gdy już byłem niemal pewien, że zginę w ciemnej uliczce San Augustin — ktoś bezszelestnie jak kot wyszedł zza rogu domu. Usłyszałem znajomy głos, który powiedział coś ostro po hiszpańsku.

Ralf Dawson stał o trzy kroki od nas i rozkazująco przemawiał do bandytów. Lecz oni tylko przez krótką chwilę byli zaskoczeni jego bezszelestnym pojawieniem się. Brodacz krzyknął do swoich kompanów, ci zaś podnieśli do góry maczety i rzucili się na Dawsona.

I oto stała się rzecz zadziwiająca. Dawson cofnął się dwa kroki, objął spojrzeniem nacierających nań bandytów, którym nagle wyleciały z rąk maczety i z głośnym brzękiem upadły na bruk ulicy. Przez krótki moment stali jak sparaliżowani, a ich twarze zdawały się wyrażać jakieś przedziwne cierpienie. Potem brodacz wrzasnął przeraźliwie i wszyscy trzej rzucili się do ucieczki, znikając w mroku ulicy i pozostawiając broń na bruku.

— Czy nic się panu nie stało? — zapytał mnie uprzejmie Ralf Dawson.

Opowiedziałem mu o anonimowym liście, o podarunku, za który żądali pięćdziesięciu dolarów. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby nie nagłe pojawienie się Dawsona, być może straciłbym życie. Czułem, jak przepelnia mnie uczucie wdzięczności i sympatii dla tego człowieka.

— Nasze pokoje w hotelu sąsiadują ze sobą — wyjaśnił mi zagadkę swego nagłego pojawienia się. — Nie mogłem zasnąć i dlatego spostrzegłem, że jakiś człowiek zakrada się pod drzwi pańskiego pokoju, puka do drzwi i potem ucieka. Zauważyłem, że wkrótce opuścił pan hotel. Przeczucie mówiło mi, że grozi panu jakieś niebezpieczeństwo. Ubrałem się więc i wyszedłem. Trochę to długo trwało, gdyż najpierw udałem się w prawą stronę, a dopiero potem w lewo.

— Uratował mi pan życie — oświadczyłem w powrotnej drodze do hotelu. — Już drugi raz mam panu coś do zawdzięczenia.

— Drobiazg — uśmiechnął się, jakby przepraszając mnie za to, co się stało. — Nie sędzę, aby ci osobnicy rzeczywiście chcieli panu wyrządzić jakąś krzywdę. Myślę, że zamierzali pana solidnie nastraszyć, aby im pan dał pieniądze.

— Nie mam pieniędzy — powiedziałem. — Nie potrafiłem im tego wyjaśnić albo oni nie chcieli tego zrozumieć.

Gdy mijaliśmy hotelowe patio, ogarnął nas duszący, ale piękny zapach egzotycznych kwiatów. Na chwilę zatrzymałem się, aby odetchnąć tą cudowną wonią. Dawsonowi ów zapach także zdawał się sprawiać przyjemność. Przystanął wraz ze mną, zdjął swój czarny kapelusz i przyglądał dłońmi jasne, gęste włosy. W świetle lamp zawieszonych na hotelowym podwórzu znowu mogłem się przyjrzeć delikatnym rysom jego twarzy, niemal kobiecej cerze, podchwycić spokojne wejrzenie szarych oczu. Jeśli wierzyć tym, którzy twierdzą, że twarz jest zwierciadłem duszy człowieka, to Ralf Dawson miał szlachetną duszę.

— A swoją drogą — odezwałem się — jakie to dziwne, że wystarczyło jedno pańskie spojrzenie, a owych trzech typów jak gdyby sparaliżowało.

— Tak, to bardzo dziwne — zgodził się ze mną Dawson. — Zdaje mi się, że wspomniałem już panu o swoich dziwnych umiejętnościach.

Postanowiłem być szczery.

— Czy wie pan, Ralf — wyznałem — że wtedy w hotelu w Hilton, gdy spojrzał pan na telefon i on nagle zadzwonił, pomyślałem, że chciał mi pan zaimponować głupią sztuczką.

— To nie była głupia sztuczka — odparł z powagą.

— Wierzę panu. Po tym, co się stało dzisiaj, wierzę panu.

Uśmiechnął się i powiedział:

— I źle pan robi. W hotelu Hilton telefon zadzwonił dlatego, że zapragnąłem, aby tak się stało. Natomiast właśnie to, co się panu przytrafiło przed chwilą, nazwać należy ordynarną sztuczką. Dziś wieczorem kupiłem od trzech poszukiwaczy skarbów stary, indiański naszyjnik. Zaproponowałem, aby za odpowiednią opłatą napisali do pana list i odegrali tę scenkę na ulicy. Umówiłem się z nimi, że rzucają się na mnie z maczetami, a gdy spojrzą na nich, maczety wylecą im z dłoni. I dobrze zagrali swoją rolę.

Zaniemówiłem. A potem wybuchnąłem gniewem:

— Dlaczego pan to zrobił? Chcę wiedzieć także, dlaczego mi pan o tym mówi. Jaki ma pan cel, aby zohydzić się w moich oczach?

— Nie pragnę zohydzić się w pańskich oczach, mister Thomas — odrzekł spokojnie. — Chcę jednak, aby pan o mnie myślał. Z niechęcią lub z niepokojem. Ale myślał. Wciąż o mnie myślał.

— Po co?

— Bo pragnę panu wkrótce wyznać coś bardzo ważnego. A to wymaga odpowiedniego przygotowania.

— Nie chcę słuchać żadnych pańskich wyznań — oświadczyłem.

Wyjąłem z kieszeni naszyjnik indiański i oddałem go Dawsonowi. Następnie szybkim krokiem udałem się do pokoju i starannie zamknąłem za sobą drzwi. Rozebrałem się i położyłem do łóżka, przekonany, że zaraz zasnę. Ralf Dawson osiągnął jednak swój cel: aż do rana nie zmrużyłem oka i bez przerwy o nim myślałem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

NAD POTOKIEM LAVAPATAS • ZAGADKOWE POSĄGI • O ARCHEOLOGII PRZYSZŁOŚCI • CO TO SĄ UFO? • KATASTROFA NAD MAŁĄ TUNGUSKĄ • POSZUKIWANIE ZAGINIONYCH PRZEDMIOTÓW • DRAMAT LUDZI Z PRZYSZŁOŚCI • DLACZEGO RALF DAWSON MIESZKA W SANATORIUM • CO ODKRYŁ NARESZCIE CZŁOWIEK Z UFO? • DLACZEGO POWINIENEM RATOWAĆ PRZYSZŁOŚĆ?

Z Ralfem Dawsonem spotkałem się dopiero po dwóch dniach, już pod koniec naszej wycieczki, gdy zwiedzaliśmy słynne Fuente de Lavapatas, to jest wykuty w skale rytualny basen do obmywania stóp. Przelotnie jednak widziałem Ralfa nazajutrz po przygodzie z poszukiwaczami skarbów w niewielkim muzeum, mieszczącym się na terenie ścisłego Parku Archeologicznego, otoczonego ogrodzeniem z siatki i pilnowanego przez specjalnych strażników. Dawson wręczył dyrektorowi muzeum stary naszyjnik indiański, który mu oddałem w patio hotelowym. Bardzo ucieszył mnie ten gest, zrobił bowiem to samo, co chciałem zrobić ja: nie zatrzymał dla siebie cennego zabytku wykradzonego z grobowca, lecz oddał go do muzeum. A kiedy dyrektor muzeum wylewnie dziękował Dawsonowi, on zaś odszedł na bok, jak gdyby jego poczucie skromności razifa owa wylewność, nagle przyszło mi na myśl, że być może zbyt pochopnie uwierzyłem jego wyznaniom o wynajęciu poszukiwaczy, aby mnie nastraszyli. Jaki bowiem cel chce osiągnąć człowiek, który stara się przedstawić innym od najgorszej strony? Może po prostu nadmierna skromność, niechęć do wysłuchiwania wyrazów wdzięczności za uratowanie mi życia skłoniły go do kłamstwa? I tak myśląc, miałem ochotę podbiec do Dawsona i powiedzieć mu o tym, ale on gdzieś zniknął. Tego dnia nie natknąłem się już na niego, nie spotkałem go też do południa dnia następnego. Wiele wskazywało na to, że zabytki w San Augustin oglądał samotnie, aż do chwili, gdy i ja odłączyłem się od innych i odpoczywałem nad przepięknie szumiącym potokiem Lavapatas.

O wszystkim trzeba jednak opowiedzieć po kolei, ponieważ każdy szczegół w tej sprawie ma ogromne znaczenie. Jak choćby ten, że zagadka, którą niewątpliwie kryła osoba Ralfa Dawsona, wydawała się niczym wobec tajemnic ujawnionych przez archeologów na płaskowyżu San Augustin. Już po odwiedzinach w ścisłym Parku Archeologicznym nasuwało się każdemu mnóstwo pytań, na które brakowało odpowiedzi. Cóż bowiem z tego, że najogólniej wiemy, jak wyglądał tajemniczy lud z San Augustin: mieszkańcy tego terenu byli na ogół wysocy, posiadali przeciętnie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Nosili różnorodne stroje — kobiety krótkie spódniczki podtrzymywane w talii paskiem, mężczyźni

przepaski na biodrach. Ciała swoje malowali na czerwono, czarno i żółto. Cóż z tego, że orientujemy się, jak wyglądały ich rytuały pogrzebowe: umarłych chowano w zależności od pozycji społecznej w grobach skromnych lub w wyszukany sposób obłożonych kamiennymi płytami. Zmarłym dawano na dalszą drogę naczynia ceramiczne, przeróżne w swojej formie i ornamentyce, odłamki obsydianu, kawałki krzemienia, złote ozdoby, perły, kolczyki, obrączki na nos i wspaniałe diademy. Nawet wiadomo trochę o ich wierzeniach religijnych i przeróżnych kultach. Węża uznawali za swego mitycznego przodka i zarazem bóstwo deszczu, orzeł stanowił symbol światła i siły, mała patronowała obrzędowi płodności, koty — uzmysławiały ponury świat podziemny, w którym królowały razem z żabą, jaszczurką i salamandrą. Niestety, jedno wciąż pozostawało niewiadome — dlaczego owi świetni złotnicy i garncarze tak wiele wysiłku wkładali w rzeźbienie ogromnych posągów kamiennych, niekiedy wysokich na pięć metrów. Posągi te wyobrażają ptaki albo ludzi z głowami ptaków, ludzi podobnych do węży, a także straszliwe potwory pożerające małe dzieci. Najwięcej dyskusji budzą jednak posągi ludzi o dwóch głowach i dwóch różnych twarzach. Jedna twarz jest uśmiechnięta, a druga przeraża wyrazem podłości i nikczemności. Jaką wiedzę o człowieku chciał przekazać potomnym tajemniczy lud z San Augustin? Czy — jak sądzą niektórzy — ostrzegał, że czasami ludzie mają jak gdyby dwie dusze i dwa oblicza? Że są ludzie podobni do ptaków, zdolni do najwyższych wzlotów i inni, podobni do gadów pełzających nisko, tuż przy ziemi?

Mieszkali w skromnych chatkach uplecionych z bambusowych prętów. Z trudem walczyli o swój byt, a tyle energii wkładali w rzeźbienie wielkich posągów kamiennych, których do tej pory odkopano ponad trzysta. Rzeźbili je przy pomocy prymitywnych narzędzi, krzemienianych dłut i siekier, co wymagało niezwykłej cierpliwości i długiego czasu. Wyłupywali postaci z wielkich brył kamiennych, które oderwały się od górskich skał, inne rzeźbili w skałach. Istniały też specjalne kamieniołomy, skąd gotowe już figury transportowano na spore odległości przy pomocy najprawdopodobniej wałków drewnianych. I po co? W imię jakich wierzeń? Dlaczego rozstawiali je po najróżniejszych zakątkach swego płaskowyżu?

Widzieliśmy te posągi w Parku Archeologicznym, potem w Alto de los Idolos. Duże zgrupowania posągów znajdują się także w innych miejscach, takich jak Mesistas, Alto de Lavapatas, La Parada, El Tablon, w La Chaquira, w Quebradillas, w Cerro de la Pelota, w Quinchana i w Alto de la Piedras. Posągi zdumiewają, przerażają, zdają się zadawać pytania — lecz odpowiedzi, jak do tej pory, nikt nie potrafi udzielić. A one milczą, uśmiechają się swymi kamiennymi twarzami, wykrzywiają kamienne usta...

A może mają rację ci, którzy powiadają, że Amerykę Południową odwiedzały kiedyś istoty z kosmosu i to po nich pozostał tajemniczy trójząb Andów, kształty figur przedziwnych zwierząt na płaskowyżu Nazca, zagadkowe miasto Inków Machu-Picchu, płaskorzeźby z Tikal, a także być może posągi z San Augustin?

I wreszcie Fuente de Lavapatas. W samotnej skale nad potokiem o nazwie Lavapatas dawni mieszkańcy tych ziem wykuli duży, obejmujący pięćdziesiąt metrów kwadratowych, sztuczny basen. Woda strumieniami spływa między rzeźbionymi kanałami, tworząc jakby iskrzący się i wiecznie szemrzący dywan o cudownie pięknym deseniu. Na ścianach basenu widać niezliczoną ilość płaskorzeźb przedstawiających przeważnie węże, salamandry, jaszczurki, a nawet postacie ludzkie. Do czego służył ten basen? Do nakazywanej religią ceremonii obmywania stóp? A może również do kąpieli leczniczych — bo i taka istnieje hipoteza.

Usiadłem na kamiennej krawędzi tajemniczego basenu i zasłuchany w szmer strumienia, mrużąc oczy od iskrzących się w słońcu kropel wody, pogрузyłem się w rozmyślaniach o zagadkowym ludzie zamieszkującym płaskowyż San Augustin. Pozostali uczestnicy wycieczki już stąd odeszli, aby w niedalekim, indiańskim szałasie zjeść przygotowaną dla nas kolację. Ale ja nie miałem ochoty na jedzenie. Wybrałem chwilę samotności i zadumy.

Nie zauważyłem, kiedy koło mnie znowu, niemal bezszelestnie, jakby i jego wyczarowała pełna rzeźb skała, pojawił się Ralf Dawson.

— Zastanawia się pan nad zagadkami San Augustin? — zaczął rozmowę, siadając tuż koło mnie na kamiennym obrzeżu basenu. — Myślę, że obecne metody prac wykopaliskowych, niestety, nie dadzą szybko odpowiedzi na nękające pana pytania. Odkopuje się z piasku kamienne figury, otwiera stare groby i zastanawia, do czego służył włożony tam przedmiot. Dlaczego pomalowano go na kolor czerwony, czarny lub żółty. Odpowiedź jest zawsze wątpliwa, jak to się mówi, hipotetyczna. Co innego, gdyby tak można było wsiąść do szklanej kuli, która, jak słynny „wehikuł czasu” Wellsa, przeniosłaby naukowców w dowolny czas, w dowolny rok. Przez przezroczyste ściany szklanej kuli można by obserwować życie ludzkie w dawnych wiekach, na przykład obyczaje mieszkańców San Augustin w piątym wieku przed naszą erą albo w wieku dziesiątym naszej ery. I choć nie mogliby owi naukowcy porozumiewać się z ludźmi z innego czasu, to przecież pełnię wiedzy o przeszłości dałaby im już sama obserwacja. Archeolodzy w przezroczystej kuli widzieliby nie tylko, w jaki sposób rzeźbi się posągi w San Augustin oraz transportuje w różne miejsca, ale po jakimś czasie domyśliliby się, po co to robiono.

— To piękne, ale nieprawdopodobne — odparłem.

— Dlaczego? Zna pan chyba teorię względności Einsteina? Czas jest również względny. Wiadomo dziś, że gdyby ku krańcom naszej galaktyki wysłać człowieka w pojeździe kosmicznym, to prawdopodobnie, w zależności od tego jak szybko i jak daleko by poleciał, na ziemi zastałby po swym powrocie już następne pokolenia, choć sam postarzałby się najwyżej o pięć lub dziesięć lat. Wszystko zależy od prędkości, z jaką poruszamy się w przestrzeni.

— Na razie osiągamy szybkość zaledwie jedenastu kilometrów na sekundę. Pan zaś mówi o prędkościach ponadświetlnych. To bajka.

— Owszem. Ale to bajka jedynie dla pana i dla ludzi panu współczesnych. Może ona być jednak rzeczywistością dla istot ludzkich, żyjących na przykład w roku trzytysięcznym.

— To prawda — zgodziłem się z nim. — Do tego czasu technika i cywilizacja mogą zrobić ogromne postępy.

— No, właśnie. I niewykluczone, że ludzie z roku trzytysięcznego także będą się interesowali przeszłością. Dla tego celu zbudują owe „wehikuły czasu”, przezroczyste, szklane kule, i będą przenosić się w nich w dowolny wiek, a nawet w dowolny rok, aby obserwować życie na ziemi w minionych czasach. Ba — roześmiał się cichutko — jestem pewien, że oni już to czynią. Od czasu do czasu widziano na niebie przezroczyste dyski nazwane Niezidentyfikowanymi Obiektami Latającymi. Ileż ton zadrukowanego papieru poświęcono zastanawianiu się, czy nie przebywają w tych pojazdach istoty z kosmosu. Ten i ów nawet spotykał się z zielonymi ludkami. Zastanawiano się, czemu latają nad Ziemią i nie chcą nawiązać kontaktu z ludźmi. A nikomu jakoś przez myśl nie przeszło, że nie są to istoty z

innych galaktyk, ale ludzie z Przyszłości, którzy w swych pojazdach czasu obserwują życie istot ludzkich w naszej teraźniejszości. Innymi słowy, Przyszłość z trzytysięcznego roku usiłuje zobaczyć, jak wygląda życie człowieka dwudziestego wieku.

— To bardzo ciekawa i oryginalna hipoteza — stwierdziłem bez zachwytu.

Albowiem przypomniałem sobie to, co Dawson opowiedział mi na początku naszej znajomości: że jest zamożnym człowiekiem od dziesięciu lat przebywającym w sanatorium doktora Rodrigo Alvareza. Tam leczy swoją nerwicę, która polega na tym, że niekiedy wydaje mu się, iż jest człowiekiem z UFO. Dlatego powiedziałem trochę szorstko:

— Szkoda, że ci panowie z Przyszłości, którzy tak bezczelnie obserwują nasze życie, nie raczą nas o tym poinformować. Przydałoby się też, aby nam przekazali coś ze swej potężnej wiedzy, ot, choćby pomogli nam w walce z plagami przeróżnych trapiących nas chorób, z głodem na ziemi, nędzą, nieustającymi wojnami.

Odniosłem wrażenie, że nie wyczuł w tonie mego głosu niechęci. Wyjaśnił uprzejmie:

— A czy nie przyszło panu na myśl, panie Tomaszu, że przynajmniej w pierwszym okresie badań archeologicznych prowadzonych przez ludzi z Przyszłości, wszelki kontakt z osobami żyjącymi w innym czasie pozostawał niemożliwy? Po prostu nie można było wyjść z takiego wehikułu czasu. Wymagałoby to bowiem dematerializacji istoty z Przyszłości i potem jej materializacji w innym czasie. Przybysze potrafili jedynie obserwować przeszłość ze swych przezroczywych wehikułów, ale nie mogli z nich wyjść ani z nich przemówić.

— Powiedział pan: przynajmniej w pierwszym okresie badań archeologicznych prowadzonych z tych wehikułów. To znaczy, że później już ten kontakt stał się możliwy.

— Owszem. Ale wówczas mógł powstać zakaz kontaktu ludzi z Przyszłości z ludźmi Przeszłości.

— Dlaczego?

— Bo taki kontakt może dla ludzi z Przyszłości stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo. Ba, nie tylko dla owych ludzi, ale dla całej Przyszłości.

— Nie bardzo rozumiem...

— Proszę sobie wyobrazić, że ludzie z roku trzytysięcznego przenoszą się, na przykład, do starożytnego Rzymu w czasy Juliusza Cezara. Idą po ulicach starego Rzymu i nagle wdają się w uliczną bójkę, jakich wtedy było wiele. Tak się składa, że w owej bójce ginie nie tylko człowiek z Przyszłości, ale również Brutus, który za dwa dni ma zabić Juliusza Cezara. I co wtedy? Juliusz Cezar nie zostaje zabity. Historia potoczy się zupełnie inaczej niż się potoczyła. Oktawian August nie będzie cesarzem itd., itp. Mówi pan o radach lub wspaniałych wynalazkach, które istoty z Przyszłości mogłyby dać ludziom żyjącym we wcześniejszym czasie. A może owe rady i wskazówki spowodowałyby całą masę nieszczęść i, co najgorsze, zmieniłyby bieg historii, a więc tym samym przekreśliłyby Przyszłość taką, jaka ona jest lub ma być. Co by się stało, gdyby legionistom rzymskim dano do ręki kilka karabinów maszynowych albo uczestnikom pierwszej wojny światowej ujawniono tajemnicę rozszczepienia atomu? Nie wolno zmieniać niczego w historii, podobnie jak nie należy

wyjmować żadnej cegiełki z wysokiej i smukłej kolumny, bo inaczej całość się zawali. Myślę, że ludzi z Przyszłości obowiązuje surowy zakaz wychodzenia ze swych wehikułów, aby bezpośrednio nie spowodowali ogromnego nieszczęścia, to jest unicestwienia Przyszłości. Czy jest pan to w stanie zrozumieć?

— Tak... Chyba tak... — odparłem po chwili wahania.

— Przedstawię panu tę sprawę na bardziej plastycznym przykładzie. Kiedy urodził się pana ojciec?

— W tysiąc dziewięćset piętnastym roku.

— Przypuśćmy, że w tej chwili, gdy tu siedzimy na brzegu kanału, archeolodzy z Przyszłości zdecydowali się wylądować swym wehikułem czasu w roku tysiąc dziewięćset czternastym, opuścili go i w jakiś sposób zetknęli się z pana dziadkiem. W wyniku tego spotkania pana dziadek nie ożenił się z pana babką, a tym samym nie urodził się pana ojciec i pan nie mógł się narodzić. Pana więc nie ma. Na moich oczach dematerializuje się pan. Oto dlaczego ludzie z Przyszłości nie mogą wychodzić ze swych wehikułów. Każde bowiem takie wyjście w dowolnie wybrany rok może spowodować nieobliczalne w skutkach konsekwencje, a nawet ogromną katastrofę.

Kiwnąłem głową na znak, że mnie przekonał. Bo w jego argumentacji odkryłem sens. Tylko że ja nie wierzyłem w latające talerze, a tym bardziej w wehikuly czasu. Przez całe swoje dorosłe życie zajmowałem się tropieniem złodziei i fałszerzy dzieł sztuki, byłem człowiekiem, o którym się mówi, że „twardo stąpa po ziemi”. Teraz także zamiast dyskutować z Dawsonem o archeologii przyszłości, wolałbym rozmawiać z komisarzem policji w Bogocie, aby usłyszeć od niego najnowsze informacje o kierunku ucieczki złodziei. Ale być może miejsce, w jakim się znajdowałem, ów przedziwny basen wykuty w kamieniu, szmerząca woda, postacie jaszczurek, salamander i węży, jak gdyby wychylających się ze skał — wszystko to powodowało, że na chwilę poddałem się wizji Dawsona i nie odprawiłem go ostrym słowem.

Ralf Dawson podniósł się z obrzeża kanału, przespacerował, potem znowu usiadł, a gdy moje milczenie zdawało się przedłużać w nieskończoność, odezwał się półgłosem, aby nie wyprowadzić mnie z nastroju tajemniczości:

— Pewnego razu kiedy szklane kule archeologów z Przyszłości nie były jeszcze tak doskonałe jak budowane później, zdecydowali się oni wyruszyć na wyprawę w tysiąc dziewięćset ósmy rok naszej ery. I stało się nieszczęście, nastąpiła awaria maszyny. Pierwszy wybuch zaobserwowano nad Kolumbią, wehikuł zmienił trajektorię lotu i skierował się w stronę bieguna północnego. Potem nastąpił drugi wybuch i wspaniała kula uległa całkowitemu zniszczeniu, a skutki tego były tak straszne jak wybuch bomby atomowej. Stało się to w bezludnych okolicach, nad rzeką Mała Tunguska na Syberii. I do tej pory wielu współczesnych panu naukowców zastanawia się, co też wydarzyło się w tysiąc dziewięćset ósmym roku nad Małą Tunguską. Czy nastąpił tam upadek ogromnego meteorytu, czy też zderzyła się z Ziemią jakaś kometa. A może awarii uległ statek przybyszów z kosmosu? Tylko nikomu nie przychodzi do głowy, że był to aparat do badania Przeszłości skonstruowany przez istoty ludzkie żyjące w Przyszłości.

— Znam dziennikarkę, pannę Leticję Lucinante z „Wiadomości Bogoty”, która bardzo chętnie opublikuje pana hipotezę. Stanie się pan człowiekiem sławnym — wtrąciłem cierpko, ponieważ słyszałem mnóstwo fantastycznych teorii na temat tak zwanego meteorytu tunguskiego.

— Nie gonię za sławą — wzruszył ramionami Dawson. — Rzecz jednak w tym, że podczas awarii, która nastąpiła nad Kolumbią, szklana kula zaczęła się po prostu rozpadać. Przez pęknięcia w jej powłoce wypadły na ziemię trzy przedmioty różnej wielkości i o różnym przeznaczeniu. Wiadomość o tym fakcie przeraziła ludzi z Przyszłości. Bo gdyby ludziom współczesnym panu, panie Tomaszu, udało się znaleźć któryś z tych przedmiotów i poznać jego przeznaczenie, mogliby przeskoczyć całe wieki pod względem cywilizacyjnym, a więc tym samym niektóre wieki musiałyby przestać istnieć. Tak więc na skutek awarii, Przyszłości zaczęła grozić zagłada. Natychmiast, rzecz jasna, w roku tysiąc dziewięćset ósmym i w latach następnych wyruszyły kolejne wyprawy archeologiczne, aby odnaleźć owe zgubione przedmioty. Na szczęście dwa z nich emanowały specjalny blask i bez trudu udało się je zabrać z dna morza, tam bowiem się znalazły. Na ślad trzeciego przedmiotu nie natrafiono.

— Skąd pan o tym wie?

— Jak to? Więc nie przypomina sobie pan, co panu kiedyś powiedziałem? Jestem człowiekiem z UFO, wysłannikiem dalekiej Przyszłości.

— Ach tak, rzeczywiście, mówił mi to pan — kiwnąłem głową i westchnąłem, gdyż zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z chorym człowiekiem. Udałem zainteresowanie i stwierdziłem:

— Skoro ludzie z Przyszłości nie potrafili znaleźć tego przedmiotu, to tym bardziej nie znajdą go ludzie z teraźniejszości. Nie ma chyba powodów do niepokoju.

— Owszem, są takie powody. Ów przedmiot zrobiony jest ze specjalnego stopu. Jak obliczyli nasi uczeni, po upływie pewnego czasu nastąpią w nim niezwykle niekorzystne reakcje chemiczne i fizyczne. I wówczas zacznie on emanować niewidzialną śmierć. Za rok lub dwa ludzie z czwartego tysiąclecia będą niespodziewanie umierać dlatego, że pewna wyprawa archeologiczna skończyła się katastrofą i zgubieniem małego przedmiotu zrobionego ze stopu przypominającego złoto. Nasi uczeni, świadomi niebezpieczeństwa, myślą, jak uchronić ludzkość przed groźącą zagładą. Ale, jak do tej pory, nie zdołali wynaleźć niczego, co mogłoby zabezpieczyć przed ową groźącą w Przyszłości śmiercią. Dlatego najwyższe władze rządzące społeczeństwem Przyszłości zdecydowały się złamać dotychczasowy zakaz wszelkiego kontaktu ludzi z Przyszłości z ludźmi z Przeszłości. Pozostało jedno: odnaleźć ów przedmiot i zniszczyć go.

— I udało się? — zapytałem bez specjalnego zainteresowania, bo nie przepadam za historyjkami z gatunku science-fiction. Wiedziałem już jednak, że Dawson jest człowiekiem pomylnym. Z podobnymi osobnikami, uczono mnie, należy postępować spokojnie i udawać, że się wierzy we wszystko, co mówią.

— Niestety — oświadczył ze smutkiem Dawson — nie odnaleźliśmy tego przedmiotu, choć wysiłek był ogromny. Aż trzydzieści trzy wyprawy wyruszyły z Przyszłości w Przeszłość. Jak wspominałem, złamano zakaz kontaktu istot z Przyszłości z ludźmi i światem istniejącym w Przeszłości. Czy jest pan w stanie wyobrazić sobie, co przeżywa człowiek z Przyszłości, gdy

cofnie się w czasie o prawie tysiąc lat? Pierwszy nasz wysłannik doznał tak wielkiego szoku, że ludzie z Przeszłości uznali go za wariata i zamknęli w domu obłąkanych. Musieliśmy zorganizować specjalną wyprawę po niego. To nauczyło nas, że ludzi, którzy mają być przeniesieni w Przeszłość, należy poddawać przez długi czas specjalnemu szkoleniu, aby uniknąć owych szoków, nazwanych przez lekarzy „szokami przeszłości”. Ale i tak wszystkie nasze wysiłki spełzły na niczym. A to dlatego, że człowiek wysłany z Przyszłości w Przeszłość ma bardzo ograniczoną możliwość działania. Musi tak postępować, aby nie naruszyć w niczym stanu rzeczy w czasie, do którego został przeniesiony. Ot, na przykład, ja, Dawson. Nie mogę prowadzić samochodu, bo a nuż przejadę człowieka. Nie jest wykluczone, że owa przejechana przeze mnie osoba okaże się moim własnym protoplastą i tym samym przestanę istnieć. Dlatego przeniesiony w rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty wolałem zamieszkać w odosobnieniu, w sanatorium doktora Alvareza. Stamtąd starałem się dowiedzieć, czy ktoś nie odnalazł poszukiwanego przez nas przedmiotu. To straszne, panie Tomaszu, siedzieć w takim dobrowolnym więzieniu przez kilkanaście lat i czekać. Wciąż czekać na informację.

— Dlaczego wylądował pan właśnie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku?

— Trudności z naszym przenoszeniem się w Przeszłość zaczęły się od chwili, gdy ludzie wynaleźli radar, zaczęli wysyłać pojazdy w kosmos, a także skonstruowali rakiety balistyczne dalekiego zasięgu. Teraz każdy z naszych wehikułów może być narażony na schwytanie, unicestwienie, kolejną katastrofę, podobną do tej, która wydarzyła się w tysiąc dziewięćset ósmym roku. Dlatego rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty uznano za nieprzekraczalną granicę, poza którą nie wolno przedostawać się w Przeszłość.

— I nigdy nie wróci pan w Przyszłość?

Przecząco pokręcił głową.

— Wróć. Zostanę zabrany z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego. Będę wzięty w Przeszłość takim, jakim mnie wysadzono w Przeszłości. Nie pozostanie mi pamięć o tym, co robiłem i jak żyłem, nie zapamiętam rozmowy z panem ani w ogóle spotkania z panem. Wróć w swoje czasy młodszy o te kilkanaście lat, jakie spędziłem w sanatorium doktora Alvareza.

— Okropnie to zawile. Aż mąci mi się w głowie... — wyjąkałem.

— Po jakimś czasie zrozumie pan bez trudu wszystkie te sprawy. Najważniejsze — na chwilę przerwał opowiadanie i zawiesił głos — że odkryłem ów poszukiwany przez nas przedmiot.

— Tak? A gdzie on jest? — zapytałem z udaną uprzejmością.

— Znalazłem go w spisie rzeczy skradzionych z magazynów Muzeum Złota w Bogocie. Ten spis opublikowały „Wiadomości Bogoty”. Jak tylko dotarła do mnie ta gazeta, opuściłem sanatorium doktora Alvareza i znalazłem się w hotelu Hilton. Panie Tomaszu — chwycił mnie za rękę — trzeba natychmiast odnaleźć złodziei, którzy okradli muzeum. Mogę to uczynić tylko przy pomocy kogoś takiego jak pan, bo przecież mnie samemu niczego nie wolno robić, aby nie naruszyć naturalnego porządku rzeczy. Muszę jednak odnaleźć ów przedmiot i zniszczyć go. Przybyłem tutaj, aby uratować Przyszłość. Dlatego błagam pana o pomoc w schwytaniu złodziei i odzyskaniu ich łupu. Do pańskiej dyspozycji oddaję cały swój

majątek, a także wszystkie swoje zdolności, o których jeszcze pan nie wie. Jestem specjalnym detektywem, przez wiele lat szkolono mnie w celu poszukiwania tego przedmiotu.

Nigdy dotąd nie widziałem go w takim stanie. To nie był ten pogodny, opanowany i zawsze odrobinę uśmiechnięty Ralf Dawson. „Wariat, który ma atak” — pomyślałem.

— Za trzy dni odlatuję do swego kraju, do Polski — przemówiłem łagodnie.

— Nie odleci pan do swego kraju — oświadczył. — Dziś rano zatelefonowałem do Bogoty i dowiedziałem się, że wyznaczono już dyrektora Biura Koordynacyjnego do walki z gangami złodziei dzieł sztuki. Został nim słynny angielski detektyw Raymond Connor ze Scotland Yardu. On już z panem współpracował i na pewno zażądał, aby pan był jego pomocnikiem. Najprawdopodobniej zostanie pan jednym z tych, którym powierzy się zadanie odnalezienia zabytków ukradzionych z magazynów Muzeum Złota. A ja chcę być tylko pana skromnym współpracownikiem...

Nie chciałem prowadzić dalej tej rozmowy. Zdecydowałem się pozostawić Dawsona w wykutym w skale basenie i pójść do szałasu, gdzie jedli kolację uczestnicy wycieczki do San Augustin. Zrobiłem już nawet krok jeden i drugi, gdy nagle moje oczy zetknęły się ze spojrzeniem Dawsona. Zauważyłem, że jego twarz jest niezwykle blada, jak gdyby raptem ubyło mu sił. A ze mną stało się coś zadziwiającego — stanąłem jak sparaliżowany, nie mogłem zrobić kroku naprzód ani w tył, poruszyć ręką.

Jak z ogromnej dali usłyszałem głos Dawsona:

— Musisz mnie wziąć za pomocnika, Tomaszu... Musisz to uczynić dla ratowania Przyszłości...

— Tak — odpowiedziałem, choć nie chciałem tego uczynić i choć nie poruszyłem wargami.

Po sekundzie na twarz Dawsona wróciły rumieńce, a ja znowu mogłem się poruszać. Przez chwilę miałem wrażenie, że to, co się stało, wymyśliłem sobie lub że to był tylko sen.

Dawson zdjął kapelusz i pożegnał mnie skinieniem głowy, mówiąc ze swym zwykłym, pogodnym uśmiechem:

— Bardzo chciałbym, żebyśmy zostali prawdziwymi przyjaciółmi, panie Tomaszu. Hipnoza i inne tego rodzaju sztuczki mogą wymusić słowo „tak”, ale nie potrafią zrodzić uczucia zaufania i prawdziwej przyjaźni.

Odszedłem bez słowa, a on pozostał wśród wykutych w skale postaci jaszczurek, salamander i węży. Gdy dotarłem do szałas, gdzie kończono kolację, miałem w głowie taki zamęt, że nie chciałem z nikim rozmawiać. W milczeniu wsiadłem do autokaru; w ostatniej chwili przed odjazdem wskoczył do niego także Ralf Dawson.

Tym razem wracaliśmy przez miejscowość o nazwie Neiva, skąd w późnych godzinach nocnych małymi samolotami poleciliśmy do Bogoty.

ROZDZIAŁ PIĄTY

JAK SPRAWDZIŁA SIĘ PRZEPOWIEDNIA CZŁOWIEKA Z UFO • DYREKTOR MARCZAK ZLECA MI SPECJALNE ZADANIE • MOJA WŁADZA NAD FLORENTYNĄ I JEJ WŁADZA NADE MNĄ • OSTRZEŻENIE PRZED RALFEM DAWSONEM • TAJNE SPOTKANIE Z RAYMONDEM CONNOREM • OSTRZEŻENIE INSPEKTORA ESPONOZY • FAŁSZYWY PASZPORT • PLAN DZIAŁANIA • NOGI PANNY FLORENTYNY

W hotelu Hilton z wielką niecierpliwością oczekiwał mnie dyrektor Marczak. Mimo późnej pory wcale nie zamierzał kłaść się spać. Jego walizka była spakowana, na stole leżał bilet lotniczy do Paryża. Z całej sylwetki i ruchów mego przełożonego tryskała energia, zadowolenie z siebie i władczość.

— Panie Tomaszu — powiedział od razu po powitaniu. — Za dwie godziny odlatuję do Paryża, gdzie odbędzie się zebranie Międzynarodowego Komitetu Ochrony Zabytków. Jako jeden z wiceprezesów tego Komitetu muszę być obecny na zebraniu, tym bardziej że głównym punktem porządku obrad ma stać się sprawa powołania Międzynarodowego Funduszu dla Ochrony Zabytków. W Paryżu będę czekał na jakiś sygnał od pana. To mnie bowiem Międzynarodowy Komitet zlecił bezpośredni nadzór nad pańską dalszą działalnością.

— Jaką działalnością? — zapytałem nieśmiało.

Dyrektor Marczak wzruszył ramionami.

— Najpierw w całej prasie światowej robi pan sobie reklamę jako najwybitniejszy detektyw i pogromca „Niewidzialnych”, a teraz udaje pan osobnika pozbawionego zdolności przewidywania. Wczoraj do Bogoty Przyleciał Raymond Connor, który zgodził się zostać szefem Biura Koordynacyjnego do walki z międzynarodowymi gangami złodziei dzieł sztuki. Oczywiście natychmiast zażądał, aby pan został mu podporządkowany. Niestety, nie mogłem Connorowi tego odmówić, tym bardziej, że — jak mi powiedział w poufnej rozmowie — to panu zamierza powierzyć śledztwo w sprawie włamania do magazynów Muzeum Złota. Spotka się z panem jutro rano, omówi szczegóły i udzieli odpowiednich pełnomocnictw. Nie muszę chyba przypominać, że choć odtąd będzie pan podlegał Connorowi, to ja, Marczak, pozostaję nadal pana zwierzchnikiem i od czasu do czasu życzę sobie otrzymywać informacje o toku pracy.

— Ależ ja muszę wracać do kraju — usiłowałem oponować. — Pozostawiłem tam wiele nie zakończonych spraw.

— Dokończy je pan później — lekceważąco machnął ręką. — Porozumiałem się w pana sprawie z naszą ambasadą w Bogocie, a poprzez nią z naszym ministrem kultury i sztuki. Otóż powiem panu, że nie tylko powinien pan tu pozostać, ale nawet musi pan odnaleźć złote zabytki skradzione z Muzeum Złota.

— Kolumbia ma swoją własną znakomitą policję — oświadczyłem.

— To prawda, ale zapomina pan, że skradzione przedmioty są już zapewne poza granicami tego kraju. Tylko Międzynarodowe Biuro Koordynacyjne potrafi wpaść na trop przestępców. Zresztą, wszystko wyjaśni panu Raymond Connor.

„No cóż — pomyślałem — sprawdziły się słowa Ralfa Dawsona”.

Jego informatorzy mówili prawdę. Zdecydowano, że nie powrócę do kraju, ale zostanę w Bogocie. Wyznaję szczerze, że nie pociągała mnie ta nowa przygoda. Nie bałem się niebezpieczeństw, ale brzemień narzucone mi przez Marczaka, fakt, że, jak się wyraził, muszę znaleźć skradzione zabytki, niemal mnie obezwładnił. Lecz z Marczakiem dyskusja na taki temat była po prostu niemożliwa.

Tam gdzie wchodził w grę prestiż kierowanego przez niego Centralnego Zarządu, pozostawał nieubłagany. Miałem ochotę powiedzieć mu, że sprzedał mnie Connorowi jak towar eksportowy, jak samochód czy inny przedmiot. Było w tym jednak sporo mojej winy, bo przecież to ja nieostrożnie udzieliłem wywiadu panie Leticii Lucinante i zrobiłem sobie reklamę jako „Niezwyciężony Señor Cochecito”.

— Aha — przypomniał sobie dyrektor Marczak. — Zostaje pan w Bogocie, a przecież nie zna pan hiszpańskiego. Zdecydowałem się przydzielić panu do pomocy pannę Florentynę, która...

— O, Boże. Wszystko, tylko nie to — zaproponowałem.

— Chwileczkę, panie Tomaszu — przerwał moje protesty. — Podczas pańskiej wycieczki pracowałem trochę z Florentyną i przekonałem się, że jest to osoba sprytna i inteligentna. Jej znajomość języków przyda się panu. I proszę ze mną na ten temat nie dyskutować.

Przed północą pod hotel zajechała taksówka i Marczak odjechał na lotnisko. Żegnając się ze mną i panną Florentyną raz jeszcze przypomniał nam o konieczności informowania go o wszelkich naszych poczynaniach. Zbyt dobrze znałem Marczaka, aby nie wiedzieć, że jeśli uda mi się wpaść na właściwy trop, natychmiast zjawi się u mojego boku, aby potem jak zwykle puszyć się dumnie i sobie przypisywać przynajmniej połowę zasług. Ale taki on już był — i takim go bardzo lubiłem. Tym bardziej że i moje kłęski brał także w połowie na swoje barki.

Po odjeździe Marczaka panna Florentyna, nie bacząc na późną porę, zaciągnęła mnie do swego pokoju. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i oświadczyła stanowczo:

— Dyrektor Marczak zlecił mi specjalną opiekę nad panem. Teoretycznie, to pan będzie moim zwierzchnikiem. W praktyce jednak dyrektor dał mi pewną władzę. Otóż mam pana strzec przed różnego rodzaju spódniczkami i sukienkami oraz ostro interweniować, jeśli jakaś kobieta znowu zechce panu zawrócić w głowie.

Pomyślałem: „Poczekaj, dziewczyno. Niech no tylko Connor wręczy mi jakąś sumkę pieniędzy, a i ty będziesz zmuszona nosić spódniczki”. Głośno zaś rzekłem:

— W porządku, panno Florentyno. Prawdopodobnie przyda mi się ktoś tak czujny jak pani.

— I jeszcze jedno, panie Tomaszu — powiedziała. — Grasuje w tym hotelu osobnik nazwiskiem Ralf Dawson, który podaje się za człowieka z UFO. Zaprosił mnie do swego

pokoju, poczęstował koniakiem i, muszę przyznać, zachowywał się jak dżentelmen. Nawet chwalił moją tunikę i mój naszyjnik. Niestety, ten człowiek jest oszustem. Znam się dobrze na UFO-logii, koresponduję w dziesięciu językach ze znawcami tego przedmiotu. Oświadczam autorytatywnie, panie Tomaszu, że osobnicy pochodzący z UFO są małymi ludzikami zielonego koloru, a Dawson wygląda jak każdy z nas.

— Mówi, że jest człowiekiem z Przyszłości. UFO to wehikuły czasu.

— Bzdura! — przerwała mi ostro. — UFO, czyli latające spodki, są wehikułami przybywającymi do nas z innych galaktyk. To już zostało stwierdzone przez UFO-logów. Pan się zna na muzealnictwie i jest pan znakomitym detektywem. Ale od spraw UFO ja jestem specjalistką i musi mi pan wierzyć.

— Jego wywody mają pewien sens — sam nie wiem, dlaczego stanąłem w obronie Dawsona.

— Nie mają żadnego sensu — z uporem powtórzyła Florentyna. — Jego wywody są sprzeczne z ustaleniami UFO-logów. Dlatego stanowczo ostrzegam pana przed Ralfem Dawsonem. Dziesiątki osób na Ziemi miało już spotkania z zielonymi ludzikami, które wysiadły z latających spodków. Dawson jest oszustem.

— Rozumiem i przyjmuję to do wiadomości — oświadczyłem dla świętego spokoju.

Było późno i czułem się senny. Niestety, panna Florentyna chciała dalej prowadzić rozmowę.

— Jako pańska podwładna — podjęła nowy temat — muszę coś niecoś wiedzieć o panu.

— Co chce pani wiedzieć?

— Dlaczego jest pan kawalerem? Może przeżył pan nieszczęśliwą miłość lub też nie znalazł pan godnej siebie kobiety?

— Nie, panno Florentyno. Tak się jakoś składało, że gdy tylko poznałem jakąś ciekawą dziewczynę i zakochałem się w niej, dyrektor Marczak powierzał mi nowe zadanie. Musiałem wyjechać, a gdy wracałem, ona zazwyczaj była zamężna.

Zdumienie na chwilę odebrało jej mowę.

— To pan... pan jest kawalerem... z braku czasu?

— Tak — ukloniłem się grzecznie, powiedziałem dobranoc i wyniosłem się z jej pokoju. Z największą radością dopadłem swego łóżka i natychmiast zasnąłem.

O świcie zbudziło mnie pukanie i gdy, zaspany, w pidżamie otworzyłem drzwi pokoju, zobaczyłem na korytarzu Raymonda Connora, który bez żadnych ceremonii i wyjaśnień od razu wpakował się do środka i zajął miejsce w fotelu.

— Cześć, Thomas — powiedział, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi i jakby ostatnie nasze spotkanie odbyło się wczoraj, a nie przed dwoma laty w Warszawie, gdzie aresztował szefa „Niewidzialnych”, Marlona Mendozę.

Był to ogromny, dwumetrowy dryblas lat około czterdziestu, o niebieskich oczach i zupełnie siwej, gęstej czuprynie. Gdy poznałem go w Warszawie, był rudy. Ale, jak mi ktoś opowiadał, lubił zmieniać nie tylko kolor włosów. Potrafił nawet odmienić swoją sylwetkę, sposób mówienia, zachowania się. Może to właśnie dzięki tej umiejętności zdołał odnieść tak wiele sukcesów w walce ze złodziejami dzieł sztuki.

— Obudź się, skup całą swą uwagę i wysłuchaj mnie cierpliwie, bo nie mam wiele czasu — przynaglał, patrząc, jak przecieram oczy i ziewam. — Po rozbiciu „Niewidzialnych” powstał prawdopodobnie jakiś nowy gang, który dokonał włamania do Muzeum Złota w Bogocie.

— Tak — ziewnąłem.

— Rzecz w tym, że to ty musisz dostarczyć informacji o owym gangu. Przyniosłem ci trochę pieniędzy na bieżące wydatki. Przykro mi, że jest ich niewiele, ale na razie Biuro Koordynacyjne nie uzyskało pokaźnych sum na swoją działalność. Wszystkie kraje chcą chronić zabytki, lecz mało który kwapi się, aby wyasygnować pieniądze. Przyniosłem ci też pełnomocnictwo do działania w imieniu Biura Koordynacyjnego. Na razie spróbuj występować jako Señor Cochecito, a gdy spostrzeżesz, że miejscowa policja spogląda na ciebie niechętnie, postaraj się zniknąć im z oczu.

— To znaczy... — spróbowałem dowiedzieć się czegoś konkretnego o mej działalności, ale on zbył tę sprawę machnięciem ręki.

— Pytania będą później. Jeszcze dziś wieczorem muszę odlecieć do Paryża, aby na obradach Międzynarodowego Komitetu Ochrony Zabytków przedstawić pełny budżet Biura Koordynacyjnego. Dlatego powiem krótko: mianuję cię brygadierem Biura Koordynacyjnego. Ty zaś musisz sam dobrać sobie kilkusobową brygadę i zająć się sprawą włamania do Muzeum Złota. Od pierwszego naszego wielkiego sukcesu zależy, czy otrzymamy pieniądze na dalszą działalność w skali światowej. Pełnomocnictwo Biura Koordynacyjnego, a także funkcja brygadiera nie daje ci prawie żadnych uprawnień, poza jednym: jak popadniesz w kłopoty z policją jakiegoś kraju, postaramy się ci pomóc. Pamiętaj: nie jesteś policjantem, nie masz prawa nikogo aresztować. Do twoich obowiązków należy wyłącznie zbieranie informacji i przekazywanie ich do Biura Koordynacyjnego w Paryżu przy pomocy zaszyfrowanych depesz lub listów. Oto Biblia i instrukcja, jak masz z niej korzystać przy szyfrowaniu depesz. Instrukcji naucz się na pamięć i potem ją spal.

Położył na stole popularne, kieszonkowe wydanie Biblii i mówił dalej, wyrzucając słowa jak karabin maszynowy wyrzuca kule:

— Jeszcze raz ci przypominam, że nie mamy uprawnień policji. Ba, jak się do tej pory zdołałem zorientować, w niektórych krajach policja będzie spoglądać wrogo na naszą działalność, nikt bowiem nie lubi, żeby na jego terenie jacyś obcy wsadzali nos w różne tajne sprawy. Tym niemniej Biuro Koordynacyjne opracowało już tekst umowy o współpracy z policjami poszczególnych krajów, ale czy wszędzie dojdzie do podpisania tych umów i czy będą one respektowane, trudno w tej chwili przewidzieć. Biuro Koordynacyjne będzie po prostu zbierać informacje o przestępcach zajmujących się kradzieżą dzieł sztuki, nast

— Jaki jest stosunek tutejszej policji do działalności Biura Koordynacyjnego? Konkretnie: czy warto współpracować z inspektorem Esponozą?

— Nie potrafię ci dać zdecydowanej odpowiedzi. Na wiadomość, że powstało Biuro Koordynacyjne i że pragniemy mu pomóc w odnalezieniu zbiorów z Muzeum Złota, aż piał z zachwytu i obiecał z nami współpracować. Ale jestem za stary lis, aby dać się wprowadzić w potrzask. Esponoza chce po prostu dowiedzieć się, kto z naszej strony poprowadzi śledztwo w sprawie tego włamania i mieć go na oku. Umowy o współpracy z nami jeszcze nie podpisali. Jednym słowem: wobec Esponozy bądź bardzo ostrożny. Drugie pytanie?

— Kto to jest Ralf Dawson? Czy słyszałeś o takim osobniku? Podobno od ponad dziesięciu lat mieszka na terenie Kolumbii, choć jest Anglikiem. Namawiał mnie do wspólnego poszukiwania sprawców włamania do Muzeum Złota.

— Nigdy o kimś takim nie słyszałem. Sprawdź go sam albo przez Esponozę.

— Czy wiadomo ci coś więcej na temat włamania do Muzeum Złota, niż to, co podawała miejscowa prasa?

— Nie. W ogóle nie interesowałem się tą sprawą. Cały czas pochłaniała mnie organizacja Biura Koordynacyjnego, sprawa umów o współpracy z policjami i oczywiście wybór odpowiednich brygadierów. To ty masz za zadanie odnaleźć sprawców włamania i ustalić miejsce, gdzie ukryli swoje łupy. Czy to już wszystko?

— Nie. Jeszcze czwarte pytanie. Dyrektor Marczak zostawił mi tu dziewczynę, która włada dziesięcioma językami. Nie znam hiszpańskiego, więc na dobrą sprawę mogłaby mi być pomocną. Z drugiej jednak strony...

— Dość — uciał. — To twoja sprawa. Możesz ją wziąć do swojej brygady albo odesłać do kraju. Ty odpowiadasz za przebieg śledztwa i do ciebie należą wszelkie decyzje dotyczące twojej brygady.

Rozmowę uznał za skończoną. Zostawił na stole pełnomocnictwo oraz kopertę z pieniędzmi, uściśnął mi rękę i natychmiast wyszedł z pokoju. Był zawodowym detektywem i mnie także uważał za zawodowca. Powiedział mi tyle tylko, ile jego zdaniem należało powiedzieć. Na towarzyskie pogawranki nie miał czasu. Zresztą prawdopodobnie nie chciał, aby ktoś zauważył jego wizytę w moim pokoju, dlatego wybrał tak wczesną porę i starał się u mnie przebywać jak najkrócej. Tajemniczy gang mógł mieć w hotelu Hilton swoich szpiegów, których zapewne interesowało, komu Connor powierzy śledztwo w sprawie włamania do Muzeum Złota.

Po wyjściu Raymonda Connora jeszcze przez jakiś czas siedziałem w pidżamie na swoim łóżku, zbierając rozproszone myśli i usiłując ustalić plan dalszego działania. Niestety, nic mądrego nie wymyśliłem. W końcu poszedłem do łazienki, ogoliłem się, wykapałem, nałożyłem garnitur i zjechałem windą na dół, aby zjeść śniadanie.

Gdy mijałem kanton recepcji, przywołał mnie ubrany w liberię Mulat, który załatwiał sprawy meldunkowe. Przy kontuarze stał jakiś typ w dużym kapeluszu na głowie i ze znudzoną miną palił cuchnące cygaro. Nietrudno się było domyślić, że to tajniak na służbie inspektora Salazara Esponozy.

— Señor ma zarezerwowany u nas pokój do jutra do południa — poinformował mnie recepcjonista. — Czy señor przedłuży rezerwację już na własny koszt, czy też podobnie jak inni uczestnicy Konferencji odlatuje dziś lub jutro?

Wyjąłem z kieszeni swój powrotny bilet lotniczy.

— A właśnie, byłbym zapomniał — uśmiechnąłem się do niego uprzejmie. — Czy mógłby mi pan zarezerwować dwa miejsca w samolocie lecącym przez Paryż do Warszawy na jutro rano? Bogota to piękne miasto, ale, niestety, moje sprawy zmuszają nas do wyjazdu.

— O tak, rozumiem, to wielka szkoda — równie uprzejmie odpowiedział recepcjonista. — Rzecz jasna załatwię panu oraz señornie miejsce w jutrzejszym samolocie do Paryża. Szkoda, naprawdę wielka szkoda, że señor nie może u nas zostać dłużej.

I nawet coś jakby nuta prawdziwego żalu zabrzmiało w jego głosie. Natomiast osobnik w wielkim kapeluszu odetchnął z taką ulgą, że przez moment dym z jego cygara osłonił cały kantór recepcji.

W ów kłęb dymu cygarowego rzuciłem pytanie do recepcjonisty:

— Czy señor Ralf Dawson przebywa w swoim pokoju?

— Nie. On już wczoraj wieczorem opuścił nasz hotel i kazał się zawieźć taksówką do sanatorium. To bardzo chory człowiek, ale niezwykle miły i porządny. Poczul się źle i musiał wrócić. Lubimy go, od wielu lat zamieszkuje w naszym hotelu i zawsze witamy go z radością.

— Ja też go bardzo polubiłem podczas wspólnej wycieczki do San Augustin — oświadczyłem. — Żałuję, że poczul się źle.

— On ma chore nerwy — poufnie wyjawiał mi recepcjonista — ale niech mi pan wierzy, jest zupełnie nieszkodliwy. Służba hotelowa wprost go uwielbia, gdyż nie jest tak skąpy, jak wielu innych gringo.

Była to aluzja do tego, abym i ja pozostawił hojny napiwek. Niestety, z przyznanych mi diet nie posiadałem już ani centavos, a pieniądze otrzymane od Connora przeznaczone zostały na zupełnie inne cele. Nie zależało mi zresztą na tym, aby w hotelu Hilton pozostało po mnie równie dobre wrażenie jak po Ralfie Dawsonie. Udałem więc, że nie zrozumiałem aluzji, zostawiłem swój bilet lotniczy i skinąwszy głową, tak recepcjoniście jak i tajniakowi, udałem się do sali restauracyjnej, gdzie czekało na mnie obfite śniadanie. Wkrótce zjawiała się także panna Florentyna i zajęła miejsce przy moim stole.

— W recepcji poinformowano mnie, że pan polecił zarezerwować dla nas miejsca w jutrzejszym samolocie do Paryża. Zdziwiło mnie to, bo dyrektor Marczak wspomniał, że prawdopodobnie pozostaniemy w Bogocie.

W głosie jej wyczułem żal z powodu wyjazdu. Odpowiedziałem z powagą:

— Owszem, był taki plan. Niestety, pani go pokrzyżowała.

— Ja? — zdziwiła się. — Przecież nie zrobiłam chyba żadnego niestosownego kroku?

— Wszystkiemu winna jest pani szydełkowa tunika oraz naszyjnik z ogromnych klocków. Cała Bogota o niczym innym nie mówi, tylko o pani stroju.

— Ależ to wspaniale. Stałam się szerzycielką nowoczesnej mody — powiedziała z zachwytem.

— Praca detektywa jest bardzo trudna, panno Florentyno. Detektyw nie może na siebie zwracać uwagi. Tymczasem pani osoba zbyt rzuca się w oczy z winy owej tuniki i klockowatego naszyjnika. Nie pozostaje mi nic innego, jak polecić z panią do Paryża.

— Ach tak... — posmutniała.

— Jeśli jednak, panno Florentyno, tak się zdarzy, że pani znajdzie się w samolocie beze mnie, to proszę nie podnosić żadnego alarmu, tylko lecieć spokojnie do Paryża. Tam skontaktuje się pani z dyrektorem Marczakiem i od niego otrzyma dalsze instrukcje.

— Ach tak, rozumiem — kiwnęła głową, choć nic nie rozumiała.

Wyjąłem kilka banknotów z koperty, którą otrzymałem od Connora, i wręczyłem je Florentynie.

— Oto pieniądze na bilet z Paryża do Warszawy. Jeśli zostanie jakaś reszta po wykupieniu biletu, może pani kupić ciekawą książkę o UFO lub po prostu spódniczkę.

Florentyna nareszcie pojęła, że postanowiłem się jej pozbyć.

— To tak? To tak? — powtarzała z oburzeniem. — Wypędza mnie pan wbrew zaleceniom dyrektora Marczaka i wbrew logice. Chce pan tu zostać nie znając hiszpańskiego. To przecież śmieszne, panie Tomaszu.

— Wolę rozmawiać z Kolumbijczykami na migi niżeli pokazywać się z osobą, która zwraca ogólną uwagę swoim strojem.

— Ach tak? Ach tak? — znowu powtarzała, teraz już naprawdę zrozpaczona. — Od dawna wiedziałam, że nie cierpi pan mojej tuniki i naszyjnika. Ale przecież wielokrotnie mówiłam, że jestem gotowa poświęcić się dla dobra sprawy. Mogę sprawić sobie spódniczkę, i to nawet bardzo krótką, jeśli pan takie lubi. Mam zgrabne nogi i zupełnie dobrze wyglądam w krótkich spódniczkach...

— Nie, panno Florentyno — pieszczotliwie pogłaskałem ją po dłoni, ponieważ wyraz rozpaczony na jej twarzy i podniesiony głos zaczął zwracać uwagę gości na sali. — Nie mam prawa żądać od pani aż tak wielkiego poświęcenia. Spódniczka, mój Boże. Pani wie, że tracę głowę dla każdej krótkiej spódniczki, a chyba pani nie chce, abym stracił tę głowę dla pani, gdy jest ona potrzebna dla sprawy odzyskania skradzionych zabytków. Zresztą, o czym tu mówić? Jutro lecimy do Paryża.

— Lecimy więc razem do Paryża — zamyśliła się Florentyna. — W Paryżu otrzymamy nowe instrukcje i zapewne jednak powrócimy do Bogoty. Pan pozwoli, że pójde do siebie, ponieważ z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa.

„Czy ona ma rzeczywiście zgrabne nogi?” — zastanawiałem się śledząc wzrokiem jej oddalającą się sylwetkę. W tunice panna Florentyna wyglądała jak grzesznica w worku pokutnym.

Korzystając z tego, że odeszła, czym prędzej opuściłem hotel i skierowałem się do centrum miasta. Za mną zaś — jak to stwierdziłem po chwili — ruszył mężczyzna z nieodłącznym cygarem w ustach, ów tajniak inspektora Esponozy. „Będzie mi towarzyszył aż do jutra, dopóki nie odleczę z Bogoty” — pomyślałem melancholijnie.

W południe znalazłem się na placu Bolívara i udawałem, że z największym zainteresowaniem oglądam pomnik człowieka, który pomógł Kolumbijczykom uzyskać niepodległość. Mój „opiekun” przyjął ten fakt chyba ze zrozumieniem, bo przykucnął w rogu placu, kapelusz nasunął na czoło i poświęcił się wypoczynkowi. Poinformowano go zapewne, że jestem muzealnym detektywem, doszedł więc do wniosku, że zwyciężył we mnie muzealnik i ostatnie godziny przed opuszczeniem Bogoty postanowiłem poświęcić na kontemplację zabytków i architektury. I uczyniłem wszystko, aby go w tym przekonaniu upewnić. Najpierw długo, ze znużeniem, przyglądałem się pomnikowi, który jest dziełem włoskiego rzeźbiarza Tenoraniego, potem obszedłem cały plac. Każda jego strona zbudowana została w zupełnie innym stylu architektonicznym. Nieco dłużej kontemlowałem Capitol, z jego południowym klasycystycznym skrzydłem. Następnie na chwilę zajrzałem do starego kościoła San Ignacio, zbudowanego na wzór rzymskiego kościoła Jezusa. A kiedy mój „opiekun” uznał, że obserwacja gringo jest najłatwiejszym zajęciem pod słońcem, po wyjściu z kościoła raptem przyspieszyłem kroku, tak że musiał niemal za mną biec, i zatrzymałem się dopiero przed gmachem... Komendy Policji. Dyżurującego tam policjanta poprosiłem o zameldowanie mnie inspektorowi Esponozie.

Myślę, że spodziewał się on mojej wizyty. Bez zbędnych formalności i długiego oczekiwania zostałem wprowadzony do ogromnego gabinetu, a na mój widok Salazar Esponoza — niski, otyły mężczyzna, o bardzo ciemnych włosach Kreola — niemal wybiegł zza swego potężnego biurka. Usadowiliśmy się w miękkich klubowych fotelach przy narożnym stoliku. Zaraz też na tym stoliku znalazły się dwie filiżanki kawy.

— Wiele o panu słyszałem i wiele czytałem, El Señor Cochecito — powiedział Esponoza. — W wywiadzie udzielonym „Wiadomościom Bogoty” stwierdził pan, że zrabowane zabytki złodzieje wywiozą za granicę. I tak się, niestety, stało. Aż dwa duże helikoptery odleciały gdzieś w bezkresną dal. Może do Ekwadoru? Może do Brazylii? Może do Wenezueli albo Peru? Niewykluczone, że skarby znajdują się w tej chwili na jakimś okręcie płynącym w nieznanym kierunku. Pańska ocena tej sprawy okazała się tak trafna, że po prostu marzyłem o spotkaniu z panem i teraz oto moje marzenie się spełniło. Prasa nasza sugerowała, że powinniśmy skorzystać z pana obecności w Bogocie i poprosić pana o pomoc. O niczym innym nie marzę. Zapewne wkrótce uda się pan do Ekwadoru, Peru, Brazylii lub Panamy i tam rozpocznie śledztwo dla Biura Koordynacyjnego...

Pięknie to sobie obmyślił señor Esponoza. Miałem się rozdzielić na kilka osób i jednocześnie znaleźć w Ekwadorze, Panamie, Brazylii, Peru lub Wenezueli. Innymi słowy, dał mi do zrozumienia, że moją obecność w Bogocie uważa za zbędną.

— Naprawdę nie udało się wam ustalić, w jakim kierunku odleciały helikoptery? — zapytałem.

— Cygara. Zapomniałem o cygarach — inspektor zerwał się z fotela, podbiegł do biurka z niezwykłą jak na otyłego człowieka ruchliwością i wrócił z pudełkiem kolumbijskich cygar. Dopiero gdy zapaliliśmy, powiedział ze smutkiem:

— Helikoptery odleciały najpierw na południe, później zmieniły kierunek na południowo-wschodni, potem na wschodni, a wreszcie północno-zachodni. Naprawdę trudno stwierdzić, jaki był rzeczywisty kierunek lotu. Udało się nam ustalić, że w napadzie na muzeum brało udział dziesięć osób. I to dziesięciu cudzoziemców z kilku krajów europejskich: Republiki Federalnej Niemiec, Włoch, Portugalii, Hiszpanii. Był z nimi nawet jeden Szwajcar. Owa dziesiątka przybyła tu do nas na tydzień przed napadem i zamieszkała w czterech hotelach: Bacata, Continental, Cordillera oraz Santa Fe de Bogota. Jeden z nich wynajął mieszkanie naprzeciw Muzeum Złota i tam zainstalowali aparat laserowy. Na krótko przed napadem ukradli ciężarówkę z pobliskiego przedsiębiorstwa transportowego. Dokonali włamania do magazynów, łupy załadowali na ciężarówkę i odjechali w góry. W umówionym miejscu o określonej godzinie zjawiły się tam helikoptery, które zabrały i łup, i sprawców. W ten sposób wszelki ślad po nich zaginął. To znaczy pozostał jeden ślad: dziesięciu ludzi opuściło cztery nasze hotele bez wymeldowania się, stąd wiemy, jaka była liczba uczestników napadu. Ech, gdyby choć jeden Kolumbijczyk brał w tym udział, być może chwycilibyśmy koniec nitki i trafilibyśmy do kłębka. Niestety, to byli bardzo sprytni złodzieje, znamy jedynie ich fałszywe nazwiska z kart meldunkowych hoteli. Nie pozostało więc nam nic innego, jak porozumieć się z policjami sąsiednich krajów i oczekiwać cierpliwie, aż któryś ze zrabowanych przedmiotów gangsterzy będą usiłovali sprzedać. W tej sprawie bardzo liczymy na pomoc Interpolu oraz Biura Koordynacyjnego, którym kieruje Raymond Connor. Poznał go pan zapewne?

— A tak. Dwa lata temu, na lotnisku w Warszawie.

— Pan Connor był wczoraj w Bogocie. I o ile moje informacje są dobre, widział się z panem dziś wczesnym rankiem. W południe odleciał do Paryża.

— Jutro rano, razem ze swoją sekretarką, również odlatuję do Paryża. Nie wykluczam możliwości, że Raymond Connor wciągnie mnie do pracy w Biurze Koordynacyjnym, a wówczas, kto wie, czy nie zobaczymy się znowu w Bogocie — odpowiedziałem wykrętnie.

Esponzoza uśmiechnął się szeroko.

— Przyjmijmy tu pana z całą życzliwością. Proszę nas tylko uprzedzić o swoim przybyciu. Chcemy korzystać z wszelkiej pomocy. Oczywiście na określonych zasadach, señor. Nasz minister spraw wewnętrznych jeszcze nie podpisał umowy o współpracy z Biurem Koordynacyjnym i dopóki to się nie stanie, nie będziemy na naszym terenie tolerowali żadnej działalności śledczej, nie uzgodnionej z policją. Czy pan mnie zrozumiał?

No cóż, chyba to nie było trudne do zrozumienia. Dopiliśmy kawę, zduśliłem cygaro w popielniczkę i wstałem z fotela. Już na pożegnanie, ściskając moją dłoń, Salazar Esponzoza postanowił dać mi delikatnego prztyczka w nos.

— Słyszałem, Señor Cochecito, że pańskie zainteresowanie wzbudził niejaki Ralf Dawson?

— Owszem — skinąłem głową domyśliwszy się, że to mój „opiekun” jeszcze z hotelu Hilton zadzwonił do Esponozy powiadamiając go, że pytałem o Dawsona w recepcji.

— Otóż zapewniam pana, Señor Cochecito, że ten człowiek nie ma nic wspólnego z napadem na muzeum. Posiadamy pełne informacje o panu Dawsonie, który w naszym kraju zamieszkuje od ponad dziesięciu lat. Znamy życiorys jego dziadka, jego ojca i jego matki. Pradziad pana Dawsona przed wieloma laty dorobił się dużej fortuny grając na giełdzie, potem dziad pomnażał ten majątek, lokując go w korzystnych akcjach najróżniejszych przedsiębiorstw. Niestety, wnuk nie dorównuje swoim przodkom. Jest chory nerwowo i leczy się w klinice doktora Alvareza. Jego choroba polega na tym, że uważa się za człowieka z UFO. Señor Dawson od czasu do czasu, za zezwoleniem doktora Alvareza, robi wyprawy do Bogoty i chce tu kogoś zwerbować do wspólnych poszukiwań jakiegoś przedmiotu, zgubionego podobno przez UFO w tysiąc dziewięćset ósmym roku. Nam to zupełnie nie przeszkadza, ponieważ w odróżnieniu od innych gringo bywa on tak dobry, że jeszcze nigdy nie odmówił pokaźnego datku, gdy zbieramy na wdowy po zabitych policjantach. Zaręczam panu, że jest to człowiek kryształowy i sam osobiście raz w roku składam wizytę w sanatorium, aby wziąć od niego czek na szlachetny cel, jakim jest opieka nad wdowami.

W taki właśnie sposób inspektor Esponoza dał mi do zrozumienia, że uważa mnie za głupca. Uczynił to tak zręcznie, że nawet nie mogłem się obrazić. Opuszczając gmach policji wiedziałem już jednak, jakim to cudem Ralf Dawson mógł wziąć udział w wycieczce do San Augustin i wcześniej ode mnie wiedział o wielu tajnych sprawach. Dawson miał opinię nieszkodliwego wariata. Fakt, że cieszył się specjalnymi względami Salazara Esponozy, dawał mu możliwość zdobycia informacji od urzędników i policjantów. „Jak dobrze jest być zamożnym wariatem” — zanuciłem sobie pod nosem, maszerując do hotelu Hilton. I raptem aż przystanąłem ogarnięty zadziwiającą myślą: a jeśli Dawson tylko udaje wariata? Jeśli od ponad dziesięciu lat czyni to w tym celu, aby traktowano go z pobłażliwą życzliwością?

„Nie. On jest naprawdę wariatem” — doszedłem do wniosku, przypominając sobie, co mówił w Fuente de Lavapatas.

Do hotelu towarzyszył mi ten sam „opiekun” w dużym kapeluszu na głowie i z cygarem w ustach. Nie przejmowałem się tym, gdyż wiedziałem, że zgubię go jutro na lotnisku El Dorado. Teraz zaś może mnie śledzić, jak długo mu tylko siły i sprytu wystarczy.

Tuż przed wieczorem do mego pokoju wszedł kelner w eleganckiej, białej marynarce i z brązową muszką pod brodą. Na specjalnym wózku wtoczył półmisek z kanapkami, jakieś gorące danie i duży termos z herbatą. Ale minę miał taką, jak gdyby przyniósł mi bombę, która zaraz wybuchnie.

— Señor zamówił kolację do swego pokoju — powiedział znacząco, ukłonił się i wyszedł.

„Czyżby ktoś dawał mi do zrozumienia, abym nie opuszczał pokoju?” — przemknęło mi przez głowę. Lecz gdy tylko zasiadłem do kolacji i chwyciłem serwetkę, przekonałem się, że pod nią leży duża koperta. W kopercie znalazłem paszport z moim zdjęciem. Jak wynikało z tego paszportu, byłem obywatelem holenderskim i nazywałem się Thomas van Hagen. Jedząc, od czasu do czasu chichotałem, tak mnie rozśmieszyła moja własna sytuacja. Ten paszport zapewne na wszelki wypadek przysłał mi Raymond Connor, abym w trudnej sytuacji pod innym nazwiskiem zniknął z pola widzenia gangsterom albo policji. Zapomniał jednak

zapytać, jakimi językami władam i uczynił mnie Holendrem, a ja nie umiałem ani słowa po holendersku. Mało tego, mianował mnie brygadierem i nakazał szukanie skradzionych zbiorów w kraju, w którym mówiło się po hiszpańsku, a ja również nie znałem tego języka. Było dla mnie oczywiste, że gdy tylko spróbuję działać jako pełnomocnik Connora, natychmiast zostanę zatrzymany przez policję kolumbijską i postawiony przed obliczem Salazara Esponozy, który popatrzy na mnie z politowaniem i choć zapewne nie zamknie w areszcie, to jednak nie omieszka odesłać mnie natychmiast do Paryża pod zarzutem, że zacząłem działać na własną rękę, mimo że umowa z Biurem Koordynacyjnym nie została jeszcze podpisana.

Ale i w mojej głowie, dzięki otrzymanemu paszportowi, zrodził się plan wyprowadzenia w pole inspektora Esponozy. Zdecydowałem, że gdy wyekspediuję do Paryża pannę Florentynę i uda mi się niespodziewanie umknąć z lotniska El Dorado, pod obcym nazwiskiem zamelduję się w jakimś innym hotelu w Bogocie i zatelefonuję do panny Leticii Lucinante z redakcji „Wiadomości Bogoty”. Señorina Lucinante wyglądała na sprytną osóbkę, starającą się uzyskać informacje wszelkimi możliwymi metodami. Byłem pewien, że jeśli obiecuję jej pierwszeństwo w publikacji na temat mojego śledztwa, znajdzie w niej wspaniałego współpracownika.

Czy należało jednak z tą sprawą czekać aż do jutra, do mej ucieczki z lotniska? Wszak panna Leticia Lucinante prawie co wieczór urzędowała w cocktail-barze w hotelu Hilton.

Tak rozmyślając, opuściłem swój pokój i zjechałem windą na dół do coctail-baru.

Tym razem bar był pełen gości, a Metys o nieprzeniknionej twarzy uwijał się stawiając na kontuarze szklanki i kieliszki z kolorowymi trunkami. Na wysokich stołkach siedzieli przeważnie sami panowie, ośrodkiem zaś ich zainteresowania była kobieta-wamp w czarnej, krótkiej, obcisłej spódniczce i białej, jedwabnej, bardzo wydekoltowanej bluzce. Miała starannie ufryzowane włosy, opadające na gołe, krągłe ramiona. Była ładna, ale mnie raziły jej zbyt jaskrawo pomalowane usta i przyczernione rzęsy. Nie lubię wyzywającej urody u kobiet, dlatego nie zwróciłem na nią większej uwagi i przez chwilę stałem w drzwiach baru, szukając wzrokiem Leticii Lucinante. Niestety, tego wieczoru dziennikarki w barze nie było.

I już miałem zamiar wycofać się do swego pokoju, kiedy nagle zainteresowała mnie prowadzona głośno w języku angielskim rozmowa kilku panów z ową kobietą wampem.

— Nie ulega wątpliwości, łaskawa pani — mówił jakiś szpakowaty mężczyzna w wytartej na łokciach marynarce i przekrzywionym krawacie — że to właśnie Ameryka Południowa budzi największe zainteresowanie obcych istot z kosmosu. Dziełem kosmitów jest słynny trójząb z Andów, figury dziwnych zwierząt wyrzyte na płaskowyżu Nazca, także kosmitów przedstawia płaskorzeźba z Tikal. Jeśli pozwoli pani zamówić na jej koszt jeszcze jeden wspaniały cocktail, wymienię więcej miejsc świadczących, że kosmici i dziś przybywają do Ameryki Południowej, aby napawać się śladami swojej dawnej tu bytności. Czy słyszała pani o tak zwanej Diabelskiej Dolinie w górach Sierra Nevada de Santa Marta? Mieszkający w tych górach Indianie, a także poszukiwacze szmaragdów, widywali tam kiedyś lądujące przezroczyste kule, w których siedzieli ludzie zupełnie podobni do nas. Niestety, jakieś straszne siły bronią dostępu do Diabelskiej Doliny i mało kto ma odwagę zapuszczać się w tamte strony.

— Nie zgadzam się z panem — odparła kobieta wamp. — Istoty przylatujące z UFO są małymi zielonymi ludzikami, które mają na głowie anteny zamiast uszu. To zostało w Europie stwierdzone ponad wszelką wątpliwość. Studiuję te sprawy od kilku lat i koresponduję z najwybitniejszymi znawcami tej dziedziny, znam bowiem dziesięć języków, a także władam językami suahili oraz papia...

Zdecydowanym krokiem podszedłem do kobiety wampa i położyłem dłoń na jej krągłym, nagim ramieniu.

— Pani za dużo wypija, Florentyno — oświadczyłem surowo. — Proszę natychmiast wracać do swego pokoju i wyjaśnić mi, co ma znaczyć ta maskarada?

Florentyna posłusznie zsunęła się ze stołka i podtrzymywana przeze mnie pod rękę, ponieważ odrobinę się zataczała, opuściła coctail-bar.

— Mam już bilet lotniczy do Paryża na dzień jutrzejszy — tłumaczyła mi w drodze do swego pokoju. — Dowiedziałam się też, ile kosztuje bilet z Paryża do Warszawy i zgodnie z pana poleceniem resztę pieniędzy wydałam na kupno spódniczki i bluzeczki oraz na skromne przyjęcie dla tutejszych UFO-logów. Jak panu się podoba spódniczka? Prawda, że jest bardzo krótka i że mam zgrabne nogi?

To mówiąc panna Florentyna zatrzymała się w korytarzu hotelowym i chwyciwszy palcami spódniczkę, złożyła mi ukłon.

— Pani jest wstawiona. I wymalowana jak wampir. Proszę natychmiast umyć twarz i położyć się do łóżka.

Szukając w torebce klucza od swego pokoju, Florentyna zaczęła narzekać:

— Pan... pan... jest okropny! I w ogóle nie zna się pan na kobietach. Pan myśli że jestem niezgrabna, a tymczasem ta pańska Mulatka, Leticia Lucinante, nawet się do mnie nie umywa. Ale ja uznaję tylko nowoczesne stroje i jestem prekursorką nowej mody. Pan chce mnie odesłać do Paryża i do Warszawy. Pan chce się mnie pozbyć, bo wydaję się panu brzydka. Ale pan się myli. Mnie po prostu nie zależy na tym, aby być ładną, a od czasu, gdy rzucił mnie mój narzeczony, zdecydowałam się nie wychodzić nigdy za mąż i na zawsze poświęcić się UFO-logii. Nie cierpię mężczyzn, bo są wiarołomni...

Pomogłem jej znaleźć klucz, otworzyłem drzwi i niemal wepchnąłem do pokoju.

— Ma pani rację, Florentyno — oświadczyłem. — Mężczyźni są wiarołomni. Co innego małe, zielone ludziki z antenami na głowach. Dobranoc pani.

Zamknąłem drzwi jej pokoju i poszedłem prosto do siebie.

„Na szczęście już jutro pozbędę się tej panny” — pomyślałem z ulgą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ZŁOTO JAKO SYMBOL NIEŚMIERTELNOŚCI • MÓJ PLAN POSZUKIWANIA
ZŁODZIEI • CO ZROBIĆ Z FLORENTYNĄ? • NA LOTNISKU EL DORADO • SPRYT
SALAZARA ESPONOZY • NIEUDANA UCIECZKA I NIEOCZEKIWANY PRZYJACIEL
• PORWANIE • O CZŁOWIEKU, KTÓRY MYŚLAŁ, ŻE JEST PTAKIEM • TARZAN I
SLIPY Z TYGRYSIEJ SKÓRY • W LUKSUSOWEJ PUŁAPCE

Kolumbijscy Indianie przed najazdem hiszpańskich konkwistadorów nie cenili sobie złota jako środka do osiągnięcia bogactw czy władzy. Dostrzegli natomiast, że złoto, w przeciwieństwie do innych metali, nie ulega korozji ani zniszczeniu. Dlatego stało się ono dla nich metalem magicznym, symbolem nieśmiertelności. Złoty kruszec wydobywali z piasku zalegającego dna rzek i strumieni albo wyłupywali ze złóż skalnych, składających się z kwarcu, kalcytu i tlenku żelaza, a więc trzech elementów niezbędnych do powstania dobrego stopu. Potem z owego stopu, który robili w garnkach glinianych techniką walcowania i wytłaczania, posługując się rylcem metalowym lub kościanym, wyrabiali przepiękne ozdoby: naszyjniki, pectorały, figurki i całe sceny rodzajowe, a nawet przedmioty użytku codziennego, na przykład butelki. Co elegantsi mieszkańcy dawnej Kolumbii mieli złote, masywne ozdoby na nos, kaski, diademy, przeróżne wisioriki, prześliczne spinki o główkach zakończonych dzwoneczkami, przedziwne maski, pęsety do wrywania włosów, grzebienie, a także instrumenty muzyczne. Architekci indiańscy używali również złotych liści do przyozdabiania świątyń. Słońce odbijało swe promienie w tysiącach takich złotych listków, które poruszane wiatrem, wydawały delikatne i melodyjne dźwięki.

Wspomniałem, że złotem interesowali się nie dla zdobycia bogactwa czy władzy, ale ze względów religijnych. Stąd też wydobyty z ziemi cenny kruszec, przetopiony i ukształtowany potem przez niezwykle utalentowanych artystów i rzemieślników, z czasem zwracali Matce-Ziemi. Przepiękne wyroby ze złota kładli zmarłemu do grobu, aby towarzyszyły mu w pośmiertnej, tajemniczej drodze i być może duszę zmarłego czyniły nieśmiertelną.

Tak było aż do pierwszej połowy XVI wieku, kiedy to hiszpańscy zdobywcy opanowali, w latach tysiąc pięćset trzydzieści sześć — trzydzieści osiem, niemal całą dzisiejszą Kolumbię. Powodowała nimi żądza zdobycia złota. Chcieli napełnić nim skarbcę królów, a przy okazji sami się wzbogacić i dzięki temu posiąść władzę nad innymi. Od czasów Kolumba raz po raz obiegały Hiszpanów legendy o ogromnych złotych skarbach, znajdujących się w dzisiejszej Ameryce Południowej. Ale najbardziej przemawiająca do wyobraźni i najbardziej kusząca awanturników stała się legenda o istniejącej gdzieś na terenie dzisiejszej Kolumbii Krainie Złota zwanej El Dorado. Opowiadano, że w pewnym tajemniczym miejscu złoty bóg Dorado ubrany od stóp do głowy w złotą biżuterię, raz w roku zanurzał się w świętym jeziorze, a tysiące zebranych na brzegu Indian rzucało mu na pożegnanie dziesiątki tysięcy złotych ozdób. Odnaleźć to miejsce, wydobyć z niego zatopione skarby — oto co przyświecało setkom uzbrojonych Hiszpanów, gdy, nie bacząc na głód, choroby, nieprzychylny klimat i ogromne góry — wszecz i wzdłuż przemierzali Kolumbię i torturowali schwytanych Indian, aby zmusić ich do wskazania Krainy Złota.

Niestety, nikt nigdy nie trafił do El Dorado. Mimo to statki wracały do Hiszpanii obciążone skarbami zrabowanymi ze świątyń indiańskich i starych grobowców. W Europie, nie bacząc na urodę i misterne wykonanie złotych wyrobów, przetapiano je na sztaby i na monety z podobiznami królów. Los jednak potrafił niekiedy mścić się na konkwistadorach za ich okrucieństwo, za zachłanną żądzę zdobycia bogactwa. Niektóre ze zrabowanych wyrobów

okazywały się stopem niewielkiej ilości złota ze srebrem i miedzią, czyli tak zwaną tembaga. Indianie znali bowiem technikę pociągania powierzchni metalu sokiem pewnej rośliny, której kwas rozpuszczał warstwę miedzi i czynił ją podobną do ciemnego złota. I tak oto niejeden zdobywca, który mienił się już bogaczem, ponieważ zrabował mnóstwo indiańskich przedmiotów, raptem stawał się żebrakiem.

Rozkopywanie starych, indiańskich grobów i poszukiwanie złotych skarbów trwało aż do początku XX wieku. Po konkwistadorach przyszła kolej na poszukiwaczy skarbów. W ten sposób dziesiątki tysięcy przepięknych ozdób i innych przedmiotów, wykonywanych rękami utalentowanych rzemieślników, przetopiono w piecach albo sprzedano do innych krajów, niszcząc bezcenne ślady kultury indiańskiej. Aż wreszcie Julio Caro i dr Luis Angel Arango zorganizowali w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, przy Banku Republiki Kolumbijskiej, Muzeum Złota. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku muzeum przeniesiono do specjalnego budynku, wyposażonego w sale wystawowe, gdzie zgromadzono piętnaście tysięcy zabytków sztuki złotniczej dawnych mieszkańców Kolumbii. Jest to jedyna taka kolekcja na całym świecie. Można tam zobaczyć misternie wykonaną figuralną przykrywkę do naczynia, pectorał z Restrepo z ornamentami na brzegach i maską pośrodku, wspaniały naszyjnik, składający się aż z czterdziestu ośmiu malutkich części przedstawiających stylizowane krokodyle, złotą butelkę — jeden z najbardziej znanych wyrobów złotnictwa kolumbijskiego, i barkę symbolizującą legendę o El Dorado — na barce wyładowanej złotem i szmaragdami płynie wódz i naczelnicy.

Tej ogromnej ilości eksponatów nie jest się w stanie pokazać od razu zwiedzającym, nawet w ogromnym muzeum pełnym dużych sal wystawowych. Żadne zresztą muzeum na świecie nie eksponuje całego swojego bogactwa, ale od czasu do czasu urządza wystawy specjalistyczne, poświęcone jakiejś ciekawej grupie zabytków. Dlatego każde muzeum posiada magazyny, które wciąż uzupełnia coraz to nowymi skarbami.

Nie do sal wystawowych, a właśnie do magazynów Muzeum Złota dostali się włamywacze i zrabowali stamtąd przedmioty, które miały być eksponowane na kolejnych wystawach. Jak teraz odnaleźć owych włamywaczy? W jaki sposób wpaść na ich trop? Jakimi sposobami odzyskać przedmioty bezcenne nie tylko dla Kolumbii, lecz dla całej światowej kultury?

Te i podobne pytania zadawałem sobie aż do rana podczas ostatniej nocy spędzonej w hotelu Hilton. Gazety kolumbijskie, które zostawił mi dyrektor Marczak, podawały pełny spis skradzionych rzeczy i liczne ich fotografie. Starłem się utrwalić w pamięci najcenniejsze i najpiękniejsze z tych skarbów, zapamiętać ich wygląd na podstawie fotografii gazetowych.

A rankiem wraz z panną Florentyną bardzo starannie przejrzałem swoje rzeczy, posegregowałem je na te, które będą mi nieodzowne, i na takie, bez których mogę się obejść. Te ostatnie ułożyłem w walizce — miała ona odlecieć samolotem do Paryża i tam na lotnisku Orly pozostać tak długo, aż się po nią sam zgłoszę. Rzeczy niezbędne (wśród nich Biblię od Connora) włożyłem do torby podróżnej. Panna Florentyna domyślała się, że z tą torbą zamierzam umknąć z lotniska tuż przed odlotem naszego samolotu. Jeszcze nie wiedziałem, jak to uczynię, spodziewałem się jednak, że tak duże lotnisko, jak to w Bogocie, musi mieć kilka wejść i kilka wyjść. Postanowiłem, że gdy moja walizka przejdzie już odprawę celną, którą zapewne obserwować będzie tajniak Salazara Esponozy, i zostanie umieszczona na transporterze do samolotu, przechodząc do sali odprawy paszportowej umknę spod obserwacji i bocznym wyjściem wydostanę się z gmachu dworca lotniczego. Godzinę lub dwie pozostanę ukryty, a kiedy upewnię się, że mój obserwator powrócił do miasta, taksówką każę się

zawieźć do położonego w bardzo ruchliwej dzielnicy Bogoty hotelu Tundama. Tam zamelduję się jako holenderski turysta Thomas van Hagen i z pokoju hotelowego zatelefonuję do panny Leticii Lucinante.

Niestety, nie przewidziałem, że na lotnisko odprowadzi nas nie jeden agent, lecz kilku. Wypełniali cały samochód osobowy, który spod hotelu Hilton wyruszył w ślad za naszą taksówką. Esponoza nie był głupcem, nie uwierzył, że taki człowiek jak Raymond Connor nie nawiązał ze mną kontaktu i nie wciągnął mnie do współpracy z Biurem Koordynacyjnym. Nie dał także wiary mojemu zapewnieniu, że opuszczę Bogotę, obojętny na los skradzionych z muzeum przedmiotów. Panna Florentyna (znowu ubrana w tunikę przyozdobioną klockowatym naszyjnikiem) jeszcze raz, już w drodze na lotnisko, próbowała mnie przekonać o konieczności swojego pozostania w Bogocie. Powtarzała z uporem:

— Dyrektor Marczak rozkazał mi nie odstępować pana ani na krok. A pan tymczasem chce się mnie pozbyć. Przecież pan nie zna hiszpańskiego, pan sobie nie poradzi bez mojej pomocy...

Wpadłem na pomysł, jak ją przekonać do wyjazdu z Bogoty.

— Pani się myli, panno Florentyno — kłamałem. — Chodzi mi po prostu o bardzo sprytny wybieg. Pani strój i pani osoba zwróci na siebie uwagę obserwujących tajniaków. Gdy zobaczą, że pani wsiada do samolotu, pomyślą, że ja także opuszczam Bogotę. W ten sposób, dzięki pani, uda mi się zmylić ich czujność. A pani, po spotkaniu z dyrektorem Marczakiem, znowu przyleci do Bogoty. W hotelu Hilton zostawię dla pani wiadomość, gdzie się ukrywam.

Kłamstwo było — jak to się powiada — szyte grubymi nićmi, ale panna Florentyna w nie uwierzyła. Nie wiedziała, biedaczka, że w ślad za nią zamierzam wysłać do Paryża zaszyfowaną depezę z prośbą, aby pod żadnym pozorem nie przysyłano mi takiej współpracownicy. Cóż mi bowiem mogło przyjść z jej znajomości dziesięciu języków oraz języka suahili i papiamento, skoro ją przede wszystkim pasjonowały sprawy UFO?

— Pan się na mnie nie gniewa za mój wczorajszy strój i występ w coctail-barze? — upewniła się.

— Oczywiście, że się nie gniewam. Przekonałem się, że pani ma zgrabne nogi, jest pani ładną i interesującą kobietą. Nawet w tej chwili, mimo tuniki i naszyjnika, dostrzegam pani ładną twarz i przepiękne oczy.

To była prawda. Po wczorajszym „występie” pozostała jej nowa fryzura, która odsłaniała czoło, oczy i nos. W tej fryzurze Florentyna wygląda rzeczywiście na ładną dziewczynę.

Na lotnisku spadł na mnie nowy kłopot. Wprawdzie, tak jak przewidywałem, w gmachu portu lotniczego było kilka wejść i kilka wyjść, ale wszystkie natychmiast zostały obsadzone przez ludzi Esponozy. Mój znajomy tajniak nie spuszczał mnie z oka. Nasunawszy kapelusz na czoło i usadowiwszy się na kanapie w ogromnej poczekalni, z szyderyczym uśmiechem obserwował, jak nerwowo chodzę to tu, to tam, aby znaleźć wyjście, którego nie strzegli ludzie inspektora. A tymczasem z głośnika zapowiadano odlot samolotu do Paryża. Co miałem zrobić? Oddałem swoją walizkę do oclenia, a potem zobaczyłem, że odjeżdża na transporterze. Pasażerom odlatującym do Paryża kazano tymczasem udać się do sali odprawy

paszportowej, co już uczyniła panna Florentyna. Zrozumiałem, że nie zdołam się uwolnić spod obserwacji i moje plany zostały pokrzyżowane. Mogłem tylko odlecieć do Paryża wraz z Florentyna i ewentualnie, w kilka dni później, po porozumieniu z Connorem, wrócić do Bogoty.

Zrezygnowawszy z ucieczki, wmieszałem się w tłumek pasażerów tłoczących się do wąskiego przejścia, gdzie dwaj oficerowie stemplowali paszporty. Nagle jakiś barczysty Murzyn w szoferskiej czapce na głowie dotknął mego ramienia i szepnął łamaną angielszczyzną, abym udał się natychmiast do znajdującej się tuż obok męskiej toalety. Nie zastanawiałem się, kim jest ten człowiek i na czyje działa polecenie. Błyskawicznie zniknąłem w drzwiach toalety, a on wszedł za mną. W milczeniu wręczył mi jakąś torbę podróżną i odebrał moją własną. Następnie, mimo moich protestów, szybkimi ruchami wysmarował mi twarz jakąś ciemną maścią tak, że wyglądałem jak Murzyn. Na głowę włożył mi swoją czapkę szofera.

— Proszę iść do wyjścia na parking samochodowy — rozkazał, a kiedy zawahałem się, dodał:
— W czarnym buicku czeka na pana przyjaciel.

Co mogłem zrobić? Chyba tylko posłuchać tego polecenia. Dlatego niedbałym krokiem kierowcy, który przybył na lotnisko po swego zwierzchnika, wyszedłem z toalety. Maszerując w kierunku wyjścia z napisem „Parking samochodowy”, kątem oka dostrzegłem znajomego agenta, który już zaczynał się niepokoić, nie widząc mnie w tłoku pasażerów dokonujących odprawy paszportowej. Nie zwrócił uwagi na Murzyna, który także opuścił toaletę i teraz wolnym krokiem przemierzał ogromną poczekalnię.

Z bijącym sercem minąłem samootwierające się szklane drzwi i od razu wśród dziesiątków samochodów ujrzałem wielkiego, czarnego buicka. Na drzwiczkach był napis w języku hiszpańskim.

— Wejdz szybciej, Tomaszu — usłyszałem znajomy głos Ralfa Dawsona. — Zajmij miejsce tuż przy mnie i nie pytaj o nic. Zasuń także firankę w oknie po swojej stronie.

Co miałem uczynić? Cofnąć się i oddać w ręce ludzi Esponozy? Zrobiłem tak, jak mi rozkazał Dawson. Zająłem miejsce w samochodzie, zasunąłem firankę. Po chwili zbliżył się do nas ten sam Murzyn. Niósł moją torbę podróżną, a gdy zasiadł za kierownicą, odebrał mi swoją czapkę. Dopiero wtedy zauważyłem, że na jej otoku widnieje napis: „Sanatorium dr Alvareza”.

— Tak, Tomaszu — przytaknął Dawson, jak gdyby zgadując moje myśli. — Jedziemy do sanatorium. Tam nie będzie cię szukać Esponoza. W spokojnej atmosferze zdołamy omówić sprawy, które nas obojgu interesują.

Czarny kierowca szybko wyprowadził wóz na autostradę do miasta.

Zachichotałem wyobraziwszy sobie, jak agenci Esponozy miotają się teraz po poczekalni lotniska. I co robi inspektor, gdy mu zameldują, że wymknąłem się spod obserwacji i nie odleciałem do Paryża.

Dawson i tym razem jak gdyby odczytał moje myśli.

— Nie obawiaj się, Tomaszu — rzekł swym miłym głosem. — Z lęku przed gniewem inspektora i utratą posady twój „Anioł Stróż” okłamię Esponozę, powie, że jednak odleciałeś do Paryża. Przecież nikt nie uwierzy, że stałeś się raptem niewidzialny.

Samochód skręcił z autostrady w boczną szosę i pomknął w kierunku ogromnych, dzikich gór.

— Skąd wiedziałeś, że chcę zostać w Bogocie i będzie mi potrzebna pomoc? — zapytałem, także przechodząc na „ty”, jak to przed chwilą uczynił Dawson.

Tym razem to on zaśmiał się cicho:

— Czy myślisz, że jestem mniej inteligentny od inspektora? Tacy jak ty nie rezygnują z walki. Naprawdę trudno mi było uwierzyć, aby Señor Cochecito nawet nie zechciał spróbować znaleźć złodziei zabytków. Zresztą mam mnóstwo znajomych w hotelu Hilton i dowiedziałem się od nich, że Raymond Connor był u ciebie wczoraj rano. Pomyślałem, że na pewno zgodziłeś się współpracować z Biurem Koordynacyjnym i będziesz usiłował zostać w Bogocie w taki sposób, aby o tym nie wiedział Esponoza. Jedyne zaś miejsce, gdzie można spróbować uwolnić się od jego „opieki”, to port lotniczy.

— Niestety, bez twojej pomocy musiałbym jednak odlecieć.

— Tak też pomyślałem. I dlatego znalazłem sposób, abyś tego nie zrobił.

— Ale dlaczego, na miłość boską?!

— Mówiłem ci przecież. W imię Przyszłości — odparł z powagą.

A ja westchnąłem ciężko, bo podczas rozmowy z Dawsonem na moment zapomniałem, że mam do czynienia z wariatem. Jedziemy zaś nie gdzie indziej, tylko do sanatorium dla nerwowo chorych.

Po raz trzeci odgadł moje myśli. Oświadczył z miłym uśmiechem:

— Nie przeszkadza mi w niczym fakt, że uważasz mnie za człowieka niespełna rozumu. Udowodniłem przed chwilą, że mimo to potrafię ci pomóc. Nie zamierzam przekonywać cię, że nie jestem wariatem. Najważniejsze, abyś mi choć trochę zaufał. Łączy nas jedno: pragnienie odnalezienia złodziei i ich łupu. A skoro nasze cele są zbieżne, nie stanie się nic złego, jeśli połączymy także nasze wysiłki.

— Ja pragnę odnaleźć łup i zwrócić zabytkowe przedmioty do Muzeum Złota — powiedziałem. — Ty natomiast, jak mi wyjaśniłeś, chcesz odnaleźć jakiś przedmiot i zniszczyć go.

— Tak. Ale to nie jest przedmiot zabytkowy. To nie dzieło sztuki prekolumbijskiej. Jeśli więc odnajdę go i zniszczę, ty będziesz miał spokojne sumienie.

Samochód prowadzony przez czarnoskórego kierowcę najpierw piał się serpentyną w górę, a potem zaczęliśmy — niemal na łeb i szyję — zjeżdżać w dół, w ogromną, zieloną dolinę, którą płynęła Rio Bogota. To tutaj nad samym brzegiem rzeki kamienny mur otaczał dość

duży teren, gdzie w zieleni drzew i krzewów egzotycznych znajdowało się kilkadziesiąt bardzo pięknych pawiloników, poogradzanych starannie strzyżonymi żywopłotami. Gdyby nie wysoka, zrobiona z kutego żelaza brama ze strażnikiem w uniformie, można by pomyśleć, że ten zakątek z jego ciszą i spokojem jest jakimś nowym rajem na ziemi.

Tuż przy bramie wjazdowej zobaczyłem pałacyk — chyba główny budynek sanatorium. Tu prawdopodobnie urzędował doktor Alvarez, tu gotowano posiłki, które następnie liczna służba w białych fartuchach specjalnymi elektrycznymi wózkami dostarczała do poszczególnych domków, do każdego bowiem prowadziła wyżywiowana i starannie utrzymana dróżka. Dowiedziałem się od Dawsona, że doktor Alvarez pozwala spotykać się tym pacjentom, którzy wyrażali na to ochotę i przyjaźnili się ze sobą. Mogli oni nawet zapraszać się wzajemnie do swych pawiloników, urządzać przyjęcia, a także korzystać z kortów tenisowych na zapleczu pałacyku, z bogatej biblioteki, z sali kinowej. Jednym słowem, terapia doktora Alvaraza polegała na tym, że pacjent miał prawo do samotności, ale w każdej chwili mógł z niej zrezygnować. Miał też możliwość pełnego rozwijania swych zainteresowań — pacjenci posiadali małe laboratoria chemiczne, stolarnie, własne pracownie malarskie i rzeźbiarskie. Pobieżny rzut oka na to sanatorium wystarczył, aby domyślić się, że pobyt w nim był niezwykle kosztowny. Rodziny milionerów kierowały tutaj swych najbliższych, jeśli stwierdzono u nich nerwicę albo gdy mieli szaleńcze pomysły, które mogły zrujnować rodzinne firmy lub kompromitować innych w oczach opinii publicznej. Nie, nie było to żadne luksusowe więzienie, choć i takie podejrzenie mi się nasunęło. Dawson zapewnił mnie, że tak naprawdę tylko jeden strażnik czuwa przy bramie, bez trudu można więc przedostać się przez mur okalający sanatorium. Doktor — nawet za najwyższe honoraria — nie godzi się przyjmować pacjentów niebezpiecznych dla otoczenia, natomiast chętnie widzi różnego rodzaju dziwaków i łagodnych szaleńców. Jeśli u któregoś z nich stwierdzi jakieś groźne objawy, powiadamia rodzinę i poleca przenieść chorego do specjalistycznej kliniki. Tak więc w istocie doktor Alvarez bardzo ułatwia sobie pracę. Jego zadanie to po prostu stwarzanie pacjentom takich warunków, w jakich czują się najlepiej.

Samochód zatrzymał się przed pałacykiem. Dalej już poszliśmy z Dawsonem na piechotę jego „prywatną” drogą wytyczoną ścianami żywopłotu. Zauważyłem, że Ralf wręczył dyskretnie kierowcy pokaźny napiwek i że nikt ze służby kręcącej się przed pałacykiem nie zwrócił na mnie uwagi. Zapewne pacjenci mieli prawo przyjmować gości spoza sanatorium.

— Pamiętaj, Tomaszu, że przebywam tutaj już od dziesięciu lat — oświadczył mi Dawson, znowu zgadując moje myśli. — W tym czasie przy pomocy środków finansowych zaskarbiłem sobie sympatię całego personelu sanatoryjnego. Jeśli zechcę, aby doktor Alvarez nie dowiedział się o twoim u mnie pobycie, możesz być pewien, że się nie dowie.

To mówiąc uśmiechnął się i prowadząc mnie dalej alejką, zaczął opowiadać:

— Mnie się wydaje, że jestem człowiekiem z UFO. Natomiast mój sąsiad, Rodrigo de Cunillo, syn wielkiego peruwiańskiego milionera, sądzi, że jest człowiekiem-ptakiem i ma podobnie jak ptak kości puste w środku. Pewnego dnia usiłował wzlecieć z tarasu w domu swego ojca, co skończyło się stłuczeniem nogi. U nas czuje się świetnie, gdyż Alvarez skonstruował mu specjalną wagę. Rodrigo waży się na niej codziennie i odkrywa, że rzeczywiście jest lżejszy niż inni ludzie. Doktor przekonał go, aby nie usiłował latać, dopóki nie wyrosną mu pióra u ramion. Drugi mój najbliższy sąsiad, Burt Duncan, brat pewnego miliardera z Dallas, wierzy że jest Tarzanem wychowanym przez małpy. Doktor Alvarez kazał mu skonstruować specjalny hamak między gałęziami drzewa, w którym zazwyczaj

ypia. W porze deszczowej oczywiście przenosi się do swego pawiloniku, a kiedy znudzi mu się huśtanie na linach, gawędzi sobie przy kieliszku sherry. Człowiek-ptak też jest zresztą przemiły. Poznasz ich obydwu i na pewno polubisz.

Doszliśmy do parterowego, białego budynku otoczonego małym ogródkiem pełnym przepięknych kwitnących, egzotycznych kwiatów. Na parterze domku był ogromny pokój, podzielony jak gdyby na trzy części. W jednej części znajdowała się sypialnia, w drugiej — coś w rodzaju bawialni z biblioteką, fotelami i kominkiem oraz barem, w trzeciej była pracownia. Jakim celom służyła, nie wiem. Widziałem tylko kilka zamkniętych szaf, półki ze szklanymi retortami i dwa palniki gazowe. Z pracowni schody prowadziły na poddasze.

— Na górze mam malutki apartament. Tam będziesz spał — poinformował mnie Dawson.

— Wspaniale mieszkasz — stwierdziłem. — Cudowne miejsce do wypoczynku.

— Owszem. Ale ja tu już jestem dziesięć lat. Zwariować można z nudów — roześmiał się.

Z półki nad kominkiem odezwał się cichy sygnał, coś jak brzęczenie telefonu. I rzeczywiście stał tam aparat telefoniczny. Dawson zdjął słuchawkę i rozpoczął rozmowę:

— Cześć, Rodrigo. Tak, wróciłem już z Bogoty i zamierzam trochę pomieszkać u siebie. Co? Naprawdę dziś ważysz o pięć miligramów mniej niż wczoraj? No, tak, to cudowne. Cieszę się, że robisz postępy. Masz ochotę mnie odwiedzić? Doskonale. Zapraszam cię na jutrzejszy wieczór, dziś bowiem mój gość musi wypocząć. Chcesz przyjść w towarzystwie Burta? Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem, że tym razem nie zjawi się u mnie w slipach zrobionych z tygrysiej skóry. Przypomnij mu, że u mnie po godzinie dziewiętnastej obowiązuje strój wieczorowy. Coś mi się zdaje, że Burt zapomniał, iż Tarzan był jednocześnie lordem Greystoke i od czasu do czasu nosił także frak lub smoking... Tak, mam gościa. Nie obawiaj się, to zupełnie nieszkodliwy maniak. Wyobraża sobie, że jest detektywem, specjalistą od złodziei dzieł sztuki, i nosi pseudonim Señor Cochecito. Prawdziwy Señor Cochecito odleciał dziś do Paryża, widziałem to na własne oczy. Nie rób jednak przykrości mojemu gościowi i traktuj go z całą powagą. W rzeczywistości jest Holendrem, ale udaje, że nie umie ani słowa po holendersku, natomiast świetnie włada angielskim, a także niemieckim, francuskim i polskim. Co, nie umiesz po polsku? Nie szkodzi. Rozmawiaj z nim po angielsku. Od czasu do czasu zwracaj się do niego per „señor Polacco”, a będzie tobą zachwycony. Widziałeś w naszej bibliotece rozmówki angielsko-polskie? Nie trudź się. Rodrigo, zapewniam cię, że on też nie zna polskiego...

Dawson skończył wreszcie tę absurdalną rozmowę.

Powiedziałem z oburzeniem:

— Nie rozumiem, Ralf, dlaczego przedstawiasz mnie jako wariata?

Dawson bezradnie rozłożył ręce:

— Znasz przysłowie: jeśli wszedłeś między wrony, musisz krakać jak i one. To jest, Tomaszu, sanatorium dla wariatów. A teraz idź na górę, weź prysznic i pozbądź się ciemnej farby z twarzy. W szafie znajdziesz garnitury. Jesteśmy tego samego wzrostu, więc któryś z nich będzie na ciebie pasował. Zaraz przywiozą obiad na dwie osoby, a do obiadu w moim

domu należy się przebrać. Wybierz strój elegancki, albowiem mam tu opinię człowieka, który ceni dobre maniery.

Bez słowa poszedłem na górę do małego apartamentu złożonego z sypialni, mikroskopijnego saloniku oraz luksusowej łazienki. Podeszedłem do mansardowego okna i ujrzałem nieprzebytą ścianę zieleni. I nagle — sam nie wiem czemu — poczułem się jak ktoś schwytyany w pułapkę. Jeśli Ralf Dawson skłamał mówiąc, że tylko jeden strażnik pilnuje bramy, w rzeczywistości zaś sanatorium jest znakomicie strzeżone, mogło to oznaczać tylko jedno, znalazłem się w luksusowym areszcie, zdany na łaskę i niełaskę człowieka, który z miłym uśmiechem na twarzy beztrąsko twierdził, że wysiadł z UFO, aby uratować Przyszłość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

TAJEMNICA HOLENDERSKIEGO PASZPORTU • ZAGADKA CZŁOWIEKA Z UFO •
JAK PODRÓŻUJĄ LUDZIE PRZYSZŁOŚCI • WYPRAWA W GŁĄB SIEBIE •
PRZYBYSZ Z DZIEWIĘĆ TYSIĘCY STO DZIEWIĄTEGO ROKU • HISTORIA
PRZYSZŁOŚCI • RÓWNOWAGA WSZECHŚWIATA • STRASZNA SIŁA „PSI” • JAK
POSZUKIWANO ZAGINIONEGO PRZEDMIOTU • OSTATNIA SZANSA

Obiad przywiózł nam na elektrycznym wózku milczący Indianin. Rozstawił dania na stole, skłonił się i odjechał również bez słowa. Najpierw jedliśmy zupę z rozgotowanymi kawałkami prosiaka, z mnóstwem jarzyn, kukurydzą i ryżem, przyprawioną ostrym sosem z aji, czegoś w rodzaju papryki. Na drugie otrzymaliśmy tamales — ugotowany ryż, wymieszany z grochem, cebulą, siekanym mięsem prosięcia i z wbitymi jajkami. Wszystko to zostało owinięte w liście bananowe i podgrzane. Potem jedliśmy lody o różnych smakach.

Po obiedzie usiedliśmy w fotelach, każdy z nas z filiżanką kawy w dłoni. Ja zapaliłem cygaro.

— Swoim sąsiadom powiedziałaś, że jestem Holendrem. Skąd wiesz, że mam holenderski paszport? — zapytałem.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem:

— Nie domyśliłaś się, że to ja kazałem ci go dostarczyć? Było trochę kłopotu ze zdobyciem twojego zdjęcia, ale recepcjonista w hotelu Hilton za odpowiednią opłatą zrobił odbitkę z fotografii w twoim prawdziwym paszporcie.

— Do licha, dlaczego uczyniłaś mnie akurat Holendrem? I po co mi fałszywy paszport?

— Ech, Tomaszu — westchnął Dawson z udanym ubolewaniem. — Zostałaś Holendrem, ponieważ najłatwiej było mi zdobyć paszport holenderski. W Kolumbii i w sąsiednich krajach bywa bardzo mało Polaków. Twój polski paszport musiałby siłą rzeczy wzbudzić zainteresowanie właścicieli hoteli, policjantów. A obecność Holendra nikogo tu nie dziwi i nie zastanawia. Poza tym miałem jeszcze jedną sprawę na względzie. Musiałem brać pod uwagę i taką ewentualność, że umykając z lotniska nie zechcesz skorzystać z mojej pomocy. Przewidywałem, że wówczas pod fałszywym nazwiskiem zameldujesz się w którymś z hoteli i zechcesz skontaktować się z panną Leticją Lucinante.

— Tak właśnie planowałem.

— A panna Leticia Lucinante — oświadczył z uśmiechem — przywiozłaby cię tutaj. Albowiem zarówno ona, jak i całe „Wiadomości Bogoty” są do mojej dyspozycji. W swoim czasie redakcja znalazła się w kłopotach finansowych, pomogłem im i stałem się udziałowcem wydawnictwa. W zamian za to jestem przez tę redakcję informowany w pierwszej kolejności o wszelkich interesujących mnie sprawach. Tak czy inaczej, Tomaszu, doszłoby wkrótce do naszego spotkania i naszej współpracy.

— Jesteś pewien, że będziemy razem szukać złodziei?

— Tak — odparł beztrąsko. — Nie masz innego wyjścia. Zrobiłem cię Holendrem, wkrótce uczynię wariatem. A ponieważ ja już jestem wariatem, podróż dwóch zwariowanych gringo nie wzbudzi większego zainteresowania. Dodam, że w Kolumbii wszystkich gringo uważa się za coś w rodzaju wariatów.

— Nie jesteś wariatem — stwierdziłem stanowczo.

— Słusznie — skinął głową. — Chciałbym jeszcze, abyś uwierzył, że jestem człowiekiem z Przyszłości.

Odstawiłem na stół nie dopitą kawę, zgasilem nie dopalone cygaro. Postanowiłem raz wreszcie wyjaśnić do końca sprawę Ralfa Dawsona. Wiedziałem, że jestem w jego rękach, zdany w pewnym sensie na jego łaskę i niełaskę — ale choćbym miał zrezygnować z poszukiwania złodziei, nie zamierzałem współpracować z człowiekiem, który prowadził ze mną podwójną grę.

— Powiedz mi, kim jesteś naprawdę.

Popatrzył na mnie z odrobiną smutku i zdziwienia w oczach, jak gdyby było mu przykro, że jednak mu nie ufam.

— Można mnie zranić, zadać ból, a nawet zabić — powiedział. — Tak, można mnie zabić, Tomaszu, podobnie jak każdego człowieka, który w tej chwili żyje na ziemi. Ale tym różnię się od innych, że będę wskrzeszony. Pewnego dnia wehikuł czasu przeniknie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty rok i zabierze mnie w Przyszłość takim, jakim mnie zostawił — bez żadnych ran na ciele, bez pamięci o tym, że zadano mi ból albo nawet śmierć. Wtedy wrócę w swój prawdziwy czas, to jest w trzysta siedemdziesiąty rok Ery Panowania Rozumu. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Wszystko. Powiedz mi o sobie wszystko. A także o Erze Panowania Rozumu — poprosiłem, bo raptem poczułem, że wierzę temu człowiekowi i otworzyła się przede mną cudowna szansa, aby poznać przyszłość ludzkości.

Otworzył oczy i przecząco pokręcił głową:

— Niewiele mam ci do wyjaśnienia. Bo jeśli nawet powiem ci wszystko tak, jak tego pragniesz, twoja wyobraźnia odrzuci moje słowa.

— Nie jestem głupcem, Ralf. Możesz mi wierzyć, mam dużą wyobraźnię — znowu obudziła się we mnie niepewność. Pomyślałem, że znalazł wybieg, aby się wykręcić od odpowiedzi.

Ale on chyba wiedział, co czuję. Kiwnął głową i rzekł:

— Tomaszu, zadaj mi konkretne pytanie o jakąś sprawę z Przyszłości, a przekonasz się, że moja odpowiedź będzie dla ciebie niezrozumiała, podobnie jak człowiekowi ze starożytnego Rzymu nie wytłumaczysz, co to jest samochód czy motocykl.

— No właśnie, jakimi środkami transportu się posługujecie wy, ludzie z trzy tysiące sto szóstego roku?

— Żadnymi, Tomaszu.

— Nie rozumiem...

— Nie odczuwamy potrzeby przemieszczania się w przestrzeni.

— Naprawdę, nie rozumiem. Każdy tkwi jak kamień?

— Nie. Jesteśmy bardzo ruchliwi, ale to nie znaczy, że poruszamy się w przestrzeni. Owszem, odbywamy bardzo długie i męczące podróże, przeważnie jednak do wewnątrz siebie, we własną wyobraźnię i we własne myśli.

— Wytłumacz mi to jaśniej.

— Nie potrafię, Tomaszu. Najpierw bowiem musiałbyś zrozumieć, że przeszło trzysta lat wcześniej, to jest na początku Ery Rozumu, ludzie pojęli, że dążenie do wolności w takim pojęciu, jakie istnieje w twoich czasach, jest bezużyteczne. Wolność zewnętrzna człowieka bywa ograniczona. Natomiast niczym nie ograniczona jest wolność wewnętrzna istoty ludzkiej. To, co nazywacie duszą ludzką lub psychiką, nie ma granic i poznawanie tego, co jest w nas i w innych ludziach, bywa niezwykle fascynujące. Tak więc staliśmy się istotami, które zrezygnowały z wolności zewnętrznej na rzecz nieskończonej wielkości wolności myśli, uczucia, wyobraźni i rozumu. Odbywamy cudowną wędrówkę w głąb swojej psychiki, przeżywając pełne przygód poznanie swego „ja”, swego „id”, swego „super-ja” oraz tego, o czym jeszcze nie wiecie, ale co tkwi w człowieku i nosi nazwę siły „psi”. Podróż w głąb siebie i najbliższej istoty potrafi być niezwykle dramatyczna, niekiedy nawet tragiczna i może skończyć się śmiercią myśli, wyobraźni, rozumu. W naszej jaźni czają się potwory, przepaście, pustynie bez wody, dżungle nie do przebycia. I to jest świat, który nas interesuje, Tomaszu.

— Czy mógłbyś to zrobić ze mną?

— Nie masz wydoskonalonej w sobie siły „psi”, która umożliwia taką wędrówkę. W moich czasach już od chwili narodzin człowieka owa siła „psi” zostaje w istocie ludzkiej stopniowo uruchamiana i udoskonalana. Jesteś człowiekiem, który większość swojej energii życiowej przeznaczasz na życie zewnętrzne. W moich czasach bywa przeciwnie. Większa część życiowej energii człowieka przeznaczona została na życie wewnętrzne, duchowe, a tylko małą jej część ofiarowujemy światu zewnętrznemu: pracy, produkowaniu żywności, zachowaniu gatunku, dalszemu rozwojowi techniki i cywilizacji.

— Nie ciekawi was kosmos i inne galaktyki?

Nie od razu odpowiedział. Najpierw przyglądał mi się długo i z ogromną uwagą, jak gdyby zastanawiając się, czy jestem choć trochę przygotowany na jego słowa. Aż wreszcie rzekł cicho:

— Okłamałem cię, Tomaszu. Uczyniłem to nie w złych zamiarach, ale po to, abyś stopniowo mógł przyjąć prawdę. Nie pochodzę z trzy tysiące sto szóstego roku wedle waszego kalendarza, lecz z dziewięć tysięcy sto dziewiątego. To jest z dziesiątego tysiąclecia.

Milczałem. Ta informacja tak mnie zaskoczyła, że nie mogłem wypowiedzieć słowa. Ogromna przestrzeń czasu, jaka dzieliła mnie i tego człowieka, stała się dla mojego umysłu wręcz niewyobrażalna. Jediną reakcją, na jaką potrafiłem się zdobyć, stała się myśl: on jest jednak wariatem. Przyzwyczajony do obcowania z zabytkami, które liczyły sobie po tysiąc, a nawet i dwa tysiące lat, byłem jakoś w stanie oswoić się z wyobrażeniem, że oto mam do czynienia z kimś o tysiąc lat starszym. Ale osiem tysiącleci dzielących mnie i Ralfa Dawsona, który wyglądał tak, jak każdy zwykły człowiek — nie, tego nie umiałem przyjąć bez wewnętrznego protestu. A on, chyba świadomy tego, co przeżywam, powiedział z niezmaconym spokojem:

— Niestety, tylko pobieżnie uczyłem się historii ludzkości. Wiem jednak, że droga, po jakiej poszła ludzkość w trzecim, czwartym i piątym tysiącleciu, a także później, przyniosła tylko ogromną klęskę. Aż dopiero trzysta siedemdziesiąt lat temu nastąpiła Era Rozumu. Pytałeś mnie o podróże w kosmos, o inne galaktyki. Z nauki historii wiadomo mi o tysiącleciu, w którym opanowała ludzkość mania podróży kosmicznych. Budowano coraz większe i coraz doskonalsze statki, odbywano setki lat liczące podróże do innych galaktyk. Trwał nieustanny wysiłek całej ludzkości, aby podróżować coraz szybciej i dalej. Niestety, okazało się, że wszechświat jest skończony, a zarazem nieskończony, że być może równoległe z naszym wszechświatem istnieją jeszcze inne wszechświaty. Odkryliśmy, że istnieje Nadprzestrzeń i Podprzestrzeń, jak gdyby Niebo i Piekło. Tak, można się tam dostać, Tomaszu, ale nikt nie chce tego uczynić, ponieważ istnieć w Nadprzestrzeni i Podprzestrzeni można tylko w postaci niematerialnej, to jest godząc się na własną śmierć bez możliwości powrotu do formy materialnej. Przekonaliśmy się ku swemu wielkiemu przerażeniu, że istoty ludzkie są samotne w kosmosie. Nie, nie myśl, że wszechświat jest pustynią bez żadnego życia. Ale życie stworzyło tak dziwnie ukształtowane istoty, że porozumienie z nimi bywa albo bardzo połowiczne, albo w ogóle niemożliwe. We wszechświecie panuje taka sama symbioza, jak w przyrodzie na ziemi. Żyjesz, Tomaszu, obok drzew, roślin, ptaków i zwierząt, a przecież nie prowadzisz z nimi ani wspólnych rozmów, ani zabaw, ani nie możecie wymienić własnych doświadczeń, zarazem jednak dla wszystkiego, co żywe na ziemi, potrzebna jest równowaga ekologiczna. Zniszczenie jednego gatunku pociąga za sobą zniszczenie innego gatunku. Podobnie jest we wszechświecie. Nie umiemy porozumieć się z innymi istotami, ale zarazem nie możemy żyć bez nich, jesteśmy od nich zależni, a one zależne są od nas. I tak jak nie wolno zachwiać równowagi ekologicznej na ziemi, tak samo nie wolno zachwiać swoistej równowagi we wszechświecie. Dlatego zgubne dla ludzi okazały się próby zasiedlenia innych galaktyk i po wielu katastrofach powróciliśmy ostatecznie na Ziemię, gdzie jest nasze miejsce. Owszem, wykorzystujemy niektóre planety jako źródła energii i surowców, lecz czynimy to bardzo ostrożnie. Na początku Ery Rozumu, zdziśniętowani i pokorni, wróciliśmy na Ziemię, aby tu zająć się poznawaniem samych siebie. Naczelna prawda, która wpajana jest obecnie każdemu człowiekowi, głosi: nie ma poznania świata bez poznania

samego siebie. Żyjemy nie na zewnątrz, ale do wewnątrz. Nie jestem w stanie wyjaśnić, co to jest tkwiąca w człowieku potężna siła „psi”, która stała się drogą do poznania samego siebie i innych ludzi. Czy uwierzysz, że już nie używamy elektryczności, chyba dla celów naukowych, i to w bardzo wyjątkowych wypadkach? Nie używamy też fal elektromagnetycznych, gdyż siła „psi” jest doskonała.

— Czy mógłbyś mi pokazać, jak działa siła „psi”? — rzuciłem pytanie, czując, że mam coraz większy zamęt w głowie. Moja wyobraźnia z największym trudem nadążała za słowami Dawsona.

— Nie mam w sobie pełnej siły „psi”, a tylko jej resztki — wyjaśnił. — Pozbawiono mnie jej, zanim przybyłem w twój wiek. Działanie siły „psi” jest bowiem zbyt mocne dla tych, którzy sami jej nie posiadają. W mojej obecności czułybyś się jak sparaliżowany, a gdybym dotknął cię ręką, zginąłbyś na miejscu, zostałbyś spopielony. W naszym tysiącleciu każdy człowiek posiada tę siłę, dlatego nie ma ona żadnych ujemnych skutków.

Zamęt w mej głowie stawał się coraz większy. Miałem wrażenie, że zaczynam tonąć w zalewającej mnie fali nowych pojęć i wyobrażeń.

On zaś mówił dalej:

— Gdybym był fizykiem lub chemikiem, astrofizykiem lub psychologiem, być może umiałbym ci powiedzieć coś więcej o sile „psi”. Lecz nasze społeczeństwo stokroć bardziej niż wasze składa się z ogromnej ilości specjalistów. Każdy zna tylko bardzo wąski zakres wiedzy.

— Rozumiem to — odparłem.

— Zostałem wykształcony na detektywa. Dlatego nie zadawaj mi pytań z dziedzin, na których się nie znam. Nie pytaj mnie więc o systemy filozoficzne obowiązujące w moim czasie, o dzieła sztuki, o problemy z zakresu medycyny lub fizyki, bo choć w szkole uczyłem się pobieżnie o wszystkim, wiele zapomniałem i mogę udzielić ci odpowiedzi bardzo ogólnikowej. Nawet nie rozumiem, na jakiej zasadzie przeniesiono mnie w twój czas i na jakiej zasadzie powrócę potem w Przyszłość. Wybrano mnie spośród tysięcy działających w naszym czasie detektywów i policjantów, poddano odpowiednim badaniom i odpowiedniemu szkoleniu. Moim zadaniem jest odnalezienie zagubionego przedmiotu, który wkrótce zacznie emanować śmiercionośną siłą. Pomyśl, między tysiąc dziewięćset ósmym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym rokiem — aż trzydzieści trzy wyprawy z Przyszłości, jednoosobowe i dwuosobowe, wyruszyły w twój wiek, aby ratować przyszłość ludzkości. Dzięki nim wiemy, że przedmiot ów spadł w górach Sierra Nevada i zniknął być może w jakiejś szczelinie skalnej, na dnie rzeki albo zarył się kilka centymetrów w glebę, przez co stał się niewidoczny. Wysłannicy Przyszłości wdzierali się więc na dzikie turnie skalne, brodzili przez bystre strumienie i przy pomocy specjalnych aparatów starali się zlokalizować miejsce, w którym on się znajduje. Nawiązali kontakty z handlarzami zabytków i rabusiami grobów. Wielu naszych wysłanników cierpiało głód i pragnienie, niejednen zginął śmiercią człowieka XX wieku. I to wszystko na nic, Tomaszu. Najprawdopodobniej przedmiot ów znalazł jakiś pastuch lub rolnik i sądząc, że jest ze złota, ukrył w domu jak najcudowniejszy skarb, nie zdradzając nikomu swej tajemnicy. Aż wreszcie sprzedał go któremuś z banków, gdzie znowu leżał długo w sejfie. Potem przedmiot trafił do Muzeum Złota. Ale i tu nie wystawiono go na widok publiczny, gdyż nie ma atrakcyjnego wyglądu. Spoczywał w magazynie muzeum, skąd

został skradziony. I teraz ja muszę go za wszelką cenę odebrać z rąk złodziei i zniszczyć. Chcę to jednak uczynić tak, aby nie naruszyć niczego w łańcuchu historii dzielącej Przeszłość od Przyszłości, dlatego musisz mi pomóc. Ty schwytasz złodziei i odzyskując zrabowane zabytki, otrzymasz satysfakcję, szacunek i sławę. Ja chcę tylko dostać ten mały przedmiot, który nawet nie jest zrobiony ze złota. Też stanę się sławny, ale ty o tym już nie będziesz wiedział, bo moja sława narodzi się za osiem tysięcy lat. Stoimy obydwoj przed wielką szansą, Tomaszu, i musimy ją wykorzystać.

— Tak — szepnąłem, czując, jak ogarnia mnie coraz większa senność. I choć chciałem zadać Ralfowi jeszcze bardzo wiele pytań, myśli mąciły mi się w głowie, plątały, traciłem powoli świadomość, kim jestem i gdzie się znajduję. Aż wreszcie ogarnęła mnie ciemność.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PRZEBUDZENIE • JESTEM ZNIECIERPLIWIONY • DZIWNE PRZYJĘCIE
TOWARZYSKIE • PRZYJACIELE CZŁOWIEKA Z UFO • POBYT WŚRÓD
SZALEŃCÓW • DON GABRIEL • KTO OKRADEŁ MUZEUM ZŁOTA? • TAJEMNICZA
WYSPA GANGU DON STEFANO • CO MOŻE ZDRADZIĆ CASANOVA • JAK
ZRODZIŁ SIĘ PLAN DZIAŁANIA • „LA PALOMA” • NAGŁE NIEBEZPIECZEŃSTWO •
BRÓŃ CZŁOWIEKA Z PRZYSZŁOŚCI

Spałem dwadzieścia cztery godziny. Sądzę, że był to sen wywołany hipnozą, w którym to, co usłyszałem wczoraj od Dawsona, miało się w moim umyśle utrwalić i zrodzić wiarę, że Ralf jest naprawdę człowiekiem z Przyszłości. Z takim bowiem uczuciem obudziłem się o wczesnym zmierzchu na tapczanie w mansardowym pokoju na piętrze, dokąd zapewne zaniósł mnie mój nowy przyjaciel.

Wstałem powoli i podszedłem do okna. Na parapecie znalazłem kartkę.

Drogi Tomaszu.

Jeśli obudziłeś się i czujesz się wypoczęty, wybierz sobie jeden z moich wieczorowych garniturów i zejdź na dół. Zapraszam cię na kolację, na której poznasz moich przyjaciół.

Ralf

Otworzyłem ścienną szafę, wybrałem czarne spodnie, białą marynarkę, śnieżnobiałą koszulę i białą muszkę. Przyglądając się sobie w lustrze łazienkowym stwierdziłem, że nigdy w życiu nie byłem tak wytwornie ubrany.

W radosnym nastroju otworzyłem drzwi swego pokoju i znalazłem się na schodach. Zszedłem po nich trochę po omacku, ponieważ na dole panował półmrok. Okna pokoju zostały szczelnie zasłonięte ciężkimi storami, tylko na kominku płonął ogień. W jego blasku dostrzegłem Ralfa Dawsona, który zdawał się drzemać w głębokim fotelu. Miał na sobie biały smoking i chyba czekał na zapowiedzianych gości. W zasięgu jego ręki znajdował się duży stolik zastawiony butelkami i talerzami pełnymi jakichś potraw. Stąpałem cicho, on jednak usłyszał moje kroki, otworzył oczy i obrzucił mnie przyjaznym spojrzeniem.

— Ralf — powiedziałem stanowczo. — Uwierzyłem ci i postanowiłem, że będziemy współpracownikami. Ale czy nie sądzisz, że szkoda czasu na przyjęcia towarzyskie? Powinniśmy zacząć działać, i to od razu. Natychmiast.

Uśmiechnął się i wskazał mi drugi fotel przy kominku.

— Masz rację. Powinniśmy działać. Rzecz jednak w tym, że jak do tej pory ani ty, ani ja nie wiemy, gdzie szukać złodziei.

Wyraziłem swoje zdziwienie:

— Jako detektyw z Przyszłości powinieneś wiedzieć więcej niż ja. Do licha, chyba w ciągu tylu tysięcy lat udoskonalily się metody śledztwa.

— Owszem. Są doskonalsze. Niestety, nawet przez osiem tysięcy lat ludzie nie stali się jasnowidzami. Nie mam pojęcia, gdzie szukać złodziei. I dlatego właśnie wydałem to przyjęcie.

To mówiąc, podniósł do góry rękę i zatoczył nią krąg obejmujący cały pokój.

To była dziwaczna wypowiedź. Wzruszyłem ramionami i chciałem zapytać, co naprawdę ma na myśli, ale przed drzwiami domu rozległy się tubalne głosy. Po chwili do mieszkania weszło dwóch wysokich, elegancko ubranych mężczyzn w średnim wieku. Podobnie jak Ralf nosili dobrze skrojone białe marynarki, jedwabne koszule i mieli starannie zawiązane krawaty. Jeden z nich był blondynem, a drugi brunetem. Natychmiast domyśliłem się, że brunet to Rodrigo de Cunillo, który sądził, że jest ptakiem, a blondyn — Burt Duncan, człowiek-małpa, czyli Tarzan. Prezentacja potwierdziła moje domysły. Ja oczywiście zostałem przedstawiony jako „señor Polacco”, słynny detektyw zwany Señor Cochecito.

Ralf wręczył każdemu wysoką szklankę z jakimś kolorowym trunkiem, a mnie i siebie uraczył sokiem grejpfrutowym. Do kominka przysunięto jeszcze dwa fotele i rozpoczęła się miła, towarzyska pogawędka.

— Mam nadzieję, señor Polacco — odezwał się Rodrigo de Cunillo — że zostanie pan u nas nieco dłużej. O ile wiem, doktor Alvarez dysponuje jednym wolnym domkiem, w którym przez kilka lat mieszkał znany arcyszpieg zwany Jamesem Bondem. Zmarł, biedaczysko, w ubiegłym miesiącu i pozostawił nas w nieutulonym żalu. Ech, cóż to była za wspaniała osobowość. Doktor Alvarez zainstalował mu na dachu specjalne anteny do nasłuchu i podsłuchu oraz trzy radiostacje. On podsłuchiwał nas wszystkich i nawet samego siebie. Jego domek jest teraz wolny wraz z całym szpiegowskim wyposażeniem. Panu, jako detektywowi, coś może się z tego wyposażenia przydać.

— Co ty mówisz, Rodrigo — zdumiał się Burt Duncan. — Señor Cochecito, jak pisały gazety, zamierza szukać tych, którzy włamali się do magazynów Muzeum Złota. Nie pozostanie więc wśród nas.

— No tak, rozumiem — westchnął Rodrigo. — A już miałem nadzieję, że będziemy mieli nowego sąsiada. Oczekiwanie, aż człowiekowi wyrosną pióra, jest niezwykle trudne. W miłym towarzystwie czas mija szybciej

Burt Duncan przerwał panu Rodrigo:

— Nie masz prawa narzekać na swój los. Zamień się ze mną i choć przez tydzień bądź Tarzanem, kołysz się na linach. Spróbuj też choć jedną noc spędzić w rozwidlonych konarach drzewa. Czy wiesz, jak wtedy gryzą komary?

— Najlepszą sytuację ma Ralf Dawson — oświadczył zdecydowanie Rodrigo. — Jest człowiekiem z UFO, który przybył tu z osiem tysięcy dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku...

— Z dziewięć tysięcy sto dziewiątego — poprawił Dawson.

— A tak, słusznie, bardzo cię przepraszam, Ralf, ale te daty ciągle mi się mylą. Faktem jest jednak, że tak naprawdę jedynie czytasz książki, gazety, słuchasz radia, oglądasz telewizję i od czasu do czasu wyskakujesz do Bogoty.

— Nie zapominaj, że powierzono mi bardzo poważne zadanie — stwierdził Ralf.

Rodrigo poklepał Ralfa po ramieniu.

— Teraz, gdy masz przy sobie słynnego detektywa, El Señora Cochecito, jestem spokojny o twoje zadanie.

Burt Duncan też mnie mocno poklepał po plecach.

— Pomoże pan Ralfowi, prawda? To miły sąsiad i prawdziwy dżentelmen. Nie zawiedzie pan jego zaufania, señor Polacco?

— Tak, tak, oczywiście — przytaknąłem gorliwie, bo chyba tak powinno się postępować w obecności wariatów.

Dawson chciał ponownie napełnić szklanki swych przyjaciół, ale przed domem rozległ się jakiś hałas, a potem gwałtownie otworzyły się drzwi i stanęło w nich dwóch Indian ubranych w stroje pielęgniarzy. W dłoniach trzymali pistolety maszynowe.

— Ręce do góry! — zażądał po hiszpańsku jeden z nich, co zrozumiałem na podstawie zachowania Ralfa, Burta i Rodriga. Posłusznie wstali z miejsc i podnieśli ręce do góry. Ja, oczywiście, uczyniłem to samo.

Wtedy do pokoju wtoczył się niski, okrągłutki, łysawy mężczyzna w eleganckim, szarym garniturze. Żwawym truchtem podbiegł do nas i każdego obmacał od kostek aż po pachy, sprawdzając, czy nie posiadamy przy sobie broni. Potem, kiedy okazało się, że jesteśmy bezbronni, gniewnym gestem odesłał Indian z pistoletami maszynowymi i jak gdyby nigdy nic, przysunął sobie fotel do kominka.

— Cześć, Ralf — oświadczył radośnie. — Cześć, Burt i Rodrigo. Słyszałem, że Ralf wydaje przyjęcie i postanowiłem wprosić się do was na drinka. Przepraszam was za trochę brutalne potraktowanie, lecz jak wiecie, nie potrafię wyzwolić się ze starych nawyków. A poza tym diabelnie nie lubię, gdy ktoś w moim towarzystwie posiada broń. Odkąd nabrałem poczucia, że jestem ze szkła, lękam się nie tylko broni palnej, lecz nawet każdego gwałtownego ruchu.

Wyobraźcie sobie, że znowu zwolniłem sprzątaczkę w swoim domku. Za bardzo wywijiała szcztoką i elektroluksem. Przestrzegałem ją: „Ostrożnie, kobieto, w ubiegłym tygodniu stłukłaś wazon. Czy chcesz ze mną zrobić podobnie?” Nie brała poważnie moich uwag i musiałem od doktora Alvareza zażądać nowej sprzątaczkii.

Ralf, Burt i Rodrigo chyba przywykli do dziwnego zachowania się tego jegomościa, bo gdy tylko wypędził sanitariuszy, natychmiast spokojnie zajęli miejsca w swoich fotelach i mieli takie miny, jak gdyby przed chwilą nie było tu ludzi z pistoletami maszynowymi.

— To jest don Gabriel — Ralf przedstawił mi tęgiego jegomościa. — „Ojciec Chrzestny” groźnej mafii z Palermo.

— Owszem, pochodzę z Palermo, ale nasza rodzina ma też swoją siedzibę w Chicago — jegomość uzupełnił informację Ralfa. — A pan jest tym słynnym detektywem, jeśli się nie mylę.

Wzruszyłem ramionami:

— Nie uważam się za słynnego detektywa.

— Co? — oburzył się don Gabriel. — Po cóż ta skromność, señor Polacco. Proszę pamiętać, że znajduje się pan wśród przyjaciół.

„I wariatów” — dodałem w myślach, wzdychając ciężko. Bo nie ulegało wątpliwości, że znalazłem się w rękach szaleńców. Moja wiara w Ralfa Dawsona została znowu zachwiana.

Tymczasem całe to wariackie towarzystwo doskonale się bawiło. Dawson raz po raz częstował gości jakimiś wyszukаныmi trunkami, zachęcał, aby jedli orzeszki ziemne i solone migdały. Wariaci zaś opowiadali sobie wariackie dowcipy, których nie słuchałem pogrążony w ponurym milczeniu. Potem zaczęli rozmawiać o włamaniu do Muzeum Złota.

— Dziennikarze wypisują głupstwa o całej tej sprawie — zdecydowanie oświadczył don Gabriel. — A to dlatego, że policja czuje się bezradna i nie ma pojęcia, gdzie szukać sprawcy. Nie wiedzą, że tutaj, w sanatorium doktora Alvareza, przebywa stary don Gabriel, który wie wszystko o każdym większym skoku. Oczywiście policji nie pisnąłbym ani słowa, ale gdyby się tu zjawił jakiś porządny prywatny detektyw...

— Przecież siedzi wśród nas słynny Señor Cochecito — przerwał mu Dawson.

Don Gabriel zerknął na mnie, uśmiechnął się, a potem rzekł:

— Racja, Ralf. Panu Cochecito wyjawię prawdę o włamywaczach, bo zapewne zajmie się ich schwytaniem. Czy tak? — zwrócił się do mnie.

— Rzeczywiście, chciałbym ich złapać — przytaknąłem przez grzeczność, choć ta wariacka rozmowa zaczynała mnie coraz bardziej irytować.

— W porządku — skinął głową don Gabriel. — Tak więc niech pan wie, señor Polacco, że włamania do muzeum dokonała rodzina don Stefano z Chicago. Kiedyś, podobnie jak i moja rodzina, zajmowali się kasynami gry w Las Vegas, z tego też powodu wchodziliśmy sobie w

drogę. Przed piętnastu laty doszło między nami do strzelaniny, w której rodzina don Stefano została rozgromiona. Wtedy don Stefano wycofał się na nowe pole działania — postanowił podporządkować sobie wszelkie kradzieże dzieł sztuki. Dziesięć lat pracował nad stworzeniem gangu złodziei i włamywaczy, specjalizujących się wyłącznie w okradaniu muzeów i prywatnych kolekcjonerów. Słyszałem, że gdzieś tam kupił czy wynajął specjalną wyspę, na której magazynuje dzieła sztuki kradzione na całym świecie i następnie po jakimś czasie odsprzedaje je z ogromnym zyskiem. Don Stefano był zawsze zwolennikiem nowoczesnych metod. Gdy wyczytałem w gazecie, że złodzieje posłużyli się laserem, od razu wiedziałem, kto się kryje za tą sprawą.

— A czy mógłby mi pan podać adres owego don Stefano? — zapytałem z ironią.

— Oczywiście. On mieszka w Chicago. Ale gdyby nawet udało się panu z nim pogawędzić, nie osiągnie pan celu. Musi pan poszukać owej wyspy, na której kryje swoje łupy. Mam stare porachunki z don Stefano, dlatego radzę panu, El Señor Cochecito: niech pan odnajdzie tę wyspę. Tam są nieprzebrane skarby.

— Ba — roześmiałem się. — Na świecie jest dużo wysp.

— To prawda — zgodził się ze mną don Gabriel. — Dlatego radzę schwytać któregoś z bliskich współpracowników don Stefano, przydusić go porządnie, a on wszystko wyśpiewa.

— Brzydzą się takimi metodami — oświadczyłem.

— Ja również — nieoczekiwanie przyszedł mi w sukurs Ralf Dawson.

Don Gabriel rozłożył swoje tłuste rączki:

— Jestem stary mafioso i nie znam innych metod na to, aby ktoś szeroko otworzył usta.

— Bywają inne sposoby — odezwał się Burt Duncan. — Zanim zostałem uznany za wariata i osiadłem w sanatorium doktora Alvareza, co, mówiąc nawiasem, uratowało mi życie, gdyż mój przyrodni brat tak bardzo pragnął wejść w posiadanie całego majątku, że raz po raz znajdowałem się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, otóż powiadam, zanim stałem się Tarzanem, miałem dość pieniędzy, aby swój dom przyozdabiać dziełami sztuki. Wyznaję, że nie zastanawiałem się, skąd pochodzą, i myślę, że cała kolekcja, jaką zebrałem, była z kradzieży. Owe dzieła sztuki kupowałem za pośrednictwem niejakiego don Casanovy, który ma luksusową willę w miejscowości Rodadero koło Santa Marta. Mam nadzieję, że pan wie, señor Polacco, gdzie znajduje się Rodadero?

Skinąłem głową. Na lotnisku i w hotelu rzucały się w oczy kolorowe afisze z napisami: „Zwiedzajcie Kolumbię, balkon z widokiem na dwa oceany, dwa tysiące sześćsetkilometrową plażę, w tym aż tysiąc sześćset kilometrów nad Morzem Karaibskim. W waszej wędrowce po Kolumbii koniecznie musicie odbyć podróż Expressem Słońca z Bogoty do Santa Marta. A tam odpocząć na cudownej plaży Rodadero, gdzie są nowoczesne hotele, słońce i radość oraz o kilka kilometrów dalej — śniegi Sierra Nevada, gór wysokich na pięć tysięcy osiemset metrów”.

— Jestem przekonany — ciągnął dalej Burt Duncan — że don Casanova pracuje dla jakiejś potężnej organizacji, zajmującej się handlem kradzionymi dziełami sztuki. Myślę, że poprzez

niego można trafić na ową wyspę. Tylko że Casanova należy do ludzi niezwykle nieufnych, nawiązuje kontakty wyłącznie z milionerami, którzy chcą ulokować pieniądze w dziełach sztuki, nie wnikając w ich pochodzenie.

Wtrąciłem:

— Nie jestem milionerem. Ten sposób więc raczej odpada...

Głos zabrał milczący dotąd Rodrigo de Cunillo:

— W basenie portu w Cartagenie stoi mój jacht motorowy. To jedyna rzecz, jaka mi jeszcze pozostała, ponieważ resztę majątku odziedziczonego po matce rozdrapały trzy moje żony. Ojciec zaś nie jest skłonny dać mi cokolwiek, gdyż i tak wpadnie to w ręce tych trzech niewiast. Opłaca więc mój pobyt w sanatorium doktora Alvareza i stara się dojść do porozumienia z kobietami, aby zostawiły mnie w spokoju. Rzecz w tym, drodzy panowie, że byłem młodzieńcem nierozważnym i ilekroć spodobała mi się jakaś kobieta, natychmiast się z nią żeniłem, nie dbając o to, czy z poprzednią żoną mam rozwód. W ten sposób uznany zostałem za bigamistę i niechybnie stanąłbym przed sądem, gdyby nie o władnęło mną nieprzeparowane uczucie, że jestem człowiekiem-ptakiem, który lada dzień wzniesie się w powietrze i będzie nieosiągalny dla swoich żon. Mój ukochany jacht oficjalnie utonął w Morzu Karaibskim podczas huraganu, nieoficjalnie zaś, przemalowany i ze zmienioną nieco nadbudówką, w każdej chwili oczekuje mnie w Cartagenie. Od czasu do czasu, gdy dostaję urlop od doktora Alvareza, lecę samolotem do Cartageny i pływam po morzu dla wypoczynku. Jeśli pan, El Señor Cohecito, nie ma nic przeciwko temu, bardzo chętnie wyrwę się z sanatorium choćby na dwa tygodnie i stanę przy sterze. Popłyniemy do Rodadero. Zaręczam panu, señor Polacco, że mój jacht jest tak okazały, że ów don Casanova nie będzie wątpił o wysokości sum znajdujących się na pańskim koncie bankowym.

Przecząco pokręciłem głową.

— Nie potrafię udawać milionera.

Odezwał się Ralf Dawson:

— To dobry pomysł, Rodrigo. A ty, Tomaszu, nie martw się o swoje miliony. Masz przecież paszport na nazwisko Thomasa van Hagena. Nie ciebie będą interesowały dzieła sztuki, ale panią van Hagen, twoją małżonkę.

— Nie jestem żonaty.

— Skąd wiesz? — zapytał Dawson. — Czy nie przyszło ci na myśl, że ów van Hagen jest być może człowiekiem żonatym?

— Nie jestem van Hagen — zawołałem.

Niestety, jedyną odpowiedzią na mój okrzyk był radosny rechot Gabriela i dwóch pozostałych przyjaciół Dawsona. Don Gabriel poklepał mnie dłonią po kolanie.

— Tak, tak, wiemy, że nawet nie umie pan słowa po holendersku. Naprawdę, proszę się nie denerwować, señor Polacco, znajduje się pan wśród przyjaciół.

Następnie don Gabriel oświadczył Dawsonowi:

— Czy wiesz, Ralf, że bardzo mi się podoba zabawa, którą zaproponował Rodrigo. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, ja także wezmę przepustkę od doktora Alvareza dla siebie oraz swoich pielęgniarzy i zaokrętuje się na wasz jacht. Pobyt w sanatorium już mi obrzydł i o niczym innym nie marzę, jak o jakiejś rozrywce. A czy może być coś bardziej zabawnego niż dokuczyć rodzinie don Stefano? W Stanach Zjednoczonych grozi mi proces o nie zapłacone podatki. To z powodu owego procesu zrodziło się we mnie przekonanie, że jestem kruchy jak ze szkła i narażony na stłuczenie. Zaświadczenie doktora Alvareza i pobyt w jego sanatorium chronią mnie przed procesem, ale myślę, że krótka wycieczka jachtem nie przysporzy mi kłopotów. Umieć świetnie gotować i mogę się zaokrętować jako kucharz, dwaj moi pielęgniarze będą marynarzami.

— A ja biorę na siebie rolę stewarda — przerwał mu Burt Duncan. — Zaręczam wam, że umiem bardzo ładnie podawać do stołu. Mój Boże, co to będzie za rozkosz choć przez tydzień lub dwa nie nocować w koronach drzew, nie huścić się na linach i nie wydawać z siebie straszliwego okrzyku Tarzana.

Ralf Dawson podniósł się z fotela i rzekł uroczyście:

— Przyjaciele! Pora kończyć nasze przyjęcie. Już jutro Rodrigo, Burt i don Gabriel wyjadą do Cartageny. Zaopatrzyście jacht w paliwo, żywność i będziecie tam na nas czekać. Mam tylko jedno pytanie: jak się ten jacht nazywa?

Rodrigo westchnął melancholijnie:

— Kiedyś nosił dumną nazwę „Wicher”. Obecnie zwie się skromnie: „La Paloma”, to znaczy gołębica, Señor Cochecito. Bo pan, zdaje się, nie zna hiszpańskiego.

— W porządku. Więc do zobaczenia na „La Paloma” — pożegnał swych gości Ralf Dawson.

Nie minęło pięć minut, a znowu pozostałem sam na sam z Dawsonem.

— To nie są wariaci, ale ludzie, którzy schronili się tutaj przed odpowiedzialnością prawną — powiedziałem do Ralfa.

— Czyżby? — udał zdumienie. — Sądziłem, Tomaszu, że od razu się tego domyśliłeś. Ostrzegam cię jednak, jeśli chcesz mieć w nich przyjaciół, musisz dalej traktować ich jak ludzi o chorych nerwach. Gdyby zauważyli, że są zdemaskowani, natychmiast staliby się twoimi wrogami.

— Ciebie zaś, oczywiście, muszę traktować jako człowieka z Przyszłości... — powiedziałem.

— Tak — skinął głową. — Bo jestem człowiekiem z Przyszłości. Bierzesz więc udział w bardzo dziwnej zabawie.

Wydało mi się, że słyszę akcent drwiny w głosie Dawsona. Zrozumiałem, że Ralf miał już od dawna przygotowany plan działania. Nieprzypadkowo ściągnął mnie do sanatorium Alvareza i nie było dziełem przypadku spotkanie wieczorne z gronem jego przyjaciół. On tylko

umiejętnie kierował rozmową, aby plan dotarcia do skarbów gangu wyniknął dla wszystkich niejako naturalnie i był naszym wspólnym dziełem.

W tym momencie zadzwonił telefon. Dawson podniósł słuchawkę i długi czas w milczeniu słuchał czyjegoś głosu. Następnie położył słuchawkę na widelki i powiedział do mnie z wyrzutem:

— Popełniłeś błąd, Tomaszu. Panna Florentyna wróciła dziś wieczorem z Paryża do Bogoty i wkrótce zapewne wpadnie w ręce tajniaków inspektora Esponozy. W tej chwili jest w hotelu Hilton i z niepokojem przyjęła informację, że nie zostawiłeś dla niej żadnej wiadomości.

— O Boże! — złapałem się za głowę. — Rozmowy z tobą tak mnie zaabsorbowały, że zapomniałem wysłać zaszyfrowaną depezę do Marczaka z poleceniem, aby Florentynę odesłano do Polski. Ona wróciła do Bogoty i być może za chwilę uda się do Esponozy, aby zapytać, co się ze mną stało. Zapewne myśli, że zostałem aresztowany albo grozi mi jakieś niebezpieczeństwo.

— Esponoza zaś przycisnie swoich ludzi — ciągnął moją myśl Dawson — i ci wyśpiewają, że wcale nie odleciałeś do Paryża. Przypomną sobie, że na dworcu lotniczym kręcił się człowiek w czapce z napisem „Sanatorium dr Alvareza”, na parkingu zaś stał samochód z tego sanatorium.

— Tak — skinąłem głową. — To sprytny policjant. Jestem pewien, że wkrótce będziemy go mieli na karku.

Dawson spojrział na zegarek. Po chwili energicznym krokiem skierował się w kąt swego pokoju, otworzył szafkę, w której zobaczyłem przedmiot przypominający aparat nadawczy. Włączył go, bo zabłyśło zielonkawe światełko, powiedział coś po hiszpańsku do niewidocznego mikrofonu. Następnie wrócił do mnie i znowu miał uśmiech na twarzy.

— Nie martw się, Tomaszu. Inspektor już cię tutaj nie zastanie. Jest jeszcze dość czasu na to, aby zabrała cię twoja żona, pani Teresa van Hagen. Na szczęście odnalazłem ją w Bogocie i wkrótce się tu pojawi. Zaufaj jej i wykonuj to, co ci poleci. Znajdziesz się z nią w bardzo dziwnym miejscu. Niestety, muszę tutaj czekać na Esponozę i nie będę mógł być z tobą. Ty zaś możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie. Dlatego weź ode mnie na ten czas coś, co cię uchroni przed kłopotami.

Z kąta, gdzie znajdowało się jego laboratorium, przyniósł malutkie, plastikowe pudełko i wręczył mi je, informując:

— Na wierzchu pudełeczka znajdziesz przycisk. W innym miejscu jest mały otwór. Jeśli ktoś lub coś będzie zagrażało twemu życiu, naceluj na to ów otwór i przyciśnij guzik na obudowie. Bądź jednak ostrożny i nie wykorzystuj tego aparatu bez wielkiej potrzeby. A teraz przebierz się w strój podróżny.

Gdy wahałem się, czy przyjąć ów dziwny przedmiot, ponieważ nie znałem skutków jego działania, a byłem człowiekiem, który brzydził się wszelką przemocą, Ralf dodał uspokajająco:

— Tą bronią nie zrobisz nikomu żadnej krzywdy. Kilkakrotnie mówiłem ci, że nie wolno mi dokonywać rzeczy nieodwracalnych.

Zerknął na przegub lewej ręki, gdzie miał zegarek, i uśmiech znikł z jego twarzy.

— Wyruszasz w daleką drogę. Narażam cię na trudy i niebezpieczeństwa, ale pamiętaj, jak wysoka jest stawka w tej grze.

W milczeniu przyjąłem od niego dziwne pudełeczko i posłusznie poszedłem do pokoju na piętrze, aby się przebrać w strój podróży.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

UCIECZKA Z SANATORIUM • MOJA ŻONA TERESA VAN HAGEN • KOBIETA Z PRZYSZŁOŚCI • LOT NAD GÓRAMI • ZAGADKOWA HACJENDA • SPOTKANIE Z GRZECHOTNIKIEM • TERESA RATUJE MI ŻYCIE • TAJEMNICA TERESY • CZY ODNAJDĘ ZAGINIONY PRZEDMIOT?

Przed bramą sanatorium w zupełnym mroku stał samochód z wygaszonymi światłami. Mimo ciemności rozpoznałem, że jest to ten sam wóz, którym przewieziono mnie z lotniska El Dorado. Zresztą ten sam kierowca — Murzyn w czapce szoferskiej — otworzył mi tylne drzwiczki i lekko popchnął do wnętrza wypełnionego zapachem egzotycznych perfum. Ciepła, drobna kobieca dłoń ujęła moją rękę i pomogła zająć miejsce w wygodnym fotelu. Twarz kobiety tylko szarżała w ciemnościach, rysów nie byłem w stanie rozeznąć.

— Jestem Teresa van Hagen, twoja żona, Tomaszu — usłyszałem po angielsku i poczułem na swym uchu ciepły oddech. Głos był miękki i miły. — Zdejmij z kolan swoją torbę i połóż ją przy nogach. Usiądź wygodnie, gdyż czeka nas daleka droga. Tej nocy jeszcze nie spałeś, a powinieneś być wypoczęty. Jeśli chcesz, dam ci pigułkę nasenną...

Samochód ruszył gwałtownie, wciąż bez zapalonych świateł. Za szybami rozciągał się gęsty mrok, kierowca jednak dobrze znał drogę i przez dłuższy czas jechał w ciemnościach. Dopiero na autostradzie włączył reflektory, ale Teresa van Hagen oddzieliła firanką tylne miejsca i nawet blask reflektorów nadjeżdżających z przeciwka samochodów nie był w stanie przeniknąć do małej klatki, w której się znalazłem. Nie widziałem więc twarzy owej Teresy i wyznam szczerze, nawet nie starałem się wyobrazić sobie, jak ona wygląda. Gdy usiadłem obok niej, raptem przypomniałem sobie to, o czym wspomniał Dawson; nie był jedynym człowiekiem z Przyszłości, szukającym zaginionego przedmiotu. Prawdopodobnie istotą z innego czasu była także Teresa van Hagen, siedząca obok mnie w samochodzie. Domyślałem się, że na pewno jest ładna, podobnie jak pięknym mężczyzną jest Ralf Dawson. Ale choćby nawet byli istotami z krwi i ciała, od chwili gdy uwierzyłem, że są ludźmi z Przyszłości, czułem między nimi i sobą jakąś obcość. Dzieliło nas kilka tysięcy lat — tej wiedzy nic nie było w stanie wyrzucić z mej świadomości. Ich ciała wydawały mi się tylko naturalnymi kostiumami, które kryły specjalnie szkolone umysły i dusze; myślałem o nich jako o doskonale skonstruowanych lalkach czy manekinach, udających, że są ludźmi z mojego czasu. Interesowali się mną i chcieli mojej przyjaźni, ponieważ byłem im potrzebny.

— Czy chcesz pigułkę nasenną? — powtórzył propozycję zniewalający głos kobiety.

— Dziękuję, nie używam pigułek nasennych — odrzekłem niechętnie, przejęty uczuciem obcości.

Usłyszałem ciche westchnienie:

— Mogłam się domyślić, że nie potrzebujesz środków nasennych. Przepraszam cię więc za tę propozycję. Staram się dobrze wypełnić swoje zadanie. Żona powinna troszczyć się o swego męża.

Nie chciało mi się rozmawiać z tą sztuczną istotą. Nie wypadało jednak zbyt wyraźnie okazywać jej niechęci. Dlatego odparłem:

— Nie wiem, jak powinna postępować dobra żona. Jestem kawalerem. Jak to się mówi: starym kawalerem.

— A ja już miałam trzech mężów — zaśmiała się głębokim, niemal niedosłyszalnym śmiechem. — Wciąż otrzymuję to samo zadanie: być żoną Thomasa van Hagena. Tylko jeden, ten pierwszy był prawdziwy.

Jej słowa nieoczekiwanie sprawiły mi przykrość, choć potwierdziły moje przypuszczenia. Tam, w odległej Przyszłości, chyba dość liczna grupa ludzi została wyszkolona do specjalnego zadania: odnalezienia zagubionego przedmiotu. Ilu ich spotkam na swej drodze? Dawson był istotą z krwi i kości, ale być może przysłano tu i takich, którzy są całkowicie sztucznymi tworem lub na wpół-ludźmi, czyli cyborgami. Kto wie, może i Teresa van Hagen jest tylko cyborgiem zaprogramowanym na odgrywanie roli dobrej żony dla kolejnego Thomasa van Hagena. Może jej głos słyszę z taśmy magnetofonowej, którą nagrała jakaś znakomita aktorka z Przyszłości, a jej ciało okaże się kopią współczesnej piękności z Bogoty czy Londynu.

Powiedziałem:

— Wierzę, że potrafisz być dobrą żoną, gdyż takie jest twoje zadanie. Ja również mam do wykonania ważną pracę. Dajmy więc spokój wzajemnym popisom naszych umiejętności. Wolę milczeć niż słuchać wyuczonej lekcji.

Nie od razu odpowiedziała. Nie wyczułem jednak urazy w jej głosie:

— Dobrze, Tomaszu. Powiedziałeś mi to samo, co mój trzeci mąż. Szkoda, że byłam tylko przez trzy dni jego żoną. Do dziś pamiętam, jak zginął w przepaściach gór Sierra Nevada. Zginął, aby uratować mi życie. Teraz żałuję, że nie zaprzyjaźniłam się z nim serdeczniej. Ale, podobnie jak ty, wciąż powtarzał, że przede wszystkim interesuje go jego praca.

Nie zaskoczyła mnie ta historia. Ralf Dawson wspominał, że wielu ludzi z Przyszłości przeszukiwało góry Kolumbii i niejednen z nich zapłacił za to życiem. Podobnie nie było nic zadziwiającego w opowieści Teresy van Hagen o jej trzech mężach. Zdążyłem poznać czujność policji kolumbijskiej oraz dociekliwość inspektora Esponozy. Osobnik z Przyszłości, który nie zostałby mocno osadzony w rzeczywistości kolumbijskiej, musiałby dość szybko zwrócić uwagę policji. Teresa van Hagen stanowiła w Kolumbii coś w rodzaju „rezydentki”

dla ekip z Przyszłości. Taką samą rolę zapewne odgrywał Dawson. Przybysze z Przyszłości wchodzili w czas teraźniejszy jako kolejni mężowie pani van Hagen, jej bracia lub siostry. Być może takich rezydentek lub rezydentów było więcej. W ten sposób dzięki komuś, kto już od dawna zamieszkiwał w Teraźniejszości, pojawił się w Kolumbii i Ralf Dawson. Pierwsi przybysze z Przyszłości robili jakieś finansowe interesy i pozostawiali dla innych zasobne konta bankowe, stworzyli dla swych następców autentyczne rodowody i życiorysy.

O tym rozmyślałem, a tymczasem samochód wciąż pędził w dal. Jak długo to trwało, nie miałem pojęcia, ponieważ ani razu nie zerknąłem na zegarek. Poczucie czasu mówiło mi jednak, że mniej więcej po godzinie jazdy skręciliśmy na dość wyboistą drogę, po której jechaliśmy już znacznie wolniej. W samochodzie było duszno, mocny zapach perfum odurzał mnie i czynił sennym. Wydaje mi się, że zasnąłem na krótką chwilę, ale chyba trwało to znacznie dłużej, ponieważ gdy ocknąłem się, był już świt.

Zatrzymaliśmy się. Teresa van Hagen natychmiast otworzyła boczne drzwiczki i wyszła, a do samochodu wtargnęło bardzo zimne powietrze. Aż zadygotałem od chłodu i także wyszedłem z wozu, aby się rozruszać. Znajdowaliśmy się w głębokim wąwozie otoczonym poszarpanymi szczytami górskimi. Niebo nad górami było już żółtawe od blasku wschodzącego słońca, ale tutaj, w głębokim wąwozie, wciąż jeszcze rozpościerał się szary mrok. Zarys stojącego o kilkanaście kroków śmigłowca był jednak widoczny — domyśliłem się, że tym środkiem transportu odbędziemy dalszą drogę. Czarnoskóry kierowca wyjął moją torbę z samochodu i postawił ją koło mnie.

Od strony śmigłowca nadeszła Teresa. Była już ubrana w futrzaną kurtkę, pilotkę, połowę jej twarzy zakrywały ogromne, lotnicze okulary. Podała mi taką samą pilotkę i ciepłą kurtkę, którą pośpiesznie przywdziałem, ponieważ zacząłem już dzwonić zębami z zimna. Teraz wóz z sanatorium doktora Alvareza zaczął zawracać na kamienistej drodze, biegnącej dnem wąwozu.

— Szybciej — Teresa dotknęła mojego ramienia i ruszyła pierwsza do śmigłowca.

Była to niewielka maszyna przeznaczona do długich tras, miała bowiem kabinę zabudowaną dodatkowymi zbiornikami na paliwo. Teresa zajęła miejsce za sterem, uruchomiła silnik. Okropny hałas wypełnił mi uszy. Dopiero gdy staranniej zawiązałem pod brodą pilotkę ze słuchawkami i mikrofonem, hałas stał się mniejszy.

Teresa przyleciała tu skądś, potem wyjechała po mnie sanatoryjnym samochodem, była więc wiele godzin w drodze, ale w jej ruchach nie zauważyłem oznak zmęczenia. „Tak, w Przyszłości szkolono ich w najróżniejszych dziedzinach — pomyślałem. — Mają zapewne niespożyte siły albo używają jakichś specjalnych pigułek, które usuwają zmęczenie”.

Zapytałem ją przez mikrofon, jak długo będziemy lecieć.

— Za kilka godzin znajdziemy się w domu — odpowiedziała.

Uśmiechnąłem się na myśl, że oto nieoczekiwanie mam żonę oraz jakiś nowy dom, zapewne obszerniejszy od mej ciasnej kawalerki na Starym Mieście w Warszawie. Wszystko, co mi się przydarzyło w Kolumbii, wydawało się takie dziwne, że gotów byłem niemal uwierzyć, że dom okaże się jakimś bajkowym pałacem zawieszonym w powietrzu. Czy potrafię żyć w tym pałacu? Raptem wspomniałem mego zwierzchnika, dyrektora Marczaka, wyobraziłem sobie

nasze spotkanie, moją opowieść o ludziach z Przyszłości. Marczak na pewno wysłucha mnie uważnie, a potem stukając się palcem w czoło powie: „Tomaszu, pan naprawdę zwariował”. A przecież byłem przy zdrowych zmysłach. Wystarczyło ścisnąć palce, by poczuć śliską skórę fotela w śmigłowcu. Za panoramiczną szybą widziałem poszarpane szczyty dzikich gór złożonych przez wschodzące słońce.

Nie potrafię opisać podróży. Była zbyt piękna, aby moje wrażenia mogły oddać słowa. Nad Kolumbią wstawał dzień, a my lecieliśmy coraz innymi nieckami krętych wąwozów, wciąż pośród wysokich gór. Co jakiś czas widziałem w dole rwące potoki, a niekiedy dość duże rzeki, zielone doliny z wioskami i miasteczkami o białych kościołach, obserwowałem górskie drogi i asfaltowe szosy. Później lecieliśmy nad równiną pociętą kanałami irygacyjnymi i oglądałem z wysoka rozległe plantacje kawy. Potem były ośnieżone góry i wąwozy podobne do głębokich przepaści, następnie niemal bezkresna połać bagien.

Podczas mego pobytu w Bogocie często zatrzymywałem się przed mapą Kolumbii, rozwieszoną w hallu hotelu Hilton. Upstrzono ją stylizowanymi obrazami, przedstawiającymi uroki przeróżnych miejscowości i zachęcającymi do ich odwiedzin. U dołu mapy, a więc na południu, obrazek przedstawiał wędkarzy i kilka egzotycznych ryb, napis zaś informował:

Selva Amazonica — lasy Amazonii. Nikt nie ma tyle wyobraźni i fantazji, aby je opisać. Lasy rozciągają się wokół rzek Meta, Putumayo, Caqueta i oczywiście nad Amazonką. Tu znajduje się najwięcej ryb akwariowych, które łowi się z zasadzki lub w wężerze. Na każdym kroku czeka cię przygoda, niewykluczone, że spotkasz straszliwego węża — anakondę.

Nieco powyżej reklamowano Park Archeologiczny w San Augustin, a trochę na prawo od niego — Llanos Orientales, czyli Wschodnie Równiny pełne bydła i szmaragdowych łąk, o których poeta z Wenezueli, Alberto Aurelo Torrealba, pisał:

Wystarczy, że spojrzysz na równinę, a twoje oczy stają się zielone i łagodnieją, przybierając kolor rzeczy, o których marzysz.

Na tej mapie był również zaznaczony obszar Wielkich Moczarów, czyli Cienanga Grandę. Napis głosił:

Mieszanina wód słonych ze słodkimi, ruchliwy targ ostryg, które wyławia się gołymi rękami wprost z wody.

Nie ulegało wątpliwości, że właśnie minęliśmy te bagna i poszybowaaliśmy w stronę ośnieżonego masywu gór Sierra Nevada, za którym rozlewało się Morze Karaibskie i dalej — Ocean Atlantycki. Mijała trzecia, czwarta, a potem piąta godzina lotu. „Czyżbyśmy kierowali się w stronę Valladupar?” — zastanawiałem się, bo tę miejscowość znajdującą się właśnie w tych okolicach zapamiętałem z mapy. W oczy rzucał się tam rysunek ogromnego jaguara. Napis ostrzegał, a zarazem zachęcał:

Jeśli spotkacie w lesie jaguara, to zatrzymajcie się, aby pozbierać swoje myśli. Jaguar rozciągnie się na ziemi, uszy postawi do góry i zacznie się w was wpatrywać, chcąc odgadnąć wasze zamiary... Macie trzy możliwości: zawrócić z drogi, nie prowokując jaguara; oddalić się, nie patrząc mu w oczy; albo też — odbezpieczyć broń. Nie należy jednak do przyjemności doświadczyć na własnej skórze skutków złego strzału i ataku zranionego

jaguara. Co wtedy począć? Uciekać? Po co? Przecież chyba macie jeszcze kule w waszych strzelbach?...

Uśmiechnąłem się pod nosem, myśląc o sztucznym stylu reklam propagujących piękno i egzotykę Kolumbii. Te napisy zupełnie nie oddawały uroków tego kraju, tak niezwykłego pod względem klimatu, ukształtowania terenu, wspaniałości krajobrazów. W Kolumbii każdy musiał popaść w zachwyty — historyk sztuki, archeolog, myśliwy, wędkarz, zbieracz rzadkich okazów fauny i flory egzotycznej. I poszukiwacz przygód. Prawdziwych i niebezpiecznych przygód w dzikich i niedostępnych górach lub w dżunglach i lasach Amazonki. Jaka szkoda, że ten cudowny kraj dane mi było poznać tylko z okna śmigłowca pilotowanego przez tajemniczą kobietę.

Zbliżało się południe, do kabiny od czasu do czasu zaglądało słońce. Kilkakrotnie obserwowałem twarz Teresy obramowaną pilotką. Stwierdziłem, że miała delikatną, białą cerę, ładnie zarysowaną, małą brodę i drobne, czerwone usta, które, w chwilach gdy niebezpiecznie zbliżaliśmy się do masywu jakiejś góry, zagryzała niemal do krwi. Jej nos był mały i kształtny. Oczu, niestety, nie widziałem, bo zasłaniały je okulary. Nie domyślałem się też, jakiego koloru ma włosy schowane pod pilotką. Ale czułem, że jest ładna i zgrabna, bo ludzie z Przyszłości nie przysłaliby tu żadnej brzyduli, wiedząc, że ładnej kobiecie jest o wiele łatwiej nawiązywać znajomości i uzyskiwać informacje.

Oglądałem widoki za szybą śmigłowca, ale niekiedy zatrzymywałem wzrok na dłoniach Teresy. To dziwne, lecz jej dłonie były spokojne, choć prowadziła śmigłowiec dość nerwowo. W przeciwieństwie do twarzy, ręce miała trochę opalone, mimo to wyraźnie dostrzegałem pod skórą niebieskie żyłki. „Jest żywą istotą, taką jak i ja, a jednak dzieli nas kilka tysięcy lat i zapewne ona myśli o mnie z odrobiną litości, jak o kimś, komu nie danym jest i nie będzie danym poznać uroków jej świata”. Zapewne i ja odnosiłbym się podobnie do kogoś sprzed pięciu tysięcy lat, do istoty być może sympatycznej, ale równie godnej współczucia, ponieważ nie zna uroków jazzu, jazdy samochodem, latania w powietrzu, udogodnień spowodowanych odkryciem działania pary wodnej i elektryczności.

„Kim jestem dla niej? — zastanawiałem się. — Nikim lub prawie nikim. Oni, ludzie z Przyszłości, mają do wykonania swoje zadanie, ja służę im jako narzędzie. Kiedy przy ich pomocy uczynię, co do mnie należy, znikną, co najwyżej powiedziawszy mi „dziękuję”. Może będą się starali być nawet dla mnie mili na tyle, abym się czuł z nimi dobrze. Ale tak naprawdę chyba nie traktują mnie jako równego sobie partnera”.

Rozumiałem uczucia, jakie zapewne miała wobec mnie Teresa van Hagen, zarazem jednak coś się we mnie przeciw nim buntowało. Chciałem zrobić coś takiego, żeby pojęła, że mimo dzielących nas tysiącleci, ja też jestem kimś ciekawym, inteligentnym, wrażliwym. I nie pragnę żadnego współczucia z tego powodu, że urodziłem się i żyję w innym czasie.

Tymczasem zbliżaliśmy się już do szczytów Sierra Nevada de Santa Marta, ogromnego łańcucha górskiego, porytego głębokimi rozpadlinami. Szczyty były nagie lub pokryte śniegiem, ale im niżej, tym bardziej stawały się zielone, porośnięte bujną, podzwrotnikową roślinnością. Z góry spływały liczne strumienie, raz po raz widziałem doliny, bezładne lub z małymi wioskami, zagubionymi wśród górskich bezdroży.

Nagle Teresa van Hagen zdjęła lewą rękę ze steru i wskazała w dół.

— To tam! — krzyknęła w moją stronę.

Ujrzałem górską dolinę, przeciętą dość szerokim strumieniem. W zieleni gęstej roślinności krył się duży, biały dom, pokryty glinianymi dachówkami koloru terakota. Dom stał samotnie, ale w pobliżu widziałem kilka zabudowań gospodarczych i jeszcze dwa budynki mieszkalne. Całość tej hacjendy, bo tak ją określiłem, ogradzał mur ułożony z płaskich głazów. Do bramy prowadziła kręta droga, biegnąca dnem wąwozu tuż nad brzegiem strumienia.

Śmigłowiec zniżył gwałtownie lot i na chwilę zawisł w powietrzu nad kwadratowym placem wyłożonym głazami. To było lądowisko usytuowane w pobliżu głównego budynku.

Usiedliśmy na ziemi bez wstrząsu, co świadczyło, że Teresa była jednak dobrym pilotem. Natychmiast wyłączyła silnik i cisza uderzyła mnie jak obuchem. Z domu spieszenie wybiegł ciemnoskóry, stary Indianin w białej koszuli, białych pantalonach i w słomkowym kapeluszu na głowie. Teresa otworzyła drzwiczki i zgrabnie zeskoczyła na ziemię. Powiedziała coś po hiszpańsku do owego Indianina, a potem nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę domu po ścieżce wysypanej tłuczonym kamieniem. Indianin wyciągnął do mnie rękę.

— Señor, proszę za mną — powiedział łamaną angielszczyzną. Następnie wziął moją torbę i począł ją samą dróżką, którą odeszła Teresa.

Dom był obszerny, dwupiętrowy, z białymi kolumnkami podpierającymi taras obrośnięty zielonym bluszczem. Otaczał go ogród, który robił wrażenie zaniedbanego, bujna roślinność niemal zupełnie zarosła prawie wszystkie ścieżki i alejki; jedynie droga z lotniska do domu była często używana. Z bliska i dom wyglądał, jakby nie miał gospodarza — w schodach były wyrwy, tu i ówdzie od ścian odpadł tynk. Farba na drzwiach łuszczyła się.

To samo wrażenie odniosłem wchodząc do wnętrza. Najpierw ujrzałem wielki i mroczny hall ze schodami na piętro. W hallu stały meble — szafy, stół, fotele, kiedyś chyba wytworne i drogie, obecnie jednak złaźła z nich politura, a przez rozdarte, skórzane obicia foteli zjadliwie wychylały się sprężyny. Indianin poprowadził mnie po starych, skrzypiących schodach, pokrytych wytartym chodnikiem, do korytarza na piętrze, otworzył drugie drzwi po prawej stronie i zaprosił do pokoju.

Był to kiedyś piękny pokój gościnny z eleganckim łóżkiem, rzeźbionym biureczkiem, wygodnymi fotelami i puszystym dywanem. Teraz dywan miał dziury, łóżko i biureczko zostały nadżarte przez jakieś owady, na fotelach leżały poduszki, które chroniły przed atakiem sprężyn. Żółte tapety były zupełnie wyblakłe.

Indianin położył moją torbę na biureczku i wyszedł, cicho zamykając drzwi. Nie wspomniał ani o śniadaniu, ani o obiedzie, a byłem już głodny. Pomyślałem z ironią: „Teresa przestała w naszym domu odgrywać rolę dobrej żony”.

Po chwili stwierdziłem, że na łóżku znajduje się czysta pościel, z pokojem sąsiaduje mała łazienka z niebieskimi kafelkami i staroświecką wanną. Wisiły tam czyste ręczniki i nowiutki szlafrok frotte. O dziwo, w tym zaniedbanym domu z jednego kurka leciała zimna, a z drugiego ciepła woda — zapewne na terenie hacjendy znajdował się generator elektryczny na olej opałowy. On to dostarczał prąd, wszędzie bowiem było światło elektryczne.

Pachnące mydełko zachęcało do kąpieli, napełniłem więc wannę ciepłą wodą i pozbyłem się uczucia zmęczenia, wywołanego nieprzespaną nocą i kilkoma godzinami lotu. Odświeżony, w miękkim szlafroku podszedłem do okna i paląc papierosa, długo i z przyjemnością patrzyłem na wspaniały widok gór Sierra Nevada, na zieleń podzwrotnikowych lasów oraz szarość skał poniżej białej czapy wiecznego śniegu.

— Jak się czujesz? — usłyszałem za plecami głos Teresy.

Odwrociłem się raptownie i aż zamrugałem powiekami, aby upewnić się, że nie ulegam złudzeniu. Znałem kilka pięknych dziewcząt, jak każdy mężczyzna ceniłem urodę wielu filmowych aktorek. Lecz oto w tej chwili stanąłem oko w oko z kobietą o jakiejś zniewalającej piękności, z istotą jak gdyby wyjętą z cudownego snu, z kimś, kto nie mógł chyba istnieć realnie, po prostu zszedł z kolorowego obrazka. Była to kobieta średniego wzrostu, szczupła, o długiej szyi i niedużej głowie. Bardzo jasna, naturalna blondynka z szarymi oczami w ciemnej oprawie długich rzęs. Włosy upinała w gruby węzeł tuż nad karkiem. Miała gładkie czoło, pociągłą twarz o cerze zaledwie różowej, usta, jak to już zauważyłem podczas lotu, drobne. I tak samo małe i dziecięce wydały mi się jej uszy, prześwitujące różowością jak morskie muszle. Tak na dobrą sprawę żaden szczegół twarzy Teresy nie był wybitnie ładny, dlatego opis nie odda urody owej kobiety. Całość jednak dawała wrażenie skończonej piękności. I jeszcze coś w niej było jak gdyby stworzone specjalnie dla mnie — chłodne spojrzenie szarych oczu, ani odrobiny kokieterii w ruchu głowy, ust, w postawie całego ciała. Nie reprezentowała urody renesansowej, której nie lubię, lecz zimną, wyniosłą urodę kobiet z obrazów gotyckich, jaką sobie najwyżej cenię. A gdy tak stała przede mną, miałem wrażenie, że w muzeum podziwiam nieznany obraz i że, podobnie jak od postaci na obrazie, dzieli mnie od niej wszystko — czas, materia, barwa, talent malarza. I choć osoba na płótnie wyglądała jak żywa, to jednocześnie pozostawała martwa, była jedynie malarskim wyobrażeniem postaci żyjącej kiedyś. Owa gotyckość nie obejmowała ubioru. Teresa nosiła niebieską, sportową koszulę, biało-błękitną jedwabną spódnicę rozszerzoną u dołu, białe pantofelki na wysokim obcasie.

— Jak się czujesz? — zapytała mnie ponownie, obojętna na wyrażony w mych oczach zachwyt.

— Jestem głodny.

— Obiad zjemy na dole — poinformowała mnie. — Przebierz się, a ja zaczekam na ciebie na korytarzu.

Ubrałem się w szary, podróżny garnitur Dawsona, a potem po skrzypiących schodach z podziurawionym chodnikiem zeszliśmy do dużej mrocznej sali, gdzie pod ścianą stał staroświecki, rzeźbiony kredens. Środek zajmował prostokątny stół chyba na dwadzieścia osób, bo tyleż naliczyłem przy nim krzesel z wysokimi oparciami. Przy kredensie, na którym były potrawy, zobaczyłem dwie młode Indianki w białych fartuchach. Na dwóch krańcach stołu rozstawiono dwa nakrycia. Usiedliśmy naprzeciw siebie. Dzieliły nas chyba trzy metry polerowanej powierzchni stołu z ciemnego orzecha.

Byłem głodny i jadłem szybko wszystko, co mi kładziono na talerz. Dobre wychowanie nakazywało zabawiać rozmową kobietę przy obiedzie, ale na próżno wysiłałem swój mózg: nie miałem pojęcia, o czym mówić z Teresą van Hagen. Choć nie, bardzo chciałem ją czymś poirytować, zmusić do przełamania obojętności, jaką mi okazywała.

— Ten dom jest bardzo zaniedbany, moja małżonko — odezwałem się do niej ironicznym tonem, kiedy podano na deser jakieś owoce podobne do bananów oblanych słodkim syropem.

Odparła z największą powagą:

— To nie tylko moja wina. Przecież nie było cię dwa lata, bo za przemyt szmaragdów do Ekwadoru siedziałeś w więzieniu. Trudno wymagać od kobiety, aby potrafiła utrzymać hacjendę w należyтым porządku, gdy brakuje przy jej boku mężczyzny.

Kawałek owocu utkwił mi w gardle i aż się zakrztusiłem. Teresa van Hagen powiedziała te słowa z taką naturalnością, jak gdybym rzeczywiście był jej mężem. Dla kogo były przeznaczone? Dla Indianek, które usługiwały przy stole? One chyba nie rozumiały po angielsku. A więc dla mnie w formie instrukcji, kim jestem i jak się powinienem zachowywać.

Byłem oburzony. Najpierw Dawson zrobił ze mnie wariata, a teraz ta kobieta wmawiała, że jestem przestępcą. Chciałem wyraźnie dać Teresie do zrozumienia, że podobna rola zupełnie mi nie odpowiada, jednak powstrzymałem się. Istniał przecież nadrzędny cel — odnalezienie skradzionych dzieł sztuki. Dzięki wizycie w sanatorium dla nerwowo chorych dowiedziałem się, na jakiej drodze szukać przestępców. Być może teraz zrobię krok dalej. Ale chyba mogłem sobie pozwolić na odrobinę złośliwości.

— O ile wiem, nie byłaś tutaj taka samotna...

— Czyżbyś był zazdrosny? — zaśmiała się sztucznie. — Owszem, odwiedzał mnie twój przyjaciel Ralf Dawson. Poza tym jakiś czas mieszkał tu twój brat, Erich van Hagen, oraz twój daleki kuzyn, doktor Miller. Ale przecież cię o tym informowałam i nie miałaś żadnych zastrzeżeń.

— A ten, który... zginął w górach?... — wyjąkałem zaskoczony faktem, że posiadam aż tylu krewnych.

Westchnęła i to westchnienie wydawało mi się szczere. Była chyba znakomitą aktorką albo też znakomicie wyszkolonym w Przyszłości detektywem.

— Rozumiem, że więzienie nie jest rajem — oświadczyła. — To i owo mogło wylecieć z twej pamięci i nerwy też masz nadszarpnięte. Po twoim aresztowaniu za radą Dawsona zmieniłam całą służbę, gdyż zachodziło podejrzenie, iż ktoś z niej był współpracownikiem policji. Wyszkoliłam tutejszych Indian ze szczepu Tairon i dla twego poczucia bezpieczeństwa informuję cię, że hacjendy strzegą dzień i noc dwa karabiny maszynowe. Ogrodzono ją też elektrycznym drutem. Gdy żeniłeś się ze mną, ostrzegałam cię, że chyba przynoszę nieszczęście. Wyśmiałeś mnie. Musisz jednak uważać na siebie, mój kochany...

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak pogróżka. Tej kobiety należało się chyba lękać.

— Proponuję kawę w bibliotece — podniosła się z krzesła.

Biblioteką nazywała sąsiadujące z jadalnią pomieszczenie z jedną tylko półką i kilkoma książkami, ale za to ze wspianiałym kominkiem i miękkimi klubowymi fotelami. Na ścianach

wisiał kilka sztucerów oraz pięć skór ogromnych jaguarów. Zajęliśmy miejsca w fotelach, jedna z Indianek podała nam kawę.

— Tego jednego ja sama zabiłam w ubiegłym roku — pochwaliła się Teresa, ruchem głowy wskazując największą skórę wiszącą za jej plecami.

To, że się pochwaliła, wydało mi się bardzo ludzkie. Nie przypuszczałem, że Oni bywają także trochę próżni.

Odpowiedziałem kpiąco:

— Użyłaś siły „psi” czy zabiłaś go strzałem ze sztucera?

Wzruszyła ramionami, jak gdyby mój żart wydał się jej niestosowny:

— Oczywiście, że użyłam sztucera. Tego z lunetą, który wisi po twojej prawej ręce na ścianie. Czy lubisz polować?

— Nie. Potrafię jednak posługiwać się bronią palną.

— To dobrze. Wybierz sobie któryś ze sztucerów i zabierz do swego pokoju. I w ogóle noś go przy sobie. Ostatnio rozmnożyły się tutaj jadowite węże. Wchodzą nawet do pokoi na piętrze. Tydzień temu zabiłam jednego na schodach.

Opanowałem wyraz wstrętu, który na myśl o węzach wpełzających mi pod kołdrę pojawił się na mojej twarzy.

Ona zaś dodała:

— Nasz dom jest rzeczywiście zaniedbany. W murach powstało wiele szczelin i pęknięć. To przez nie gady dostają się do wnętrza.

— W porządku. Wybiorę sobie jakąś broń — z udaną obojętnością skinąłem głową.

A ona nagle uśmiechnęła się do mnie i przez to stała się jeszcze piękniejsza.

— Szkoda, że nie mamy dla siebie czasu — powiedziała miękko. — Być może nauczyłabym cię polować i polubiłbyś to zajęcie. Niestety, już jutro rano poprowadzę cię w góry, bardzo wysoko i bardzo daleko.

Uśmiech nagle zniknął z jej twarzy. Posmutniała.

— Jeśli nie odnajdziemy zgubionego przedmiotu, znowu stracę kolejnego męża. Znowu będę sama w tym ponurym, zaniedbanym domu, wśród jadowitych węży i bandytów.

Dodała coś jeszcze, ale jej słowa zagłuszył warkot śmigłowca, który poderwał się z pobliskiego lądowiska i przeleciał nad domem, kierując się chyba na zachód.

— Czy i ja zginę w jakiejś przepaści górskiej? — zapytałem.

Nie chciała albo nie umiała dać mi odpowiedzi. Milczała długą chwilę, a wreszcie powiedziała z mocą:

— Musimy odnaleźć ten przedmiot. Tak, musimy tego dokonać za wszelką cenę.

I znowu zapadło między nami milczenie.

Po chwili Teresa wstała z fotela i stwierdziła:

— Powinieneś odpocząć. Połóż się trochę. Obudzę cię w porze kolacji.

Posłusznie podniosłem się z fotela, na chwilę stanąłem pod ścianą ze sztucerkami i wybrałem dla siebie broń belgijską, pięciostrzałową. Teresa wyjęła z kredensu paczkę nabojów i podała mi ją w milczeniu. Tak rozstaliśmy się — ja z bronią w ręku poszedłem do siebie na górę, a ona zniknęła w pomieszczeniu za biblioteką.

W pokoju na piętrze szeroko otworzyłem okno, bo odniosłem wrażenie, że czuję woń stęchlizny. Jakiś czas stałem przy oknie, usiłując dojrzeć tonące w mgłach i chmurach ośnieżone szczyty Sierra Nevada de Santa Marta. Potem poczułem senność, zasunąłem gęstą firankę podobną do moskitiery, rozebrałem się i położyłem w chłodnej pościeli.

Nie wiem, jak długo drzemałem. I nie wiem też, co mnie obudziło — może poczułem niebezpieczeństwo lub usłyszałem cichy szmer. Gdy otworzyłem oczy i podniosłem głowę znad poduszki, w czerwonym blasku zachodzącego słońca ujrzałem na parapecie okna poruszającego się wolno ogromnego grzechotnika z owych charakterystycznym zgrubieniem na ogonie. Wpełzł do mnie chyba po gzymsie z pobliskiego balkonu, odsunął firankę. Łóżko znajdowało się blisko okna — nie dalej niż metr od parapetu. Na moje uniesienie głowy grzechotnik także zareagował gwałtownym podniesieniem swego łba i sprężeniem całego ciała jak do skoku. Znieruchomiałem i on również na moment znieruchomiał wpatrując się we mnie. Wkrótce zaczął kołysać łbem w lewo i w prawo.

Po raz pierwszy w życiu odczułem, co to znaczy „zimny pot”. Po twarzy ciekły mi strużki potu, a zarazem było mi bardzo zimno. Wstręt i strach — te dwa uczucia wypełniały mnie bez reszty. Sztucer leżał o kilka metrów ode mnie na stole, wąż znajdował się o metr i w każdej chwili mógł dosięgnąć mej twarzy, co oznaczało pewną śmierć. Strach sparaliżował mnie, pozostałem z uniesioną głową, wpatrzony w oczy gada, który rozłożył się na parapecie i kiwał łbem. „Tylko spokojnie, spokojnie” — kołatało mi w głowie, czytałem bowiem kiedyś, że wąż nie ukąsi, jeśli nie poczuje się zagrożony. „Może uspokojony moim zachowaniem ułoży się i zaśnie” — zastanawiałem się, choć nic nie wskazywało na to, aby miał ochotę na sen. Przypęłzył tutaj, by zaspokoić głód, upolować mysz lub innego gryzonia, a pełno ich chyba żyło w tym chylącym się ku ruinie domostwie. Chciałem raptownie zerwać się z łóżka i po prostu czmychnąć z pokoju. Nie zdecydowałem się jednak na to, bo słyszałem również o niezwyklej szybkości jadowitych węży. Zimny pot spływał mi z policzków na szyję, chłód przenikał ciało, oczy śledziły kołyszący się wolno łeb grzechotnika. zdawało mi się, że to wszystko trwa niezwykle długo, choć być może miały tylko sekundy...

Raptem otworzyły się drzwi do mego pokoju i padł strzał. Gad podskoczył na parapecie i wtedy trafiła go druga kula, po której zwinął się i spadł na dół, do ogrodu. Pokój wypełnił zapach prochu i kłęb białego dymu, nie na tyle jednak gęsty, abym nie ujrzał Teresy van Hagen. To ona dwoma celnymi strzałami zabiła grzechotnika, ratując mi życie.

Usiadłem na łóżku i nie potrafiłem opanować drżenia rąk i kolan. Z trudem też wydobyłem słowa ze ściśniętej strachem krtani:

— Skąd?... Skąd wiedziałaś, że grozi mi śmierć?

Nieznacznie, jak gdyby ze zdziwieniem, wzruszyła ramionami:

— Wołałeś mnie przecież. Mówiłeś, że jesteś w niebezpieczeństwie — oświadczyła podchodząc do okna i zamykając je szczelnie, mimo że jeszcze mocno pachniało prochem. — Usłyszałam twój głos i przypomniałam sobie, że nie zakazałam ci otwierać okna. Nie poinformowałam cię, że tuż pod nim jest szeroki gzyms, łączący się z tarasem oplecionym lianami. Na tym tarasie lubią się wygrzewać grzechotniki.

Ta piękna kobieta o delikatnej urodzie i drobnych dłoniach uratowała mi życie, wykazując niezwykle opanowanie nerwów. Byłem jej niezmiernie wdzięczny. Ale jednocześnie słowa o tym, że słyszała mój krzyk przez ścianę domu, choć ja owego krzyku z gardła nie wydałem, zmroziły mnie. Powiedziałem więc krótko i sucho:

— Dziękuję ci, Tereso. Ocaliłaś mi życie.

— Spełniłam jedynie swój obowiązek. A teraz ubierz się i zejdź na dół na kolację — odpowiedziała Teresa i wyszła.

Spotkałem dziwną istotę — z wyglądu delikatną, jakby stworzoną do męskiej opieki i troski. Ale to przecież ona potrafiła prowadzić śmigłowiec i bez drgnienia ręki dwoma strzałami zabiła groźnego węża. Wykazywała cechy, których mógłby jej pozazdrościć każdy poszukiwacz przygód.

Ubrałem się i zszedłem do jadalni, gdzie przy zastawionym stole i zapalonych świecach czekała już Teresa. Służby nie było, ona sama częstowała mnie potrawami. Nie pamiętam jednak, co jadłem i piłem, ponieważ wciąż miałem w pamięci obraz kołyszącego się łba grzechotnika. Było mi wstyd, że gdy Teresa weszła do pokoju, leżałem sparaliżowany lękiem i obłany zimnym potem. Wiedziała o tym, skoro wyznała, że przybiegła słysząc moje wołanie o pomoc. W jaki sposób jednak moje uczucia i myśli mogły przeniknąć przez mury domu? — zapytałem siebie. I jedną tylko znajdowałem odpowiedź: Teresa potrafiła odbierać myśli oraz uczucia innego człowieka nawet przez mury.

Po kolacji znowu zaproponowała przejście do biblioteki. A gdy zająłem miejsce w wygodnym fotelu, postawiła na stole karafkę z winem i dwa kieliszki.

— Ralf mówił mi, że nie pijesz. Ale to jest bardzo słabe wino tutejszej roboty — wyjaśniła, rozlewając różowy płyn do kieliszków. A potem dodała wskazując półkę, na której znajdowało się kilka książek:

— Poinformowano mnie, że interesuje cię historia sztuki. Te książki mówią o sztuce plemienia Taironów. Zabierz je do swego pokoju i przejrzyj, bo tam, gdzie jutro powędrujemy, zetkniesz się z tymi sprawami. A swoją drogą to ciekawe zainteresowanie u detektywa. I może dlatego, że zachwyca cię piękno, wydajesz mi się trochę inny niż moi poprzedni mężowie.

— Znasz mnie za krótko, aby wydawać jakiegokolwiek opinie — zauważyłem.

Roześmiała się niezbyt głośno, ale serdecznie.

— Gdybyś poznał moich poprzednich mężów, przyznałbyś mi rację. Zresztą tak naprawdę miałam tylko jednego. Innych gościłam tu, tak jak ciebie. To byli dziwni ludzie. Jeden, na przykład, bardzo kochał zwierzęta i był niezwykle odważny. Kiedyś weszłam do jego pokoju, aby zaprosić go na kolację, i zobaczyłam wielkiego, zwiniętego w kłęb grzechotnika, który spał mu na brzuchu. Na mój widok gad podniósł łeb i zasyczał, chcąc się na mnie rzucić, ale on go wziął jak kawałek grubego sznura i wyrzucił przez okno. Gdy z nim szłam na spacer, biegły za nami konie z pastwiska, krowy, owce, myszy wylaziły z nor, tygrysy opuszczały swe legowiska. Na ludzi też miał podobny wpływ: wszystko, co żywe i na co spojrział, musiało go pokochać. To on właśnie zginął w górach, ratując mi życie.

— Czy możesz mi powiedzieć, Tereso, czym się tak naprawdę zajmujesz? Czemu tej posiadłości strzegą karabiny maszynowe i dlaczego ten dom jest taki zaniedbany? — zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

— Po cóż o niego dbać, skoro kiedyś w ogóle zniknie z powierzchni ziemi, aby żaden ślad nie pozostał po kontakcie Teraźniejszości z Przyszłością. A co do mnie, to znam się dość dobrze na szmaragdach. Skupuję je oraz znajduwane w górach zabytkowe przedmioty od rozmaitych, jak się tu ich nazywa, tesoros de los buscadores. Nie jest to zajęcie bezpieczne, ponieważ w Kolumbii działa sporo gangów robiących na tym interesy i walczących ze sobą. To w takiej walce zginął mój pierwszy mąż. Dlatego właśnie hacjendy, którą odwiedzają rozmaici podejrzani poszukiwacze, strzegą karabiny maszynowe, a służba jest uzbrojona po zęby. Zdarzały się bowiem napady ze strony rozmaitych konkurencyjnych grup handlarzy szmaragdami. Oczywiście skup jest tylko przykrywką dla kontrolowania tego, co zostaje znalezione w górach przez rozmaitych poszukiwaczy skarbów. Miałam nadzieję, że może któryś z nich pewnego dnia przyniesie mi do sprzedania ów zgubiony przedmiot z Przyszłości. Poza tym to jednak rzeczywiście dobry interes, a nam potrzebne są pieniądze. No i odpowiednia baza, gdzie ludzie z Przyszłości mogliby rozpoczynać życie w Teraźniejszości. Ty też tylko dzięki mnie otrzymałeś holenderski paszport i oficjalnie jesteś moim mężem, który powrócił z Ekwadoru po odsiedzeniu wyroku za przemyt szmaragdów.

— Czy takich baz macie dużo?

— Nie wiem, o to zapytaj Ralfa.

— Jak z tego wynika, przebywałeś w tej hacjendzie już wiele lat. Nie miałaś tu wesołego życia.

— To prawda — skinęła głową, a potem odrzuciwszy ją nieco do tyłu powiedziała cicho: — Wierz mi, Tomaszu, że czuję się bardzo samotna. Będę szczęśliwa, gdy wreszcie opuszczę to ponure miejsce. Może stanie się to dzięki tobie, jeśli odnajdziesz ów przedmiot.

Było tyle szczerego smutku w jej głosie, robiła wrażenie tak bezbronnej i oczekującej dobrego słowa, że zapragnąłem ją pocieszyć. Wstałem z fotela, podszedłem do niej i pogłaskałem ją po włosach.

Nie zareagowała na to niechęcią. Otworzyła oczy i rzekła prosząco:

— Nie chcę, abyś był dla mnie zbyt miły. W każdym razie nie teraz, gdy mamy przed sobą tak poważne zadanie. Polubiłam cię od pierwszego wejrzenia i nawet sama nie wiem dlaczego. Gdy wykonamy swoje zadanie, czeka nas piękna przyszłość! A teraz idź do siebie i połóż się. Jutro wyruszamy w drogę.

Odszedłem bez słowa, zabierając z sobą książkę o Taironach. Dopiero w swoim pokoju zacząłem zastanawiać się nad jej słowami. Co miała na myśli mówiąc o przyszłości? Czy powiedziała to tak, jak mówiły kobiety, które spotykałem w swoim dotychczasowym życiu i które się mną interesowały? Czy też chodziło o Przyszłość bardzo daleką, tę, z jakiej ona przybyła. Może nie miała pojęcia, że jestem człowiekiem z Teraźniejszości, i widziała we mnie jednego ze „swoich”, także człowieka z Przyszłości?

„Jutro postaram się tę sprawę ostatecznie wyjaśnić” — zdecydowałem, zabierając się do lektury książki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NA SPALONYM SŁOŃCEM PUSTKOWIU • POROZUMIENIE NA ODLEGŁOŚĆ • KIM JEST ROBIN? • ISTOTA, KTÓRA NIE MA POSTACI • JESZCZE JEDNA ZAGADKA PRZYSZŁOŚCI • KTO TO JEST OOX? • MAŻ I ŻONA • SPOTKANIE Z JAGUAREM • HISTORIA TERESY • DIABELSKA DOLINA • POZNAJĘ ROBINA

Wędrowaliśmy z Teresą przez skaliste pustkowie, na którym tylko gdzieniegdzie sterczały wysokie kaktusy kandelabrowe. Potem, nieco wyżej, natrafiliśmy na połacie gęstych, kolczastych krzewów; przedostać się przez nie wydawało się niepodobieństwem, toteż omijaliśmy je, ale zabierało nam to sporo czasu. Teren wznosił się wciąż wyżej i wyżej, paliło mocne lipcowe słońce i oczy zmęczone jego blaskiem z przyjemnością zatrzymywały się na rozciągających się w dali zielonych stokach gór Sierra Nevada. Radością napawała nas myśl, że wkrótce wejdziemy w dżunglę, w cień wielkich drzew oplatanych lianami. Wysokie na sześć tysięcy metrów szczyty tonęły w mgłach i chmurach, gdzieś u wierzchołków dwóch najpotężniejszych gór Kolumbii — Bolivar i Pico Colon — było zapewne chłodno i wilgotno, może nawet padał deszcz. Owe mgły i krople dżdżu wydawały się znajdować niemal w zasięgu ręki, lecz przecież były daleko i tym bardziej przykro odczuwało się spiekotę. Nad naszymi głowami krążyły sępy. Towarzyszyły nam w wędrówce przez kamienistą pustynię, jakby oczekiwały, że padniemy z pragnienia i wycieńczenia, zanim uda się nam natrafić na strumyk lub zanim dosięgniemy zbawczego cienia rozpoczynającej się dżungli.

Nie byłem przyzwyczajony do długich, pieszych wędrówek. Ciężył mi plecak, w którym niosłem namiot (Teresa miała w swoim plecaku dwa śpiwory). Wysokie buty, które otrzymałem na tę drogę, były z bardzo miękkiej skóry i dobrze dopasowane, lecz przecież założyłem je pierwszy raz i jeszcze się do nich nie przyzwyczailem. Szczególnie uciskały mi

palce lewej nogi, tak że po dwóch godzinach marszu zacząłem kuleć. W upalnym słońcu mój szerokoskrzydły kapelusz typu stetson ciążył mi na głowie jak hełm średniowiecznemu rycerzowi, raz po raz zdejmowałem go i chusteczką ocierałem pot z czoła. Chusteczka stała się wkrótce tak mokra, że można ją było wyżymać. Ramię bolało od pasa sztucera, o biodro boleśnie ocierał się ciężki pas z nabojami. Ale nie skarżyłem się, gdyż Teresa — ubrana w męski strój i tak samo objuczona sztucерem, plecakiem i pasem z nabojami — szła z ogromną swobodą i lekkością, jak gdyby spacerowała po cieniście parku. No cóż, prawdopodobnie dość często wędrowała tą drogą i zdołała się już przyzwyczaić do trudów podobnego marszu. Nie chciałem, aby pomyślała, że jestem mięczakiem, tym bardziej że, jak to wywnioskowałem z wieczornej rozmowy, imponowali jej mężczyźni odważni i twardzi. Nie skarżyłem się więc i nie prosiłem o postój, choć coraz bardziej kulałem. Zauważyła to i powiedziała pocieszająco:

— Wkrótce przetnie nam drogę strumień. Przy nim odpoczniemy jakiś czas.

Nie minęło piętnaście minut, a dżungla na stokach gór znacznie się przybliżyła, na kamienistej i porośniętej tylko kaktusami pustyni zaczęły pokazywać się kępy zielonych krzewów. Zauważyłem, że Teresa dość często spogląda na zegarek, jakby była z kimś umówiona albo w jakimś miejscu miała się znaleźć w oznaczonym terminie. I wreszcie zatrzymaliśmy się na skraju niewielkiej dolinki, do której spływał z gór rwący potok, tworząc na jej dnie nieduże jeziorko. Na brzegach rosły grube, cieniste drzewa, a między z rzadka rozrzuconymi głazami puszyła się wysoka trawa.

Teresa zrzuciła plecak, co znaczyło, że właśnie to miejsce wybrała na odpoczynek. Trudno opisać uczucie ulgi, z jakim i ja pozbyłem się plecaka i szerokoskrzydłego kapelusza, zzułem buty i zmęczone stopy zanurzyłem w chłodnej wodzie. Pomyślałem o kąpielu, ale zaraz odrzuciłem ten projekt, ponieważ nie miałem kąpielówek. Tymczasem Teresa zaczęła wypakowywać swój plecak. Miałem nadzieję, iż wyjmie kuchenkę, garnki i konserwy, bo była już pora obiadu, ale ona usiadła na trawie w pozycji lotosu, na kolanach położyła sobie blok rysunkowy, w prawą rękę wzięła długopis i przymknąwszy oczy, znieruchomiała na długą chwilę. Ktoś inny na moim miejscu zapewne zacząłby ją pytać, czemu tak właśnie się zachowuje, po co wzięła ów blok do pisania i długopis. Ja zdawałem sobie sprawę, że mam do czynienia z kobietą z Przyszłości. Nie mogłem się spodziewać odpowiedzi na swoje pytania, a jeśli bym je nawet otrzymał, to, jak zapowiedział Dawson, i tak niewiele bym pojął.

Tymczasem to, co nastąpiło, przypomniało mi kiedyś oglądany krótkometrażowy film o wprowadzeniu się w tak zwaną autohipnozę. Teresa po prostu jakby zasnęła. A potem jej prawa ręka zaopatrzona w długopis zaczęła coś wolno pisać na bloku rysunkowym. Wydawało mi się, że obserwuję sen telepatyczny, także kiedyś pokazywany w telewizji. A więc ludzie z Przyszłości opanowali chyba świetnie zjawisko telepatii i posługiwali się nią w życiu codziennym.

Minęło kilka minut, ręka Teresy raptem opadła bezwładnie, a ona sama otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Miałam łączność z Ralfem — wyjaśniła przeprasza jąco, jakby usprawiedliwiała się, że nie uprzedziła mnie o tym.

A potem przeczytała głośno to, co napisała na karcie bloku:

„Wszystko rozwija się pomyślnie. Robin jest uprzedzony o waszym przyjeździe i czeka na was przyjaźnie”.

— Kto to jest Robin? — zapytałem.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem:

— Nigdy nie miałeś swego Robina? Nie zaprzyjaźniłeś się z żadnym?

— Nie. Skąd ci coś takiego przyszło do głowy?

— Ach, tak — przypomniała coś sobie i uśmiechnęła się wyrozumiale. — Zapewne należysz do osobników typu OOX. No, dobrze, powiem ci o Robinie. On byłby bardzo dumny, gdyby dowiedział się, że mówisz o nim „ktoś”. Bo zazwyczaj uważany jest za „coś”.

— To jakiś myślący robot?

— Żywa istota, tylko że nie jest człowiekiem.

— Cóż to jest?

Roześmiała się.

— Nie wymagaj ode mnie, żebym go opisała, bo tego zrobić nie zdołam. Myślę, że nikt tego uczynić nie potrafi, także i ty, gdy go poznasz. Ralf mi mówił, że dziesiątki uczonych poświęciło wiele lat pracy, aby pojąć istotę Robina, ale nikomu się to, tak naprawdę, nie udało.

— Cóż to za licho? — zawołałem zaintrygowany.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. To po prostu jedyna istota w całym kosmosie, która polubiła człowieka. W świecie Przyszłości są rezerwaty, gdzie żyją psy, koty i inne zwierzęta. Najbardziej jednak kochane przez wszystkich są właśnie istoty takie jak Robin. Każdy człowiek marzy o tym, żeby mieć swego Robina za przyjaciela, ale one nie są skore do zawierania przyjaźni, o byle co się obrażają i odchodzą do innych. Nikt zresztą nie może mieć Robina na własność. To Robin sam sobie wybiera pana i go słucha. A jeśli kogoś pokocha, to jest mu bardzo oddany. Ludzie w Przyszłości tak kochają swoje Robiny, że gdy któryś umrze, stawiają mu pomnik i płaczą jak po kimś najbliższym. Robin wybrał sobie Ralfa i gdy Ralf przeniósł się w inny czas, musiano i jego razem z nim przenieść, bo inaczej umarłby z żalu.

— Ralf przekazał informacje, że Robin czeka na nas nastawiony przyjaźnie? Czy to znaczy, że on może być groźny?

Westchnęła jak ktoś dorosły, kto rozmawia z dzieckiem zadającym bezsensowne pytania.

— Sam się przekonasz. Potrafi być groźniejszy od pułku żołnierzy. I to nie dlatego, że ma kły i pazury, ale właśnie dlatego, że nie ma w ogóle żadnej postaci.

— Co przez to rozumiesz? Jest niewidzialny?

— Nie. Ale każdy człowiek widzi go inaczej. On przybiera kształt miły lub straszny, w zależności od tego, co w twojej podświadomości tkwi jako miłe lub straszne. Jeśli chce cię zaatakować, a ty w dzieciństwie, na przykład, bałeś się ciemności, nagle pojawi się jako ciemność. Jeśli bałeś się lwa, on będzie lwem. Rozumiesz?

— Tak.

— A jeśli cię polubi, ujrzysz go w takiej postaci, jaką najbardziej ukochałeś i za jaką podświadomie najbardziej tęsknisz.

— Czy on rozumie ludzką mowę?

— Owszem. Ludzie jednak nie potrafią pojąć jego mowy. Musieli skonstruować specjalny aparat ze słuchawkami do przekładania wydawanych przez niego dźwięków na słowa. Sprawa jest o tyle skomplikowana, że gdy, na przykład, przybierze postać lwa, to ryczy jak lew, ale nie jest to jego prawdziwa mowa. Porozumiewa się naprawdę jedynie przy pomocy ultradźwięków, których ucho ludzkie bez specjalnego aparatu nie jest w stanie wychwycić.

Zastanowiłem się, pod jaką postacią pokaże mi się ów Robin. Skoro został do mnie nastawiony przyjaźnie, powinienem zobaczyć kogoś lub coś, za czym podświadomie bardzo tęsknię. Nie umiałem jednak odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo, jak mi się wydawało, tęskniłem za wieloma ludźmi i kochałem wiele spraw.

— Na jakim są poziomie umysłowym?

— Nie wiem. Pod niektórymi względami okazują wyższą inteligencję niż człowiek, pod innymi wydają się niemal zupełnie pozbawione inteligencji. Na przykład nie są zdolne do twórczej pracy, nie potrafią niczego wymyślić, niczego stworzyć, nie potrzebują dzieł sztuki, nie uznają żadnych tabu, stąd uznano je za gatunek wysoko rozwiniętych zwierząt.

Spojrzała na zegarek i zaczęła zbierać się do dalszej drogi. Rad nierad, wyjąłem stopy z jeziorka i osuszywszy je, wciągnąłem skarpetki i wysokie buty.

— Wyjaśnij mi jeszcze, kto to jest osobnik OOX? — zagadnąłem ją jak gdyby od niechcienia, choć bardzo mi zależało na odpowiedzi.

— Zwróć się z tym pytaniem do Ralfa — odrzekła niechętnie. — Coś mi się zdaje, że powiedziałam o jedno słowo za dużo.

— A jednak chciałbym wiedzieć, kto to jest OOX — oświadczyłem stanowczo.

— Nic z tego. I nie roztrząsajmy tej kwestii. Czekają nas jeszcze spory szmat drogi.

Założyłem już plecak, a w rękę trzymałem sztucer. Ale z powrotem usiadłem na trawie, zdejmując plecak i odkładając broń.

— Nigdzie nie pójde, mam dosyć tych ciągłych tajemnic. Jeśli chcecie, abym pomógł Ralfowi w odnalezieniu kryjówki złodziei, muszę znać prawdę. Pragnę wiedzieć, dlaczego uważasz mnie za typ OOX i co to znaczy?

Wzruszyła ramionami.

— Nie zachowuj się jak dziecko. Jestem twoją żoną, a nie mamką. Mam do wykonania zadanie i nie przeszkadzaj mi w tym. Ty też masz swoje zadanie.

To mówiąc ruszyła przed siebie. Zaczęła wspinać się po stromym zboczu w kierunku skraju niedalekiej już dżungli. Tymczasem ja rozsiadłem się wygodniej i zapaliłem papierosa. Następnie podłożyłem sobie plecak pod głowę i wyciągnąłem się jak długi na trawie.

Wróciła po piętnastu minutach. Była bardzo zła.

— Co to ma znaczyć? — zapytała ostro.

— Jesteś złą żoną, Tereso — oświadczyłem, zapalając drugiego papierosa. — Twój mąż jest zmęczony, a ty go gnasz po górach. Chce mu się jeść, a ty go nie karmisz. Bolą go nogi, a ty nawet się tym nie interesujesz. A poza tym, czy przykładowa żona ma tajemnice przed mężem? Być może jestem mężczyzną staroświeckim, zbyt długo żyłem bowiem w kawalerskim stanie. Niestety, mam staroświecki ideał żony.

— Przestań się wygłupiać, Tomaszu — aż nogą tupnęła ze złości. — Czy wiesz, że i tak idziemy za wolno i prawdopodobnie będziemy zmuszeni nocować w dżungli?

— Przekaż Ralfowi informację, że jestem z ciebie bardzo niezadowolony i nie zamierzam iść dalej. Chcę wrócić do hacjendy, a potem proszę mnie odstawić do Bogoty.

— To niemożliwe. Naprawdę przestań żartować... — tym razem jej głos nabrał akcentów prośby.

— Jestem głodny.

Bezradnie rozłożyła ręce.

— Nie wzięłam jedzenia. Nie poinformowałeś mnie, że nie potrafisz się obywać bez jedzenia, choćby przez kilka dni.

— Co? — aż usiadłem na ziemi. — Chcesz mnie zagłodzić? Już po jednym dniu głodówki kręci mi się w głowie.

Tym razem na jej twarzy pojawił się wyraz szczerego zmartwienia.

— Wybacz mi, ale o tym nie wiedziałam. Jutro już coś zjemy, tam w górach, na miejscu. Na drogę wzięłam tylko kilka kawałków kaktusa, które pomagają zapomnieć o głodzie i dodadzą ci sił.

— Nie jestem roślinożerny — burknąłem. — A noga? Widziałaś moje obolałe palce?

— Pokaż mi je — zaproponowała.

Znowu zdjąłem buty i skarpetki, pokazałem otarte ze skóry palce stóp. Wtedy ona sięgnęła do swego plecaka po jakiś liść, wycisnęła z niego sok na obolałe miejsce i natychmiast poczułem ulgę. Sok zastygł na otartym naskórku i stworzył dobrą warstwę izolacyjną. Gdy znowu wzułem buty, już nie czułem bólu palców.

— Dziękuję ci — powiedziałem. — A teraz poczęstuj mnie jednak kawałkiem owego zaczarowanego kaktusa.

Nie miał jakiegoś wyraźnego smaku, tylko odrobinę piekł w ustach. Wkrótce poczułem jednak przyływ sił i przestałem myśleć o głodzie. Tym niemniej w dalszą drogę ruszyć nie chciałem.

— Coś mi się zdaje, że wczoraj cię przechwalałam — westchnęła. — Jesteś może najsympatyczniejszy, ale i najbardziej kłopotliwy z moich mężów. Tylko jedno cię usprawiedliwia: masz dopiero pierwszą żonę i nie wiesz, jak należy z nią postępować.

— No, właśnie — przytaknąłem. — Spróbuj mnie nauczyć.

Usiadła obok mnie na trawie, objęła dłońmi kolana i oświadczyła z powagą:

— Mąż powinien słuchać swej żony. Gdyby mój pierwszy mąż słuchał moich rad, nie zginąłby na ulicy w Bogocie. Tobie też radzę: o nic nie pytaj. Jeśli nie wykonamy swego zadania, każde z nas zostanie ukarane.

— Kto może mnie ukarać? Ralf? Nie jestem jego podwładnym, jeśli chcesz wiedzieć, to on jest moim współpracownikiem. Długo dałem się prosić, zanim zgodziłem się przyjąć go do swojej brygady.

Spojrzała na mnie z politowaniem jak na bardzo niezręcznego kłamcę:

— Co ty opowiadasz? Jesteś ważniejszy od niego? Przecież ty prawie nic nie potrafisz. Wczoraj musiałam ci ratować życie. Dziś palce sobie otarłeś i nie umiałeś ich opatrzyć. A poza tym, skoro po raz pierwszy ode mnie dowiedziałeś się o Robinie, pochodzisz zapewne z ostatniego zrzutu i masz zatartą pamięć o Przyszłości, czyli jesteś typem OOX. Bez Ralfa zginiesz i nigdy nie wrócisz w Przyszłość.

Roześmiałem się głośno. „A więc to tak? — pomyślałem. — To dlatego ona mnie traktuje tak dziwnie”.

— Nie jestem człowiekiem z UFO, ale najzwyczajszym osobnikiem z Teraźniejszości. Czy ci o tym nie powiedziano?

— Masz zatartą pamięć i nie wiesz, że pochodzisz z Przyszłości. Ralf mi mówił, że aby uniknąć szoku przeszłości, w ostatnim okresie wysadzono w czas teraźniejszy kilku osobników z zatartą pamięcią. To jest właśnie typ OOX. Ralf nie użyłby do tak ważnego celu zwykłego śmiertelnika.

— Mylisz się. Tylko zwykły śmiertelnik, jak mnie nazywasz, może dokonać tego czynu. Osobnikom z Przyszłości nie wolno ingerować w Przeszłość bez obawy na katastrofalne skutki. Czy nie uczono cię tego?

Popatrzyła na mnie z nowym zainteresowaniem. Długą chwilę milczała, aż wreszcie rzekła:

— Zaczynam ci wierzyć. To chyba dlatego, że jesteś człowiekiem z Teraźniejszości, wydałeś mi się inny niż tamci. I to zapewne dlatego Ralf polecił mi opiekować się tobą jak małym dzieckiem. Ale teraz, skoro już wiem, kim jesteś, a ty wiesz, kim jest osobnik OOX, ruszajmy w drogę.

Zaproponowałem:

— Na zgodę pocałujemy się jak mąż i żona.

Bo choć wiedziałem, że dzieli nas tak wiele, to chwilami zapominałem, z kim mam do czynienia.

Z dezaprobatą potrząsnęła głową, ale nie obraziła się.

— No tak. Przekonałeś mnie ostatecznie, że jesteś zwykłym śmiertelnikiem. Człowiek z Przyszłości nie zażądałby ode mnie pocałunku.

To mówiąc szybko dotknęła swymi ustami moich ust, a potem zawstydzona tym gestem, jakby była normalną kobietą, a nie istotą z Przyszłości, zarumieniła się, zerwała z miejsca i zarzuciwszy sztucer na ramię, ruszyła w stronę dżungli.

Poszedłem za nią, a potem już nie miałem czasu, aby rozmyślać o tajemnicach ludzi z Przyszłości. Wdarliśmy się w górską dżunglę i mieliśmy do pokonania nie tylko stromizny stoków Sierra Nevada, ale i utrudniające wspinaczkę zwaliska grubych pni podobnych do fortyfikacji, które raz po raz trzeba było zdobywać. Górską dżunglę różni się bowiem od równinnej także i tym, że ziemię pokrywają grube pokłady butwiejących resztek roślinnych. Nie rozkładają się one tak szybko jak w dżungli równinowej, ponieważ panuje tu niższa temperatura. Wspinasz się, omijając grube jak kolumny pnie drzew i raptem aż po pas wpadasz w zbutwiałe resztki roślin. Albo, co gorsza, zaczynasz zjeżdżać w dół razem z oderwaną od podłoża ogromną masą gnijących liści. Spadasz jak gdyby niesiony przez lawinę i w każdej chwili możesz rozbić sobie głowę o pień drzewa lub o wystającą skałę.

W dżungli powietrze jest wilgotniejsze, a im wyżej — tym mniej bogate w tlen. Nie jestem przyrodnikiem, ale potrafię palmę odróżnić od drzewa iglastego. Dżungla, przez którą wędrowaliśmy, składała się właśnie z grubych palm i paproci drzewiastych, niekiedy wysokich na dziesięć metrów. Po pniach wspinały się rozmaite pnącza i tworzyły jak gdyby dach nad głową lub zagradzały drogę jak zwarte ściany. Wtedy Teresa brała do ręki zakrzywiony nóż i w owej ścianie wycinała dla nas przejście. Idąc, od czasu do czasu płoszyliśmy jakieś ptaki, towarzyszył nam też wrzask małych przeskakujących z gałęzi na gałąź lub kołyszących się na lianach. Innych dzikich zwierząt nie widziałem, choć musiało ich tu być bardzo wiele. Uciekały jednak spłoszone naszym hałaśliwym wspinaniem się w górę.

Po trzech godzinach poczułem, że znowu tracę siły, sztucer ciążył jak armata, plecak zdawał się ważyć cztery razy więcej niż na początku wędrowki. Brakowało mi tchu, ponieważ byliśmy już chyba na wysokości szczytu Rysów.

— Zaraz będzie szeroka przełęcz — odezwała się do mnie Teresa zauważwszy, że zwolniłem kroku. — Dnem przełęczą płynie strumień. Odtąd powędrujemy brzegiem strumienia aż do Diabelskiej Doliny.

— Diabelska Dolina? — zastanawiałem się głośno. — Gdzieś już słyszałem tę nazwę. Aha, to było w barze hotelu Hilton. Jakiś tutejszy znawca spraw UFO opowiadał, że przed laty widywano szklane kule lądujące w Diabelskiej Dolinie w górach Sierra Nevada. Podobno nikt nie ma odwagi, aby odwiedzić to miejsce.

— Tak — skinęła głową Teresa. — W Diabelskiej Dolinie lądowały wehikuły czasu. Ale ty niczego się nie obawiaj. Przybywasz tam przecież na polecenie Dawsona.

Ruszyła dalej, a ja zacisnąłem usta i poszedłem za nią, pełen podziwu, że tak świetnie znosi trudy wędrowki. Wciąż miałem przed oczami jej zgrabną sylwetkę, zachwycała mnie lekkość, z jaką przeskakiwała zwalone pnie. No cóż, nie była, tak jak ja, zwykłą śmiertelniczką, ale istotą z Przyszłości, zapewne obdarzoną specjalnymi zdolnościami.

Nagle otworzył się przed nami widok na piękną przełęcz ze strumieniem płynącym po kamienistym dnie. Tu i ówdzie rosły samotne mangowce i drzewa pomarańczowe, a między nimi rozpościerały się połacie wysokiej po kolana, soczystej trawy.

Było tu spokojnie i pięknie, ale Teresa ponaglała do marszu.

— Spójrz na słońce — ostrzegała. — Za chwilę skryje się za górami i choć na nizinie będzie jeszcze dzień, tu wkroczy zmrok. O takiej porze dżungla zaczyna być niebezpieczna. Zresztą do celu mamy jeszcze najwyżej cztery kilometry.

Ledwie skończyła mówić, o jakieś trzydzieści metrów od nas z wysokich traw nad brzegiem strumienia raptem wychylił się malutki jaguar. Wytrzeszczył ślepią i strzygąc uszami przyglądał się nam z ciekawością, choć i z odrobiną lęku.

— To wyszedł nam na spotkanie Robin — zakrzyknęła radośnie Teresa. — On zawsze ukazuje mi się pod postacią jaguara.

Porzuciła sztucer i plecak. Wyciągnąwszy przed siebie ręce pobiegła naprzeciw jaguara, który jeszcze przez chwilę przyglądał się jej bacznie, lecz gdy zaczęła się do niego zbliżać, nagle przeraził się i zniknął w wysokich trawach. A wówczas po drugiej stronie strumienia na skałę wskoczyła jego ogromna matka.

Teresa zatrzymała się jak skamieniała.

— To nie Robin, ale prawdziwa jaguarzyca z małym. Strzelaj, bo ona nas zaraz zaatakuje — zawołała.

Jak w takiej sytuacji zachowa się człowiek, który nigdy nie był na polowaniu, nigdy nie strzelał do dzikich zwierząt? Zdjąłem z ramienia sztucer i wymierzywszy w kierunku jaguarzyca, pociągnąłem za spust. Rozległ się suchy trzask — mój sztucer był nie nabit.

— Ona zaraz skoczy! — usłyszałem przeraźliwy krzyk Teresy, która zabiła w życiu niejednego jaguara. Teraz jednak jej sztucer leżał daleko, porzucony w trawie.

Widziałem, jak jaguarzyca kuca na tylnych łapach, jak odbija się od skały i leci ponad strumieniem w kierunku Teresy. Ale dzieliło ją od niej ponad czterdzieści metrów, jeden skok nie wystarczył. Znowu więc przysiadła na tylnych łapach i gotowała się do następnego skoku. Dziewczyna stała nieruchomo, nawet już krzyk nie wydobył się z jej ust.

Wtedy przypomniałem sobie o pudełku, które dał mi Ralf. Miałem je przy sobie w kieszeni spodni. Jaguarzyca znowu skoczyła, szybko wyjąłem pudełeczko, jego otwór wycelowałem w znajdujące się już w powietrzu ogromne cielsko, a potem przycisnąłem guziczek na obudowie.

Stało się coś zadziwiającego. Groźne zwierzę zatrzymało się w powietrzu w połowie skoku. Było to jednak tylko złudzenie. W rzeczywistości jaguarzyca nadal wykonywała swój skok, ale jak na zwolnionym filmie. Jakaś potężna siła, którą kryło pudełeczko Ralfa, spowodowała zwolnienie czasu wokół zwierzęcia, a tym samym opóźnienie jego ruchów. Między nami i jaguarzycą powstała bariera czasu.

Ta krótka chwila wystarczyła, abym podbiegł do Teresy, chwycił ją wpół i odciągnął na bok. Tymczasem jaguarzyca dosięgnęła wreszcie miejsca, gdzie przed chwilą znajdowała się Teresa, i oszołomiona własną powolnością, nie próbowała dalej atakować. Powoli oddaliła się od nas i zniknęła w dżungli, a za nią pobiegł mały jaguar.

Teresa odzyskała głos:

— Uratowałeś mi życie. Użyłeś swojej siły „psi”. Oto już drugi człowiek z Przyszłości ratuje mi życie.

A potem dodała smutno:

— Przykro, że mnie oszukałeś, twierdząc, że jesteś zwykłym człowiekiem z Teraźniejszości, tak jak i ja.

Przeżyła chwilę wielkiego strachu, potem lęk minął, dopiero teraz jednak nastąpiła reakcja. Usiadła na ziemi i rozplakała się. Ten jej płacz przekonał mnie, że jest istotą z mojego czasu. Zwykłą kobietą z Teraźniejszości.

Poczekalem, aż się wypłacze, a później pokazałem jej pudełeczko.

— Dostałem je od Ralfa — wyjaśniłem. — Nie posiadam siły „psi”. To moc wydobywająca się z tego pudełeczka stworzyła barierę czasu między nami i jaguarzycą.

Chciała wstać z ziemi, podnieść swój plecak i sztucer, lecz okazało się, że groźba rozszarpania przez kły i pazury dzikiego zwierzęcia była jednak dla niej ogromnym

wstrząsem. Po prostu nogi się pod nią ugiwały i po kilku próbach podjęcia marszu na powrót usiadła.

— Wierz mi, Tomaszu, nie mam już sił — wyznała. — Wciąż udaję silną, łykam pigułki, jakie dał mi Ralf, żując kawałki kaktusa, który pobudza organizm do działania. Ale po tym, co się stało, mam uczucie, jakby krew ze mnie wypłynęła. Do celu jeszcze tylko cztery kilometry. Rozstawimy jednak namiot i przenocujemy tutaj.

Podobał mi się ten pomysł. Ja również odczuwałem zmęczenie. Zacząłem rozpakowywać nasze plecaki i kiedy słońce skryło się za poszarpanymi szczytami gór, na przełęczy nad strumieniem stanął dwuosobowy namiocik. Zaraz też, jak to w górach na dużej wysokości, powietrze stało się niemal lodowate. Wcisnęliśmy się więc w ciepłe śpiwory i położyliśmy na trawie obok namiotu, patrząc, jak przełęcz wypełnia noc. Obok nas leżały nabite i odbezpieczone sztucery, choć Teresa wyraziła przekonanie, że nic nam nie grozi ze strony dzikich zwierząt. Tutejsze jaguary, jeśli nie są do tego zmuszone, na ogół nie atakują ludzi. Chyba że w takiej sytuacji, jaką przeżyliśmy. Jaguarzyca wydawało się widocznie, że niebezpieczeństwo grozi jej dziecku. Byłem głodny. Przyjąłem od Teresy kawałek mięsistego i soczystego kaktusa. Pożułem go chwilę i poczułem, jak znika gdzieś zmęczenie, uczucie głodu oraz pierzcha senność. To samo działo się chyba z Teresą. Stała się rozmowna, a i ja miałem ochotę poznać ją lepiej.

— Twoje zachowanie się w ostatnim czasie — powiedziałem — każe mi wierzyć, że jesteś z Teraźniejszości. A jednak, kiedy znalazłem się w niebezpieczeństwie, poprzez grube mury odebrałaś moje uczucie strachu. Nie są to dla nas, ludzi z Teraźniejszości, umiejętności zwykłe i naturalne. Kim więc jesteś naprawdę, Tereso, i w jaki sposób związałaś się z ludźmi z Przyszłości?

A wtedy ona opowiedziała mi o sobie zadziwiającą historię.

Urodziła się w Paryżu z niewiadomego ojca i nieznannej matki. Wychowywała się w Domu Dziecka. Miała czternaście lat, gdy zwrócono uwagę na jej przedziwne zdolności. Przede wszystkim potrafiła z zawiązanymi oczami rozróżniać barwy przedmiotów. Wystarczyło, że położyła dłonie na kolorowych kartkach, a nieomylnie, z oczami zaklejonymi plastrem, potrafiła określić, która kartka jakiej jest barwy. Posiadała więc zdolność widzenia, jak to się dziś nazywa, dermoptycznego. Zainteresował się nią pewien psychotronicznik zajmujący się parapsychologią i odkrył, że Teresa ma także zdolności telepatyczne — potrafi odbierać sygnały i rozkazy nadawane myślą przez osobę znajdującą się w innym pokoju, a nawet w innym mieście. Przeprowadzono z nią dziesiątki doświadczeń i w wieku szesnastu lat Teresa była już osobą sławną. Naukowcy psychotroniczni prowadzili z nią coraz nowe eksperymenty. Poprzez odpowiednie ćwiczenia Teresa wydoskonalała swoje niezwykle zdolności. Umiała, na przykład, odczytywać list nie rozrywając koperty, po prostu palcami wyczuwała kształty liter. I kto wie, jak potoczyłyby się jej dalsze losy, gdyby nie spotkała człowieka opętanego żądzą pieniędzy. Był młody, przystojny. Teresa zakochała się w nim swą pierwszą wielką miłością. A on postanowił jej talenty wykorzystać do zarabiania pieniędzy. Wraz z grupą magików Teresa zaczęła objeżdżać miasta wielu krajów. Zarabiała świetnie, bo też jej „numer” z odczytywaniem listu przez kopertę budził wielką sensację. Tylko że, jak to się później okazało, zdolności Teresy nie zawsze się przejawiały. Niekiedy, gdy była w złym nastroju lub zmęczona, traciła je zupełnie, a ponieważ występy musiały się odbywać, namówiono Teresę, aby popełniała oszustwo — odczytywała listy, których treść uprzednio znała. Albo z niezbyt szczelnie zaklejonymi oczami rozróżniała barwy przedmiotów, jakie jej

kazano dotykać. Pewnego dnia na występach zagranicznych, a było to właśnie w Bogocie, wścibscy dziennikarze zdemaskowali ją jako oszustkę. Wyśmiana, wydrwiona, musiała opuścić trupę magików, porzucił ją także jej ukochany. Teresa została w Bogocie z niewielką sumą pieniędzy. Miała dziewiętnaście lat.

— Znalazłam się na bruku, Tomaszu — opowiadała. — I chciałam popełnić samobójstwo. Na szczęście poznałam wtedy Thomasa van Hagena, Holendra od lat mieszkającego w Kolumbii i zajmującego się handlem szmaragdami. Miał on małą hacjendę, tę, w której byłeś. Wysłałam za mąż za tego człowieka, który zresztą okazał się niewiele wart. Pił dużo i traktował mnie jak służącą. Byłam rok jego żoną. Pewnego dnia wyjechał do Bogoty i tam, prowadząc jakieś ciemne interesy z handlarzami szmaragdów, został zabity przez konkurencyjną grupę „szmaragdziarzy”. Thomas van Hagen nie miał przy sobie żadnych dokumentów, znaleziono go zastrzelonego na ulicy. Policja kolumbijska wezwała mnie, abym rozpoznała zwłoki swego męża. To było dziesięć lat temu. Przyjechałam do Bogoty i zatrzymałam się w tanim hoteliku. Pamiętam, był już wieczór, nazajutrz miałam jechać do kostnicy. Raptem odżyły we mnie moje zdolności telepatyczne, usłyszałam czyjś głos. Głos ten nakazał mi opuszczenie hotelu i podejście do czerwonego samochodu zaparkowanego na pobliskiej ulicy. Był to wóz z sanatorium doktora Alvareza. W samochodzie siedział Ralf Dawson. Powiedział mi, że sporo czytał o moich występach na estradzie, o moich niezwykłych zdolnościach parapsychicznych. Wiedział, że nie jestem oszustką, tylko musiałam pomagać sobie oszustwem w tych chwilach, gdy moje zdolności zawodziły. Wyznał, że jest człowiekiem z Przyszłości, poszukuje przedmiotu zgubionego przez UFO. Aby osiągnąć swój cel, musi jednak posługiwać się ludźmi z Teraźniejszości. Powiedział, że mogę mu pomóc, ponieważ mieszkam w hacjendzie w górach Sierra Nevada i posiadam niezwykłe zdolności, które ułatwią mu porozumienie się ze mną. I jeszcze jedno, Tomaszu. Byłam wtedy bardzo chora i lekarze nie zapowiadali mi długiego życia. A on obiecał, że dostarczy takie środki, które pozwolą mi żyć. Zażądał tylko jednego: mam nie rozpoznać zwłok mego męża i powiedzieć policji, że Thomas van Hagen wyjechał do Ekwadoru i tam prawdopodobnie został zatrzymany przy przemycaeniu szmaragdów. Jak mi wyjaśnił Ralf, potrzebna była baza, to jest miejsce, gdzie zatrzymywaliby się ludzie przetrzuceni w nasz czas z Przyszłości i skąd mogliby odbywać wyprawy poszukiwawcze w celu znalezienia zagubionego przedmiotu. Co uczyniłbyś na moim miejscu? Zgodziłam się i nie żałuję tego. Ralf dał mi lekarstwo, które utrzymuje mnie przy życiu, pomógł mi także rozwijać moje parapsychiczne zdolności. To właśnie one sprawiły, że usłyszałam twój sygnał o niebezpieczeństwie i potrafiłam odebrać wiadomość od Ralfa mimo dzielącej nas ogromnej odległości. Zająłam się skupywaniem szmaragdów i rozmaitych zabytków ze złota, licząc na przypadek, że ktoś przyniesie do sprzedania zgubiony przez UFO przedmiot. Moja hacjenda służy także jako jedna z baz dla ludzi z Przyszłości, kilkorgu z nich, jak to już wiesz, dałam możliwość legalnego działania w naszym czasie. Ty także dzięki mnie stałeś się Thomasem van Hagen, a w każdym razie posiadasz paszport na jego nazwisko. Masz żonę, własną hacjendę, a w takiej sytuacji nawet najbardziej podejrzliwej policji trudno byłoby udowodnić, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Oto i cała prawda o mnie, Tomaszu — zakończyła swą historię Teresa.

W górach zapadła tymczasem ciemna i bardzo zimna noc. Wsunęliśmy się więc ze swymi śpiworami do namiotu.

— Powiedz mi, dokąd właściwie idziemy? — zapytałam jeszcze Teresę.

— Do zaginionego miasta Taironów. Poleciałam ci wczoraj, abyś przeczytał książkę o tym wspaniałym ludzie. Jeśli to uczyniłeś, wiesz o nich dostatecznie dużo. Ludzie z Przyszłości,

penetrując góry Sierra Nevada w poszukiwaniu zaginionego przedmiotu, natrafili na jedno z nikomu nie znanych, dawnych miast Taironów. Tam, na małym placu, lądowały tajemnicze UFO i kiedyś z jednego z nich wysiadł Ralf Dawson. Taironowie z tego miasta jako miejsce kultu religijnego wybrali głębokie pieczary w stoku góry. Wejście do tych pieczar jest zamaskowane przez spływający z wysoka wodospad. Ludzie z Przyszłości zorganizowali w nich jedną z głównych swoich baz w naszym czasie. Nie wiem, co kryją pieczary, bo wstępu do nich bronią specjalne pola siłowe. A dróg do doliny strzeże Robin. On wystarczył, aby to miejsce zyskało u poszukiwaczy skarbów złą sławę Diabelskiej Doliny. Nikt, kto nie został do tego powołany, nie wejdzie do doliny, a tym bardziej do pieczary w stoku góry. Robin został uprzedzony o naszym przyjeździe, będzie nastawiony przyjaźnie. Pojawi ci się w postaci kogoś lub czegoś, za czym podświadomie tęsknisz. Czy domyślasz się, kto to będzie?

— Nie — odpowiedziałem.

* * *

Obudziłem się rześki, pełen sił, choć bardzo głodny. Ranek był równie zimny jak wieczór. Ogoliłem się nad strumieniem z lodowatą wodą, umyłem do pasa i poczułem, że mógłbym znowu przez cały dzień maszerować. O dziwo, palce moich nóg były w doskonałym stanie, tak świetnie podziałało lekarstwo, które zastosowała Teresa.

Zwinęliśmy namiot, upchaliśmy do plecaków śpiwory i ze sztucerami na ramionach ruszyliśmy wzdłuż strumienia. Był już dzień, nad poszarpanymi szczytami najbliższych gór jaskrawo świeciło słońce. Najwyższe szczyty tonęły jednak wciąż w mgłach i chmurach; gdzieś wysoko padał deszcz, bo w ciągu nocy strumień wezbrał i z głośnym szumem przelewał się przez głązy wypełniające jego koryto.

Po jakimś czasie przełęcz zamknęły nagle skały. Wąską szczeliną wyciekał z nich tylko strumień. Musieliśmy jednak pójść właśnie tą drogą, bo innej nie było. Prąd wody spychał nas do tyłu, szliśmy zanurzeni w strumieniu aż do pasa. Dno pokrywały śliskie skały i mimo ostrożności kilkakrotnie, to ja, to znów Teresa, pośliznęliśmy się i upadliśmy w wodę. Na szczęście nie groziło to żadnym niebezpieczeństwem.

Szczelina dwukrotnie załamywała się. Za trzecim zakrętem otworzyła się przed nami duża, zielona dolina wypełniona słońcem.

To tam, nad brzegiem potoku, w pobliżu zdziczałego drzewa cytrynowego, czekał na mnie wielki pies. Ogromny jak niedźwiedź biały dog w czarne łaty, arlekin. Stulił uszy i wymachiwał radośnie potężnym ogonem. Potem podszedł, obwąchał mnie i nagle skoczył do góry, opierając na moich ramionach swoje przednie łapy. Poczułem na twarzy szorstki, wilgotny ożór.

— Co widzisz? — zapytała Teresa. — Bo mnie, jak zwykle, pojawił się mały jaguar. Ale co to? — zawołała zdumiona. — Jaguar znika, rozwiewa się jak mgła. Widzę wielkiego psa. Doga. Dlaczego?

— Miałem kiedyś psa. Doga — powiedziałem w zamyśleniu. — Nazywał się Protazy. Bardzo go kochałem, ale psy nie żyją długo. Mimo starań weterynarzy musiałem się z nim na zawsze

pożegnać. Zapewne często podświadomie tęskniłem za Protazym, wspominałem go, skoro Robin pojawił mi się w postaci psa.

— Robin bardzo cię polubił. Podobno, jeśli kogoś polubi, przybiera jedną postać dla wszystkich. Jest taki, jaki chce być dla człowieka, którego wyróżnia.

Idąc za Robinem pomyślałem, że i ja od pierwszego wejrzenia polubiłem tego ogromnego psa. I że rzeczywiście wielokrotnie tęskniłem za przyjacielem, z którym na zawsze kiedyś wypadło mi się rozstać.

„Ale dlaczego pojawił się dog arlekin — zastanawiałem się. — Przecież Protazy był dogiem błękitnym?”.

Doszedłem do wniosku, że Robin chciał być dla mnie Protazym, wiernym, mądrym, wspaniałym psem, ale także czymś innym, właśnie Robinem. Dlatego przybrał postać doga o innej maści.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WAROWNIA W GÓRACH • ATAK DZIWNEJ CHOROBY • CO KRYJĄ PIECZARY ZA WODOSPADEM • KOLEJNA PRZYGODA Z POSZUKIWACZAMI SKARBÓW • ROBIN W AKCJI • ZWIEDZAMY RUINY MIASTA TAIRONÓW • MGŁA • TERESA NIE POZOSTAWIA MI NAWET NADZIEI • ZNOWU FLORENTYNA I MAŁE ZIELONE LUDZIKI

Diabelska Dolina była otoczona stromymi stokami wysokich gór. I miała tylko dwa wejścia — jedno, prowadzące przez szczelinę skalną z płynącym wartko potokiem, którym właśnie przyszliliśmy, oraz drugie, przypominające tunel skalny. Odkryłem je dopiero po długich poszukiwaniach. Nie był to tunel zrobiony ludzkimi rękami. Powstał w sposób naturalny na skutek zwałenia się ogromnego głazu, który zatarasował przesmyk, choć nie całkowicie. Pod zwałoną skałą pozostała wolna przestrzeń — szeroka na trzy i wysoka na pięć metrów.

Gdzieś z wysokich szczytów, zapewne z jakiegoś topniejącego lodowca, spływała do doliny woda. W pewnym miejscu drogę jej zamknął próg skalny, woda z kilkunastu metrów opadała w dół jako wiecznie szumiący wodospad. Tuż pod wodospadem powstało małe jezioro, które przypominało skalny basen. Z niego to wyciekał strumień i sączył się przez całą dolinę, niknąc w szczelinie skalnej.

Ten krótki opis chyba wystarczy, aby zrozumieć, dlaczego właśnie to miejsce wybrali przed wiekami Taironowie dla zbudowania jednej ze swych górskich osad. Wystarczyło kilku uzbrojonych strażników przy tunelu i obok szczeliny, żeby jej mieszkańcy mogli czuć się bezpiecznie. Dzięki dostatкови czystej wody, a także sporej ilości ziemi pod uprawę, osada stawiała się twierdzą niemal nie do zdobycia. Podobnie wyglądały inne osady Taironów. Nic więc dziwnego, że choć po drugiej stronie gór Sierra Nevada de Santa Marta, przede wszystkim w osadach rybackich nad morzem, od kilku dziesiątków lat panowali już hiszpańscy zdobywcy, Taironowie czuli się bezpiecznie. W pierwszej połowie XVI wieku — jak mówią kroniki — do starć między Hiszpanami i Taironami dochodziło rzadko. Ale

hiszpańskich zdobywców wciąż dręczyła myśl o El Dorado, krainie złota. Może właśnie tam, wysoko w górach, w tajemniczych i niedostępnych miastach Taironów kryły się niezmierzone złote skarby? W roku tysiąc sześćsetnym, po dwuletniej wojnie, udało się wreszcie Hiszpanom zdobyć górskie osady. Dokonali krwawej rzezi Taironów, a tych, których nie zabili, zabrali w niewolę. Ogołocili i spalili ich miasta, rabując skarby kultury tairońskiej. Czy Hiszpanie byli waleczniejsi od Taironów? Dziś się sądzi, że pomógł im podstęp. Społeczność Taironów była bardzo zróżnicowana, oprócz rolników i rzemieślników, stanowiących większość ludności, istniała też kasta wojowników i kapłanów. Między kapłanami i wojownikami trwała rywalizacja o władzę. Ten właśnie fakt wykorzystali prawdopodobnie hiszpańscy konkwistadorzy, kogoś przekupili, komuś coś obiecali (choć potem obietnicy nie dotrzymani) i w ten sposób znaleźli drogę do górskich twierdz.

Osady Taironów zadziwiły Hiszpanów. Zostały one zbudowane według specjalnego zamysłu architektonicznego. W środku osady zazwyczaj znajdował się duży budynek drewniany na kamiennych, kolistych fundamentach, który był albo świątynią, albo też mieszkaniem miejscowego kacyka. Od niego gwiazdziście rozchodziły się brukowane gładzi uliczki z domami także zbudowanymi na kolistych fundamentach. Domy te były jak gdyby miniaturą owego centralnego budynku. Co ciekawe, w dwóch odkrytych przez archeologów miastach Taironów napotkano nawet wodociągi wykute w skałach i doprowadzające czystą wodę niemal do każdego domostwa. Wokół osady znajdowały się polećka uprawne, nawadniane dość skomplikowanym, specjalnym systemem irygacyjnym. A jeśli się do tego doda wspaniałe wyroby rzemieślników tairońskich, można mieć pewność, że pod względem kultury indiańskie plemiona w górach Sierra Nevada nie ustępowały w niczym najeźdźcom hiszpańskim, a pod niektórymi względami chyba ich przewyższały.

Niestety, Hiszpanie zrabowali wszystkie skarby, jakie w tych osadach znaleźli, i spalili drewniane domy. Dżungla porosła pola uprawne i gęstym listowiem pokryła koliste fundamenty domów. Korzenie drzew i pnących roślin wśliznęły się nawet w szczeliny między gładzi stanowiącymi bruk uliczek. Nie minęło kilkanaście lat, a nikt już nie znał nawet drogi do ruin dawnych osad, wiadomość o nich zaginęła nie tylko pod bujnym listowiem, ale i w pamięci ludzkiej. Współczesnym badaczom udało się do tej pory odkryć tylko dwie takie osady, choć wiadomo, że było ich znacznie więcej.

W osadzie, w której się znaleźliśmy, część dawnych uliczek została starannie oczyszczona z roślinności. Wielki dog arlekin doprowadził nas po takiej uliczce do dość obszernego, drewnianego domostwa zbudowanego na dawnych fundamentach. Wnętrze miało tylko jedną, dużą izbę o kamiennej posadzce. Między słupami wspierającymi dach wisiało kilka hamaków, pod ścianami stały obite blachą drewniane skrzynie. Na środku izby wymurowano z gliny obszerny piec z dużym paleniskiem. Noce w tej dolinie bywały chłodne i ogrzewanie pomieszczenia wydawało się po prostu koniecznością.

Zaledwie weszliśmy do izby, Robin gdzieś zniknął, a Teresa przyjęła rolę gospodyni.

— Rozpal ogień na palenisku — poleciła mi — ja zaś przygotowuję jakieś jedzenie. W tej dolinie nie zginiemy z głodu. Zgromadzono tu duże zapasy żywności.

Drewno do palenia leżało obok pieca, rozniecenie ognia nie stanowiło więc dla mnie żadnej trudności. Teresa uniosła wieko jednej ze skrzyń pod ścianą i wyjęła z niej dwie puszki konserw z mięsem oraz jarzynami. W drugiej skrzyni były naczynia kuchenne, talerze i

sztuńce. Wkrótce nasyciłem głód i przy ogniu buchającym z paleniska wysuszyłem swoje ubranie, zmoczone podczas wędrówki do Diabelskiej Doliny.

W czasie posiłku zauważyłem, że zazwyczaj blada cera Teresy stała się żółtawa, a pod oczami pokazały się głębokie cienie. Zmieniło się też jej zachowanie. Zniknęła sprężystość ruchów; dziewczyna mówiła wolno i jakby z trudnością.

— Tak, mam kolejny atak choroby — potwierdziła, gdy ją wprost zapytałem, czy nie czuje się źle. — Zgodnie z tym, co mi wiadomo o mojej chorobie, powinnam już nie żyć przynajmniej od dziewięciu lat. A jednak, jak widzisz, śmierć jeszcze po mnie nie przyszła. Lekarstwo, jakie daje mi Ralf Dawson, usuwa skutki choroby. To nagroda, którą otrzymuję za wierność ludziom z Przyszłości. Pozwól, że teraz zażyję lekarstwo i na jakiś czas zasnę w hamaku. Nie budź mnie, nocą podtrzymuj ogień w kominie, abym nie zmarła. Nie musisz jednak ciągle przy mnie czuwać, bo jestem tutaj bezpieczna. Nie wiadomo, kiedy przyleci Ralf, wykorzystaj ten czas zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Poznaj miasto w dolinie. Możesz się całkowicie zdać na Robina, gdyż on, choć tego nie dostrzeżesz, będzie ciągle opiekował się nami. Aha — przypomniała coś sobie i sięgnęła do jednej ze skrzyń pod ścianą. Wyjęła nieduże pudełko ze słuchawkami i mikrofonem.

— To jest aparat, który służy do porozumiewania się z Robinem. Nie zdziw się, gdy przemówi do ciebie twoim własnym głosem.

Następnie Teresa van Hagen połknęła dużą, białą pigułkę i położyła się w hamaku. Okryłem ją starannie dwoma grubymi kocami wyciągniętymi z kolejnej skrzyni. Po chwili już spała bardzo mocno, a ja dorzuciłem dREW na palenisko i postanowiłem zastosować się do jej rady. Nie sądziłem, abym jeszcze kiedykolwiek w życiu miał możliwość zwiedzenia ruin zaginionej w górach indiańskiej osady. Należało wykorzystać tę okazję i poznać całą dolinę. Była dopiero trzecia w południe i do wieczora pozostawało wiele czasu.

Widok zaginionego przed wiekami miasta, kiedyś tętniącego życiem, a teraz zupełnie martwego, zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Walkę z ruinami rozpoczęła żarłoczna dżungla, wdzierając się swą bujną roślinnością w każdą szczelinę kamiennych fundamentów dawnych domów, zakrywając dawne uliczki, niszcząc ocalałe z pogromu wytwory ludzkich rąk. Wyglądzone setkami stóp ludzkich kamienie bruku ulicznego mówiły, że przed kilkoma wiekami życie rozwijało się tutaj równie bujnie, jak teraz rozrasta się dżungla. Gdzieś spotykałem zdziczałe drzewa pomarańczy i cytryn, może pozostałość po dawnych ogrodach. W dżungli skrzeczały małpy i był to jedyny głos żywych istot, który jeszcze bardziej podkreślał martwość tego miejsca. Poza tym szumiał tylko wodospad, wciąż głośniejszy i głośniejszy w miarę, jak się do niego zbliżałem.

W pieczarach za wodospadem kryły się magazyny ludzi z Przyszłości. Być może znajdował się tam także i wehikuł czasu, którym tu przybył Ralf. Byłem ciekawy, jak on wygląda, ale pomny przestrogi danej mi przez Teresę, nie zdecydowałem się nawet na próbę zajrzenia do owych pieczar. Aparcik, jaki Ralf Dawson dał mi dla własnej obrony, pokazał swą dziwną moc, gdy na Teresę napadła jaguarzyca. Pieczary za wodospadem chroniła zapewne siła jeszcze bardziej groźna i tajemnicza. Nie chciałem jej działania wypróbować na własnej skórze.

Tak, ludzie z Przyszłości byli zapewne potężni. Ale zarazem słabi i bezradni poprzez fakt, że nie mogli osobiście ingerować w czas teraźniejszy. Musieli korzystać z pomocy osób takich,

jak Teresa i ja. Byłem im potrzebny, a oni stali się potrzebni mnie. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że bez ich pomocy nie trafię na ślad złodziei dzieł sztuki z Muzeum Złota i nie uda mi się odzyskać bezcennych skarbów. Ta świadomość nakazywała mi lojalność wobec moich nowych przyjaciół.

Obojętnie więc minąłem wodospad, przez chwilę tylko podziwiając widok wspaniałej kaskady oraz coś w rodzaju tęczy nieustannie ją otaczającej. To słońce przeróżnymi barwami odbijało się w kroplach wody rozpylonej uderzeniem o skały. I pomyślałem, że zapewne ów przepiękny widok, tak samo jak teraz mnie, zachwycał kiedyś dawnych mieszkańców osady.

Wreszcie doszedłem do krańca Diabelskiej Doliny, do zwalonej skały, która tworzyła rodzaj kamiennego tunelu. Ciekawy, co kryje się dalej, śmiało zanurzyłem się w chłodnym i mrocznym jak studnia przejściu. Po kilkunastu krokach otworzyła się przede mną ogromna przepaść. Tuż nad jej krawędzią była wykuta w skale droga. Tak więc nie tylko wąski tunel, ale i droga do niego broniła kiedyś bezpieczeństwa mieszkańców osady. Nietrudno było zgadnąć, dokąd szło się nad krawędzią przepaści. Z książki o życiu Taironów dowiedziałem się, że utrzymywali oni łączność z indiańskimi plemionami na wybrzeżu, tędy zapewne sprowadzali ryby i kraby, w zamian ofiarowując przepiękne wyroby swych rzemieślników. A że nie znali koła i wozu i rzadko posługiwali się zwierzętami jucznymi, dźwigali wszystko w koszach na swoich barkach.

Już miałem zawrócić do Diabelskiej Doliny, gdy raptem usłyszałem ludzkie głosy. „Może to Ralf Dawson? — pomyślałem. — Ale dlaczego nie przyleciał śmigłowcem?” Głosy ludzkie dochodziły spoza skał, za którymi ginęła wąska droga.

„Tak, to Ralf Dawson” — upewniłem się, ponieważ jeden z głosów wydał mi się znajomy. Ruszyłem więc śmiało naprzeciw nadchodzącym.

Raptem zza zakrętu drogi wyłoniło się trzech mężczyzn. Jeden biały i dwóch Metysów. Od razu zorientowałem się, że mam do czynienia z poszukiwaczami. Cała trójka nosiła szerokoskrzydłe kapelusze i kolorowe ruany, uzbrojeni byli w ogromne maczety, a jeden miał karabin i pas z nabojami. Każdy z nich niósł jakieś narzędzie do kopania oraz worki na wygrzebane z ziemi przedmioty.

— Hej, señor — zakrzyknął w moim kierunku biały mężczyzna i usłyszałem szcęk repetowanego karabinu.

Ucieczka nie miała sensu. Byłem zbyt blisko i nawet kiepski strzelec mógł mnie bez trudu trafić. Czy ośmieliłby się to zrobić? Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Tacy osobnicy strzelali do każdego, kto był dla nich podejrzany. Zapewne sądzili, że także jestem poszukiwaczem skarbów, który wcześniej niż oni dotarł do źródeł bogactwa.

Zatrzymałem się i w milczeniu patrzyłem, jak podchodzą coraz bliżej. Czuli się pewnie, ponieważ natychmiast zauważyli, że jestem bez broni. Tylko że to nie była prawda. W kieszeni miałem pudełeczko dane mi przez Dawsona. I to właśnie powodowało, że mimo grożącego niebezpieczeństwa, nie obawiałem się ich.

Stanęli o trzy kroki ode mnie. Mówili coś szybko po hiszpańsku, gestykulując rękami. Odpowiedziałem im spokojnie, że nie rozumiem. Wtedy zabrał głos ów biały uzbrojony w karabin. Zapytał po angielsku:

— Dokąd prowadzi ta droga? Czy tam, pod tą zwaloną skałą, można przejść do zaginionego miasta?

— Tak — odparłem spokojnie. — Za tą zwaloną skałą jest dolina, a w niej ruiny zaginionego miasta Taironów.

Moja szczerą odpowiedź zdumiała ich i zarazem zaniepokoiła. Nie jest czymś zwykłym spotkanie z nie uzbrojonym, samotnym człowiekiem w górach Sierra Nevada, i to tuż obok zaginionego miasta, pełnego — być może — ukrytych skarbów. Jeśli byłem taki spokojny, to chyba znaczyło, że zaginione miasto zostało opanowane przez innych poszukiwaczy. Stali się więc czujni i ostrożni.

— Co pan tu robi? — zapytał mężczyzna z karabinem.

Beztrosko wzruszyłem ramionami.

— Czy ma pan prawo do zadawania podobnych pytań? To raczej ja chyba mogę spytać: co wy tu robicie? Może jesteście złodziejami okradającymi indiańskie groby?

Na pewno przemknęła im przez głowę myśl, że trafili na policjanta po cywilnemu. Ów biały zaczął rozmawiać po hiszpańsku z Metysami. W tym czasie z obojętną miną zapaliłem papierosa, a następnie włożyłem rękę do kieszeni, w której miałem pudełeczko Dawsona. Rozmawiali dość długo, a ja przyglądałem się im z coraz bardziej znudzoną miną. Wreszcie biały mężczyzna z karabinem znowu mnie zapytał:

— Kim pan jest, u diabła? I czy to znaczy, że nie pozwala nam pan pójść dalej?

Roześmiałem się sztucznie.

— A niby dlaczego miałbym wam czegoś zakazywać? Nie jestem właścicielem tych gór.

— Dużo was tu jest? — znowu zwrócił się do mnie z naiwnym pytaniem. Chyba uważał mnie za głupca. Ale ja powiedziałem szczerze:

— Jestem sam.

Powtórzył moje słowa po hiszpańsku. Któryś z Metysów krzyknął: „To wariat”. Słowo „wariat” znałem po hiszpańsku, więc domyśliłem się, że biorą mnie za wędrującego po górach szaleńca. Ale czy wyglądałem na wariata? Przed obiadem ogoliłem się, wyczyściłem buty, wyszczotkowałem ubranie.

Odezwałem się uprzejmie:

— Czy nie słyszeliście o Diabelskiej Dolinie? Ona jest właśnie za tą zwaloną skałą. Radzę wam zawrócić.

Biały człowiek znowu powtórzył moje słowa po hiszpańsku. Metysi okazali się ludźmi zabobonnymi. Strach pojawił się w ich oczach i choć nie znałem hiszpańskiego, domyśliłem się, co mówią. Radzili wracać. Ale biały nie należał do bojaźliwych. Rzekł do mnie ponuro:

— Pan chce nas wystraszyć. Nie wierzę w diabły i upiory. Pójdę dalej, bo tam są skarby.

I chciał mnie wyminąć, aby wejść do skalnego tunelu. Nagle oczy jego zrobiły się ogromne ze strachu, z rąk wypadł mu karabin. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem wychodzącego z tunelu wielkiego doga.

— Co to? Co to? — wybełkotał biały człowiek.

— To zwykły pies. Dog — oświadczyłem.

— Widzę węże. Setki węży! — coraz głośniejsze zaczął wykrzykiwać. — Miliony węży pełzną w moją stronę... Węże, węże, węże!...

Tak krzycząc, rzucił się do ucieczki tą samą drogą, którą przyszedł. Ja nie widziałem żadnych węży, tylko spokojnie nadchodzącego psa.

Na twarzach Metysów pokazał się strach. Patrzyli na szczyty skał wznoszących się nad przepaścią. Bełkotali coś do siebie i wskazywali palcami w górę. Z ich ruchów i wyrazu twarzy mogłem się domyślić, co oglądają. Oto głazy na szczytach skał zaczęły się ruszać i obsuwać w dół. Za chwilę miała spaść i strącić nas w przepaść ogromna lawina skalna. Lecz ja widziałem nieruchome głazy. Góry były spokojne.

Oni jednak mieli przed oczami zupełnie inny obraz gór i drogi, na której stali. W największym popłochu, wrzeszcząc ze strachu, uciekali za swym kompanem, porzucając w biegu oskardy i szpadle. I choć szybko zniknęli za zakrętem, jeszcze długo słyszałem ich pełne przerażenia okrzyki.

Tymczasem wielki dog zbliżył się do mnie, zamachał przyjaźnie ogonem. Jego łeb wskazywał wejście do tunelu, jak gdyby dawał mi do zrozumienia, że powinienem powrócić do Diabelskiej Doliny. Potwierdziły się słowa Teresy van Hagen, że Robin dobrze strzeże tajemnic ludzi z Przyszłości. I że każdemu pojawia się jako coś, czego podświadomie się boi.

Umilkły głosy przerażonych poszukiwaczy skarbów. To, co się przed chwilą tutaj stało, wydawało mi się snem. Ale na skalnej drodze leżał porzucony karabin, a nieco dalej oskardy i szpadle. Nie był to więc sen.

Podniosłem karabin i w towarzystwie Robina zagłębiłem się w mroczny tunel. Pomyślałem z humorem, że trzech poszukiwaczy skarbów wzbogacą swoją opowieścią przerażającą legendę o Diabelskiej Dolinie. Chciałem o tym porozmawiać z Robinem przy pomocy aparatu, który wręczyła mi Teresa. Zanim jednak znalazłem się w pobliżu drewnianej chaty, Robin nagle gdzieś przepadł. Być może powrócił do tunelu, aby strzec wejścia do Doliny, albo poszedł zobaczyć, czy nikt nie usiłuje się tu dostać przez szczelinę skalną z płynącym nią górskim potokiem. Zresztą, cóż mogłem wiedzieć o zwyczajach dziwnego stworzenia, którego zagadki nie potrafili rozwiązać nawet ludzie z Przyszłości?

Zbliżał się wieczór, a wraz z nim gwałtownie ochłodziło się. To przypomniało mi, że być może wygaś już ogień na palenisku w chacie.

Zastałem Teresę śpiącą wciąż bardzo mocnym, nienaturalnym snem. Ogień, oczywiście wygasł, więc rozpałem go na nowo i aż do rana czuwałem, aby w chacie było ciepło. Zasnąłem dopiero o świcie w niewygodnej pozycji na macie koło pieca. Obudziło mnie delikatne dotknięcie kobiecej dłoni. Otworzyłem oczy i ujrzałem Teresę taką, jaką poznałem w hacjendzie i podczas naszej wędrówki — o ruchach sprężystych, pełną energii.

— Śniadanie już gotowe. Ty, zdaje się, nie jadłeś nic od wczorajszego obiadu — zatroskała się.

To była prawda. Nie zrobiłem sobie wczoraj kolacji i prawie całą noc czuwałem głodny przy ogniu. Ale nie chciałem bez zezwolenia grzebać w skrzyniach pod ścianami. Taki już jestem — nie lubię bez zgody gospodarza rządzić się w jego domu. A gospodarzem był tu Ralf Dawson, zaś w jego zastępstwie Teresa van Hagen.

Gdy jedliśmy śniadanie — był to przysmażony bekon i grzanki z odświeżonego chleba oraz bardzo mocna i smaczna kolumbijska kawa — usłyszeliśmy warkot nadlatującego śmigłowca.

— To chyba Ralf — Teresa wybiegła z chaty.

Dolinę zalegała mgła. Była tak gęsta, że nie dojrzelismy śmigłowca. Pilot też nie mógł nas zobaczyć. Nie widział chyba także doliny. Prawie przez kwadrans krążył nad nami, a potem odleciał. Mgła uniemożliwiała bezpieczne lądowanie.

Pomyślałem, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki mgłę mogłem dłużej przebywać sam na sam z Teresą, poznać ją lepiej. Chciałem, aby i ona mnie poznała i polubiła. Czułem bowiem, że nie tylko uroda tej młodej kobiety, ale cały jej sposób bycia, zachowania, a nawet myślenia jest mi niezwykle bliski. Gdzieś w głębi duszy kryłem nadzieję, że może kiedyś i ja stanę się Teresie bliski i będę jej mógł zaproponować wyjazd do Polski. I bardzo pragnąłem, aby wyraziła na to zgodę.

Opowiedziałem Teresie o swojej wczorajszej przygodzie na drodze do doliny. Nie okazała zdziwienia z powodu tego, co się tam wydarzyło, zapewne niejedną raz widziała Robina w akcji przeciw poszukiwaczom skarbów. Zwróciłem jej aparat do porozumiewania się z Robinem. Wyraziłem żal, że nie skorzystałem z niego.

Wtedy ujęła w obydwie dłonie pudełko z mikrofonem i słuchawkami, przymknęła oczy, a na jej twarzy uwidocznił się wyraz wielkiego napięcia. I nie minęło kilka minut, a usłyszeliśmy skrobanie do drzwi. Po chwili do naszej chaty wszedł łaciaty dog.

Nałożyłem słuchawki i powiedziałem:

— Jak się masz, Robinie. Co myślisz o wczorajszej historii na drodze do tunelu.

Usłyszałem swój własny głos, który zresztą zawsze wydaje mi się obcy:

— To nie było nic nadzwyczajnego, Tomasz. Od czasu do czasu muszę stąd przepędzać ciekawskich. Prawie dziesięć lat strzegę tej doliny, a to bardzo nudne zajęcie. Mam nadzieję, że Ralf weźmie mnie tym razem na wyprawę z tobą. Ta wyprawa zakończy naszą misję. Nikt już nie będzie musiał pilnować doliny.

— A jej tajemnice, Robinie?

— Dolina, jeśli już nie będzie potrzebna, zniknie nagle, Tomaszu. Zasypią ją skały, spadające z otaczających nas gór. Ty zaś na pewno nie zechcesz zbyt wiele mówić o tym, co tu przeżyłeś.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wczoraj obserwowałem każdy twój krok. Starałem się także przeniknąć do twoich myśli. Wiedziałeś od Teresy o pieczarach za wodospadem, ale nie uczyniłeś nic, aby się tam dostać. Masz, Tomaszu, zasady, które bardzo mi się podobają. Jesteś ciekawy i dociekliwy jak prawdziwy detektyw, ale ważniejsza od zaspokojenia ciekawości pozostaje dla ciebie przyjaźń i poczucie lojalności.

— Jesteś mądry, Robinie. Jak przypuszczasz, czy nasza wyprawa po zrabowane skarby skończy się szczęśliwie?

— Nie chcę tego wiedzieć — odpowiedział Robin. — Ralf tłumaczył mi, że gdyby ludzie znali swoją przyszłość, byłby to koniec wszelkiej ich działalności i postępu na świecie. Pomyśl sam, czy warto wspinać się na jakąś górę, jeśli wie się, co się ujrzy z jej szczytu? Poza tym nie wiem nawet, czy Ralf zechce mnie wziąć na waszą wyprawę.

— To chyba dość kłopotliwe brać z sobą ogromnego doga. Kto wie, w jakich znajdziemy się sytuacjach.

Usłyszałem w odpowiedzi swój własny śmiech:

— Przecież nie muszę być zawsze łaciatym dogiem, Tomaszu. Czy sprawiłoby ci kłopot, gdybyś wziął ze sobą do kieszeni, na przykład, małego ślimaka ukrytego w skorupce? A teraz żegnaj, Tomaszu. Muszę jednak pilnować wejść do naszej doliny. I to dwóch naraz, a nawet ja nie potrafię się rozdwoić.

Po tych słowach Robin, który przez cały czas naszej rozmowy leżał u moich nóg i zdawał się drzeć, nagle wstał, wielką łapą odemknął drzwi chaty i zniknął we mgle spowijającej dolinę.

Po południu mgła uniosła się do góry. Teresa zaproponowała mi spacer. Była tu wiele razy, znała każdy zakątek i chyba każdą tajemnicę, z wyjątkiem tej jednej, za wodospadem. Zaprowadziła mnie do niezwykle urokliwego miejsca, gdzie strumień z cichym szumem przelewał się przez ogromne głazy. Tutaj pokazała mi mnóstwo dużych kamieni z wgłębieniami pośrodku i wyjaśniła, że prawdopodobnie na nich tairońscy rzemieślnicy szlifowali półszlachetne kamienie, z których wyrabiali potem przepiękną biżuterię. Między kamieniami leżało wiele kawałków karnelitu i jadeitu, znalazłem też kilka oszlifowanych paciorków zrobionych z tego materiału.

— Weź sobie choć jeden na pamiątkę — zaproponowała Teresa, wręczając mi największy i najładniej oszlifowany paciorek z karnelitu. — Prawdopodobnie wkrótce dolina przestanie istnieć. Patrząc na ten paciorek, być może wspomnisz to miejsce. I mnie, Tomaszu.

Było tyle smutku w jej głosie, że odważyłem się ująć jej ręce w swoje dłonie i wyznałem gorąco:

— Nie chcę, Tereso, abyś była dla mnie tylko wspomnieniem o dolinie i górach Sierra Nevada. Pragnę, abyś, gdy odnajdziemy skradzione zabytki, porzuciła ten kraj, który przecież nie jest twoją ojczyzną, i pojechała ze mną. Jest u nas wielu dobrych lekarzy, pewnie znajdą lekarstwo na twoją chorobę. Tak bardzo chciałbym, abyś została przy mnie...

To mówiąc szukałem wzrokiem jej oczu, lecz ona odwróciła twarz, wyjęła swoje ręce z moich dłoni i rzekła:

— To niemożliwe, Tomaszu. Chciałabym z tobą pojechać do twojego kraju. Nawet nie domyślasz się, jak bardzo tego pragnę. Ale to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie mogę ci tego powiedzieć, w każdym razie nie w tej chwili. Nie wszystkie historie, Tomaszu, mają szczęśliwe zakończenie.

Ostatnie słowa Teresy zagłuszył warkot nadlatującego śmigłowca. Pobiegliśmy w kierunku wypalonego w dżungli lądowiska i po kilku minutach stanęliśmy twarzą w twarz z Ralfem Dawsonem, który wymachiwał gazetą.

— Oto dzisiejsze wydanie „Wiadomości Bogoty” — poinformował nas. — Leticii Lucinante udało się zamieścić ważną dla nas wiadomość. Pozwól, Tomaszu, że ci ją przetłumaczę z hiszpańskiego:

Na złotych plażach, w Rodadero, trwa już pełnia turystycznego sezonu. W pięknych hotelach i luksusowych willach zamieszkali goście nie tylko z Kolumbii, ale i ze Stanów Zjednoczonych, a także z Europy. W ustronnych zakątkach nad morzem spotkać można wybitne osobistości ze świata filmu, jak również wielu słynnych milionerów. Dobrze poinformowani zapewniają, że wkrótce własnym luksusowym jachtem o nazwie „La Paloma” przyplynąć ma handlarz diamentami, Holender Thomas van Hagen, wraz ze swoją małżonką.

Uśmiechnąłem się:

— Nareszcie coś się zaczyna dziać w naszej sprawie. Mam nadzieję, że ów don Casanova czytuje gazety i informacja o Thomasie van Hagenie zwróci jego uwagę. Nie jestem tylko pewien, czy potrafię zagrać rolę milionera.

— Nie martw się — Dawson poklepał mnie po ramieniu. — Wystarczy, że Teresa wie, jak powinna zachować się żona milionera. To ona zapragnie kupić od don Casanovy jakieś stare dzieła sztuki, aby ozdobić nimi swój nowy dom w Amsterdamie.

Za sterami śmigłowca zobaczyłem pannę Leticję Lucinante, która przyjaźnie pomachała mi ręką. Ciekaw byłem, na ile Ralf Dawson wtajemniczył ją w nasze sprawy i czy знаła tajemnice ludzi z Przyszłości. Obecność Leticji Lucinante za sterami helikoptera utwierdziła mnie w przekonaniu, że Ralf Dawson ani razu nie kłamał. Mówił, że nie powinien prowadzić samochodu i, jak się okazało, również śmigłowca. Bał się ingerencji Przyszłości w Terazniejszość.

Dawson wysłuchał opowiadania Teresy o naszym pobycie w hacjendzie i przygodzie z jaguarzycą.

— Postąpiłeś słusznie, Tomaszu — oświadczył — posługując się bronią, którą ci dałem. Teraz jednak nie będzie ci już ona potrzebna, bo chyba nie rozstaniemy się więcej. Bądź więc tak dobry i zwróć mi ją. Nic, co jest z Przyszłości, nie powinno być w twoich rękach.

Oddałem mu więc cudowne pudełeczko, a on, schowawszy je do kieszeni, z szelmowskim uśmiechem na ustach zaproponował mi, abym wspiał się do kabiny śmigłowca i powitał kogoś, kto bardzo tego pragnie.

Jakież było moje zdumienie, kiedy w śmigłowcu ujrzałem przywiązaną do fotela pannę Florentynę w okropnej tunice i z klockowym naszyjnikiem. Natychmiast uwolniłem ją z więzów i pomogłem zejść na ziemię. Milczała ponuro, gniewnymi spojrzeniami obrzucając Dawsona i pannę Lucinante. Dała mi do zrozumienia, że chce ze mną porozmawiać na osobności. Wziąłem ją pod rękę i poprowadziłem na spacer po dolinie.

— Porwali mnie — wybuchnęła gniewem, kiedy dzikie drzewa pomarańczowe odgrodziły nas od śmigłowca. — Po powrocie z Paryża zamieszkałam w hotelu Hilton, wciąż czekając na obiecaną wiadomość od pana. Pewnego dnia zadzwonił telefon i Dawson w pańskim imieniu poprosił, żebym zeszła do samochodu, gdzie siedziała ta Mulatka, Leticia Lucinante. Powiedzieli, że zabiorą mnie do pana, ale ja im nie uwierzyłam i chciałam uciec. Wtedy Dawson przyłożył mi do ust dziwnie pachnącą chusteczkę do nosa, uspił, a następnie wsadził do śmigłowca i przywiązał do fotela. Ocknęłam się, gdy byliśmy w powietrzu nad dzikimi górami. Czy może mi pan wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć?

— Dlaczego pani wróciła do Bogoty? — odparłem z oburzeniem. — Swym powrotem naraziła mnie pani na poważne kłopoty. O mało nie spowodowała pani fiaska mojego śledztwa w sprawie włamania do Muzeum Złota.

Wzruszyła ramionami:

— Zgodnie z pana poleceniem, po przybyciu do Paryża skontaktowałam się z dyrektorem Marczakiem, a on wypytał mnie o sytuację. Poinformowałam go, że pan został w Bogocie sam, nie znając języka hiszpańskiego. Wówczas Marczak polecił mi wrócić.

— Tam, do licha! — zawołałem. — Przecież chyba domyśla się pani, że umknąłem z lotniska, aby tajniacy inspektora Esponozy stracili mój trop. Pani zaś wraca do Bogoty, zjawia się w hotelu Hilton, pyta o wiadomości ode mnie i oczywiście wpada w ręce inspektora.

— Sama się do niego zgłosiłam — odrzekła dumnie Florentyna. — Byłam przekonana, że nie udało się panu wymknąć z lotniska i po prostu został pan aresztowany. Poszłam do Esponozy i nakazałam mu, aby uwolnił pana z więzienia, bo inaczej będzie miał do czynienia z Connorem.

— W ten oto sposób dowiedział się, że zostałem jednak w Kolumbii — westchnąłem, ubolewając nad głupotą Florentyny.

— Przysięgał, że nie ma o niczym pojęcia. Opisał mi natomiast straszliwe niebezpieczeństwa, na jakie się pan naraził, przebywając w Bogocie bez opieki policji. Mówił, że, być może, wpadł pan w ręce gangsterów albo innych podejrzanych osobników.

— I wówczas wspomniała mu pani o moich kontaktach z Dawsonem — dopowiedziałem resztę, a ona skinęła głową.

— Tak. Jego obawy się sprawdziły. Jest pan w rękach gangsterów. Bo kimże innymi są ów Dawson i Leticia? Co miało znaczyć to porwanie mnie z ulicy? I jak długo zamierzają nas więzić?

— Ależ, panno Florentyno — zaproponowałem — nikt mnie nie więzi. Znajduję się tutaj dobrowolnie. Ralf Dawson jest moim najbliższym współpracownikiem.

— Dawson? To szaleniec albo oszust — stwierdziła kategorycznie.

Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu tłumaczyć jej wszystkiego. Postanowiłem wrócić do śmigłowca. Wkrótce odnalazła nas Teresa i przypomniała, że zaraz opuszczamy dolinę.

— Szykuj się, mój mężu, do dalszej drogi — oświadczyła. — Ralf zabiera kilka skrzynek ze skrytki za wodospadem i natychmiast odlatujemy do Cartageny, gdzie podobno już czeka gotowy do drogi jacht „La Paloma”.

Na widok Teresy duże, czarne oczy Florentyny zwięziły się w wąskie szparki, a potem jej spojrzenia jak ostre sztylety wbiły się w plecy odchodzącej.

— Kim jest ta osóbką? I jakim prawem zwróciła się do pana: „mój mężu”?

— To Teresa van Hagen — wyjaśniłem z niewinną miną. — Posiada hacjendę w górach Sierra Nevada. A poza tym jest moją żoną.

— Co takiego?! Ożenił się pan? — tchu jej zabrakło.

— Nie całkiem. To znaczy, nie ożeniłem się, lecz mimo to jestem żonaty.

— To niemożliwe, panie Tomaszu. Pan nie mógł tego zrobić — powiedziała z wyrzutem w głosie Florentyna.

Zirykowało mnie jej bezczelne wtrącanie się w moje prywatne życie. Teresa van Hagen nie była faktycznie moją żoną, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby stała się nią naprawdę.

— Nie rozumiem, co panią obchodzi moje małżeństwo. Mam żonę i koniec.

Obrażona Florentyna zamilkła. Korzystając z tego w krótkich zdaniach opisałem jej swój pobyt w sanatorium doktora Alvareza i trzech sympatycznych wariatów, którzy teraz czekali na nas na jachcie „La Paloma”. Uświadomiłem jej, jakie wielkie popełniła głupstwo, udając się do inspektora Esponozy, co zmusiło mnie do pobytu w hacjendzie Teresy van Hagen. Wspomniałem o przygodzie z grzechotnikiem, o naszej wędrówce do Diabelskiej Doliny, o przygodzie z jaguarem i Robinie, i o tym, w jaki sposób Teresa odbiera tajemne sygnały od Ralfa. Wyjawiłem też, na czym polega nasz plan dotarcia do skradzionych przedmiotów.

— Pani pasjonuje się sprawami UFO — rzekłem na koniec. — Ma pani teraz jedyną szansę w życiu, aby poznać człowieka z UFO. Znajdujemy się w słynnej Diabelskiej Dolinie, w której lądują latające spodki. Rozmowy z Dawsonem wzbogacą pani wiedzę o UFO tysiąc razy bardziej niż korespondowanie z największymi UFO-logami.

Florentyna wysłuchiwała mnie z uwagą i w skupieniu. Potem odeszła trzy kroki, zatrzymała się i popatrzyła z tej odległości z wyrazem politowania.

— Drogi panie Tomaszu — powiedziała. — Być może wasz plan dotarcia do kryjówki złodziei jest rzeczywiście bardzo dobry. Być może Ralf Dawson, Teresa van Hagen, Leticia Lucinante oraz udający wariatów osobnicy z sanatorium doktora Alvareza pomogą panu w dotarciu do celu. Ale niech pan się ich strzeże, bo nie czynią tego bezinteresownie. Są prawdopodobnie konkurencyjną bandą gangsterów, która innej bandzie, a także i panu, zamierza sprzątnąć sprzed nosa owe skarby. Nie wmówi mi pan, że Dawson naprawdę wysiadł z UFO. Ci z UFO to małe, zielone ludziki z antenami na głowach. Mówiłam to panu wiele razy.

— Ależ, panno Florentyno — zaoponowałem. — Ja mam na to dowody.

— Jakie? Niech mi pan pokaże pudełeczko do stwarzania bariery czasu.

— Nie mam go. Przed chwilą musiałem je zwrócić Dawsonowi.

— No tak, oczywiście, musiał pan je zwrócić — przytaknęła z ironią. — Zdradzę panu, że ja także potrafię usiąść na ziemi, zamknąć oczy, wyjąć notes i zacząć pisać wymyśloną depeszę od Marczaka.

— A Robin? — zapytałem. — Co pani myśli o Robinie?

— To zwykły pies. Dog arlekin.

— A jednak wkrótce zamieni się w małego ślimaczka — oświadczyłem.

Roześmiała się głośno:

— I pan w to wierzy, Tomaszu? O Boże, jakież pan naiwny... Wyjaśnię panu tajemnicę pańskich halucynacji. Po prostu, jak mi pan sam opowiadał, jadł pan kawałki jakiegoś kaktusa. Czytałam w książkach, że na tych terenach rosną rośliny, które mają działanie narkotyczne, właśnie kaktusy. Pan został odurzony, panie Tomaszu. Na szczęście ja zachowałam zdrowy rozsądek.

Od strony śmigłowca doszło mnie wołanie Dawsona:

— Tomaszu! Jesteśmy gotowi do drogi.

— Niech pani posłucha, panno Florentyno. Jeśli nie chce pani wrócić natychmiast do dyrektora Marczaka, proszę ze mną nie dyskutować, tylko wykonywać polecenia służbowe. Jestem brygadierem i odpowiadam za zlecone mi zadania. Może sobie pani wierzyć w zielone ludziki, ale musi pani bezwzględnie stosować się do moich rozkazów! Zrozumiano?

— Tak — odparła bez większego przekonania.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

DLACZEGO ROBIN NIE ZAMIENIŁ SIĘ W ŚLIMAKA? • PORT I MIASTO CARTAGENA • WYZNANIA LETICII LUCINANTE I TRYUMF FLORENTYNY • NA JACHCIE „LA PALOMA” • PIĘKNA POKOJÓWKA • NIE UMIEM GRAC ROLI MILIONERA • WYŻSZOŚĆ DON GABRIELA • ROZMOWY O UFO • PODEJRZENIA FLORENTYNY

Śmigłowiec, którym mieliśmy odlecieć z Diabelskiej Doliny, był znacznie większy od tego, jakim podróżowałem z Teresą. Dopiero podczas wsiadania do niego odkryłem, że ma na drzwiach napis „Wiadomości Bogoty”. Dawson posłużył się redakcyjną maszyną, ponieważ musiał z Doliny zabrać więcej osób, a także chyba jakieś pakunki, które z tajemniczego miejsca za wodospadem przeniósł do kabiny w tym czasie, gdy ja dyskutowałem z Florentyną.

Leticia, Teresa i panna Florentyna rozsiadły się już w kabinie (tym razem znowu pilotować miała Teresa i zajęła miejsce za sterami), jeszcze tylko Ralf, ja i Robin pozostaliśmy na ziemi. Byłem ciekawy, w co teraz zamieni się Robin i chciałem, aby stało się to na oczach Florentyny.

— Mogę wziąć go do kieszeni — zaofiarowałem się. — Obiecał, że zamieni się w ślimaka.

— To niemożliwe — pokręcił głową Ralf. — On już nie powinien ulegać żadnym przekształceniom. Robiny w Przyszłości dokonują swoich przekształceń najwyżej trzy albo cztery razy podczas całego życia. Zużywają na takie przekształcenie się dużą ilość energii życiowej. Mój Robin, niestety, jako strażnik Doliny, musiał to czynić wiele razy. Jego energia życiowa jest już na wyczerpaniu. Nie wiem, ile mu jej jeszcze pozostało. Dlatego nie chcę ryzykować i stać się świadkiem jego śmierci. Zabierzemy go jako psa i niech takim pozostanie aż do chwili, gdy przekształci się po raz ostatni, odchodząc wraz ze mną w Przyszłość. Pomóż mi go wsadzić do kabiny śmigłowca.

Florentyna nie słyszała wyjaśnień Ralfa. Dlatego gdy pomagaliśmy psu wskoczyć do kabiny, miała tryumfującą minę. Z początku zamierzałem wyjaśnić jej tę historię, ale zrezygnowałem. Tak naprawdę nie zależało mi na tym, aby Florentyna uwierzyła, że Dawson jest człowiekiem z Przyszłości. Byłem — wyznaję to szczerze — zainteresowany Teresą van Hagen i Florentyna nie liczyła się dla mnie. Z największą chęcią odesłałbym ją przez Paryż do Warszawy, lecz w obecnych warunkach było to niemożliwe. Postanowiłem traktować ją jako zło konieczne i nie wdawać się z nią więcej w żadne dyskusje o UFO.

Jak na złość, już w kabinie, panna Florentyna pogłaskała Robina po łbie, tak jak się głaszcze zwykłego psa, ten zaś pomerdał ogonem, okazując jej przyjazne uczucia. Przez chwilę byłem nawet o to zły na niego, bo mógł przynajmniej na tę osobę zawarczeć. On jednak uznał ją za kogoś bliskiego. Skoro Dawson nie okazywał wrogości pannie Florentynie, to i on, Robin, musiał się zachowywać podobnie.

Odlecieliśmy do Cartageny niemal ocierając się o pokryte śniegiem wyniosłe szczyty gór Sierra Nevada de Santa Marta. Krzykliwe afisze w hotelu Hilton w Bogocie informowały: „Cartagena jest perłą Morza Karaibskiego, to słoneczne muzeum historii, klucz nowego świata”... W rzeczywistości zobaczyć tam można naprawdę bardzo stary port i miasto, założone przez hiszpańskich zdobywców jeszcze w tysiąc pięćset trzydziestym trzecim roku. Kiedyś odgrywało ogromną rolę. Tutaj przyływały statki z Hiszpanami, stąd czyniono wyprawy w głąb lądu i podbijano kolumbijskich Indian. Stąd także odpływały do Hiszpanii okręty wypełnione złotem. Po dawnej świetności Cartageny pozostał jednak tylko obronny zamek San Felipe i zabytkowe działa na jego murach oraz stare miasto ściśnięte na niewielkiej przestrzeni. Zamek San Felipe jest zresztą nieudolną rekonstrukcją, ten prawdziwy dawno legł w gruzach. Albowiem Cartagena straciła swoje znaczenie; dogodniejszym portem dla statków okazał się port w Barranquilla, położony bezpośrednio u ujścia rzeki Magdaleny. Tak więc Cartagena to miejscowość interesująca przede wszystkim turystów, którzy odpoczywają na okolicznych plażach i znużeni słońcem znajdują chwile ochłody w cienistych i podobnych do mrocznych wąwozów wąskich uliczkach starego miasta. Nowa Cartagena to dwa potężne rurociągi naftowe zbudowane w szybkim tempie. Tuż obok zaś wielkie fabryki, banki, port wojenny i handlowy, nowoczesne arterie komunikacyjne. Istnieją więc obok siebie jak gdyby trzy Cartageny: ta stara, zabytkowa, ta przemysłowa oraz trzecia — wielkie kąpielisko, miejsce wypoczynku.

Nasz śmigłowiec wylądował na dużej płycie lotniska położonego poza miastem. Zapadał zmierzch. Dawson oświadczył nam, że dopiero pod osłoną ciemności przedostaniemy się do basenu jachtowego, gdzie miał na nas czekać motorowy jacht „La Paloma”. Na jachcie byli już Rodrigo de Cunillo, don Gabriel i jego dwaj obrońcy oraz Burt Duncan. Wyobrażałem sobie, jak ta trójka pensjonariuszy sanatorium dla nerwowo chorych świetnie bawi się w swoich nowych wcieleniach. Don Gabriel znalazł okazję, aby dokuczyć rodzinie don Stefano, zaś Rodrigo i Burt spodziewali się przeżyć pasjonującą przygodę. Co do mnie jednak — odczuwałem pewien niepokój. Przede wszystkim nie miałem pewności, czy don Casanova da się nabrać na mistyfikację z osobą milionera Thomasa van Hagen. A poza tym przecież nie będziemy mogli zwrócić się do niego z bezpośrednią propozycją kupna zabytków skradzionych z magazynów muzeum, gdyż to mogłoby obudzić jego podejrzenia. Co zrobimy, jeżeli Casanova zechce nam dostarczyć jakieś inne dzieła sztuki skradzione dawniej?

Wraz z nastaniem nocy pojawił się Burt Duncan w wypożyczonym, niedużym samochodzie. Nie mógł nim zabrać wszystkich wraz z pakunkami. Ralf Dawson musiał coś jeszcze załatwić w Cartagenie, więc on wsiadł pierwszy do wozu, razem z nim odjechała Teresa oraz Robin. Ja z Florentyną i pakunkami miałem pojechać za drugim razem. Leticia Lucinante też została, ponieważ postanowiła odprowadzić śmigłowiec redakcyjny do Bogoty.

Byłem ciekawy wszystkiego, co dotyczyło ludzi z Przyszłości. Wykorzystałem więc okazję, jaką był odjazd Dawsona, i zapytałem pannę Lucinante, czy i ją pasjonują sprawy UFO oraz czy napisze kiedyś o Dawsonie jako o człowieku z Przyszłości.

Roześmiała się:

— Ralf Dawson nie jest człowiekiem z Przyszłości. To jego opowiadanie o poszukiwaniu zagubionego przez UFO przedmiotu traktuję jako nieszkodliwe dziwactwo. O ile wiem, pochodzi z bardzo zamożnej, angielskiej rodziny, nudzi mu się w sanatorium, dlatego nie

widzę nic nadzwyczajnego w tym, że pragnie sobie życie urozmaicić i szuka przygód. Jeżeli uda się wam trafić na ślad złodziei, wówczas zgodnie z moją umową z Dawsonem, nasza gazeta jako pierwsza otrzyma w tej sprawie pełne informacje, co pozwoli podnieść nakład pisma.

Florentyna zachichotała radośnie:

— Słyszysz pan, panie Tomaszu? Ta pani jest o wiele rozsądniejsza od pana. Dawson nie jest człowiekiem z UFO, bo musiałby być małym, zielonym ludzikiem.

Udałem, że nie usłyszałem jej złośliwej uwagi.

— A jednak, panno Lucinante, w Dawsonie jest coś dziwnego i zastanawiającego. Ma niezwykłą intuicję...

— I zdolności do hipnozy — przytaknęła panna Lucinante. — Tak, zgadzam się, to niezwykła osobowość. Byłam u niego w sanatorium. Ma tam specjalny warsztat i małe laboratorium, w którym konstruuje dla zabawy przeróżne, dziwne przedmioty. Ale wszystko, co czyni, pozostaje w granicach naszych norm. Owszem, podobnie jak pani Teresa van Hagen, ma zdolności parapsychiczne. To ich zbliżyło do siebie. Ale niech mi pan wierzy, znam go kilka lat i nie dopatrzyłam się żadnych cech, które potwierdzałyby jego opowieść o pochodzeniu z Przyszłości.

Zamilkłem, choć mogłem jej opowiedzieć o Robinie, o Diabelskiej Dolinie, która zapewne kryła wiele tajemnic. Pomyślałem jednak, że Ralf Dawson celowo stwarza wrażenie, że jest nieszkodliwym dziwakiem. Albowiem, jeśli kiedyś będzie musiał powrócić w Przyszłość, nikt nie powinien wiedzieć, że ludzie z Przyszłości potrafią przenosić się w nasze czasy. Tam, w jego domu w sanatorium, uwierzyłem w opowieść o katastrofie wehikułu czasu. Fakt, że wszyscy traktowali Ralfa jako nieszkodliwego dziwaka, a jednak informowali go o wszelkich interesujących sprawach, a także wykonywali posłusznie jego polecenia — utwierdzał mnie w przekonaniu, że jest jednak tym, za kogo się podaje. Tak właśnie powinien być postępować prawdziwy człowiek z Przyszłości. Mówić prawdę, ale w taki sposób, aby nikt tej prawdy nie brał poważnie. I nie ingerować w czas teraźniejszy.

W milczeniu doczekałem chwili, gdy znowu pojawił się Burt Duncan. Pożegnałem pannę Lucinante, przeniosłem do samochodu wszystkie pakunki i razem z panną Florentyną, klucząc ulicami Cartageny, pod osłoną ciemności podjechaliśmy do basenu portu jachtowego.

„La Paloma” był chyba największym jachtem motorowym, jaki stał u nabrzeża. Jeden z sanitariuszy don Gabriela, ubrany teraz w strój marynarski, zaprowadził mnie do części dziobowej jachtu, a Florentynę do części rufowej. Jako rzekomy właściciel „La Palomy” otrzymałem najbardziej luksusową kabinę, sąsiadującą z podobną, zajętą teraz przez Teresę. Moja rzekoma małżonka ubrana w piękną, wieczorową suknię (w pakunkach, które przywiózł śmigłowcem Dawson, były eleganckie stroje dla niej i dla mnie) zaprosiła mnie do swej kabiny na kolację. Podał ją nam osobiście don Gabriel, bardzo pociesznie wyglądający w białym kitlu.

— Cudownie się bawię, Señor Cochecito — zapewniał mnie. — Ta przygoda działa na mnie uzdrawiająco. Proszę sobie wyobrazić, że nie czuję się już jak zrobiony ze szkła. Podobnie ozdrowieńczy proces zaszedł w Duncanie i w Rodrigu. Duncan zapomniał, że jest Tarzanem,

a Rodrigo przestał uważać się za ptaka i w swej kabine kapitańskiej z największym zapałem wykreśla na mapach trasę naszej podróży do Rodadero.

No cóż, dla niego i innych to była tylko zabawa. Inaczej dla mnie i Dawsona. Niestety, tej nocy nie mogłem z nim porozmawiać. Don Gabriel poinformował mnie, że Ralf zamknął się w swej kabine i prosił, żeby nikt nie zakłócał mu spokoju. Zauważyłem, że Teresa również wygląda na bardzo zmęczoną, więc zaraz po kolacji udałem się do siebie. Była głęboka noc, z pokładu nad moją głową dochodziły kroki i szmer przesuwanych pakunków. Potem nastąpiła cisza i wreszcie kadłub jachtu zadygotał od pracy silnika. Gdy spojrzałem przez bulaj, stwierdziłem, że światła portu w Cartagenie powoli oddalają się. Odpłynęliśmy wreszcie i nie pozostało mi nic innego, jak położyć się w wygodnej koi.

Obudziło mnie skrzyknięcie drzwi szafy ukrytej w ścianie kabiny. Młoda pokojówka w czarnej, krótkiej sukience, białym fartuszką i z koronkową przepaską na czarnych włosach klęczała na środku kabiny, wydając z walizek eleganckie garnitury i bieliznę. Następnie wszystkie te rzeczy rozwieszała w szafie.

— Czy te jedwabne koszule i wspaniałe garnitury, to wszystko dla mnie, proszę pani? — zapytałem, unosząc głowę znad poduszki.

— A pewnie. Tylko bardzo wątpię, czy potrafi pan nosić te rzeczy. Nadaje się pan do roli milionera jak ja do opery.

To była Florentyna, której zapewne polecono grać na jachcie rolę pokojówki.

— Pan, Señor Cochecito, zupełnie się nie nadaje na milionera — powtórzyła ironicznie.

— Moja żona podjęła się reprezentowania nas na zewnątrz.

— Do roli jej męża też się pan nie nadaje. Wygląda pan przy niej jak nie przymierzając pliszka przy pawiu. Ów don Casanova byłby ostatnim głupcem, gdyby nie zauważył podstępu. Ona potrafi grać rolę wielkiej damy, ma chłodną i imponującą urodę, natomiast pan wygląda na chłoptysia, który najlepiej czuje się w podartych dżinsach i sztruksowej koszuli.

— A jeśli ona wyszła za mnie za mąż dla moich pieniędzy, he? — zapytałem.

— Nie wygląda pan na człowieka, który potrafił zarobić miliony — zakpiła Florentyna. — Dlaczego się pan nie przejrzy w lustrze? Te okularki na nosie, ten roztargniony wzrok, skromność i uczciwość po prostu wypisane na twarzy. Czy taki osobnik potrafi zarobić miliony? Nie pomogą najelegantsze koszule i garnitury. Pan do takich wytwornych rzeczy nie pasuje. Co innego don Gabriel, z którym tej nocy, z braku miejsca, musiałam dzielić kabinę. To jest ktoś, proszę pana. Przegadaliśmy całą noc, sącząc jakieś wytworne trunki i pokrzepiając się wykwinnymi potrawami. On się zna i na trunkach, i na dobrym jedzeniu. Rzecz jasna, od razu się czuje, że to ktoś, kto zrobił fortunę nieuczciwie. Ale właśnie taki osobnik kupuje sobie piękną i wytworną żonę oraz chce nabyć kradzione dzieła sztuki, żeby ozdobić nimi swój dorobkiewiczowski dom. Panu w ogóle nie przejdą przez usta słowa: „Chciałbym kupić skradzione dzieła sztuki”. Pan nie potrafi powiedzieć czegoś takiego w sposób naturalny. W panu przecież wszystko się aż burzy na myśl, że ktoś kupuje kradzione zabytki.

Czułem, że ma rację, ale nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Dlatego byłem zły.

— Niech pani sobie stąd idzie, mam zamiar wstać z koi, a nie chcę razić pani oczu widokiem swej nagości.

Florentyna była chyba naprawdę trochę wstawiona po nocnej biesiadzie z don Gabrielem. Pogardliwie machnęła ręką.

— Niech pan nie przesadza, Panie Samochodzik, z tą swoją nagością. Nie mam piętnastu lat i widok mężczyzny w majteczkach nie będzie dla mnie żadnym wstrząsem psychicznym. Niech pan od razu powie, że to pan jest wstydlivy jak piętnastolatka.

Skierowała się jednak ku drzwiom. Na odchodnym powiedziała drwiąco:

— A tak w ogóle, dżentelmenerii mógłby się pan uczyć od don Gabriela, choć to zwykły gangster. Wieczorem przyniósł rozmaite trunki i wytworne potrawy, co chwila opowiadał po włosku jakiś dowcip. Z takim jak on mężczyzną kobieta przez całą noc się nie nudzi. I chociaż niewyspana, czuje się potem bardzo dobrze.

Wreszcie opuściła moją kabinę. Pośpiesznie ogoliłem się i umyłem w malutkiej umywalce, potem zajrzałem do szafy, wybrałem sobie białą, jedwabną koszulę oraz biały garnitur z tropiku. Tak przyodziany wyszedłem na pokład.

Słońce stało już dość wysoko; owiał mnie ciepły wiatr i poczułem słony zapach morza. To nie był Bałtyk, ale Morze Karaibskie — ciepłe i w słońcu niemal szmaragdowe. Dziób jachtu z głośnym sykiem piany rozbijał niewysokie fale. A nad głowami widziało się czyste, błękitne niebo.

Pokład wydał mi się bezludny. Dopiero rozejrzawszy się nieco uważniej, dostrzegłem na dziobie samotnie stojącego Ralfa, który zdawał się patrzeć w kierunku niewidocznego brzegu. Podobnie jak i ja miał na sobie garnitur z białego tropiku, ale głowę zakrywał mu biały kapelusz z szerokim rondem.

Powitałem go, a on zapytał:

— Jadłeś śniadanie?

A kiedy zaprzeczyłem, zaprosił mnie do swej kabiny, znacznie mniejszej od mojej, lecz równie wygodnej. Na dywaniku koło koi spał Robin. Na mój widok podniósł się, polizał mi rękę, pomachał ogonem i położył się znowu.

— Źle znosi nawet najmniejsze kołysanie jachtu — wyjaśnił Dawson. — Prosił, abym pozwolił mu się zamienić w mewę, ale nie zgodziłem się z wiadomych ci względów.

Cieszyłem się, że nareszcie znaleźliśmy się sam na sam i będziemy mogli przedyskutować nasz plan działania, który począł we mnie budzić wątpliwości. Ale zanim rozpoczęliśmy rozmowę, Ralf poszedł do kambuza i po dość długiej nieobecności wrócił z tacą pełną jedzenia.

— Musiałem sam wszystko przygotować — wyjaśnił. — Coś mi się zdaje, że nasz kucharz, czyli don Gabriel, przez całą noc biesiadował z twoją współpracowniczką. Teraz śpi jak kamień w swojej koi.

— A nasz steward, Burt Duncan? — spytałem.

— Właśnie zaczął się raczyć koniakiem z panną Florentyną — roześmiał się Dawson.

— A Rodrigo?

— No, ten na szczęście poważnie traktuje swoje obowiązki. Całą noc prowadził jacht i oświadczył, że nie odejdzie od koła sterowego, dopóki nie zacumujemy w Rodadero. Oprócz dwóch sanitariuszy don Gabriela, ma do dyspozycji swoją stałą załogę: mechanika i oficera. Myślę, że bezpiecznie dotrzemy do celu.

— Czy jest na jachcie nadajnik radiowy lub telegraf?

— Oczywiście. Czy chciałbyś przekazać w świat jakąś wiadomość?

— Tak. Zależy mi na kontakcie z inspektorem Esponozą — oświadczyłem.

Nie wyglądał na zaskoczonego. Nawet nie zapytał, po co mi kontakt z człowiekiem, który prawdopodobnie w tej chwili przy pomocy swoich tajnych agentów poszukuje mnie na terenie całej Kolumbii. Poczułem się jednak w obowiązku wyjaśnić mu tę sprawę.

— Obawiam się — powiedziałem — że don Casanova nie będzie aż takim głupcem, aby wskazać nam miejsce, gdzie don Stefano kryje swoje łupy. W najlepszym razie zechce nam odsprzedać jakieś skradzione dzieło sztuki, które ma u siebie. Pomyślałem, że gdybyśmy w anonimowej wiadomości wskazali Esponozie don Casanovę jako osobnika związanego ze sprawą włamania do muzeum, inspektor tak by go osaczył, że Casanova bałby się pod okiem policji pertraktować z nami. Być może byłby zmuszony dać nam jakiś inny adres, gdzieś poza terenem Kolumbii i poza czujnym okiem Esponozy. W ten sposób uchwycilibyśmy koniec nitki prowadzącej do kłębka. Gangsterzy zechcą szybko pozbyć się skradzionych rzeczy, ponieważ utrzymanie samego gangu jest niezwykle kosztowne, zainwestowali też zapewne mnóstwo pieniędzy we włamanie do Muzeum Złota, w ów laser i tak dalej. Będą się starali sprzedać komuś część swych łupów, i to bez względu na niebezpieczeństwo.

— Masz rację — skinął głową Ralf. — Kiedy o tym pomyślałeś?

— Wczoraj wieczorem na lotnisku w Cartagenie. Chciałem nawet porozmawiać z tobą, ale nie było okazji.

Ralf uśmiechnął się pogodnie.

— To ciekawe, Tomaszu, jak myśli detektywów, niezależnie od tego, z jakiego pochodzą czasu, krążą po tych samych drogach. Otóż ja także wczoraj wieczorem o tym pomyślałem. Dlatego pierwszy wsiałem do samochodu Duncana, aby coś załatwić w mieście. To „coś” było właśnie anonimową depeszą wysłaną do Esponozy. Myślę, że jeszcze dziś don Casanova znajdzie się w opałach. Prawdopodobnie ma już na karku policję, przeprowadzono u niego rewizję, wie, że będzie pod stałą obserwacją. To, rzecz jasna, utrudni nam nawiązanie z nim

kontakty, ale zarazem ułatwi osiągnięcie głównego celu. Czuję się też w obowiązku poinformować cię, Tomasz, że gdy na skutek powrotu do Bogoty panny Florentyny i jej wizyty w komisariacie policji musiałeś uciekać w góry, u mnie zjawił się Esponzoza. Zawarłem z nim coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy. On nie będzie nam przeszkadzał w naszej pracy, a my w zamian za to, jeśli to będzie możliwe, podzielimy się z nim sławą po odzyskaniu zrabowanych dzieł sztuki.

— Słusznie — przytaknałem. — Biuro Koordynacyjne nie ma uprawnień policji. Nie możemy, na przykład, aresztować sprawców rabunku. Nie mam nic przeciw temu, aby to uczynił Esponzoza.

Kończąc śniadanie, oświadczyłem Dawsonowi:

— Musimy zmienić plan działania. Nie nadaję się do roli milionera i męża Teresy. O wiele lepiej uczyni to don Gabriel.

— Tak sądzisz?

— Skradzione dzieła sztuki kupują ludzie, którzy wzbogacili się szybko, i to niezbyt legalnymi sposobami. Don Gabriel nie będzie musiał „grać” roli takiego osobnika. On przecież jest właśnie taki.

— No cóż, chyba masz rację — zgodził się Ralf.

I jeszcze tego popołudnia, zaraz po zacumowaniu w porcie jachtowym Rodadero, don Gabriel przeniósł się do mojej kabiny, a ja znalazłem się w jednym pomieszczeniu z Florentyną. Moja współpracowniczka nie ucieszyła się z owej zmiany, choć była bardzo zadowolona, że posłuchałem jej rady.

— Wiem, że będzie mi z panem bardzo nudno — powiedziała z kwaśną miną. — Gotowa jednak jestem do największych poświęceń.

Po południu odbyłem też z Ralfem krótką naradę, związaną z konsekwencjami zamiany ról — mojej i don Gabriela. Z moim zdjęciem był paszport na nazwisko Thomasa van Hagen, ale należało przypuszczać, że Casanova nie spróbuje legitymować don Gabriela. Istniało jednak inne niebezpieczeństwo. Któryś z gangsterów otaczających don Casanovę mógł rozpoznać w don Gabrielu „ojca chrzestnego” konkurencyjnej mafii z Chicago. Lecz Ralf Dawson okazał się znakomitym charakterizatorem, posiadał zresztą świetnie wyposażoną walizkę z rzeczami potrzebnymi do zmiany wyglądu każdego człowieka. Na twarz don Gabriela naciągnął specjalną, gumową maseczkę, wypacykował ją, przykleił wąsiki, a łysawą głowę przyozdobił mu wspaniałą, czarną peruką. Burt Duncan wynajął w Rodadero odkrytą limuzynę i jeszcze tego samego wieczoru Teresa van Hagen i don Gabriel kilkakrotnie przejechali po promenadzie ciągnącej się wzdłuż plaży. Przy promenadzie stały okazałe wille milionerów oraz eleganckie hotele — ich mieszkańcy mogli widzieć piękną panią van Hagen w długiej sukni, z szyją owiniętą najdroższymi perłami. Obok niej siedział rozparty wygodnie zażywny jegomość z grubym cygarem w ustach. Don Gabriel rozglądał się po Rodadero z takim wyrazem twarzy, jak gdyby gotów był tę miejscowość kupić w ciągu jednej chwili. Również nasz jacht „La Paloma” budził dużą sensację wśród turystów. Był największy i najpiękniejszy ze wszystkich, które tu przypląnęły tego lata.

Przekonałem Dawsona, że w związku z kłopotami, jakie zapewne don Casanova ma z policją kolumbijską, nie będzie sam skory do nawiązania kontaktu z państwem van Hagen. Zdecydowaliśmy, że późnym wieczorem do willi Casanovy uda się Burt Duncan. On już kiedyś kupował od niego skradzione dzieła sztuki. Teraz pojawi się u Casanovy w poufnej misji od swego przyjaciela, señora van Hagen, z którym odbywa podróż dookoła świata, i zaprosi go na „La Palomę”. Taka wizyta nie narażała przecież Casanovy na żadne kłopoty. On musiał zresztą robić interesy dla swego gangu i nie mógł odrzucić propozycji kontaktu z kimś, kto był gotów nabyć skradzione dzieła sztuki. Jeżeli nie teraz, to w przyszłości. Dobrego klienta żaden przedstawiciel gangu nie odprawi tak od razu z kwitkiem.

Wszystko stało się zgodnie z planem. Obecność w Rodadero bogatego małżeństwa Holendrów wzbudziła ogólne zainteresowanie, odpowiednio silne wrażenie wywołała przejażdżka pary bogaczy w otwartym samochodzie po głównej promenadzie. Don Casanova życzliwie przyjął Burta Duncana i obiecał, że nazajutrz wieczorem pojawi się z wizytą na jachcie „La Paloma”. Ta wizyta miała zadecydować o naszym sukcesie lub klęsce — ogarnęło mnie uczucie niepokoju i nie opuściło aż do wieczora następnego dnia.

Kabinę, jak to zostało powiedziane, dzieliłem teraz z Florentyną. Aby oddalić od siebie owo sam na sam, niemal do północy przesiedziałem z Dawsonem, rozmawiając z nim o najróżniejszych sprawach i bawiąc się z Robinem, który od momentu zacumowania jachtu czuł się znacznie lepiej. Wyznaję, że niezwykle polubiłem tego psa, bo też i mojego poprzedniego doga, Protazego, kochałem. A Robin tak bardzo przypominał tamtego, utraconego na zawsze.

Przy okazji zapytałem Dawsona, co będzie, gdy odnajdzie zagubiony przez UFO przedmiot. W jaki sposób zawiadomi o tym innych ludzi z Przyszłości. Dał mi wyczerpującą odpowiedź. Otóż ów przedmiot posiada specyficzną właściwość: gdy Dawson podziała na niego jakimś środkiem chemicznym, natychmiast rozpadnie się. Z tym faktem związane będzie zadziwiające zjawisko — oto ulegający zniszczeniu przedmiot przekaże bardzo silny impuls w Przyszłość. Ten impuls zostanie odebrany przez ludzi żyjących w Przyszłości jako znak, że zakończyła się misja Dawsona. I natychmiast w rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty wyślą wehikuł czasu po Ralfa.

— Zabierzesz ze sobą Robina i innych ludzi z Przyszłości — pomyślałem głośno. — Zapewne także zniszczysz wszelkie ślady swojej obecności w naszym czasie.

— Tak. Zabiorę z sobą wszystko, co będę mógł — odpowiedział zagadkowo.

— A mnie, Ralf? Czy mógłbyś mnie z sobą zabrać w Przyszłość?

— Tak. Mógłbym to uczynić, gdybym wiedział, że na przykład chorujesz na nieuleczalną chorobę i lada dzień umrzesz. Albo że za tydzień zabije cię jakiś gangster. W przeciwnym razie byłoby to niemożliwe. Nikt mi bowiem nie może zaręczyć, że wkrótce nie ożenisz się, nie będziesz miał potomstwa, a to znaczy, że zabierając cię z Teraźniejszości, przeciąłbym jednocześnie łańcuch przyszłych wydarzeń.

Żałowałem, że naszej rozmowy nie słyszy Florentyna. Ale ona nie dałaby się przekonać Dawsonowi. Z maniackim uporem wierzyła, że w UFO przylatują na ziemię małe, zielone ludziki.

Żegnając się ze mną przed udaniem się na spoczynek, Ralf dotknął przyjaźnie mego ramienia i rzekł:

— Wiem, że nie marzysz o tym, aby opuścić swój czas, choć zapewne ciekawi cię, jak wygląda daleka Przyszłość. Czekalby cię tam jednak „szok Przyszłości”, równie straszna choroba jak „szok Przeszłości”. Musiałbyś całe lata powoli przystosowywać się do tego, co zobaczyłbyś w Przyszłości. To bardzo ryzykowne, Tomaszu. Nie wiem, czy potrafiłbyś żyć w moim czasie, podobnie jak ja z największym trudem żyję w twoim czasie. Nawet nie przypuszczasz z jak wielkim trudem.

I nagle zauważyłem zmianę na jego twarzy. Stała się szara, pobrużdżona, z wyrazem nieludzkiego zmęczenia w oczach. Ralf Dawson przygarbił się jak starzec. Lecz już po chwili znowu odmłodził, wyprostował plecy, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dobranoc, Tomaszu — szepnął.

Najciszej jak tylko potrafiłem wśliznąłem się do kabiny zajmowanej z panną Florentyną. Przy jej koi paliła się nocna lampka, zapewne Florentyna czekała na mnie, ale ponieważ ubiegłej nocy biesiadowała z don Gabrielem, zmęczenie wzięło górę i zasnęła. Zakradłem się do swojej koi, szybkoitko wdziałem pidżamę i ukryłem się pod prześcieradłem.

Następny dzień spędziłem jak bogaty turysta na urlopie. Don Gabriel i Teresa odbyli jeszcze jedną paradę odkrytym samochodem po promenadzie w Rodadero, a ja, Rodrigo, panna Florentyna oraz Dawson leniuchowaliśmy. Był lipiec, jeden z najbardziej upalnych miesięcy w tych stronach. Słońce prażyło tak ostro, że dłużej niż kwadrans nie potrafiłem wytrzymać w jego palących promieniach. Rodrigo kazał rozpiąć nad częścią rufową jachtu coś w rodzaju dachu z płótna namiotowego, pod owym dachem rozstawiono leżaki i stół z chłodzącymi napojami oraz owocami: ananasami, bananami i pomarańczami, jako że właśnie nadeszła pora dojrzewania tych owoców.

Pożyczyłem od Rodriga jego kapitańską lornetkę i ze swego leżaka obserwowałem Rodadero, notując w pamięci oglądane przez powiększające szkła fasady pięknych, białych willi ukrytych w zieleni palm i rzędy wysokich wieżowców, w których — jak się dowiedziałem od Rodriga — bogaci mieszkańcy Bogoty posiadali własne apartamenty. Wokół domów kwitły czerwone i żółte hibiscusy. Kąpielisko to było rzeczywiście bardzo ładne, a przede wszystkim posiadało cudowne tło — ogromny maszyn gór Sierra Nevada de Santa Marta. Na jachcie pławiliśmy się w upale, mrużyliśmy oczy od blasku słońca i złotego piasku wybrzeża, woda wokół miała dwadzieścia dziewięć stopni ciepła, a tam, niezbyt daleko, białął śnieg na stokach gór i w mgłach tonęły najwyższe szczyty Bolivar i Pico Colon.

Po zatoce z rykiem silników pędziły motorówki, ciągnące narciarzy wodnych, przy kei cumowały setki jachtów żaglowych i motorowych. Ten i ów jacht odpływał lub przyplęwał skądś w pełnej gali białych albo różowych żagli. Czy można sobie wyobrazić piękniejsze miejsce i wspanialszy widok? Tak, to były naprawdę cudowne godziny w ów dzień oczekiwania na wizytę don Casanovy. Nigdy ich nie zapomnę...

Tymczasem Dawson przyprowadził na pokład, w cień płóciennego dachu, Robina. Od czasu do czasu usiłował ziejącego od upału psa ochłodzić kubelkiem wody nabieranej z morza, ale to nic nie pomagało. Ralf zaprowadził go więc z powrotem do kabiny. Chciałem i ja zejść pod pokład, lecz nagle tuż obok mnie znalazł się leżak Florentyny, która oświadczyła, że pragnie

odbyć ze mną poufną rozmowę po polsku. Uważałem, że rozmawianie w obcym języku w towarzystwie przyjaciół, którzy tego języka nie znają, jest nietaktowne. Na szczęście Dawson zszedł z Robinem pod pokład, a Rodrigo wskoczył do ciepłej wody i pływał wokół jachtu.

— Nocą wśliznął się pan do naszej kabiny jak złodziejaszek — powiedziała. — Gdzie pan był tak długo?

— Rozmawiałem z Dawsonem. I niech pani sobie wyobrazi, mówiliśmy o UFO-logii.

— A cóż Dawson może wiedzieć na ten temat? — wzgardliwie rzekła Florentyna. — Nie rozumiem, dlaczego człowiek tak rozsądny i doświadczony jak pan daje się nabrać na oszukańczą historię z ludźmi przybywającymi tu z Przyszłości w fantastycznych wehikułach czasu.

— Historia, którą opowiedział mi Ralf, ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Bardzo długo mu nie ufałem. Ale w końcu dałem się przekonać.

Florentyna zwróciła ku mnie swoją twarz. Ciemne okulary nie pozwalały widzieć jej oczu, z tonu głosu domyśliłem się, że są pełne szyderstwa.

— Pan nie zna tylu języków, ile ja, panie Tomaszu. Słyszałam na własne uszy, jak Dawson zdradził się w rozmowie prowadzonej po francusku z panią van Hagen, że kontaktował się ostatnio z Esponozą. Wynika z tego, że za pańskimi plecami knują coś z policją.

— Wiem o tym, Ralf sam mi to powiedział.

— Z don Gabrielem rozmawiał po włosku.

— Czy też coś knuł z nim za moimi plecami?

— Rozmawiali po włosku o rozmaitych potrawach. Jednak w innej rozmowie z panią van Hagen Dawson napomknął, że gdy wpadniecie na trop przestępców, pan musi jakiś czas być odizolowany i na niej spoczywa to zadanie.

— To zrozumiałe. On chce przede mną trafić do skradzionych zabytków, aby zniszczyć przedmiot, który zgubił wehikuł czasu.

— Ech, panie Tomaszu. Chyba nic już pana nie przekona o podwójnej grze Dawsona. Nasza rozmowa nie ma sensu. Pan zdaje się o kilka godzin za długo przebywał w sanatorium doktora Alvareza.

Przerwaliśmy rozmowę, gdyż na jacht weszli Teresa, don Gabriel i Burt Duncan, którzy przy nabrzeżu wysiedli z samochodu. Wprawdzie do wieczora pozostało jeszcze kilka godzin, należało jednak bardzo starannie przygotować się do wizyty don Casanovy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

WIZYTA DON CASANOVY • JAK SIĘ ZACHOWUJE CZŁOWIEK „NADZIANY”
PIENIĘDZMI • WYSPY DZIEWICZE • KRAINA SZCZĘŚLIWOŚCI • BAZA

STRATEGICZNA I HOTEL DON PEDRA • NOWY PLAN DZIAŁANIA • DAWSON
WYKONUJE POLECENIE OJCA • PROTESTY FLORENTYNY

Don Gabriel zachował się wspaniale. Podobnie świetnie grała swoją rolę Teresa van Hagen. Ukryta starannie kamera telewizyjna przekazywała nam na monitor do kabiny Dawsona każde słowo i gest: surowe zmarszczenie brwi don Gabriela, rozkoszne minki, które robiła Teresa, i pełen zatroskania wyraz twarzy don Casanovy. Don Casanova nie ukrywał, że jest zaszczycony możliwością znalezienia się przed obliczem aż tak bardzo bogatego człowieka i był wyraźnie zmartwiony, że nie potrafi sprostać życzeniom bogacza. Jego wyobrażenie o tym, jak powinien się zachować osobnik naprawdę opływający w pieniądze zdobyte pośpiesznie i niezbyt uczciwie potwierdziło się. Taka jak don Gabriel była chyba większość bogatej klienteli, nabywającej za jego pośrednictwem kradzione dzieła sztuki. W luksusowo wyposażonym saloniku kapitańskim (bo tam nastąpiło spotkanie) don Casanova czuł się tak onieśmielony, że nawet nie wypił do końca cocktailu z oszronionej szklanki. To wstawał raptownie, to znów przykucał w fotelu, nie mając odwagi przerwać potoku słów płynących z ust milionera. A ten, nie wyjmując z ust grubego cygara i wyraźnie okazując Casanovie swoją pogardę, perorował:

— Nie ukrywam, panie Casanova, że jestem człowiekiem bogatym. Bardzo bogatym. Tak, nadzianym pieniędzmi jak tłusty bażant truflami. Mógłbym kupić całe Rodadero wraz z jego hotelami i pensjonatami, ale nie lubię robić kiepskich interesów. Nie ukrywam też, że zarobiłem swoje pieniądze ciężką pracą głowy i rąk, a teraz coś mi się od życia należy. Czy nie tak, don Casanova?

— Tak jest, señor van Hagen — pośpiesznie potakiwał Casanova, mężczyzna niskiego wzrostu, chyba Meksykanin, w nieskazitelnej koszuli, czarnym krawacie i w białym jak śnieg garniturze.

— Czy widzi pan moją piękną i młodą żonę, panie Casanova?

— Tak, señor. To prawdziwa piękność.

— Ona jest nie tylko piękna, ale i kocha piękno, panie Casanova. To osoba subtelna, z duszą artystki, a mnie stać na to, aby ją otoczyć pięknem. Do diaska, stać mnie na to, aby moja piękna żona miała w Amsterdamie najpiękniejszy dom w mieście. Stać mnie czy nie stać, panie Casanova?

— Zapewne pana stać — gorliwie przytakiwał Casanova, bo człowiek, który mówił z taką pewnością siebie, nie mógł być ubogi.

— Powtarzam: ona chce mieć najpiękniejszy dom i, do diaska, ja postanowiłem, że ona będzie miała taki dom.

— Ja nie buduję domów, señor — nieśmiało zaproponował Casanova.

— Czy ja chcę, żeby mi pan zbudował dom? Ja bym panu nie powierzył postawienia nawet zwykłej lepianki, panie Casanova. Korzystam tylko z usług najlepszych fachowców. A kimże pan jest, panie Casanova?

— Właśnie, kim ja jestem dla pana?

— Nie mam pojęcia. Może zwykłym pętkiem, a może człowiekiem, który wie, jak zarobić trochę dolarów — zagrział ostro don Gabriel. — Dom to są ściany, pan rozumie? A na ścianach musi coś wisieć. Najlepiej, żeby to było coś dużego i w złotych ramach. W bardzo pięknych ramach, panie Casanova.

Przerwała mu Teresa van Hagen. Uśmiechnęła się przeproszająco do Casanovy i powiedziała słodkim głosem:

— Ach, panie Casanova. Proszę wybaczyć mojemu mężowi, ale on, niestety, nie zna się na pięknie. Obrazy Rembrandta nie były wcale duże, prawda? A ja, chciałabym mieć Rembrandta i van Dycka, i van Gogha...

Don Gabriel otoczył się wielkim kłębem dymu. I znowu zahuczał jego potężny głos:

— Czy pan słyszy, panie Casanova? Moja żona zna się na rzeczy. W moim domu będą też różne półki, półeczki, stoliczki, oszklone szafki. Tam muszą być takie... no, pan chyba wie, no, fidrygałki z porcelany i ze złota. Tak, do diaska, nawet ze złota. To ma być piękny dom, pan pojmuję? I żeby mi to nie były żadne tam podrabiane fidrygałki i obrazki, ale prawdziwe. Bo ja mam przyjaciół, panie Casanova. Moi przyjaciele muszą aż pozielenieć z zazdrości, kiedy mnie odwiedzają. Oczywiście, rozumiem, że rzeczy, które chcę posiadać, nie zdobywa się łatwo i nie każdemu należy je pokazywać. Ale może pan być pewien, że do mojego domu policja nie będzie przychodzić na kolacje, a tylko starzy i dobrzy przyjaciele. A poza tym pieniądze lecą na łeb, na szyję, więc chciałbym w dziełach sztuki ulokować trochę swego kapitału. Nikt tych rzeczy, jeśli będą „trefne”, nawet nie powącha, tylko poleżą u mnie w sejfie. Czy rozumiemy się, panie Casanova? I czy jest pan człowiekiem, którego potrzebuję?

Wtrąciła się Teresa ze słodkim uśmiechem:

— Wiem, że o prawdziwego Rembrandta jest dziś niezwykle trudno. To samo tyczy obrazów van Dycka czy van Gogha. Dlatego, jeśli się taki obraz znajdzie w moim domu, to będzie w takim salonie, do którego nikt oprócz najbliższych przyjaciół nigdy nie zagląda. Ale ja muszę mieć obraz Rembrandta. Czytałam w gazecie, że pewna aktorka z Hollywood ma całą kolekcję obrazów Matisse'a i Cezanne'a. A czy ja jestem od niej brzydsza? Czy ja nie mogę mieć w swoim domu czegoś podobnego?

— A ja chciałbym duży obraz w złotej ramie — dorzucił don Gabriel. — I mnóstwo rozmaitych fidrygałków. Mogą być z porcelany, ale lepiej, żeby były pozłacane albo ze złota, bo takich fidrygałków żadna służąca miotłą nie strąci z półki i nie potłucze.

Don Casanova zaczął się niespokojnie wiercić w fotelu. Na jego twarzy na przemian pojawiał się wyraz radości i niepokoju. Wreszcie, gdy don Gabriel sięgnął po szklankę z cocktailem, ośmielił się oświadczyć:

— Państwo trafili pod dobry adres i do właściwego człowieka. Wielce szanowny pan Duncan, który mnie tu do państwa zaprosił, był moim klientem i o ile się orientuję, nie żałuje transakcji, jakie ze mną zrobił. Dzięki mnie zdobył tanio wspaniałą kolekcję dzieł sztuki, a przede wszystkim starej broni.

— Mnie broń nie ciekawi — wykrzywiła usteczka Teresa. — Ja chcę Rembrandta.

— Rozumiem łaskawą panią i podzielam jej upodobania.

— A ja muszę mieć fidrygałki — zahuczał don Gabriel.

— Też podzielam pańskie upodobania — pośpiesznie zgodził się z nim don Casanova. — Rzecz w tym, że państwo trafili do właściwego człowieka, ale nie we właściwym czasie.

Don Gabriel aż zakrztusił się cocktailem.

— Co mają znaczyć pańskie słowa? — zawołał z oburzeniem. — Czy nie ma pan niczego ciekawego do sprzedania? To jaki interes pan prowadzi? Tandetny sklepik czy wielki biznes? Przecież ja chcę panu płacić w prawdziwych banknotach Stanów Zjednoczonych.

Don Casanova nabożnie złożył ręce, a potem je załamał w geście rozpaczki:

— Pan dobrze trafił, panie van Hagen. Ja prowadzę naprawdę duże interesy i pragnę zawsze być do usług takich klientów jak pan. Jest sprawą oczywistą, że posiadam to i owo do sprzedania, nawet złocone drobiazgi by się znalazły. Ale czy szanownemu państwu wiadomo, że nie tak dawno w stolicy naszego kraju było włamanie do Muzeum Złota i od tego czasu policja działa jak szalona? Proszę sobie wyobrazić, że dziś rano przeprowadzili mi w domu rewizję. Tak, najprawdziwszą rewizję. Jestem podejrzany o udział w tym włamaniu i śledzony przez policję. W tej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na sprzedawanie żadnych rzeczy.

Don Gabriel łyknął potężny haust cocktailu i oświadczył po pewnym namyśle:

— Czytałem o tym włamaniu. Podobno skradziono mnóstwo złotych przedmiotów. Coś takiego by mnie interesowało.

Don Casanova zerwał się z fotela i zaczął szybko mówić:

— Nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Jestem zwykłym handlarzem starzyzną. Na karku siedzi mi policja z inspektorem Esponozą na czele. Nie chcę w ogóle o tym słyszeć. I w tej sytuacji nie mogę nic dla państwa zrobić. Ludzie inspektora szli za mną aż tutaj, wiedzą więc, że goszczę na pańskim jachcie. Kto wie, czy wkrótce na pokładzie nie zjawi się policja i nie dokona rewizji tylko dlatego, że don Casanova złożył panu uszanowanie. Co by się stało, gdyby znaleźli tu obraz van Dycka?

Don Gabriel roześmiał się rubasznie.

— Czy ja wyglądam, panie Casanova, na człowieka, który nigdy nie miał do czynienia z policją? O policję niech pana głowa nie boli. Ten jacht nie zawsze nazywał się „La Paloma”. I nie zawsze woził mnie i moją piękną żonę.

Casanova popatrzył na don Gabriela z nieukrywanym szacunkiem:

— Pan jest dobrym klientem. Inni żądają, aby im dostarczać różne stare rzeczy przez granice, aż do ich domów. Albo chcą robić interesy już poza wodami terytorialnymi. Bóg widzi, jak

bardzo pragnę dogadać się z panem. Ale nie mogę. Śledzi mnie Esponoza, a to diabeł wcielony. Obawiam się, że gdy tylko zechcę zajrzeć do swego składziku, on trafi tam po moim tropie i będę siedział w więzieniu przez długie lata. Pan zresztą wie, że ja jestem tylko skromnym przedstawicielem wielkiej firmy i nic nie mogę zrobić na własną rękę. Moi zwierzchnicy żądają pieniędzy za dostarczony mi towar, a ja boję się coś sprzedać, bo mam na karku Esponozę.

— W takim razie pan zbankrutuje — oświadczył gromko don Gabriel.

Casanova niemal zapłakał z rozpacz:

— Oj, tak, tak, panie van Hagen. Najprawdopodobniej grozi nam bankructwo.

Teresa van Hagen zaczęła popłakiwać, cieniutką chusteczkę podniosła do oczu.

— To znaczy, że ja nie będę mogła urządzić sobie pięknego domu — łkała.

Don Gabriel uderzył się dłonią po kolanie.

— To pan, panie Casanova, doprowadził do łez moją żonę. Ja tego nie mogę puścić płazem! Za taki postępek zostanie pan wytargany za uszy.

Don Gabriel tupnął nogą w podłogę kabiny i do saloniku wpadło natychmiast dwóch jego sanitariuszy w strojach marynarzy. Casanova przestraszył się.

— Niech señora nie płacze. Ja wszystko załatwię tak jak trzeba. Będzie pani miała najpiękniej urządzonej dom w Amsterdamie.

Teresa otarła chusteczką oczy, don Gabriel założył nogę na nogę, zapalił nowe cygaro i odprawił marynarzy.

— Proszę mówić, panie Casanova — rzekł. — Ostrzegam jednak, że drogo mi pan zapłaci za każdą łzę mojej żony.

Casanova opróżnił szklanekę, nabrał w piersi tchu i oświadczył:

— Dla państwa zrobię wyjątek i doradzę, gdzie będziecie mogli zaopatrzyć się w rzeczy, które są wam potrzebne. Tu, w Rodadero, jest to niemożliwe z powodu wścibstwa policji. Ale przecież odbywacie podróż dookoła świata i co wam szkodzi zawitać na Wyspy Dziewicze. To niezbyt daleko stąd, panie van Hagen.

— Hm! — chrząknął don Gabriel. — A po cóż miałbym płynąć na Wyspy Dziewicze?

Don Casanova wstał z fotela i podszedł do mapy Morza Karaibskiego rozwieszanej na ścianie saloniku.

— Wyspy Dziewicze, señor, wchodzą w skład Małych Antyli. Pański kapitan bez trudu do nich dopłynie. Należą one do Stanów Zjednoczonych. Ale jedna z nich, położona na skraju archipelagu, jest wyspą brytyjską. Zwie się, nie wiadomo dlaczego, po hiszpańsku „La Jauja”, co znaczy Kraina Szczęśliwości, znajduje się na niej piękny hotel dla turystów zagranicznych

z plażą i zacisznym portem. Ten hotel prowadzi mój przyjaciel don Pedro. Zawiadomię go telegraficznie o pańskiej wizycie i gdy pan przybędzie do wyspy swoim jachtem, zostanie pan tam powitany jako miły gość.

— Mnie wszędzie witają jako miłego gościa — powiedział don Gabriel. — A witają mnie tak, ponieważ mam dużo pieniędzy. Nie rozumiem tylko, w jakim celu mam odwiedzać jakąś bezludną wysepkę z parszywym hotelem, skoro chętnie mnie powitają na Florydzie albo Galapagos.

Don Casanova usiadł i powiedział ledwo dosłyszalnym szeptem:

— W hotelu mojego przyjaciela don Pedra zatrzymuje się wielu interesujących ludzi, a oni miewają ciekawe przedmioty. Pana piękna małżonka nie wyleje już żadnej łzy, a pan będzie mógł wydać na swoje drobiazgi dużo banknotów.

Don Gabriel zamyślił się, zerknął na mapę, później znowu popatrzył na Casanovę. Wreszcie oświadczył:

— Nic nie stoi na przeszkodzie, aby mój kapitan poprowadził „La Palomę” do Krainy Szczęśliwości. A teraz może sobie pan już pójść.

Nie trzeba było tego powtarzać Casanovie. Ukłonił się uniżenie Teresie oraz Gabrielowi i ulotnił się z saloniku. Jak oparzony wyskoczył na pokład, przebiegł po trapie i dopiero na molo w świetle dużej latarni przystanął i otarł pot z czoła. Następnie dotknął delikatnie swoich uszu, jak gdyby upewniając się, czy nie doznały żadnego szwanku. Znowu otarł pot z czoła i rażnym krokiem ruszył do domu.

— Wspaniale, cudownie — pogratulowałem don Gabrielowi i Teresie, wchodząc wraz z Dawsonem do saloniku.

— Ma pan talent aktorski — przyznał Dawson, choć chyba się mylił. Don Gabriel nie grał żadnej roli, po prostu był sobą, zachowywał się tak, jak przez całe swoje gangsterskie życie.

Dawson podszedł do mapy i odnalazł na niej Krainę Szczęśliwości.

— Mówiłem wam, że don Stefano kupił jakąś wyspę i tam trzyma swoje łupy — tryumfował don Gabriel. — Teraz wiemy, gdzie to jest.

Należało działać, i to jak najszybciej. Razem z Dawsonem popędziliśmy do kabiny nawigacyjnej i poprosiliśmy Rodriga de Cunillo, aby przy pomocy krótkofalówki nawiązał kontakt z Leticją Lucinante. Po czterech godzinach, to jest o północy, Dawson zapukał do kabiny zajmowanej przeze mnie i Florentynę. W rękę trzymał kartkę z informacjami, jakie nadeszły od panny Lucinante. Usiadł na mojej koi i odczytał:

— Wysepka La Jauja, podobnie jak inne Wyspy Dziewicze, jest pochodzenia wulkanicznego. Jeszcze przed dwudziestu laty była zupełnie nie zamieszкана (ma niewiele ponad pięć kilometrów kwadratowych powierzchni). W okresie tak zwanej zimnej wojny, a także w związku z powstaniem socjalistycznej Kuby, Wyspy Dziewicze uznane zostały za ważne pod względem strategicznym, panują bowiem nad cieśniną Anegada, łączącą Atlantyk z Morzem Karaibskim i dalej z Kanałem Panamskim. Z tego względu Stany Zjednoczone rozpoczęły na

tych wyspach budowę baz wojskowych. Wkrótce za ich przykładem także i Brytyjczycy na wyspie La Jauja zaczęli wznosić rozmaite wojskowe budowle i umocnienia, bazę radarową, nasłuchową i lotnisko. Po ograniczeniach w budżecie wojskowym, jakie nastąpiły w okresie międzynarodowego odprężenia, zrezygnowali jednak z tego kosztownego przedsięwzięcia. Na wysepce La Jauja pozostały nie dokończone budowle wojskowe, teren pod lotnisko oraz duży hotel z kasynem. Przed czterema laty ów nie wykorzystany i niszczący hotel wynajął od władz w Road Town niejaki don Pedro de Aristizabel, Hiszpan z pochodzenia. Zorganizował na wyspie ośrodek wypoczynkowy dla bogatych turystów, którym oferuje luksusowo urządzone pokoje hotelowe, port jachtowy oraz plażę. La Jauja utrzymuje łączność z ośrodkiem administracyjnym w Road Town na wyspie Tortola przy pomocy własnego śmigłowca i łodzi motorowej. Miejsca w ośrodku rezerwować można we wszystkich większych biurach turystycznych, a także w Road Town. Trzeba mieć wizę brytyjską i tranzytową wizę USA. Aby dostać się na La Jauja, najlepiej jest polecieć samolotem do San Juan na Puerto Rico i tam wynająć mały samolot do Road Town. Stamtąd zabiera turystów śmigłowiec albo łódź motorowa właściciela ośrodka wypoczynkowego La Jauja.

Spojrzałem na Dawsona, a on zerknął na mnie. Tym razem to ja postanowiłem zabawić się w odczytywacza cudzych myśli i kiwnąłem głową, że zgadzam się na propozycję, której nie wypowiedział głośno. Aby mieć pewność, że właściwie odgadłem kierunek jego myśli, powiedziałem:

— Musisz jutro załatwić dla nas wizy w konsulacie brytyjskim i amerykańskim w Santa Marta. Trzeba się też dowiedzieć, czy z tutejszego lotniska startują samoloty do San Juan na Puerto Rico. Może zajrzemy także do biura podróży i zarezerwujemy dwa miejsca w hotelu La Jauja.

Florentyna głośno zaprotestowała:

— A ja? My wszyscy — zrobiła dłonią ruch obejmujący cały jacht. — Co będzie z nami? Wy, zdaje się, macie zamiar tylko we dwóch odwiedzić owego don Pedra.

Odpowiedział jej Ralf:

— Popłyniecie na „La Palomie”. Myślę, że za tydzień lub najdalej dziesięć dni spotkamy się na La Jauja. Oczywiście będziemy udawali, że się nie znamy i nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ja i Tomasz znajdziemy się tam wcześniej, aby zorientować się, co to za miejsce...

Wczepiła się palcami w moje ramię, jak drapieżny ptak w swoją ofiarę:

— Nie zgadzam się. Przyrzekłam dyrektorowi Marczakowi, że w żadnej sytuacji nie opuszczę pana Tomasza. On nie zna hiszpańskiego, a także języka suahili oraz papiamento. A właśnie tam, być może, trzeba będzie się porozumieć w którymś z tych języków.

— Pani się myli — odrzekł Dawson. — W języku papiamento mówi się na Antylach Holenderskich. Natomiast brytyjskie Wyspy Dziewicze, jak sama nazwa wskazuje, należą do...

— Ta sprawa nie ma żadnego znaczenia — Florentyna wciąż wpijała swe palce w moje ramię. — Rzecz w tym, panie Dawson, że, jak już powiedziałam, dyrektor Marczak polecił mi opiekować się panem Tomaszem.

— Myślę, że moja opieka wystarczy — roześmiał się Ralf.

— Wiem, co pan ma na myśli — odparła buńczucznie. — Zastosuje pan hipnozę albo jakąś swoją sztuczkę, gdyż uważa się pan za człowieka z UFO. Niestety, ja się na tych sprawach dobrze znam, ponieważ jestem UFO-logiem. Nie zamierzam z panem na ten temat dyskutować, ale musi pan wiedzieć, że nie uważam go za człowieka z UFO, tylko za bardzo podejrzanego osobnika. I dlatego nie zostawię Tomasza w pana rękach. Oświadczam, że jeśli nie weźmiecie mnie ze sobą, skontaktuję się z inspektorem Esponozą.

— Ależ to szantaż! — zawołałem z oburzeniem.

Ralf uśmiechnął się pobłażliwie:

— Esponoza niewiele pani pomoże, panno Florentyno. Nie warto ukrywać faktu, że zawarliśmy z nim ciche porozumienie. Jeśli odnajdziemy zrabowane dzieła sztuki, nie tylko Biuro Koordynacyjne, ale i on będzie sławny. To dzięki Esponozie nasz miły don Casanova został tak osaczony przez policję, że musiał nam podać adres don Pedra. Przykro mi, ale pani strój, panno Florentyno, zbyt rzuca się w oczy. Zdaje się, że cała Bogota mówiła o pani tunice i naszyjniku...

— Założę inny strój — zdecydowała Florentyna, wzdychając ciężko.

Teraz ja się wtrąciłem. Zapytałem ją ostro:

— Przepraszam, ale w jakim charakterze zamierza pani lecieć z nami na La Jauja?

— A wy, w jakim charakterze tam lecicie? — odparowała zaczepnie.

Okazało się, że Dawson miał już gotowy plan.

— Pochodzę ze starej, angielskiej rodziny, panno Florentyno. Podsunę im wersję, że mój ojciec służył w jednostce saperskiej i w swoim czasie na wyspie La Jauja odbywał służbę wojskową, budując tam bazę strategiczną. Ta sprawa bardzo się liczy w jego życiu i postanowił nie przekazywać mi swego majątku, dopóki nie przekonam się naocznie, w jak trudnych warunkach służył swej ojczyźnie. Dlatego wybieram się ze swoim przyjacielem na La Jauja.

— Ja... mogę być żoną pana Tomasza... — wyjąkała Florentyna.

— To niemożliwe. Macie różne nazwiska w paszportach — zauważył Dawson.

— Mogę być narzeczoną...

Chciałem zaprotestować, ale Ralf poparł Florentynę.

— To nie jest zła myśl — oświadczył. — Ba, w tej chwili sędzę, że jest to nawet wspaniały pomysł. Jeśli wyspa La Jauja okaże się miejscem, którego szukamy, przybycie dwóch samotnych mężczyzn, mimo mej wersji, może obudzić podejrzliwość don Pedra. Gdy zjawimy się w towarzystwie młodej kobiety, będzie to wyglądać znacznie naturalniej.

— A tak, tak! — gorliwie podchwyciła Florentyna.

I na tym stanęło. Na zakończenie rozmowy Dawson wziął nasze polskie paszporty (nie chciałem się posługiwać fałszywym paszportem, aby to nie powodowało jakichś kłopotów) i obiecał nazajutrz załatwić osobiście sprawy wizowe, kupić bilety do San Juan, odwiedzić Biuro Podróży w Santa Marta. Byłem zadowolony, że w prasie, choć wiele o mnie pisano, nigdy nie wymieniono mego nazwiska, a zawsze używano określenia El Señor Cochecito. Moje nazwisko nie mogło więc obudzić żadnych podejrzeń don Pedra. Domyśliłem się także, dlaczego Dawson postanowił sam, bez naszego udziału, zająć się sprawami wiz, biletów i rezerwacją miejsc w hotelu na wyspie. Miał paszport brytyjski, a poza tym potrafił szczerze rozdzielać napiwki.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

LOT DO PUERTO RICO • WYSYŁAM ZASZYFROWANĄ DEPEZĘ • W ROAD TOWN
• DZIWNE BIURO PODRÓŻY • KTO ZNA TAJEMNICZE HASŁO? • CO GROZI
TURYSTOM W KRAJNIE SZCZĘŚLIWOŚCI • DON PEDRO NAS WITA • PIERWSZE
GODZINY NA LA JAUJA • ZATRUTA SAŁATKA • ODPORNI NA MESKALINĘ

Nazajutrz, dokładnie o godzinie zero zero, z lotniska w Santa Marta niewielki turbośmigłowiec uniósł mnie, Florentynę i Dawsona w kierunku wyspy Puerto Rico do miejscowości o nazwie San Juan. W tym samym czasie jacht „La Paloma” z pełnymi zbiornikami paliwa odpłynął z Rodadero i najdalej za dziesięć dni miał znaleźć się w porcie wyspy La Jauja.

Florentyna zgodnie z obietnicą zmieniła strój, ale jak zwykle trochę przesadziła. Gdy na lotnisku zdjęła z siebie elegancki płaszczek pożyczony od Teresy van Hagen, ze zdumieniem stwierdziłem, że nosi najkrótszą sukienkę, jaką można sobie wyobrazić, a na moją uwagę, że mini są niemodne, odparła, że właśnie ta moda znowu powraca do łask.

Leciliśmy w nie najlepszych nastrojach. Wprawdzie Ralf Dawson bez trudu załatwił wizy i kupił bilety na samolot, ale w biurze podróży w Santa Marta poinformowano go, że nie mogą dla nas dokonać rezerwacji miejsc w hotelu La Juaja, ponieważ od dwóch lat ów ośrodek nie zgłasza chęci przyjmowania turystów. Odlatywaliśmy więc z Kolumbii nie mając żadnej pewności, czy w ogóle przyjmą nas na La Jauja.

Bez przeszkód i w zaplanowanym terminie wylądowaliśmy na międzynarodowym lotnisku San Juan. Kończyła się tropikalna noc. Dawson udał się na poszukiwanie prywatnego samolotu, który zamierzał wynająć do przelotu na Tortola. Florentyna i ja, pilnując bagaży, zajęliśmy miejsca w poczekalni lotniska. Zauważyłem urząd pocztowy i postanowiłem skorzystać z okazji, aby nadać swoją pierwszą zaszyfrowaną depeszę do Connora i Marcza.

Wyjąłem więc z torby podróżnej przekazaną mi przez Connora Biblię i zgodnie z instrukcją zacząłem w notesie redagować tekst. Moje zainteresowanie Biblią zaskoczyło Florentynę.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że tak bardzo lęka się pan podróży samolotem — oświadczyła. — Raptem stał się pan religijny.

— A pani nie wierzy w Boga?

— Nie.

— Ale przecież wierzy pani w małe, zielone ludziki z antenami na głowach...

— To co innego. Taka wiara nie przeszkadza mieć naukowego poglądu na świat. Zresztą to nie jest żadna wiara. Wielu ludzi spotkało się z zielonymi ludzikami z UFO.

— Biblia jest bardzo piękną książką — oświadczyłem. — Pomaga w medytacjach.

Odsunąłem się od Florentyny, dając jej do zrozumienia, że moje medytacje wymagają samotności i skupienia. Trochę się na mnie obraziła, ale to pozwoliło mi zaszyfrować tekst depeszy. Poinformowałem w niej Connora, że najprawdopodobniej znajduję się już na tropie przestępców i udaję się obecnie na wyspę Tortola. O dalszej swej działalności powiadomię go w odpowiednim czasie. I nim przyszedł Dawson, nadałem depeszę w urzędzie pocztowym.

Ralf wrócił z wiadomością, że znalazł pilota, właściciela samolotu, który utrzymuje się z lotów czarterowych.

W godzinę później znowu znajdowaliśmy się w powietrzu nad Morzem Karaibskim. Samolot był małym dwupłatowcem, leciał wolno i nisko. Silnik charczał i dyszał, jak gdyby w każdej chwili groziła mu awaria i w jej następstwie upadek do morza. Raz po raz zresztą trafialiśmy w jakąś dziurę powietrzną i gwałtownie opadaliśmy w dół, a potem z taką samą gwałtownością i rykiem silnika wznosiliśmy się wyżej. Samolot był przystosowany do wożenia ładunków, a nie pasażerów, w kabinie znajdowały się wąskie i niewygodne ławeczki. Nic tedy dziwnego, że wkrótce Florentyna zbladła i poczuła się niedobrze. Ja tę podróż znośłem nieco lepiej, natomiast Ralf jak gdyby zupełnie nie odczuwał huśtawki. Uśmiechał się i podtrzymywał na duchu Florentynę. Na lotnisku w Road Town wysiadła tak osłabiona, że musiałem ją podtrzymać, bo byłaby upadła. W tej sytuacji Ralf postanowił wynająć pokój w hotelu, gdzie Florentyna mogłaby odpocząć. Na szczęście dość szybko znaleźliśmy taksówkę, która nas i nasze bagaże zawiozła do hotelu o dumnej nazwie Continental. Hoteli i pensjonatów było tu sporo, a to ze względu na coraz bardziej rozwijającą się turystykę, stanowiącą poważne źródło dochodów mieszkańców Tortoli.

Miasteczko przypadło mi do gustu. Większość domów zbudowana została w holenderskim stylu kolonialnym i tylko hotele wyróżniały się nowoczesnością. Postawiono je nad morzem, każdy posiadał własną plażę, moło i sprzęt wodny do wynajęcia. Obsługa była przeważnie murzyńska, a hotele zamieszkiwali biali — sporo Niemców z RFN, obywatele USA, Anglików, Francuzów i Holendrów. Ten fakt sprawił, że nasza trójka nie zwróciła niczyjej uwagi. Potraktowano nas jak jeszcze jedną, małą grupkę turystów, która przybyła z zimnej Europy, aby rozkoszować się podzwrotnikowym klimatem Tortoli.

Florentynę położyliśmy do łóżka w chłodnym, klimatyzowanym pokoju, potem poszliśmy na poszukiwanie biura podróży. Było ich w Road Town kilka, na ogół przedstawicielstw wielkich firm. Ku naszemu zdumieniu przekonaliśmy się, że żadne z renomowanych biur podróży nie oferowało miejsca w hotelu na wyspie La Jauja. Owszem, słyszano, że znajduje się tam jakiś ośrodek wypoczynkowy, ale od dawna nikt stamtąd nie zgłaszał chęci przyjęcia turystów. Proponowano nam wypoczynek na wyspie Anegada, na Virgin Gorda, a także wyspie Van Dycke.

Zbliżał się wieczór, podzwrotnikowy upał zaczynał słabnąć i ulice miasteczka powoli wypełniał tłum mieszkańców i turystów. Na tarasach kawiarni zapalono kolorowe lampiony. Stanęliśmy na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic i nie wiedzieliśmy, co robić dalej. Kilku pucybutów, młodych Murzynów, zwróciło na nas uwagę. Obskoczyli nas i zachowywali się tak natrętnie, że musieliśmy pozwolić wyglansować sobie trzewiki. I to był szczęśliwy zbieg okoliczności. Zapytałem dzieciaka, który czyścił mi buty, o biuro podróży. Odpowiedział w łamanej angielszczyźnie, że małe, prywatne biuro podróży znajduje się o kilka kroków od nas, tuż za rogiem ulicy.

Bez trudu odnaleźliśmy obskurne pomieszczenie z brudną szybą wystawową oklejoną afiszami reklamującymi Paryż, Londyn i Rzym. Za niskim kontuarem siedziała Murzynka, a że w całym pomieszczeniu było mroczno, widzieliśmy wyraźnie tylko białka jej oczu. Gdy Dawson wyłożył naszą sprawę, to jest pragnienie spędzenia kilkunastu dni w hotelu na wyspie La Jauja, oczy Murzynki — białe punkciki w mroku — stały się o wiele większe.

— Ależ, panowie — zaczęła mówić bardzo szybko po angielsku — po co wam La Jauja? Mamy na Wyspach Dziewiczych tyle pięknych ośrodków wypoczynkowych, luksusowych i tanich. Nie ma potrzeby, abyście jechali tak daleko. Bo do La Jauja jest daleko.

— My lubimy jeździć daleko — powiedziałem. — Gdyby było inaczej, siedzielibyśmy w swoim domu, w Europie.

Białe punkciki zaczęły co chwila znikać, co znaczyło, że Murzynka raz po raz mruga powiekami.

— Ależ, panowie. La Jauja ma niedobrą sławę. To nie jest miejscowość dla dżentelmenów. Owszem, mam dużo wolnych miejsc w hotelu na La Jauja, ale nikt ich nigdy nie wynajmuje. A jeśli nawet coś takiego się zdarzy, to robią to ludzie zupełnie inni, na pewno nie dżentelmeni. Ta miejscowość cieszy się złą sławą, ponieważ wojsko pozostawiło tam swoje budowle. Opowiadają, że część wysepki jest zaminowana, a inna część skażona radioaktywnie. Wielu gości, którzy kiedyś zdecydowali się ją odwiedzić, wracało z nadwątlonym zdrowiem.

Dawson zwiesił głowę. Wyglądał na zrozpaczonego, ale zarazem zdecydowanego.

— Ja muszę, señora, odwiedzić to przekłete miejsce — oświadczył. I opowiedział jej historię swego ojca.

— Co do mnie, przenigdy nie opuszczę swego przyjaciela — dorzuciłem.

Murzynka niemal nas błagała:

— Nie róbcie tego, panowie. Szczerze wam odradzam. Wróćcie chorzy, a ja będę was miała na sumieniu. Don Pedro, obecny właściciel hotelu, nie lubi gości. Zresztą od trzech lat, to jest od czasu, gdy rozeszła się wieść, że wysepka ma część terenu skażoną radioaktywnie, mało kto chce tam wypoczywać. Don Pedro mówi, żebym z tego względu odradzała gościom odwiedzanie La Jauja, bo nie bierze odpowiedzialności za ich zdrowie. Chyba że taki gość powie hasło...

Te słowa wyrwały się jej w ferworze przemówienia. Biedaczka przeraziła się i umilkła.

— Hasło — podchwyciłem obojętnym głosem i zacząłem szperać po kieszeniach. — Miałem gdzieś zapisane hasło, ale zdaje się, że je zgubiłem...

— To panowie znają hasło? — ucieszyła się.

— A tak. Oczywiście. Czy w przeciwnym razie zgłaszalibyśmy się do pani? — rzekł Dawson.

Murzynka odetchnęła z ulgą:

— No, jeśli panowie znają hasło, to mogę zapewnić wam miejsca w hotelu La Jauja.

— Trzy miejsca. Jest z nami także dziewczyna — oświadczyłem.

Zapaliła lampę na kontuarze, który był zarzucony jakimiś papierzyskami. Wyszperała spośród nich trzy blankiety i wypełniła, zapewniając nam pobyt w La Jauja na okres trzech tygodni.

— Jutro rano przybędzie tu łódź motorowa — poinformowała nas wręczając blankiety. — Zacumuje w głównej przystani. Poznacie ją po napisie „La Jauja” na dziobie i na rufie. Pokażecie te blankiety i motorówka zabierze was na wyspę.

Dawson zapłacił za nasz trzytygodniowy pobyt dość drogo jak na tutejsze warunki. Skierowaliśmy się do drzwi, ale zatrzymało nas wołanie Murzynki.

— Ej, panowie. Przecież wy nie podaliście mi hasła. Zupełnie o tym zapomniałam...

Zdrętwiałem. Mieliśmy już załatwiony pobyt na wyspie gangsterów, a tymczasem ten jeden drobny szczegół mógł wszystko uniemożliwić. Jak sparaliżowany stałem w drzwiach obskurnego biura i nie wiedziałem, co odpowiedzieć na pytanie Murzynki.

I raptem stało się coś zadziwiającego. Twarz Dawsona przybladła, oczy stały się nieruchome i szkliste. Jednocześnie czarne oblicze Murzynki odrobinę zszarzało.

— El Dorado — usłyszałem po chwili zduszony głos Ralfa. — El Dorado — powtórzył nieco głośniejsze.

Murzynka potrząsnęła głową, jak gdyby budząc się z krótkiego snu.

— Panowie znają hasło, więc wszystko jest w porządku. Dziękuję panom.

Na ulicy spojrzałem wymownie na Ralfa, a on potwierdził moje domysły.

— Tylko nie sądz, Tomaszu — ostrzegł mnie — że potrzebne mi wiadomości potrafię telepatycznie lub przy pomocy hipnozy wyciągnąć od każdego człowieka. Jeśli jakiś osobnik stawia wewnętrzny opór, kontakt telepatyczny czy hipnotyczny jest niemożliwy. Ta Murzynka już nam wydała skierowania na La Jauja i bardzo chciała, żebyśmy jej powiedzieli to hasło.

Dawson był zdania, że przeskoczyliśmy najważniejszą przeszkodę i na La Jauja potraktują nas przyjaźnie. Ja miałem inny sąd o tej sprawie. Murzynka była naiwna, ale na pewno don Pedro do takich nie należał.

— Niestety, nie wyglądamy na gangsterów — powiedziałem. — Na nic się nie zda nawet najlepsza sztuka aktorska. Obawiam się, że na La Jauja zajrzy nam w oczy prawdziwe niebezpieczeństwo i bardzo żałuję, że zabraliśmy ze sobą Florentynę.

Ralf Dawson wciąż był jednak dobrej myśli:

— Zgodnie z informacjami, jakie nam przekazał don Gabriel, banda don Stefano posiada wyspę, na której gromadzi zabytkowe przedmioty kradzione na całym świecie. Tą wysepką, jak przypuszczamy, jest La Jauja. Gang don Stefano to duża organizacja. Niemożliwe, aby poszczególni jego ludzie znali się ze sobą. Jedni przywożą na wyspę skradzione przedmioty, zapewne inni wywożą je i przemycają do różnych krajów w celu odsprzedaży. Banda don Stefano zatrudnia nie tylko zwykłych gangsterów i przemytników, ale także rozmaitych fachowców w handlu dziełami sztuki. Są to zapewne ludzie o nieposzlakowanej opinii. Myślę, że wśród tych wszystkich osób nasza trójka nie wzbudzi podejrzeń.

Rozmawiając, dotarliśmy do hotelu Continental. Panna Florentyna odzyskała już siły. Skorzystałem z okazji, aby przekonać ją o grożącym nam niebezpieczeństwie na wyspie La Jauja i skłonić do pozostania w Road Town.

— Przydałaby się nam tu, w Road Town, zaufana osoba — tłumaczyłem. — W odpowiedniej chwili powinna ona tutaj ściągnąć Connora i Marczaka. Na La Jauja może się pani zetknąć z najgorszego gatunku gangsterami, rzeźmieszkami i złodziejami. Czy to jest towarzystwo dla młodej kobiety?

Ale Florentyny żadne argumenty nie potrafiły zniechęcić do wyruszenia z nami na wyspę.

— Przyrzekłam Marczakowi, że nie odstąpię pana ani na krok — upierała się.

— Rozumiem — kiwnąłem głową. — Chodziło, zdaje się, o to, że ulegam wpływom kobiet w krótkich spódniczkach. Odkąd jednak to pani nosi najkrótszą spódniczkę na świecie, jakież może mi zagrażać niebezpieczeństwo?

— Nie zna pan hiszpańskiego, włoskiego, suahili oraz papiamento. Większość gangsterów, jak to wiem z filmów, pochodzi z Włoch. Będą zapewne rozmawiać po włosku.

— Ja znam włoski — zauważył Dawson.

Lecz panna Florentyna obrzuciła go spojrzeniem tak pełnym ironii, że biedak tylko wzruszył bezradnie ramionami. Dla niej on był osobą nie mniej podejrzana od don Pedra lub innych gangsterów.

Wczesnym rankiem taksówka zawiozła nas do głównej przystani na Road Bay, gdzie bez trudu znaleźliśmy dużą łódź motorową z napisem „La Jauja”. Urzędował w niej Mulat z pokiereszowaną twarzą, co nadawało mu wygląd bardzo ponury. Pokazaliśmy mu blankiety otrzymane w biurze podróży, przejrzał je uważnie, a potem poprawił marynarkę i czapkę, splunął za burtę i rzekł łamaną angielszczyzną:

— Szeł mówił tylko o zabranii żywności, a nie o gościach.

Florentyna, znowu w przekłetej, krótkiej spódniczce, tyle że dla odmiany białej, płóciennej, zagadnęła go w jakimś dziwnym języku i ponura twarz Mulata rozpromieniła się.

— On jest z Antyli Holenderskich. Z wyspy Curacao. Papiamento to jego ojczysty język i jest szczęśliwy, że może ze mną porozmawiać. Od trzech lat z nikim nie gadał w ojczystej mowie — wyjaśniła nam.

Florentynie i temu człowiekowi (zaraz zresztą dowiedzieliśmy się, że ma na imię Francesco) odtąd nie zamykały się usta. Oczywiście zdecydował się zabrać nas na La Jauja i wkrótce, po załadowaniu do łodzi skrzyń ze świeżymi jarzynami oraz zamrożonym mięsem, wyruszyliśmy na morze. Potem Florentyna przekazała nam uzyskane od niego informacje. Okazało się, że na wyspie, w ośrodku przerobionym z dawnego hotelu i kasyna oficerskiego, przebywa obecnie około dziesięciu gości z różnych stron świata. Służba liczy piętnaście osób. W hotelu jest prawie pięćdziesiąt pokoi, ale don Pedro przyjmuje tylko „specjalnych” gości, nie ponosi więc żadnych strat finansowych.

Wreszcie ujrzeliśmy wyłaniającą się z morza czarną, poszarpaną skałę, niemal zupełnie pozbawioną roślinności. W małej zatoczce przy zachodnim brzegu wyspy znajdowała się niewielka przystań. Nad zatoką stał jasny, duży, dwupiętrowy budynek — dawny hotel wojskowy wraz z kasynem. Kiedyś cała La Jauja stanowiła prawdopodobnie jedno wielkie rumowisko skalne, które uprzętnęły saperskie buldożery oraz ładunki trotylu. Wyspa stała się płaska, nawet z morza można było zobaczyć ogrodzone siatką i zasiekami z drutu kolczastego resztki wojskowych budynków, bunkrów, nie wykorzystane, rdzewiejące konstrukcje z żelaza.

Na drewniane moło wyszedł do nas don Pedro, o czym poinformował mnie Francesco za pośrednictwem Florentyny.

Był to wysoki, przystojny Hiszpan ubrany z nienaganną elegancją. Miał na sobie biały garnitur z tropiku, olśniewająco białą koszulkę, szarą muszkę i kapelusz panama. Na nasz widok nie drgnęła mu powieka, choć musiał być zdumiony, że oprócz skrzyń z żywnością Francesco przywiózł mu także niezapowiedzianych gości.

— Witam państwa w La Jauja — powitał nas po angielsku, ze szczególną galanterią całując dłoń Florentyny. — Nasz hotel i ja osobiście zawsze rad witam gości. Będą tu państwo czuli się jak u siebie w domu.

Tym niemniej obejrzał starannie blankiety otrzymane przez nas w biurze podróży. A że tych blankietów nie można było dostać bez hasła, zapewne przyjął nas jako „swoich”, choć musiał być zdziwiony, że go o naszym przybyciu nie uprzedzono.

Od razu na przystani Dawson opowiedział mu o swoim ojcu, który kazał mu odwiedzić La Jauja, a nas przedstawił jako swoich przyjaciół. Chciał też wręczyć mu nasze paszporty, ale don Pedro oświadczył z czarownym uśmiechem na ustach:

— La Jauja to takie miejsce, gdzie nikt nie musi okazywać swego paszportu ani wyjaśniać, po co tu przybył. W Krainie Szczęśliwości każdy gość może robić, co chce, z wyjątkiem przekraczania ogrodzenia z siatki i drutu. Napisy „Danger” ostrzegają, gdzie nie wolno chodzić, a to ze względu na skażenie radioaktywne, które pozostało po czasach, gdy przebywało tu wojsko.

Po tych słowach wyjął z kieszeni gwizdek, dmuchnął w niego i z hotelu wybiegło zaraz dwóch Murzynów, którzy chwycili nasze walizki. Don Pedro osobiście zaprowadził nas do klimatyzowanego hallu, a następnie zawiódł na drugie piętro, gdzie wskazał nam trzy położone obok siebie pokoje. Gdy wyrząłem przez okno, doznałem uczucia, że znalazłem się w więzieniu. Tuż pod oknami, o dwa piętra w dół, o wilgotne i ostre skały rozbijały się fale morza. Wystarczyło postawić przy drzwiach strażnika, a bylibyśmy uwięzieni. Inna sprawa, że te nasze cele były urządzone luksusowo, z wygodnymi meblami i obszernymi łazienkami, klimatyzacją, lodówką wypełnioną chłodzonymi trunkami.

— Na tym piętrze nie ma innych gości — wyjaśnił don Pedro. — To pozwoli państwu czuć się swobodnie.

Następnie spojrział na zegarek i rzekł:

— Kolacja będzie za dwie godziny, to jest o osiemnastej. Proszę zejść na dół, minąć hall i przejść do jadalni, która znajduje się w parterowym budynku przybudowanym do hotelu. Tam mieściło się kiedyś kasyno oficerskie. Obok jadalni jest bar cocktailowy czynny do dwunastej w nocy. Za trunki w barze płaci się oddzielnie przy wyjeździe. Barman wszystko dopisuje do rachunku.

Dawson zajął pokój po lewej stronie, ja w środku, Florentyna zaś wzięła pokój prawy. Jej zależało na tym, aby mieszkać obok mnie, a ja chciałem sąsiadować z Dawsonem, aby było się nam łatwiej porozumiewać.

Murzyni wnieśli walizki, don Pedro skłonił się nam i odszedł. Do kolacji mieliśmy dwie godziny, które należało wykorzystać na kąpiel i wypoczynek. Ale przedtem Dawson zapytał Florentynę:

— Czy ma pani w swoich walizkach jakieś listy lub przedmioty, które mogłyby komuś podsunąć podejrzenie, że współpracujemy z Biurem Koordynacyjnym? W tutejszym hotelu wprawdzie nie żądają paszportów do wglądu, ale prawdopodobnie dokładnie przeszukują walizki i pokoje.

Florentyna zaprzeczyła. Ja również nie miałem żadnych kompromitujących rzeczy. Tylko Dawson, jak się okazało, przywiózł dużą torbę z jakimiś tajemniczymi przedmiotami.

— W sanatorium Alvareza zajmowałem się majsterkowaniem — wyjaśnił. — Skonstruowałem trochę elektronicznych aparatów, które mogą się nam przydać. Całą torbę z tymi rzeczami postanowiłem ukryć w jednym z wolnych pokoi na naszym piętrze. Myślę że potrafię otworzyć ich zamki.

Wybraliśmy na ukrycie torby pokój przylegający do klatki schodowej. Stałem na czatach przy schodach, Dawson zaś wziął torbę, bez trudu otworzył nieskomplikowany zamek i torbę ukrył w korytarzyku w szafeczce na buty. Pokój ten zresztą był taki sam jak nasze, tyle tylko że wychodził na południe i miał w oknie zapuszczone żaluzje.

Potem Dawson każdemu z nas wręczył okrągłe, płaskie pudełeczko, nieco mniejsze od pudełka z pastą do butów. To były jego konstrukcji miniaturowe nadawczo-odbiorcze aparaty, dzięki którym mogliśmy się porozumiewać na odległość. Wystarczyło przycisnąć wieczko aparatu, a w dwóch pozostałych pudełkach odzywał się cichutki brzęczyk. Na wieczku była reklama cukierków miętowych, aparat wyglądał więc jak pudełeczko z odświeżającymi cukierkami.

Punktualnie o osiemnastej zeszliśmy do jadalni. Był to oszklony pawilon, gdzie w ogromnych, glinianych donicach między stolikami stały duże palmy. Stolików naliczyłem dwadzieścia, ale gości zasiadło do kolacji znacznie mniej. Niektórzy z nich jedli samotnie, inni — widać dobrzy znajomi — siedzieli razem. Rzuciły mi się w oczy dwie bardzo piękne, młode kobiety, na mój gust, nieco zbyt wydekoltowane i zbyt wyzywająco wymalowane. Słyszało się rozmowy w najróżniejszych językach, przeważnie jednak po angielsku, niemiecku i po włosku.

Kim byli ci ludzie? Od razu wyróżniało się kilku zwykłych rzezimieszków, mimo że ubrani jak bogaci dżentelmeni. Przeważnie jednak goście hotelu don Pedra wyglądali na ludzi bardzo kulturalnych. Panowie w okularach prowadzili ze sobą rozmowy o sztuce, padały nazwy najznakomitszych galerii malarstwa i rzeźby, słyszało się nazwiska najwybitniejszych twórców dawnych i współczesnych. Nie ulegało wątpliwości, że byli to znawcy przedmiotu, wysłani tu przez bardzo bogatych ludzi po dzieła sztuki, albo właściciele prywatnych galerii, gdzie od czasu do czasu sprzedawano kradzione zabytki.

Dwie służące roznosiły sprawnie talerze z jedzeniem. Nam podano odrobinę zupy żółwiowej, płaty mięsa z płetwy rekina oraz sałatkę z krewetek. Florentyna była tak głodna, że niemal rzuciła się na swoją zupę żółwiową, ale zanim łyżeczką trafiła do ust, Dawson tak jakoś niezręcznie trącił ją łokciem, że łyżeczka upadła jej na podłogę. Kelnerka natychmiast przyniosła drugą, Dawson jednak zdążył nam polecić, abyśmy poczekali z jedzeniem.

— Bardzo długo uczyłem się wyczuwania językiem i podniebieniem najdrobniejszego śladu jakiegokolwiek trucizny w pokarmie — wyjaśnił.

Posmakował zupy żółwiowej i skinął głową, że możemy jeść. Zjedliśmy więc spokojnie zupę. Wtedy Ralf spróbował mięsa z płetwy rekina i też skinął głową. Potem wziął do ust odrobinę sałatki z krewetek, przez długą chwilę smakował końcem języka i wreszcie szybko, tak żeby nikt nie zauważył, wypłuł do papierowej serwetki.

— Trójmetoksyfenyloetyloamina — powiedział. — I to w bardzo dużej dawce.

— Wyciąg z kaktusa Anhalonium Lewini — uzupełniłem, bo kiedyś i ja interesowałem się truciznami oraz środkami narkotycznymi. — Powoduje odurzenie, halucynacje wzrokowe. Innymi słowy, don Pedro postanowił nas odurzyć narkotykiem i bez żadnego sprzeciwu z naszej strony spenetrować pokoje oraz rzeczy osobiste.

— Boże drogi — jęknęła Florentyna. — Leżałabym odurzona, a jakieś rzezimieszki buszowałyby po moim pokoju. To przecież okropne. Bezwolna kobieta, zdana na łaskę i niełaskę obcych ludzi. Źle zrobiłam, panie Tomaszu, nie słuchając pana rady i nie pozostając w Road Town.

— Teraz już za późno — syknąłem rozgniewany.

A Dawson dodał:

— Przecież nie musi pani jeść tych krewetek.

Korzystając z tego, że nikt nie zwracał na nas uwagi, dyskretnie zrobił dołek w ziemi, która wypełniała donicę z wielką palmą, znajdującą się tuż obok naszego stolika i zagrzebał w niej porcje krewetek. Potem stwierdził:

— Nie mamy żadnych kompromitujących materiałów i moglibyśmy udawać, że śpimy snem narkotycznym pozwalając im buszować w naszych pokojach. Niestety, to nic przyjemnego. Bo, a nuż komuś przyjdzie do głowy, aby przy okazji przenieść nas do innych pomieszczeń i poddać potem przesłuchaniu? Don Pedro zirytował mnie swoim prymitywizmem. Podać meskalinę w sałatce z krewetek? To oburzające, tym bardziej że bardzo lubię krewetki... Postanowiłem go ukarać. Mam kilka małych blaszek, które wystarczy włożyć w dziurkę od klucza i nikt, nawet przy pomocy zapasowego klucza, nie zdoła otworzyć drzwi od zewnątrz.

Po kolacji zaproponowałem Florentynie wizytę w barze. Miałem nadzieję, że może tam uda nam się dowiedzieć czegoś o kradzieży.

Bar był urządony w stylu amerykańskim. Za ogromną półokrągłą ladą, przy której umieszczono wysokie stołki, stał Murzyn i w mikserze grzechotał kostkami lodu. W barze było niestety prawie pusto, jeśli nie liczyć dwóch dystygowanych panów o siwych skroniach, którzy głośno, po angielsku dyskutowali ze sobą na temat twórczości młodszego i starszego Bruegela. Nie wypadało nam się jednak wycofać. Zajęliśmy dwa miejsca nie opodal owych dżentelmenów. Florentyna zamówiła whisky z wodą sodową, a ja gin z tonikiem.

— Widział pan te dwie kobiety, które jadły kolację? — zapytała. — Każda z nich mogłaby panu bez trudu zawrócić w głowie. Na szczęście ja tutaj jestem i czuwam nad panem.

— O tak, naturalnie — przytaknąłem z ironią. — Ale to jednak nie pani, tylko Dawson uchronił mnie przed odurzeniem meskaliną, bo tak się nazywa narkotyk, który nam chciał zaaplikować don Pedro. Czy jeszcze nie przekonała się pani o nadzwyczajnych zdolnościach tego człowieka?

— Jest świetnym detektywem. Posługuje się znacznie nowocześniejszymi środkami niż pan, na przykład elektroniką, o której pan, zdaje się, nie ma najmniejszego pojęcia. Pan wierzy bowiem jedynie w swoją inteligencję. Ale to wszystko nie znaczy, że on przybył do nas z UFO.

Podając trunki barman bardzo uważnie spojrzął nam w oczy. Domyśliłem się, że wie o porcji meskaliny w sałatce z krewetek i chce sprawdzić, czy narkotyk zaczął działać, to znaczy, czy mamy zwężone źrenice. Nic takiego jednak nie stwierdził, co go wyraźnie wprawiło w zdumienie.

Dystygowani panowie coraz gwałtowniej dyskutowali o starym i młodym Bruegelu, a ja rozmawiałem z Florentyną.

— Czy pan jest pewien, panie Tomaszu, że będę bezpieczna, jeśli blaszkę Dawsona włożę w dziurkę od klucza? Może oni znają sposoby, aby mimo tej blaszki otworzyć pokój podczas mego snu?

— Teraz nie może pani wracać do Road Town. Wyglądałoby to bardzo podejrzanie.

— Za żadne skarby nie pójdę spać do swego pokoju. Niestety, będzie pan mnie musiał przyjąć do własnego. Prześpię się na kanapie.

— A jeśli w tym czasie oni wejdą do pani pokoju i pani w nim nie zastaną. Co sobie pomyślą?

— Że jestem u swego narzeczonego. To przecież się zdarza, prawda?

— Takie narzeczone nie mają dobrej opinii — zwróciłem jej uwagę.

— A co mnie obchodzi ich opinia — wzruszyła ramionami. — To są zwykli gangsterzy.

— O, nie wszyscy, droga pani. Ci dwaj dżentelmeni obok nas na pewno nie należą do grona gangsterów. Po prostu handlują skradzionymi dziełami sztuki.

Tymczasem barman znowu kilkakrotnie zaglądał nam w oczy. Wreszcie zaniepokojony gdzieś zniknął, potem przyszedł don Pedro, uprzejmie skinął nam głową, a nawet grzecznie zapytał, jak się czujemy. Odpowiedzieliśmy, że doskonale, co go wyraźnie zmartwiło.

Obydwaj dyskutujący dżentelmeni zwrócili się do nas o rozstrzygającą opinię: kto był lepszym malarzem, Bruegel młodszy czy Bruegel starszy. Ja — zgodnie ze swym sumieniem — wyraziłem zdanie, że oprócz dwóch braci Bruegelów, starszego i młodszego, istniał przecież także ich ojciec, Peter Bruegel, zwany Chłopskim. Jego obraz zatytułowany „Ślepcy” uważam za arcydzieło. Ze wszystkich więc Bruegelów najwyżej stawiam ojca. Panna Florentyna nie wyjawiała swej opinii, o malarstwie niderlandzkim nie miała, zdaje się, żadnego pojęcia. Nie rozstrzygnęliśmy więc sporu obydwu dżentelmenów, a czas płynął i płynął...

Do barmana przyszedł inny Murzyn, kucharz w białym kitlu i w białej czapce na głowie. Obydwaj pokłócili się w jakimś niezrozumiałym dla mnie języku. Gdy kucharz odszedł, Florentyna oświadczyła z satysfakcją:

— Czy wie pan, w jakim języku oni rozmawiali? W suahili. Kucharz oskarżył barmana o to, że meskalina przez niego dostarczona była nędznej jakości. Dał jej taką ilość do sałatki z krewetek, że już dawno powinniśmy być nieprzytomni. Barman tłumaczył, że narkotyk był bardzo dobry i że on także nie pojmuje, czemu na nas nie podziałał.

Przyszedł Ralf Dawson. Szepnął nam, że próbowano otworzyć drzwi do pokoju panny Florentyny, ale on usłyszał podejrzany szmer i wyrzwał na korytarz. Jakiś osobnik tłumaczył się, że pomylił pokoje.

— Idźcie już na górę — zaproponował. — A ty, Tomaszu, nie pozwól, aby podczas mej nieobecności ktoś spróbował dostać się do pokoju.

Dawson został przy barze. Florentyna, rzecz jasna, ani myślała wracać na noc do swojego pokoju. Przyniosła do mnie kołdrę i poduszkę, pościeliła mi na kanapie.

— Dość tego! — protestowałem. — Przecież ma pani swój pokój.

— Za nic do niego nie wrócę. Boję się być sama.

Nikt nie usiłował dostać się do pomieszczenia zajmowanego przez Ralfa, który wrócił punktualnie o dwunastej w nocy, po zamknięciu baru na dole. Wsunęliśmy więc w dziurki od klucza małe blaszki i jeszcze chwilę porozmawialiśmy ze sobą przez ściany pokoju przy pomocy małych pudełeczek po miętowych cukierkach. Ustaliliśmy z Ralfem plan działania na dzień następny i zasnęliśmy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ZABAWA Z GANGSTERAMI • STRASZLIWY RADIOODBIORNIK • PRZYGODA NA PLAŻY • PANNA BLANKA I JEJ PROPOZYCJA • EMIL OPROWADZA NAS PO SKAŻONEJ CZĘŚCI WYSPY • LĄDOWISKO UFO PROFESORA KNOXA • CZY FLORENTYNA OTRZYMA NOBLA? • TAJEMNE URZĄDZENIA • ZALICZKA OD DON PEDRA • JAK KUPIŁEM KOKAINĘ

Ranek zaczął się od tego, że już o świcie Florentyna usłyszała z łazienki mój głośny śpiew:

Wszystkie dzwony biją,
wszystkie dzwony biją
bim-bam-bom
bim-bam-bom.

Nie jestem muzykalny, nie mam głosu, ale gdy się gołę, lubię pośpiewać. Tak więc mój poranny koncert musiał poirytować Florentynę, choć nie do tego stopnia, aby ją wystraszyć z mego pokoju.

Przed zejściem na śniadanie Ralf Dawson zrobił awanturę don Pedrowi. Donośnym głosem wyjaśnił mu, że jest dżentelmenem przyzwyczajonym do tego, aby służba rozpakowała jego walizki, porzkladała w odpowiednich miejscach koszule i rozwiesiła garnitury. On, Dawson, będzie przez całe przedpołudnie na plaży, niech więc w tym czasie służba zrobi porządek w jego pokoju.

Nietrudno sobie wyobrazić zdumienie don Pedra. Kazał dosypać narkotyku do posiłków, aby móc spenetrować nasze pokoje, co się nie udało, a teraz Dawson sam mu to ułatwia. Po tej awanturze don Pedro chyba długo się zastanawiał, kim naprawdę jesteśmy, skoro pozwalamy zapoznać się z zawartością naszych walizek.

Zjedliśmy śniadanie i wyszliśmy przed hotel, wprost na piaszczystą dużą plażę. Na piasku rozstawiono kosze do opalania, leżaki i parasole. Zajęliśmy sąsiadujące z sobą kosze. Obok wybrali sobie miejsce dwaj panowie wciąż dyskutujący o Bruegelu Starszym i Bruegelu Młodszym, nieco zaś dalej usiadła przepiękna blondynka o niezwykle długich włosach i tak samo długich nogach. Ralf Dawson miał ze sobą turystyczny radiodbiornik, który głośno grał. A że nienawidzę grających na plaży radiodbiorników, zapytałem złośliwie Dawsona, czy oni, ludzie z Przyszłości, też żyją w nieustannym jazgocie muzyki radiowej.

— To przyzwyczajenie, którego nabrałem w czasie teraźniejszym — wyszczerzył zęby Dawson. — Lecz jeśli ci to przeszkadza, Tomaszu, przejdę się trochę i nie będę ci zakłócał spokoju.

I rzeczywiście, zajrzał na przystań, potem obszedł dookoła cały hotel, nie zbliżając się jednak zanadto do rozciągającego się o kilkadziesiąt metrów za głównym budynkiem wysokiego ogrodzenia z napisami „Danger”, czyli Niebezpieczeństwo. W pewnym momencie podszedł do niego don Pedro, jak gdyby zaniepokojony ewentualnością, że Dawson może zlekceważyć ostrzegawcze napisy. Obydwaj długo o czymś rozmawiali, ale chyba bardzo przyjaźnie, gdyż Ralf raz po raz wybuchał śmiechem. Wreszcie Dawson zostawił swój radiodbiornik na brzegu, a sam skoczył do morza i zniknął mi z oczu w pianie tworzonej przez fale morskie. Nie wychodził z wody dość długo. W końcu jednak zobaczyłem go siedzącego na przystani i słuchającego muzyki ze swego radiodbiornika.

Podchwyciłem spojrzenie długowłosej blondynki z pobliskiego kosza. Na szczęście nie zauważyła tego Florentyna, jej bowiem z kolei przyglądali się obydwa panowie dyskutujący o Bruegelach.

— Zdaje mi się, że zrobiła pani na nich wielkie wrażenie — poinformowałem Florentynę. — To szansa na rozmowę z nimi. Warto dowiedzieć się, skąd tu przybyli i czym się zajmują. Przecież musimy ustalić, czy ta wyspa jest rzeczywiście miejscem, gdzie gang don Stefano gromadzi swoje łupy. Proszę nawiązać kontakt z tymi panami. Tylko, na miłość boską, ani słowa o Biurze Koordynacyjnym. Niech pani wcieli się w rolę tak zwanej „słodkiej idiotki”...

— To bardzo, bardzo trudne — zmartwiła się Florentyna. — Inteligentnej kobiecie nie jest łatwo udawać idiotkę.

— Niech pani będzie przynajmniej słodka.

Udałem, że idę na przystań do Dawsona. Dwaj panowie natychmiast wykorzystali moją nieobecność, aby przenieść się do kosza zajętego przez Florentynę. Ja natomiast poszedłem do długowłosej i długonogiej blondynki.

— Bardzo chciałam, aby pan podszedł do mnie — powiedziała mi po angielsku. — Wygląda pan na człowieka odważnego i sprytnego. Dlatego chcę pana prosić o pomoc. Na imię mam Blanka. Jestem detektywem z tak zwanego Biura Koordynacyjnego, zajmującego się walką ze złodziejami dzieł sztuki. Przed tygodniem w Caracas zostałam zwabiona do zaparkowanego

pod moim hotelem samochodu i po uśpieniu narkotykami, przewieziona tutaj śmigłowcem. Więź mnie, choć więzów na moich rękach nie widać. Niestety, z tej wyspy nie można się wydostać bez zgody don Pedra. Czy pomoże mi pan uciec?

— Naturalnie — zawołałem z entuzjazmem. — Tak ładnej kobiecie zawsze jestem gotów pomóc.

— Ach, proszę nie mówić o mojej urodzie. Nie czas na flirty. Ja naprawdę muszę stąd uciec. Pan też jest z Biura Koordynacyjnego, prawda?

— Ja? — zdumiałem się. — Owszem, kiedyś pracowałem w biurze, ale to było Biuro Rzeczy Znalezionych. Przeważnie ludzie gubią parasolki i nimi się zajmowałem. Od pewnego czasu żyję na koszt swego przyjaciela, który jest synem milionera. Poproszę go o radę i na pewno pani pomożemy. Czy ma pani jakiś pomysł?

— Nie. A pan?

— Też nie. Jestem tu dopiero od wczoraj.

— No cóż — westchnęła głęboko. — Będziemy musieli wspólnie obmyślić plan działania.

— Tak, tak — podchwyciłem z entuzjazmem. — W którym pokoju pani mieszka? Musimy się spotkać sam na sam, bez świadków.

Jej twarz nabrała odpychającego wyrazu.

— Pan mnie, zdaje się, źle zrozumiał — rzekła chłodno. — Nie chcę nawiązać z panem romansu, ale potrzebuję pomocy.

— Tak, tak, naturalnie. Właśnie to miałem na myśli — chwyciłem jej dłoń i złożyłem na niej gorący pocałunek.

Wyrwała mi swoją rękę, wstała i odeszła obrażona.

„Może ona jednak naprawdę jest z Biura Koordynacyjnego?” — zastanawiałem się patrząc w ślad za nią. Ale już po chwili moje wątpliwości zostały rozwiane. Przywołałem kelnera, który rozniósł po plaży napoje, i zapytałem go, gdzie mieszka panna Blanka.

— Ona nie jest panną, lecz mężatką. I mieszka ze swym mężem, panem Gruberem, na pierwszym piętrze w pokoju sto jedenaście — wyjaśnił mi, wskazując owego męża, opalającego się nad wodą. Był to osiłek o tępej twarzy gangstera z filmów kryminalnych.

Odetchnąłem z ulgą, bo udało mi się ominąć pułapkę, a ponieważ właśnie odezwał się gong na obiad, pośpieszyłem do swego pokoju. Po chwili przyszła także Florentyna.

— I co to za jedni, ci dwaj dżentelmeni? — zapytałem.

— Handlarze dziełami sztuki. Jeden z nich ma antykwariat w Londynie na Picadilly Circus, a drugi w dzielnicy Chelsea. Słyszeli wczoraj w barze naszą rozmowę w języku polskim i wzięli nas za parę Jugosłowian.

— Czy zna pani ich nazwiska?

— Owszem.

— Przekażemy je Connorowi, a ten przyjrzy się działalności obydwu antykwariuszy. O co panią pytali?

— Jaki jest największy i najdroższy malarz jugosłowiański. Powiedziałam, że Jan Matejko.

— I co?

— Okazało się, że o takim malarzu w ogóle nie słyszeli. Byli jeszcze bardziej zdziwieni, gdy ich poinformowałam, że swego czasu próbował pan ukraść obraz zatytułowany „Bitwa pod Grunwaldem”. Ale to tak ogromne płótno, że nie mógł go pan wynieść z muzeum i w dodatku nabawił się pan dyskopatii. Z powodu tego obrazu musiał pan opuścić Warszawę.

— Co takiego?!

— No, tak. Oni sądzą, że Warszawa jest stolicą Jugosławii, a Belgrad leży w Polsce. Czy pan nie zna Anglików, którzy nigdy nie nauczą się geografii? Myślę, że przyjechali tutaj, gdyż zaoferowano im do sprzedaży jakiegoś obrazu Bruegelów. Zastanawiają się, który ma kupić Starszego, a który Młodszego Bruegela.

Poszperałem w swej pamięci.

— Dwa lata temu z prywatnej kolekcji w Amsterdamie skradziono dwa płótna Bruegelów. Wniosek sam się narzuca: te obrazy są tutaj, w sezamie don Stefano.

Podczas obiadu spotkaliśmy się z Ralfem Dawsonem. Poinformowałem go o swej rozmowie z panią Blanką Gruber oraz o dwóch antykwariuszach z Londynu.

— Oni muszą tu mieć niezłe zaopatrzone magazyn z dziełami sztuki — powiedział Dawson.
— Dzieł sztuki nie można trzymać byle jak, gdyż łatwo mogą ulec zniszczeniu i stracą na wartości. Innymi słowy, na tej wyspie chyba znajduje się magazyn z klimatyzacją, stałą temperaturą itd. Ty, jako muzealnik, znasz się na tym lepiej. Takie pomieszczenie wymaga dużej ilości energii elektrycznej, a to pozwoli nam je zlokalizować. I to jeszcze dziś po południu. Don Pedro, któremu opowiedziałem historię swego ojca, zgodził się, abym zwiedził całą wyspę. Postawił tylko jeden warunek: przewodnikiem będzie niejaki Emil, który mnie i was poprowadzi sobie tylko znaną ścieżką między budowlami postawionymi przez wojsko. Wyruszymy zaraz po sjeście. A teraz zjedzmy coś.

Ralf, podobnie jak wczoraj, próbował wszystkich potraw. Zupa, jego zdaniem, nadawała się do jedzenia. Tak samo pieczyste. Natomiast sałatka z ananasów była zatruta narkotykiem.

— To znowu meskalina — oświadczył Ralf. — Do licha, tego już za wiele. Pozwoliliśmy im dzisiaj przed południem spenetrować dokładnie nasze walizki. Mało im tego? Chcą jeszcze rewizji osobistej? To zaczyna mnie irytować.

— Narkotyki daje nam barman i kucharz — odezwała się Florentyna. — Rozmawiali o tym wczoraj w barze w języku suahili.

— Suahili — podchwycił w zamyśleniu Dawson, a potem uśmiech rozjaśnił jego twarz. — Zdaje się, że znalazłem sposób, aby raz na zawsze oduczyc ich aplikowania nam narkotyków.

Po sjeście zebraliśmy się w pokoju Ralfa, skąd mieliśmy wyruszyć na zwiedzanie wyspy. Emil przyszedł po nas. Był to barczysty drab o tępawej twarzy i kwadratowej szczęce. Bez przerwy żuł gumę, trzymał ręce w kieszeniach dzinsów i odnosił się do nas z wyraźnym lekceważeniem.

— Señor Pedro polecił mi pokazać wam wyspę. No, to jazda, idziemy — rozkazał niegrzecznie.

Nie zależało nam na wszczynaniu kłótni. Posłusznie opuściliśmy hotel i prowadzeni przez Emila dobrnęliśmy do ogromnej bramy z grubej siatki. Na bramie wisiała wielka kłódka, Emil wyjął klucz, otworzył ją i w milczeniu powiodł nas po szerokim, betonowym pasie startowym. Pas ten był dobrze utrzymany, wszystkie pęknięcia i szczeliny załatano cementem, co nas upewniło, że lądują tu nadal samoloty. Ów pas startowy przecinał wyspę z południa na północ i poza nim cały teren wydawał się jednym wielkim rumowiskiem starych, przardzewiałych maszyn budowlanych, nie dokończonych budynków z cegły i cementu, blaszanych hangarów i garaży. Ziemię porastała już trawa i jakaś podzwrotnikowa roślinność. Ilekroć usiłowaliśmy zejść z pasa startowego, Emil odzywał się groźnie:

— Nie wolno. To teren skażony chemicznie i radioaktywny.

Nawet gdy chciałem zapalić papierosa, odebrał mi go i oświadczył:

— Nie wolno. Tu i ówdzie żołnierze zostawili skrzynki z materiałem wybuchowym.

Nie wierzyłem w to wszystko, irytowała mnie niemożność zapalenia papierosa i jeszcze bardziej grający donośnie turystyczny radioodbiornik Dawsona. Że też go musiał zabrać ze sobą nawet na zwiedzanie wyspy. Zdawało mi się, że z któregoś z hangarów dobiega szczekanie psów, ale muzyka zagłuszała te odgłosy. Poprosiłem Ralfa, aby wyłączył radioodbiornik, ale Emil zaprotestował:

— A dlaczego? Fajna muzyczka, ja taką lubię.

Wreszcie po pasie startowym doszliśmy na drugi koniec wyspy. Znowu ujrzałem skały zalewane falami Morza Karaibskiego.

Zaniepokoił mnie wyraz twarzy Florentyny. Z największym zachwytem rozglądała się po wyspie, po rumowiskach zbrojonego betonu, blaszanych pudłach z falistej blachy, pordzewiałych częściach jakichś dziwnych machin, zwojach drutu i kabli, niknących w zieleni roślin szynach kolejowych. Z podziwem patrzyła na czarne, lśniące jak lawa skrawki skał i ziemi wypalone jakimiś środkami chemicznymi, rozsiane tu i ówdzie stożki stopionej i błyszczącej jak szkło stali, na której być może żołnierze wypróbowywali działanie miotaczy ognia. Ta wyspa miejscami zdawała się przypominać starożytną Pompeję lub Herkulanum z resztkami wznoszących się kamiennych łuków nie istniejących lub nie dokończonych budowli.

— Tak. Wszystko się zgadza — wykrzyknęła raptem z dzikim entuzjazmem. — Tak właśnie profesor Alfons Knox z Detroit opisał miejsca lądowania Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Byli tutaj przed kilkoma laty i wrócą. Wkrótce wrócą. Małe, zielone ludziki zapełnią tę wyspę...

Emil wypluł swoją gumę do żucia.

— Na wyspie urzędowali brytyjscy żołnierze. Ojciec obecnego tu pana Dawsona wznosił te budowle.

— Ojciec pana Dawsona — z ironią podchwyciła Florentyna. — I pan dał się na to nabrać, pocziwy człowieku? To były UFO. Małe, zielone ludziki. Opis z książki profesora Knoxa zgadza się z tym, co tu oglądam. One tu wrócą. Usłyszycie najpierw tajemne głosy, potem metalowe przedmioty zaczną się giąć, jak gdyby zrobiono je z plasteliny. Ujrzycie straszliwy blask i oślepienie. Natychmiast napiszę list do profesora Knoxa i dokładnie wskażę mu miejsce, gdzie znajduje się lądowisko UFO. Otrzymam nagrodę Nobla w dziedzinie UFOlogii.

Odciągnąłem na bok Florentynę i rzekłem groźnie:

— Jeszcze jedno słowo, panno Florentyno, a osobiście otruję panią arsenikiem. Mam na to zezwolenie dyrektora Marczaka. Powiedział mi wyraźnie: proszę ją otruć, jeśli będzie panu przeszkadzać, biorę tę sprawę na swoje dyrektorskie sumienie.

— Nie wierzę panu — odrzekła.

Wróciłem do Emila i oświadczyłem uspokajająco:

— Pan wybaczy, Emilu, dziwne słowa mojej narzeczonej.

— Ale ta pani...

— Ta pani nie jest całkiem normalną kobietą — przyszedł mi w sukurs Dawson. — W dzieciństwie niania straszyla ją małymi, zielonymi ludzikami i odtąd czasami ma ataki strachu. Pan chyba przyznaje, że to miejsce budzi lęk?

— To prawda — skinął głową Emil. — Dlatego lepiej wracajmy do hotelu.

W powrotnej drodze Dawson, rzucając ostatnie spojrzenie na rumowiska wyspy, obwieścił z dumą:

— I pomyśleć, panie Emilu, że to wszystko budował mój ojciec, pułkownik Dawson, inżynier i saper.

Emil wzruszył ramionami:

— Nic mnie to nie obchodzi. Don Pedro kazał was oprowadzić, ale gadać z wami mi nie polecił. A ja nie lubię strzępić języka po próżnicy.

Dawson ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Szkoda, panie Emilu. Bo dowiedziałby się pan ode mnie czegoś takiego, czego nie wie nikt na świecie. Zresztą być może wojsko zdradziło tajemnicę wyspy panu don Pedro, skoro zdecydował się ją wynająć.

— Nic nie rozumiem... — wzruszył ramionami Emil.

— Ja też nic z tego nie rozumiem — zgodził się z nim Dawson. — Pamiętam tylko, co mi ojciec opowiadał. Zbudowano na wyspie cały system podziemnych schronów i korytarzy, które na wypadek wojny i ewakuacji można zalać przy pomocy jednego ruchu specjalną dźwignią. To bardzo dobrze, że nikt nie chodzi po wyspie, bo już parę lat upłynęło, dźwignię i to całe specjalne urządzenie rdza przeżarła. Wszystkie podziemne schrony i korytarze na pewno już dawno zostały zalane wodą.

— Co takiego? — przeraził się Emil.

— A tak... — beztrąsko stwierdził Dawson. — Podobne urządzenia wymagają stałej konserwacji. Don Pedro słusznie robi, że tu nikogo nie wpuszcza.

I Dawson ruszył po pasie startowym w powrotną drogę do hotelu. A Emil raz po raz zabiegał mu drogę i wypytywał z niepokojem:

— Pana ojciec to wszystko budował? A nie powiedział, gdzie jest to urządzenie?

— To tajemnica wojskowa. Zresztą mnie to nie interesowało. Co pana obchodzi ta sprawa? Sam pan mówił, że tu nikt nie chodzi. A już chyba nikt nie jest taki głupi, żeby włączyć w podziemne korytarze i schrony, zrobione kiedyś przez wojsko.

Emil pośpiesznie zamknął bramę i zawiesił na niej wielką kłódkę, potem w te pędy pobiegł do hotelu. A my wróciliśmy do pokoi, w których prawdopodobnie znowu odbyła się dokładna rewizja. Dawson stwierdził, że w jego pokoju w specjalnym wydrążeniu w nodze od stołu zamontowano czuły mikrofon. Owinął ów mikrofon watą, a następnie nareszcie wyłączył swoje turystyczne radio. Potem — jak prestidigitator — zaczął ze specjalnej skrytki w radiu wyciągać fotografie zakazanej do zwiedzania części wyspy.

— Moje radio nie tylko robi zdjęcia, ale zaraz i odbitki — pochwalił się. — A grać musiało, ponieważ chciałem zagłuszyć trzask migawki. Poza tym jest na nim czerwona strzałka do strojenia głosu. Otóż ta strzałka w rzeczywistości wskazuje natężenie pola elektromagnetycznego. W ten sposób wiem, gdzie jest elektrownia oraz w którym miejscu następuje największy pobór mocy.

Z tryumfem spojrzałem na Florentynę. Miałem nadzieję, że wreszcie uwierzyła w Dawsona jako człowieka z Przyszłości. Ale ona miała inne zdanie.

— Słyszałam, że nowocześni detektywi posługują się podobnymi rzeczami. Nie to co pan, panie Tomaszu. Pan jest detektywem archaicznym.

Tymczasem Dawson położył palec na usta, dając nam znać, abyśmy odtąd uważali na swoje słowa. Odwinął mikrofon z waty i zaczął z nami rozmowę o pogodzie. Jednocześnie ukrył w kieszeni zdjęcia zrobione przy pomocy radioodbiornika.

Po chwili zapukał do nas don Pedro. Był niezwykle uprzejmy, raz po raz śmiał się z byle powodu, nie potrafił jednak ukryć niepokoju. Po jakimś czasie wyjawiał powód swej wizyty:

— Mówił mi Emil, że pan, señor Dawson, wie o jakiejś tajemniczej dźwigni, która może spowodować zalanie podziemnych schronów i korytarzy.

— Opowiadał mi o tym mój ojciec, pułkownik Dawson — przytaknął uprzejmie Ralf. — Ale nie bardzo rozumiem, czemu ta sprawa zainteresowała pana. Wszak prawie cała wyspa jest ogrodzona, wstęp na nią zabroniony, a więc nikomu nie grozi niebezpieczeństwo.

— To prawda — skinął głową don Pedro. — Rzecz jednak w tym, że to utrudnia działalność memu turystycznemu przedsiębiorstwu. Grozi mi bankructwo, ponieważ turyści niechętnie odwiedzają miejsca skażone radioaktywnie i chemicznie. Mam zamiar wezwać tu saperów i chemików, teren wyspy rozminować, zneutralizować działanie szkodliwych czynników. I gdyby to było możliwe, otworzyć dla turystów podziemne schody i korytarze.

— Nie zauważyłem, aby pan chętnie ich witał — stwierdziłem cierpko. — A nawet przeciwnie.

— To prawda, señor — zgodził się ze mną don Pedro. — Nie mogę ludzi narażać na utratę zdrowia, a kto wie, może nawet życia. Bankrutuję, ale przynajmniej mam czyste sumienie.

Ralf Dawson powiedział ze współczuciem w głosie:

— Rozumiem pana, don Pedro. Mój ojciec pokazywał mi kiedyś plany budowli wojskowych na wyspie i nawet wskazał miejsce, w którym zamontowano urządzenie do zalewania wodą korytarzy na wypadek ewakuacji. Niestety, nie interesowałem się bliżej tą sprawą. Ale gdyby pan pokazał mi plany wyspy, być może przypomniałbym sobie, gdzie znajduje się to urządzenie.

Tak, to było świetnie zagrane. Dawson chciał obejrzeć mapę wyspy. Ale don Pedro nie był pierwszym lepszym opryszkiem, który da się nabrać na taką propozycję. Oświadczył sucho:

— Nie posiadam planów wyspy i jej wojskowych urządzeń. Natomiast, gdyby tak pan, señor Dawson, był uprzejmy zapytać o to swego ojca, całą sprawę można by rozwiązać pomyślnie. Oczywiście za wynagrodzeniem.

— Za ile? — zapytał Dawson.

— Hm — chrząknął don Pedro. — Powiedzmy, że za tysiąc dolarów.

— Za dziesięć tysięcy. I zaliczkę otrzymam zaraz w wysokości tysiąca dolarów — twardo odpowiedział Ralf.

— Zgoda — westchnął don Pedro. — W jaki sposób pan skontaktuje się z ojcem?

Dawson wzruszył ramionami:

— Tam do licha, przecież chyba posiada pan tu na wyspie jakąś radiostację? Po prostu nadam depeszę iskrową do ojca, podam waszą częstotliwość, hasło wywoławcze i on prześle odpowiedź tą samą drogą.

— Zgoda. Czy mógłby pan to uczynić zaraz?

— O nie — zaprotestował Dawson. — Teraz chciałbym się wykapać i przebrać do kolacji. Muszę też przygotować treść depeszy, aby mój ojciec nie pomyślał, że zacząłem pracować dla obcego wywiadu. Depeszę nadam jutro rano, natomiast o zaliczkę proszę zaraz. Mój ojciec jest bardzo bogaty, ale mnie nie rozpieszcza.

Don Pedro wyjął portfel, odliczył banknoty, skłonił się i opuścił pokój. Wtedy Ralf kiwnął na nas głową i przenieśliśmy się do drugiego pokoju, gdzie nie było podsłuchu. Tu Dawson podzielił się ze mną zaliczką od don Pedra.

— To nawet będzie ucziwiej, jeśli na tej wyspie zabawicie się za pieniądze gangsterów, a nie Komisji Koordynacyjnej — powiedział śmiejąc się głośno.

— I naprawdę nadasz depeszę? — zainteresowałem się.

— Nie martw się — poklepał mnie po ramieniu. — Najważniejsze, że od tej chwili nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Będą czekać na odpowiedź.

Zauważyłem, że Florentyna jest coraz bardziej zachwycona Dawsonem. Okazał się nowoczesnym detektywem, gdy ja byłem pterodaktylem tego zawodu. Nic dziwnego, że mieli przede mną jakieś tajemnice. Florentyna zniknęła w pokoju Dawsona, a ja samotnie poszedłem do baru.

Ze znudzoną miną przejrzałem spis trunków i zapytałem czarnego barmana:

— Czy nie macie tu czegoś mocnego?

— Co pan ma na myśli, señor?

— Coś godnego prawdziwego mężczyzny — dodałem ze znaczącym uśmiechem na ustach.

— Chodzi panu może o trawkę? — zapytał.

Trawką nazywano papierosy z marihuaną.

Pogardliwie wzruszyłem ramionami:

— Trawka mnie już nie bawi, chłopcze. To dobre dla młokosów. Potrzebuję czegoś konkretnego.

Pochylił się ku mnie i wyszeptał:

— Señor reflektuje na meskalinę?

Roześmiałem się z tą samą pogardą.

— Te rzeczy zażywałem już w tak wielkich dawkach, że mój organizm zupełnie się uodpornił. Powiedziałem: coś mocniejszego. Może być heroina.

— Nie dysponujemy heroiną, señor — zmartwił się barman. — Może być tylko meskalina.

— To już wiem — oświadczyłem dwuznacznie, ale on nie podchwycił ironii. — Trafiłem do nędznej budy. W takim razie poproszę tonik bez ginu.

Podał mi tonik, a następnie zatelefonował dokąś i coś komuś tłumaczył w języku suahili. Domyśliłem się, że wyjaśnia kucharzowi, dlaczego meskalina na nas nie podziałała. Byliśmy po prostu uodpornieni na te narkotyki.

Barman zakończył rozmowę, wrócił do mnie i rzekł.

— Pytałem mego przyjaciela kucharza, czy nie ma czegoś dobrego na składzie. Otóż, jeśli pan reflektuje na koke, to mogę ją dla pana znaleźć. Pięćset dolarów za paczuszkę.

Koka to była w przestępczym żargonie nazwa kokainy.

— No cóż, niech będzie — westchnąłem z ubolewaniem. — Ale chciałbym ją mieć zaraz.

— W porządku. Mieszkam razem z kucharzem w bocznym pawiloniku dla służby. Pokój numer osiem. Nie mogę opuścić baru, więc niech pan sam tam pójdzie, a ja telefonicznie uprzedzę kucharza.

Tak się też stało. Odnalazłem pawilon dla służby, niski budynek parterowy z długim korytarzem i numerowanymi pokojami po obydwu stronach. Zapukałem do pokoju numer osiem, otworzył kucharz w białym kitlu i spiczastej czapce na głowie. Bez słowa wręczył mi małą paczuszkę, a ja mu pięćset dolarów z zaliczki od don Pedra.

Z Florentyną i Dawsonem spotkaliśmy się podczas kolacji. Ralf posmakował posiłki i stwierdził, że nie kryją żadnego środka narkotycznego ani trucizny.

— Najważniejsze zadanie w obecnej chwili — powiedział — to dowiedzieć się, gdzie mieszkają kucharz i barman. Mam zamiar zrobić im psikusa.

Oświadczyłem ze skromną minką, spoglądając w stronę Florentyny:

— Wprawdzie zaliczam się do detektywów pterodaktyli, ale służę natychmiast wszelką informacją: kucharz i barman mieszkają w jednym pokoju, pod numerem osiem w pawiloniku dla służby.

— Jesteś wspaniały, Tomaszu — z uznaniem stwierdził Dawson.

Zdaje się, że w tym momencie Florentyna straciła podziw dla umiejętności Ralfa i znowu ujrzała w nim tylko zwykłego oszusta, bo powiedziała:

— Pan się ma za człowieka z UFO, panie Dawson. To po prostu żałosne. Widział pan lądowisko UFO i nie rozpoznał. A przecież zgodnie z tym, co napisał w swej książce profesor Knox...

Nie pozwoliłem jej dokończyć.

— Arsenik, panno Florentyno — powiedziałem. — Czy pani wie, jak działa arsenik podany nawet w niewielkiej dawce?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

NIEWIDZIALNE KOMBINEZONY • PSOTY Z RADIOAPARATEM • JAK UKARALIŚMY KUCHARZA I BARMANA • UCIECZKA PAŃSTWA GRUBER • NIEUDANA WYPRAWA • CZTERY STRASZNE ROTWEILERY • NIEWIDZIALNI W BARZE • SZEPTY I OSTRZEŻENIA • CZY ISTNIEJĄ WYRZUTY SUMIENIA? • CO ODKRYŁA U SIEBIE PANNA FLORENTYNA

O dziesiątej w nocy, gdy w swoim pokoju wypoczywałem w miękkim fotelu, w kieszeni moich spodni odezwał się brzęczyk. Wyjąłem pudełko po pastylkach miętowych, przyłożyłem je do ucha i usłyszałem głos Dawsona:

— Jestem tam, gdzie mam swoje rzeczy. Postaraj się przyjść jak najszybciej. I tak, aby cię nikt nie zauważył.

Po kilku minutach znalazłem się w pokoju, gdzie Ralf ukrył swoją torbę.

— Najwyższy czas zacząć działać — szepnął. — Musimy uzyskać pewność, że znajdują się tutaj przedmioty z Muzeum Złota. Otwórz moją torbę i wyjmij z niej dwa kombinezony, które naciągniemy na siebie, żeby nam było łatwiej się poruszać. Ja przygotuję aparaturę elektroniczną.

Zajrzałem do torby ukrytej w szafce na buty, ale była ona pusta.

— Nie ma w niej kombinezonów — stwierdziłem.

— Ty ich po prostu nie widzisz — zaśmiał się cicho. — Włóż do torby rękę, a je namacasz.

Rzeczywiście, moja dłoń natrafiła na kombinezony z elastycznej tkaniny. Ba, gdy zanurzyłem dłoń między kombinezony, to i ona przestała być widoczna.

— W laboratorium u doktora Alvareza — wyjaśnił mi Dawson — wyprodukowałem trochę specjalnego barwnika i wykąpałem w nim dwa elastyczne kombinezony. Stały się one niewidzialne dla ludzkiego oka, choć, niestety, rzucają cień, kiedy się je nosi. Przebrani w nie stajemy się więc niewidzialni dla ludzi, ale musimy uważać na zwierzęta ze względu na ich węch. Założymy też maski i specjalne okulary.

Pomyślałem o Florentynie. Teraz już chyba uwierzyłaby, że Dawson jest człowiekiem z Przyszłości.

— Może zajrzemy do Florentyny w naszych niewidzialnych kostiumach i trochę ją nastraszymy — zaproponowałem.

— Ona śpi. Rozpuściłem jej dużą dawkę środka nasennego w szklance z sokiem pomarańczowym. Tej nocy musimy mieć pewność, że nie narobi żadnych głupstw.

Naciągnąłem na siebie elastyczny kostium, włożyłem też specjalne rękawiczki i maskę na twarz, potem oczy zakryłem okularami i... stałem się niewidzialny.

Teraz przy uchu wyczułem coś twardego. Inny mały przedmiot miałem przy ustach.

— Nie będziemy się wzajemnie widzieć — usłyszałem w uchu szept Dawsona. — Porozumiewać się więc musimy jedynie przy pomocy mikrofonu przy ustach i odbiornika przy uchu.

Ralf wziął narzędzia i jako dwaj ludzie niewidzialni, wyszliśmy na hotelowy korytarz.

Na schodach nie spotkaliśmy nikogo. Dopiero w hallu na dole, w fotelach obok wielkiej palmy, zobaczyliśmy panią Gruber i jej męża. Rozmawiali po niemiecku, i to dość swobodnie, ponieważ oprócz nich nikogo tam nie było.

— Przysięgam ci, Hans — gorączkowała się pani Gruber — że rozpoznałam tego faceta. To jest na pewno ów słynny Señor Cochecito, który uczestniczył w konferencji naukowej w Bogocie. Nie przybył tutaj przypadkowo. Zauważyłam, jak bacznie ci się przygląda. On chyba domyśla się, że to ty byłeś mózgiem operacji włamania do magazynów Muzeum Złota.

— Mówiłaś o tym z don Pedrem? Trzeba go sprzątnąć.

— Nie bądź głupi. Señor Cochecito jest za sprytny, żeby dać się wykończyć. Dlatego musimy stąd wiać. Wzięłaś zaliczkę za włamanie, don Stefano potem się z tobą do końca rozliczy. Ja chcę zobaczyć nasze miłe gniazdko w Monachium i dlatego radzę ci jako dobra przyjaciółka, uciekajmy stąd. Załatwiłam sprawę z Mulatem, który na wyspę przywozi gości i żywność. Tej nocy o trzeciej nad ranem znowu wyrusza do Road Town. Obiecałam mu sto dolarów i zgodził się zabrać nas ze sobą. Po prostu ulotnimy się z wyspy. Zgadzasz się?

— Tak — po namyśle odparł Hans Gruber. — Chodźmy spakować walizki. Potem spróbujemy niepostrzeżenie wynieść je na przystań.

Poczekaliśmy, aż państwo Gruber opuszczą hall hotelu, ponieważ padające z góry światło powodowało, że przechodząc mimo nich, rzucalibyśmy długi cień na podłogę i oni mogli to zauważyć.

Z hallu wymknęliśmy się przed hotel.

— Teraz do radiostacji. Mieści się ona w małym domku koło przystani — usłyszałem szept Ralfa.

Domyślałem się, co chce uczynić Dawson. Zamierzał zepsuć radiostację. Nie miałby wtedy skąd nadać depeszy do swego rzekomego ojca, a równocześnie odciąłby bandytom łączność z don Stefano.

Zatrzymaliśmy się przed małym, zakratowanym oknem, przez które widać było oświetlony pokój z potężną aparaturą nadawczo-odbiorczą. Obok niej, wsparty łokciami o stół z przyrządami do pisania, drzemał jakiś Kreol. Dawson kazał mi zapukać w szybę. Zrobiłem to, Kreol obudził się z drzemki i zaciekawiony dziwnymi odgłosami wyszedł na dwór, pozostawiając uchylone drzwi. Myślę, że w tym momencie Dawson wśliznął się do pokoju.

Radiooperator przez długą chwilę stał przed domkiem, rozglądając się podejrzliwie. Na wszelki wypadek postanowiłem odciągnąć go jeszcze dalej, aby Dawson mógł wykonać swoje zadanie. Stuknąłem więc nogą w puste wiadro, leżące w sporej odległości od domku. Radiooperator poszedł w tym kierunku, jednocześnie wyciągając z kieszeni pistolet. Wtedy oddaliłem się od wiadra i zauważywszy leżącą na piasku pustą butelkę po whisky, cisnąłem ją w nadmorskie skały, aż z brzękiem rozprysnęła się na drobne kawałki.

— Caramba — zaklął Kreol i odbezpieczył pistolet.

Była noc — widna, księżycowa. Kreol rozglądał się, nikogo jednak nie zauważył. A ja w uchu znowu usłyszałem szept Dawsona: „Wszystko w porządku, Tomaszu. Niech on wraca do siebie”.

Ralf wykonał swoje zadanie i opuścił pomieszczenie radiostacji. Nie robiłem więc już żadnych kawałów radiooperatorowi, który po jakimś czasie, wciąż niespokojny i czujny, z pistoletem w dłoni wrócił do swego pomieszczenia i zamknął się w nim starannie.

— Wyjąłem z nadajnika jeden malutki moduł — poinformował mnie Ralf. — Radiooperator przez wiele godzin będzie szukał uszkodzenia.

Teraz skierowaliśmy się do pawilonu dla służby. To dziwne uczucie być niewidzialnym. Na schodach oraz korytarzu usiłowałem się ukryć, bo napotykalśmy wracające z pracy kelnerki. Tymczasem one nie mogły mnie widzieć. Gdy przywykłem do swej, jak to określiłem, „niewidzialności”, chwilami zapominałem, że nie zgubiłem ciała i, na przykład, idąca korytarzem sprzątaczką może o mnie zawadzić szczotką albo dostrzec mój cień na ścianie.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami pokoju numer osiem. Czymś nadzwyczaj zabawnym był widok poruszającego się w powietrzu cienkiego drucika, którym niewidzialny Dawson zaczął manipulować w zamku. Potem uchylił drzwi i wśliznęliśmy się do wnętrza. Światła nie zapalaliśmy, bo przez okno padał blask księżyca. Zobaczyłem radioodbiornik na stoliku oraz poruszający się w powietrzu śrubokręt, którym Dawson odkręcił śrubki przytrzymujące tylną ściankę aparatu. Następnie z niewidzialnej kieszeni malutki guziczek powędrował do wnętrza radia, śrubokręt znowu przykręcił tylną ściankę.

— W porządku. Możemy iść dalej — zarządził Dawson.

Cel tych wszystkich czynności był dla mnie zrozumiały, ponieważ Ralf zdradził mi swój dość zabawny pomysł. Otóż postanowił się zemścić na kucharzu i barmanie za zaaplikowanie nam narkotyków. Na malutkim magnetofonie, będącym zarazem miniaturową stacją nadawczą, nagrał przez chustkę głos Florentyny. W języku suahili miała ona po północy, gdy barman i

kucharz po pracy powrócą do swego pokoju, ostrzec obu Murzynów: „Uciekajcie stąd jak najprędzej. Uciekajcie, bo grozi wam straszne niebezpieczeństwo. Uciekajcie jeszcze tej nocy...”

Ostrzegawczy głos w rodzinnym języku, którego, jak sądzili, nikt na tej wyspie nie znał, musiał być przez nich uznany za znak Opatrzności. Przypuszczaliśmy, że obydwaj Murzyni posłuchają tajemniczego głosu i uciekną jeszcze tej nocy, pozbawiając hotel kucharza i barmana, co z kolei narazi don Pedra na kłopoty. Tym bardziej że tajemnicza ucieczka tych dwóch spowoduje falę plotek i niepokoju nie tylko wśród służby, ale i gości. A jeśli jeszcze dodać do tego wyjazd małżeństwa Gruber oraz unieruchomienie radiostacji... Aż chichotałem wyobrażając sobie, z jaką miną powita nas jutro don Pedro.

Tymczasem ominęliśmy hotel i zatrzymaliśmy się przed bramą prowadzącą do zakazanej strefy. Oto nadszedł moment, abyśmy dotarli do sezamu bandy don Stefano i upewnili się, że kryje on przedmioty skradzione z magazynów Muzeum Złota.

Lecz na naszej drodze stanęła nieprzewidziana przeszkoda. Psy. Znajdujące się po drugiej stronie siatki rotweilery — szkolone ongiś do chwytania niewolników — zwęszyły nas prawie natychmiast i z głośnym ujadaniem rzuciły się do bramy. Za nimi pośpieszyło dwóch strażników uzbrojonych w pistolety maszynowe. Oni nas nie widzieli, ale psów nie mogły oszukać niewidzialne kombinezony. Nie omylił mnie więc mój słuch — podczas zwiedzania wyspy słyszałem wczoraj psie ujadanie, które zagłuszała muzyczka z radia Dawsona.

Cztery psy, tak rozgniewane naszym widokiem, że aż im biała piana ciekła z pysków, raz po raz rzucały się na siatkę, a strażnicy nikogo nie widząc niespokojnie rozglądali się dookoła. Psy tak wyraźnie wskazywały miejsce, gdzie się znajdowaliśmy, że któryś ze strażników mógł na wszelki wypadek oddać w tę stronę serię strzałów.

— Wracamy — zdecydował Dawson.

Oddaliliśmy się szybkim krokiem, psie ujadanie trwało jeszcze jakiś czas.

— Będziemy musieli zabić te psy — oświadczył Dawson. — Niestety nie potrafię hipnotyzować wrogo nastawionych zwierząt.

— Nie, Ralf — zaoponowałem. — Nie chcę mieć na rękach ani krwi ludzkiej, ani zwierzęcej. Od kucharza kupiłem dzisiaj kokainę. Sypniemy nią psom w nosy. Gdy narkotyk zacznie działać, prawdopodobnie przestaną się nami interesować i może nawet popadną w sen narkotyczny.

— To świetny pomysł — zgodził się Dawson. — Szkoda, że w taki sam sposób nie możemy unieszkodliwić całej bandy na wyspie.

— A dlaczego? Pozwól, że rozwinę dalej twój dzisiejszy pomysł z wykurzeniem stąd barmana i kucharza. Stworzymy na wyspie tak zwaną psychozę strachu. Umkną wszyscy, nie wyłączając don Pedra. Zostaniemy tutaj tylko we trójkę. I wtedy poznamy tajemnicę wyspy.

Omówiłem z nim wszystkie szczegóły swego planu.

Odezwał się z uznaniem:

— To mi się podoba, Tomaszu. Zwycięstwo bez rozlewu krwi. Myślisz i działasz jak człowiek z Przyszłości.

Sądzę, że to był największy komplement, na jaki mogłem sobie zasłużyć ze strony Ralfa Dawsona.

O wpół do dwunastej w nocy znaleźliśmy się w wypełnionym przez gości barze. Ku naszemu zdumieniu, na wysokim stołku ze szklanką ginu w dłoni królowała tu panna Florentyna, która zapewne nie wypijała soku pomarańczowego z pigułkami nasennymi. Była trochę wstawiona, perorowała po angielsku, hiszpańsku, niemiecku i po włosku. Niektórzy słuchali jej z rozbawieniem, inni jednak z niepokojem. Był też i don Pedro z miną bardzo ponurą.

— Widzicie przyszłą laureatkę Nagrody Nobla — mówiła Florentyna. — Nie ulega żadnej wątpliwości, że ta wyspa jest lotniskiem Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Przybywały tu przed laty i jeszcze powrócą, możecie mi wierzyć. Małe, zielone ludziki. Najpierw przestanie działać radiostacja. Potem zaczną się dziać inne dziwne rzeczy. Będziecie słyszeli tajemnicze głosy, żelazne przedmioty zaczną się giąć, jak gdyby zrobiono je z plasteliny. Ogarnie was niczym nie wytłumaczony lęk.

Odezwał się don Pedro:

— Nie boję się małych, zielonych ludzików. Obawiam się jednak, że takie gadanie może tu sprowadzić różnych wścibskich dziennikarzy oraz policję. A tego bardzo nie lubię.

Bar zamykano o północy. Czas było zacząć działać. Wśród gości wyłowilem wzrokiem dwóch antykwariuszy z Londynu. Bez trudu, jako że pozostawałem niewidzialny, zbliżyłem się do antykwariusza z Chelsea i szepnąłem mu po angielsku:

— W twoim sklepie w Chelsea policja chce przeprowadzić rewizję. Uciekaj stąd jeszcze tej nocy i usuń ze sklepu rzeczy skradzione. Uciekaj stąd. O trzeciej nad ranem czekać będzie na ciebie motorowa łódź na przystani.

Następnie to samo powiedziałem antykwariuszowi z Picadilly Circus.

Obydwaj dzentelmeni na krótką chwilę znieruchomieli, a jeden z nich zbladł. Zapewne miał w swym sklepie sporo kradzionych dzieł sztuki i wiadomość o rewizji napędziła mu strachu. Czy zastanawiali się, kto im te słowa podszepnął? O, tak. Przez chwilę rozglądali się wokół siebie, ale jeden miał za sąsiada don Pedra, a drugi jakąś piękną kobietę. A przecież to nie kobiecie głos wyszeptał ostrzeżenie, nie był to też głos don Pedra.

Podszedłem do Florentyny i niemal muskając policzkiem pukiel jej włosów szepnąłem po polsku:

— Florentyno, Florentyno... Jak ci nie wstyd upijać się w barze z gangsterami... Co powie twoja matka?... Co pomyśla o tobie przyjaciółki twojej matki?... Ty, która tak pięknie robiłaś szydełkiem wspaniałe tuniki, teraz upijasz się ginem? A gdyby tak ujrzał cię dyrektor Marczak...

Pusta szklanka wypadła z dłoni Florentyny. A ona jak lunatyczka zsunęła się z wysokiego stołka i z oczami w słup ruszyła prosto do wyjścia z baru. Za nią wymknął się natychmiast antykwariusz z Chelsea i antykwariusz z Picadilly Circus.

Murzyn za barem obwieścił głośno:

— Za chwilę północ i kończymy pracę...

Nie pozostało nam nic innego, jak również opuścić bar. W wolnym pokoju na naszym piętrze zdjęliśmy niewidzialne kombinezony i każdy z nas ostrożnie powędrował do siebie. Ja zaraz położyłem się do łóżka z radosnym uczuciem, że już za kilka dni zobaczę na horyzoncie jacht „La Paloma”, a na nim Teresę van Hagen. Ralf chyba długo nie spał, musiał przecież w języku suahili nadać nagraną przez Florentynę audycję dla barmana i kucharza.

Nie wiem, kiedy zasnąłem. Pamiętam, że raptem wstrząsnął mną okropny krzyk. Wskoczyłem z pokoju. To była Florentyna — w nocnej koszuli, krzycząca wniebogłose. Wybiegł również Ralf Dawson, a z dolnych pięter przypędziło w pidżamach kilku gości oraz don Pedro.

— Tam, tam... na kanapie — Florentyna wskazywała otwarte drzwi swego pokoju — śpi jakiś mężczyzna...

Don Pedro raczył się pofatygować do numeru Florentyny, a wraz z nim weszło tam kilku gości. I rzeczywiście, na kanapie chrapał Emil.

— Przyszłam z baru trochę wstawiona — opowiadała Florentyna. — Rozebrałam się nie zapalając światła. Zachciało mi się jednak pić i przypomniałam sobie, że na nocnym stoliku zostawiłam szklankę soku pomarańczowego. Sięgnęłam po nią i stwierdziłam, że jest pusta. Zdumiało mnie to, więc zapaliłam światło, wtedy zobaczyłam tego typa chrapiącego na kanapie.

Sprawa była jasna. Podczas gdy Florentyna urzędowała w barze, don Pedro kazał Emilowi jeszcze raz przeszukać jej pokój. Gangsterowi zachciało się pić i zaspokoił pragnienie szklanką soku przyprawionego przez Dawsona środkiem nasennym.

— Bardzo panią przepraszam — tłumaczył się don Pedro. — Nic z tego nie rozumiem. Emil w pani pokoju? Na pani kanapie? To bardzo porządny pracownik. Czy na pewno nie zaprosiła go pani do siebie?

— Ja? — oburzyła się Florentyna. — Ja miałabym zapraszać do pokoju obcego mężczyznę?

Emila nie dało się obudzić. Don Pedro wezwał jeszcze kilku gangsterów ze służby hotelowej i oni wynieśli go z pokoju Florentyny. Nienaturalnie mocny sen Emila musiał oczywiście zastanowić don Pedra. Było to dla niego jeszcze jedno ostrzeżenie.

Następnego dnia śniadanie podano nam nie o ósmej rano, ale dopiero o dziesiątej. „Zaszły nieprzewidziane komplikacje” — ogólnikowo wyjaśnił sprawę don Pedro. Domyśliśmy się, że kucharz i barman posłuchali tajemniczego głosu i uciekli z wyspy. To samo uczyniło prawdopodobnie małżeństwo Gruber oraz dwaj dżentelmeni z Londynu. Żadnej bowiem z tych osób nie zauważyliśmy w sali jadalnej.

Kelnerki miały wystraszone miny, zapewne między służbą zaczęły kursować przeróżne plotki na temat ucieczki kucharza, barmana oraz kilku gości.

Postanowiłem skarcić pannę Florentynę za fakt, że bez naszej zgody ubiegłego wieczoru opuściła pokój i wyglupiała się w barze. Co by się stało, gdyby w momencie kiedy podniosła na korytarzu krzyk z powodu Emila, nas nie było w pokojach? Don Pedro natychmiast wszcząłby alarm. Na szczęście psy za bramą uniemożliwiły tej nocy naszą wyprawę w głąb wyspy.

— Dziwnie się pani prowadzi, panno Florentyno — powiedziałem. — Włóczy się pani po barach, pije w nadmiarze gin i chwali się ewentualnością otrzymania Nagrody Nobla. Czy takie postępowanie nie budzi w pani wyrzutów sumienia?

— Owszem — skinęła głową, rumieniąc się ze wstydu. — Nawet nie wiedziałam, że wyrzuty sumienia potrafią przemawiać tak wyraźnie i donośnie.

— A co najgorsze — dodałem — nie otrzyma pani Nagrody Nobla. Ta wyspa nie jest żadnym lądowiskiem UFO. O tej sprawie o wiele więcej powiedziałby pani nasz przyjaciel Ralf Dawson, który jest człowiekiem z Przyszłości i właśnie przybył do nas w latającym spodku. Ubrani w niewidzialne kombinezony, odbyliśmy wczoraj ciekawą wyprawę. To nie żadne wyrzuty sumienia, ale mój głos, gdy niewidzialny stałem obok pani w barze, zmusił panią do zaprzestania picia ginu.

Florentyna spojrzała na mnie jak na szaleńca.

— Pan był w barze? Niewidzialny? Chce mi pan bezczelnie wmówić, że nie ma żadnych wyrzutów sumienia, że to był po prostu pana szept?

— Tak.

— Od wieków ludzie miewają wyrzuty sumienia, a pan twierdzi, że to jest czyjś szept? Zaprzecza pan istnieniu wyrzutów sumienia?

— Nic podobnego, panno Florentyno — zaoponowałem. — Wyrzuty sumienia prawdopodobnie istnieją, ponieważ sam je miewam od czasu do czasu. Ale tym razem to ja pani szepnąłem o mamusi i jej przyjaciółkach. Ma pani szansę uzyskania jakiejś wielkiej nagrody za opis spotkania z człowiekiem z UFO i przechodzi pani obok tej szansy zupełnie obojętnie.

— Pan Dawson nie jest zielonym ludzikiem — z uporem oświadczyła panna Florentyna.

Dawson roześmiał się:

— Tak właśnie powinno być, Tomaszu. Gdy zniknę, nikt nie da świadectwa mojej obecności w waszym czasie. Tak, panno Florentyno. Ma pani rację czekając na wizytę małych, zielonych ludzików.

Florentyna nie odezwała się więcej — była obrażona, gdyż naszą rozmowę uznała za szyderstwo.

Podano w końcu śniadanie. A potem poszliśmy opalać się na plażę.

W pewnej chwili przyszedł do nas don Pedro i z ponurą miną oświadczył Ralfowi, że nie można na razie wysłać depeszy do pułkownika Dawsona, ponieważ radiostacja uległa uszkodzeniu. Radiooperator obiecał naprawić aparaturę do jutra rana.

— Okay — beztrósco oświadczył Dawson. — W takim razie zadeszuję jutro rano.

Wiedzieliśmy, że i jutro rano radiostacja będzie nieczynna. Usadowieni wygodnie w leżaku patrzyliśmy na morze, gdzie na horyzoncie od czasu do czasu widziało się statki zmierzające w kierunku Kanału Panamskiego. Ja tęskniłem za widokiem jachtu „La Paloma”.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

STRACH OGARNIA WYSPIARZY • UCIECZKA W PANICE • KIEDY WYLĄDUJĄ MAŁE, ZIELONE LUDZIKI • NOWA NOCNA WYPRAWA DO ZAKAZANEJ STREFY • WESOŁE PSY • Z CZEGO ZROBIONO PISTOLETY MASZYNOWE • LEWITACJA • SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ • OSTATNI UCIEKINIER • ZNIKNIĘCIE DAWSONA • NARESZCIE PRZYPLÝWA JACHT „LA PALOMA”

Przed wieczorem powróciła do przystani łódź motorowa wysłana po żywność do Road Town. Francesco, mimo pogroźek don Pedra, opowiedział hotelowej służbie o ucieczce barmana i kucharza, państwa Gruber oraz dwóch Anglików z Londynu. Twierdził, że zabrał ich z wyspy tylko pod groźbą pistoletu. Informacja o tym wydarzeniu dotarła poprzez służbę i do gości, dlatego podczas spóźnionej zresztą kolacji atmosfera w sali jadalnej była pełna napięcia. Na twarzach gości i służby zauważało się niepokój, a nawet strach. Z szeptów i strzępków rozmów w rozmaitych językach (teraz przydała się nam Florentyna) dowiedzieliśmy się, że podobno na La Jauja wkrótce ma przybyć Señor Cochecito oraz policja, a być może nastąpi nawet coś gorszego — inwazja małych, zielonych ludzików. Kucharz i barman słyszeli głosy Opatrzności, zepsuła się też radiostacja.

Po kolacji, napełniwszy bak łodzi motorowej porcją paliwa, umknął z wyspy Francesco, zabierając swoją narzeczoną pokojówkę oraz jej trzy przyjaciółki, również służące. Razem z nimi przepadł pewien grubas z nieodłącznym cygarem w ustach, jak dowiedzieliśmy się później, słynny handlarz dziełami sztuki z Hongkongu.

Życie na La Jauja uległo rozprężeniu. Radiostacja nadal nie działała, nie miał kto przygotowywać i podawać posiłków oraz sprzątać pokoi. Za barem urzędował jakiś rzezimieszek ze złamanym nosem, który o tego rodzaju pracy nie miał najmniejszego pojęcia, nie umiał robić cocktaili, nie znał się na trunkach i wszystkim serwował whisky z wodą sodową.

Rozkoszując się chłodem wieczoru zawędrowałem do opuszczonej przystani, gdzie natknąłem się na jedną z „turystek”. Pachniało przyjemnie morzem i wodorostami, ona jednak pociągała nosem z wyrazem niesmaku.

— Czy nie sądzi pan, że tutaj brzydko pachnie?

Nie przeczyłem przez grzeczność, choć pachniało cudownie.

— To się wręcz czuje nosem, że grozi nam niebezpieczeństwo — stwierdziła owa dama. — Ja się tam policji nie boję, moje zajęcie to wycena brylantów, z żadnymi włamaniami do muzeów nie mam nic wspólnego. Ale na myśl o małych, zielonych ludzikach przechodzi mnie dreszcz wstrętu. A pan czym się zajmuje?

— Jestem rzeczoznawcą dzieł sztuki — powiedziałem częściowo zgodnie z prawdą.

— Podobno na tej wyspie jest jeszcze kilka łodzi motorowych. Moi przyjaciele już ich szukają. Jeśli noc będzie spokojna i fala niezbyt duża, postaramy się stąd uciec. Mamy dość don Stefano. To było z jego strony bardzo głupie: włamać się do Muzeum Złota i mieć na karku policję całego świata.

— Nie wiadomo, czy to jego robota — rzekłem ostrożnie.

— A czyja? — prychnęła pogardliwie. — Kto jest takim drugim głupcem? Przez don Stefano policja stała się czujna i już kilka osób wpadło w ręce celników, gdy przemycało dzieła sztuki. Dotąd żyło się tak spokojnie.

Pomyślałem chwilę i powiedziałem:

— Jeśli stąd ucieknę, to razem z tym skradzionym złotem.

Popatrzyła na mnie z nieukrywaniem podziwem.

— Pan nie jest głupi. Ostrzegam jednak, że to nie jest takie łatwe. Opowiadał mi jeden ze strażników, że magazyn don Stefano znajduje się pod prądem. Kto dotknie drzwi skarbcza, ginie na miejscu. A gdy się prąd wyłączy, drzwi są zamknięte na głucho i trzeba by je rozwałać dynamitem. I tak źle, i tak niedobrze. Żaden ze strażników nigdy nawet na krok nie zbliżył się do skarbcza. Pilnują go z daleka. Jeśli pan uszczknie coś z tego złota, radzę przyjechać do mnie. W Paryżu dostanie pan najlepsze ceny.

Podawała mi swój adres — jeszcze jeden koniec nitki z pajęczej sieci, jaką gang don Stefano oplótł kulę ziemską.

Pożegnałem uprzejmie platynową piękność i pośpieszyłem do hotelowego pokoju. Po chwili odezwał się brzęczyk w mojej kieszeni. Dawson poinformował mnie, że tym razem panna Florentyna została solidnie uszpiota i możemy znowu udać się na wyprawę. Ralf przypomniał mi o kokainie.

Kilka minut po dwudziestej drugiej, znowu w naszych niewidzialnych kombinezonach, znaleźliśmy się przed bramą prowadzącą do zakazanej części wyspy. Psy wkrótce nas wyczuły i z głośnym ujadaniem rzuciły się w naszym kierunku, a za nimi wolno zbliżyło się aż pięciu strażników z pistoletami maszynowymi w dłoniach. Przewodził im Emil.

Kolejno każdemu psu sypanąłem przez siatkę garść kokainy prosto w rozwścieczony pysk. Potem schowaliśmy się na zapleczu hotelu i obserwowaliśmy, jak na narkotyk zareagują zwierzęta. Noc była księżycowa, to co się działo za wysoką siatką, widzieliśmy jak na dłoni.

Najpierw przestały ujadać i rzucać się na siatkę. Minęło jeszcze trochę czasu i oto zwierzęta ogarnęła zadziwiająca wesołość oraz chęć do figlów. Zaczęły przewracać strażników, goniły jeden drugiego, któryś usiłował chwycić własny ogon i kręcił się w kółko.

— Do diaska, co z tymi psami? — usłyszałem zdumiony głos Emila.

Psy przepełniała ogromna radość i poczucie własnej siły. Przeskakując jeden przez drugiego, rozbiegły się po wyspie. Zaintrygowani ich zachowaniem strażnicy odeszli, a Dawson cieniutkim drucikiem otworzył kłódkę wiszącą na bramie i po krótkiej chwili znaleźliśmy się w zakazanej części wyspy.

Jak wspominałem, księżyc świecił mocno i nasze cienie ostro rysowały się na płycie startowej lotniska. To było niebezpieczne. Jeśli któryś ze strażników zobaczyłby dwa wędrujące cienie, niechybnie zacząłby strzelać, mimo że nie widziałby postaci ludzkich. Mógł nas zranić, a nawet i zabić. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy więc pójść szlakiem znacznie bardziej uciążliwym, to jest pomiędzy sterczącymi kikutami nie dokończonych budowli i stalowych konstrukcji. One także rzucały cienie i łatwo było zgubić wśród nich nasze własne. Tylko że wszędzie widniały napisy „Danger” oraz stały tablice z trupią czaszką i skrzyżowanymi puszczelami.

— Nie obawiaj się niczego — uspokoił mnie Dawson. — Te napisy zapewne kazał tutaj ustawić don Pedro. Zresztą, zapewniam cię, że mój organizm natychmiast reaguje na każde skażenie radioaktywne. My, ludzie Przyszłości, zbyt długo żyliśmy w świecie, w którym co krok groziło podobne niebezpieczeństwo, i wytworzyliśmy w swoich genach specjalny system sygnalizacyjny. Czy nie przekonałem cię już, że mój organizm odrobinę różni się od twojego?

To była prawda. Kilkakrotnie zwróciłem uwagę, że Dawson, na przykład, patrzy nie tylko oczami. „Widzi” również swoją skórą, to znaczy, że jego skóra reaguje silnie na światło. Nie odwracając głowy wiedział, że za jego plecami ktoś bezszelestnie wszedł do pokoju, a nawet jakiego koloru był jego strój. Tej nocy poznałem jeszcze wiele innych umiejętności Ralfa, ale ta, którą zademonstrował po chwili, przeszła wszelkie moje oczekiwania.

Jak nadmieniałem, szliśmy wśród gruzów i resztek nie dokończonych budowli. Na ziemi walały się sterty cegieł, kawałki stali, zwoje drutu kolczastego. Nadeptanie na pogięty blaszany pojemnik czy potknięcie się o cegłę wywoływało natychmiast szmer, a niekiedy głośny brzęk. Szedłem więc ostrożnie, pamiętając, że nie wolno mi rozdrzeć kombinezonu, gdyż jedynie materia kostiumu czyniła mnie niewidzialnym. A co zrobił Dawson? Zaczął po prostu lewitować, to jest unosił się nad ziemię o pół metra i poruszał wolno nogami, jak gdyby płynął w powietrzu. Nie widziałem tego, ale domyśliłem się, co robi, ponieważ od pewnego momentu posuwał się bezszelestnie, a i jego cień podniósł się. Domyślił się, że poznałem sposób jego wędrówki i usłyszałem w słuchawce cichy głos:

— Wierz mi, Tomaszu, to naprawdę nic trudnego. Gdybym miał trochę czasu, nauczyłbym cię tej sztuki. Wymaga po prostu tylko wielu ćwiczeń. Czy myślisz, że my, ludzie z Przyszłości, wymyśliliśmy jakieś cuda? Nie. Po prostu wykorzystujemy zdolności, jakie

posiada każdy człowiek nawet w twoim czasie, ale o nich nie wie, nie rozwija ich przez odpowiednie ćwiczenia. Ty także masz siłę „psi”, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy. Potrafiłbyś siłą własnej woli zatamować upływ krwi z przeciętego naczynia krwionośnego, unieść się w powietrze na niewielką wysokość. Popatrz zresztą, co za chwilę uczynię...

Zbliżyliśmy się właśnie do grupy kilku płaskich budynków z żelazobetonu. Jeden z nich wyglądał jak bunkier z wąskimi oknami podobnymi do strzelnic. Drugi stanowił wejście do ukrytych w skałach składów i schronów. Jeszcze inny był elektrownią, prawdopodobnie całkowicie zautomatyzowaną i pracującą na mazucie. Sąsiadowało z nią kilka transformatorów, biegly stamtąd linie energetyczne. Między owymi budynkami rozciągało się podwórze — wielka, betonowa płyta. Obok paliła się mocno latarnia elektryczna. W jej blasku widzieliśmy pięciu strażników i Emila, pochylających się nad leżącymi bezwładnie psami, które spały głośno chrapiąc.

— Co im się stało? — spytał Emil, ale odpowiedzi nie otrzymał.

W końcu jeden ze strażników oświadczył:

— Może miała rację ta facetka, która w barze opowiadała, że na naszą wyspę przylecą małe, zielone ludziki? Radiostacja przestała działać, uciekł barman i kucharz, a także sporo gości. Oni wiedzieli o niebezpieczeństwie i zwiali jak szczury ze statku, który ma zatonać.

— A ten człowiek, którego oprowadzałeś po wyspie — wtrącił drugi strażnik. — Czy nie opowiadał, że jest tu takie urządzenie, które może zalać wodą całe podziemia? Co do mnie, to zgadzam się stróżować na górze, do podziemi jednak nie zejdem za żadne skarby.

— Don Pedro twierdzi, że to są bzdury — powiedział Emil.

— Ale z naszymi psami stało się coś dziwnego. Wczoraj i dziś w nocy szczekały nie wiadomo na co, a w tej chwili śpią. Teraz każdy może nas podejść.

To mówiąc niespokojnie rozejrzał się dokoła, odbezpieczył pistolet maszynowy i gotów był strzelać. Lecz w tym momencie lufa jego pistoletu zgięła się ku dołowi, jakby zrobiono ją z plasteliny.

— Co to?! Patrzcie! — wrzasnął strażnik i rzucił pistolet na beton.

Lufa pistoletu drugiego strażnika dla odmiany wygięła się ku górze. Trzeciego skrzyła w lewo, czwartego w prawo, piąty strażnik po prostu rzucił broń na beton nie czekając, aż mu się wygnie w dłoniach...

— Ona mówiła... Ta kobieta w barze... że broń będzie sama się gięła w naszych rękach — bełkotał Emil.

Bezradnie wyciągnął z kieszeni pistolet i w geście rozpaczony uniósł lufę ku górze, jakby chcąc bronić się przed nadlatującymi z nieba ludzikami. Wtedy pistolet zaczął strzelać aż do wypróżnienia całego magazynku.

— To nie ja... nie ja... on sam strzela! — krzyknął Emil i cisnął pistolet.

W słuchawce usłyszałem szept Ralfa:

— Obserwowałeś zjawisko, które wy nazywacie telekinezą. Zginanie przedmiotów metalowych na odległość oraz wprawianie ich w ruch.

— Wyprowadzić z hangaru helikopter — rozkazał Emil. — Ja go sam poprowadzę. Jazda, chłopaki, ratujmy się. Komu życie miłe, niech opuszcza to przekłete miejsce, zanim wylądują tu latające talerze.

Całą gromadą pobiegli do pobliskiego, blaszanego hangaru. Wyciągnęli śmigłowiec, potem powrócili na betonowe podwórze, aby zabrać ze sobą śpiące psy, do których chyba byli bardzo przywiązani. Po dziesięciu minutach skrzydła śmigłowca zaczęły się obracać, a warkot silnika wypełnił całą wyspę. Strzały z pistoletu i ów hałas zbudziły don Pedra oraz któregoś z jego pomocników. Gdy śmigłowiec wzniósł się w górę, od strony hotelu po betonowej płycie lotniska nadbiegł don Pedro i jakiś Kreol, obydwaj w pidżamach i z pistoletami w rękach.

— Uciekli! Uciekli śmigłowcem! — wrzasnął don Pedro i oddał długą serię z pistoletu w stronę odlatującej maszyny. Ale ona była już zbyt daleko.

— Niech pan popatrzy, señor — pomocnik don Pedra wskazał leżące na betonie pistolety maszynowe strażników.

Obydwaj zaczęli uważnie przyglądać się broni z powyginanymi lufami i dopiero po krótkiej chwili zorientowali się, że i ich pistolety mają wygięte lufy.

— Nie! Nie! Ja też uciekam — przeraźliwie krzyknął Kreol i co sił w nogach pobiegł w kierunku hotelu.

Don Pedro, który miał chyba mocniejsze nerwy, nie okazał strachu. Odniosłem wrażenie, że gdyby leżąca na betonie broń nadawała się do użytku, strzeliłby za uciekającym pomocnikiem. Długą chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się nad sytuacją.

Umilkł warkot helikoptera, cisza ogarnęła wyspę. Ja i Dawson, ukryci za rogiem bunkra, też nie ruszaliśmy się.

Ta cisza podziałała uspokajająco na don Pedra. Lojalność wobec don Stefano chyba zwyciężyła w nim strach. Rozejrzał się bacznie na wszystkie strony, a potem podszedł do budynku z żelaznymi drzwiami. Domyśliliśmy się, co zamierza uczynić. Postanowił się upewnić, czy uciekający strażnicy nie obrabowali skarbca gangu. Mieliśmy okazję zobaczyć, jak otwiera się bandycki sezam.

Na żelaznych drzwiach była dźwignia. Don Pedro poruszył nią trzy razy w prawo i dwa razy w lewo, a wówczas otworzyły się bezszelestnie jak wejście do legendarnego sezamu Alibaby. Gangster przycisnął kontakt i żarówka elektryczna oświetliła schody prowadzące pod ziemię.

Poszliśmy krok w krok za nim, zachowując jednak bezpieczną odległość, aby nie słyszał szmeru naszych oddechów.

Schody zostały wykute w litej skale. Prowadziły przez dwie kondygnacje, na ostatniej znajdowało się dość obszerne pomieszczenie z dwoma żelaznymi drzwiami. Stał tutaj stół i

kilka krzesel, na szafce walały się puste butelki po wódce. Zapewne mieliśmy przed sobą coś w rodzaju strażnicy. Nie czuło się piwnicznego zapachu stęchlizny, pachniało morzem, podziemie posiadało wspaniałą klimatyzację.

Don Pedro podszedł do drzwi po prawej stronie, przekręcił na nich dźwignię w taki sam sposób, jak przy drzwiach do podziemi. I znowu otworzyły się automatycznie, a światło, które zabłysło, ukazało schron wypełniony zapasami żywności na wypadek, gdyby strażnicy nawet przez kilkanaście dni nie mieli prawa wyjść na górę.

Drugie drzwi miały zamek sekretny jak przy kasach ogniotrwałych. Był to zamek cyfrowy, nie wymagający jednak klucza. Chyba tylko don Pedro znał szyfr otwierający go. Ale i dla nas po chwili przestał on być tajemnicą. Tarcza z cyframi zatrzymywała się kolejno na cyfrach: trzy, osiem, dziewięć, jeden, potem na trzech jedynkach, wreszcie następowała trójka, siódemka i czwórka. Zauważyłem, że don Pedro nie dotyka powierzchni drzwi, które zapewne cały czas znajdowały się pod napięciem. Wreszcie drzwi otworzyły się.

To co ujrzeliśmy w blasku zapalonego w środku światła, przypominało wnętrze muzealnego magazynu. Na ścianach znajdowały się czujniki informujące o wilgotności i samoregulujące dopływ powietrza o odpowiedniej temperaturze. Na specjalnych sztalugach stał obraz przy obrazie, na wysokim podeście znajdowały się dzieła sztuki kamieniarskiej. Tuż przy drzwiach zobaczyliśmy trzy ogromne skrzynie, nawet nie zamknięte na żaden zamek. Don Pedro kolejno podnosił ich wieka, a wówczas buchał z nich blask złota. Nie ulegało wątpliwości — to były przedmioty z Muzeum Złota w Bogocie.

Lustracja don Pedra była szybka i pobieżna. Przekonał się, że strażnicy niczego nie ukradli. Po kilku minutach zamknął sejf i ruszył wolno po płycie lotniska w kierunku hotelu, a my szliśmy za nim w dość sporej odległości, aby nie dostrzegł naszych cieni.

To, co zobaczyliśmy przed hotelem i na przystani, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Resztki służby i goście hotelowi wyprowadzili z hangaru ostatnie łodzie motorowe, ładowali na nie swoje walizki i natychmiast odpływali. Cztery takie łodzie na naszych oczach oddaliły się od wyspy. Don Pedro w milczeniu stał na skale przy przystani i tylko obserwował. Nie przeciwstawiał się ucieczce, gdyż rozumiał, że byłoby to bezskuteczne.

Po godzinie na całej wyspie pozostały tylko cztery osoby. Śpiąca w swoim pokoju panna Florentyna, don Pedro oraz ja i Dawson.

Nie pozostało nic innego, jak udać się na spoczynek. Była już zresztą druga w nocy. Co zrobił don Pedro — nie wiem. Być może też usiłował wypocząć, ale gdy rankiem zgodnie z hotelowym regulaminem pojawiliśmy się w trójkę na śniadaniu w sali jadalnej, don Pedro, ubrany w czystą, białą koszulę i nieskazitelnie biały garnitur, starannie ogolony, podszedł do nas skłoniwszy się uprzejmie powiedział:

— Mam ukrytą jeszcze jedną, bardzo wygodną i szybką łódź motorową. Jeśli państwo chcą, bardzo proszę z niej skorzystać.

Florentyna, która nie miała pojęcia, co stało się tej nocy, głośno wyraziła swoje zdziwienie:

— A dlaczego mamy odpływać, señor? Przecież chyba nic nam nie grozi?

— Owszem, señorina — odrzekł równie uprzejmie don Pedro. — Czekaj panią Nagroda Nobla. Sprawdziły się pani słowa: radiostacja przestała działać, broń zaczęła się gnić, wszystkich opanował lęk. Wkrótce wylądują tutaj latające talerze...

Florentyna aż podskoczyła radośnie, tak ją ucieszyła ta wiadomość:

— Więc jednak! — zawołała z tryumfem. — Więc jednak będę mogła je poznać. Małe, zielone ludziki z antenami na głowach. Muszę tu zostać, aby potem opisać spotkanie z nimi.

Don Pedro przecząco pokręcił głową:

— To niemożliwe, proszę państwa. Nie posiadam służby. Nikogo zresztą oprócz mnie i państwa już nie ma na wyspie. Nikt nie zrobi śniadania, obiadu i kolacji, nie posprząta pokoi. Nikt wam nie poda drinka w barze.

— Zapłaciliśmy za trzytygodniowy pobyt — zwrócił mu uwagę Dawson.

Don Pedro sięgnął do portfela:

— Zwrócę państwu koszty oraz dołożę pewną sumę jako odszkodowanie.

Dawson machnął lekceważąco ręką:

— Nie chcę ani zwrotu kosztów, ani odszkodowania. Zostaniemy na wyspie zgodnie z naszymi wcześniejszymi planami. Małe, zielone ludziki nie są w stanie zmienić niczego w życiu prawdziwego Anglika.

— A czemu to pan nie ucieka? — zapytał don Pedra.

Położył dłoń na sercu:

— Nie mogę tego uczynić, amigo. To mój hotel. Cały majątek.

— Rozumiem — skinął głową. — Ale w takim razie będzie panu różniej w naszym towarzystwie. Proszę się nie kłopotać o śniadanie, obiad i kolację. Jest wśród nas kobieta. Mam nadzieję, że umie gotować. Ona zajmie się kuchnią, a pan, don Pedro, będzie jej pomagał i podawał nam do stołu.

— Nie umiem gotować — pisnęła Florentyna.

Don Pedro westchnął:

— Wolałbym jednak, aby państwo skorzystali z ostatniej łodzi motorowej.

— Nie ma mowy — odparł Dawson. — Nie miałbym sumienia zostawić tutaj pana w obliczu inwazji małych, zielonych ludzików. Żaden Anglik tak by nie zrobił.

Okazało się jednak, że Florentyna to i owo umie przyrządzić. Otrzymaliśmy na śniadanie jajka na bekonie i mocną kawę. Na obiad obiecała upiec kurczaka.

W tej sytuacji poszedłem opalać się na plażę. Jednocześnie obserwowałem Dawsona. Byłem ciekawy, kiedy zechce zrealizować swoje zadanie. Zgubiony przez UFO przedmiot prawdopodobnie znajdował się w jednej z trzech skrzyń w bandyckim sezamie. Nawet wprost zapytałem o to Ralfa, lecz odparł mi ze śmiechem:

— Zaczekamy na przybycie jachtu „La Paloma”. Mam na nim rzecz, która będzie mi potrzebna.

— A kiedy się to stanie?

— Uruchomiłem radiostację i połączyłem się z Rodrigiem. Są już niedaleko stąd.

Skoro uruchomił radiostację, pomyślałem o depeszy do Connora i Marczaka. Powinni tu zaraz przybyć i zająć się zawartością sezamu. Zredagowałem więc zaszyfrowaną wiadomość do Paryża i osobiście towarzyszyłem Dawsonowi, gdy ją nadawał.

— A Esponoza? Zapomniałeś o inspektorze Esponozie — przypomniał Ralf. — Chcesz go pozbawić udziału w sukcesie?

— Nic mnie nie obchodzi Esponoza.

— A jednak, gdyby nie on, Tomaszu, don Casanova nie zdradziłby tajemnicy wyspy La Jauja. Zresztą, jak wiesz, zawarłem z Esponoza dżentelmeńską umowę...

— Rób, co chcesz — wzruszyłem ramionami. — Ale Esponoza nie może być tu wcześniej niż Connor i Marczak. Gotów cały sukces tylko sobie przypisać.

Tak więc Ralf wysłał depeszę również i do Bogoty, do inspektora Esponozy, a potem znowu unieruchomił radiostację, aby nie mógł z niej skorzystać don Pedro.

Ten zresztą zachowywał się dziwnie. Aż do obiadu był spokojny, opanowany, zdawałoby się pogodzony z losem. Nagle, siedząc przy stole, zaczął przeklinać kogoś głośno, sam ze sobą rozmawiał, pomrukiwał gniewnie. Sądzę, że był to skutek działalności Dawsona, który zdawał się robić wszystko, aby pozbyć się z wyspy także i don Pedra. Gdy don Pedro podnosił do ust łyżkę z jedzeniem, łyżka nagle się wyginała i jedzenie spadało na serwetkę albo nieskazitelnie białe spodnie. Podobnie działo się z widelcami i nożami. Gięły się w rękach don Pedra i biedak w końcu musiał jeść palcami. Szkoda, że tego nie widziała Florentyna zajęta w kuchni.

Po kolacji wyciągnął z jakiegoś zakamarka niedużą łódź motorową i przycumował ją na przystani. Potem przyszedł do nas i oświadczył z pogrózką w głosie:

— Jeśli dalej będzie się tak działo, jak się dzieje, to ja odpływam do Road Town.

— Co się dzieje, señor? — zainteresowała się tą sprawą Florentyna.

Don Pedro nic nie odpowiedział, odwrócił się na pięcie i odszedł do siebie. Od tego momentu nie widziałem go więcej. W nocy obudził mnie hałas zapuszczanego silnika, pomyślałem, że przerażony Don Pedro odpływa do Road Town, co potwierdziło się rankiem. Nie zjawił się w

kuchni, aby pomóc w przygotowaniu śniadania. Jego pokój w hotelu był pusty. Na przystani brakowało łodzi motorowej.

Przepadł również i Ralf Dawson. Nie znalazłem go w jego pokoju ani na plaży, ani w pomieszczeniu radiostacji. Nie poszedł także do zakazanej strefy wyspy, ponieważ ogromna kłódka wisiała wciąż na bramie. Próbowałem go wywołać przy pomocy aparaciku umieszczonego w pudełku po pastylkach miętowych, ale pudełeczko milczało.

— Uciekł razem z don Pedro — oświadczyła Florentyna. — Tego się spodziewałam. I jego także wystraszyła w końcu perspektywa spotkania się z małymi, zielonymi ludzikami. On nie jest żadnym człowiekiem z UFO.

— Niech pani nie gada głupstw, panno Florentyno, tylko zajmij się śniadaniem — zgromiłem ją. — Sprawa zniknięcia Dawsona jest bardzo tajemnicza.

Znowu zacząłem penetrować wszystkie pokoje w hotelu. Aż wreszcie trafiłem do tego, gdzie Ralf ukrył swoje rzeczy w szafce na buty. Niestety szafka była pusta. Zniknęła z niej torba z niewidzialnymi kombinezonami. Czy to nie znaczyło, że Ralf tej nocy udał się na samotną wyprawę do sezamu gangu, aby odnaleźć przedmiot zgubiony przez UFO? Uśpił moją czujność twierdząc, że czeka na przybycie jachtu... Kłódka na bramie? Ależ on potrafił lewitować. Cóż dla niego znaczyło przedostać się ponad bramą. Tak, Ralf Dawson mnie oszukał, zostałem przez niego wystrychnięty na dudka.

Tymczasem nadbiegła Florentyna z nową wiadomością. Nie działała kuchnia elektryczna w hotelu. W ogóle nie było prądu, elektrownia na wyspie wyłączyła się samoczynnie albo ktoś to zrobił. Dlaczego? Odpowiedź była dla mnie jasna. Drzwi od podziemia i od skarbcza otwierały się jedynie automatycznie, dzięki działaniu prądu. Bez niego te drzwi trzeba było pruć palnikami acetylenowymi.

— Zrobię obiad — próbowała mnie pocieszać Florentyna.

Lecz ja nie chciałem słyszeć o jedzeniu. Pobiegłem do hotelu, znalazłem pomieszczenie z różnymi narzędziami, wybrałem piłkę do żelaza i właśnie miałem zamiar przepiłować ogromną kłódkę na bramie do zakazanej strefy, gdy zobaczyłem, że do przystani wpływa jacht „La Paloma”. Po chwili z pokładu zeskoczył łaciaty Robin i na przywitanie polizał mnie po policzkach. Potem zobaczyłem don Gabriela, Burta Duncana i Rodriga oraz pozostałą załogę. Ujrzałem Teresę van Hagen i przez krótki moment poczułem ogromną radość.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

RALF DAWSON W NIEBEZPIECZEŃSTWIE • DON GABRIEL W AKCJI • DLACZEGO NIE DZIAŁA ELEKTROWNIA? • ROBIN PRZEKSZTAŁCA SIĘ • POD LUFA PISTOLETU • UCIECZKA DON PEDRA • W PODZIEMNYM SKARBCU • PRZYJĘCIE NA JACHCIE • LIST OD DAWSONA • KTO ODPŁYNAŁ NA JACHCIE • PRZYBYCIE ESPONOZY I WSPÓLNY KOMUNIKAT • AGENCI: F-1, F-2, F-3, F-4, F-5 • POWRÓT DO KRAJU

W dużym skrócie opowiedziałem przyjaciołom o naszych przygodach na wyspie La Jauja oraz o zaginięciu Ralfa Dawsona. Byłem przekonany, że Ralf znajduje się w zakazanej części wyspy i grozi mu niebezpieczeństwo, w przeciwnym razie pojawiłby się, aby przywitać przyjaciół.

Don Gabriel pogardliwie potraktował piłkę do metalu. Z kieszeni wyjął coś w rodzaju grubego scyzoryka o wielu ostrzach. Niektóre z nich były delikatne i cienkie jak żyłotka, inne przypominały lekko zakrzywione druciki.

— To jest klucz uniwersalny — obwieścił z dumą stary gangster, a następnie bez najmniejszego trudu otworzył kłódkę.

Na wyprawę do zakazanej strefy don Gabriel wziął z kajuty na jachcie ogromny rewolwer, z pistoletami w dłoniach ruszyli za mną Duncan i Rodrigo. Poprosiłem Florentynę i Teresę, aby pozostały w hotelu albo na jachcie, ale przede wszystkim Teresa nie zgodziła się. Zauważyłem, że na wiadomość o zaginięciu Dawsona zbladła i szybko połknęła jakąś pigułkę, prawdopodobnie, aby uspokoić nerwy. A skoro Teresa nie chciała zostać na jachcie, nie uczyniła tego także Florentyna. Do zakazanej części wyspy poszliśmy wiać sporą gromadką.

Na dużej płycie betonowej, tuż przy wejściu do skarbcza, zobaczyliśmy porzucone ubiegłej nocy pistolety maszynowe strażników. Pistolety miały pogięte lufy, co Florentynę wprowadziło w nastrój radosnej euforii.

— One już są blisko — niemal tańczyła. — Małe, zielone ludziki wkrótce tu wylądują. Stanie się tak, jak przepowiedziałam.

Z trudem udało mi się przerwać jej radosny taniec. Wydawało mi się czymś wręcz nieprzyzwoitym wyrażać tak ogromną radość w chwili, gdy gdzieś niedaleko, może za betonowymi ścianami skarbcza, Ralf Dawson umierał z braku powietrza, bo przecież skoro nie było prądu, w podziemiu nie działał także system wentylacyjny. Ale ona zawsze uważała Dawsona za wielkiego oszusta. Jego tajemnicze zniknięcie utwierdzało ją w tym przekonaniu. W głębi duszy podejrzewała, że Ralf Dawson poszedł sam nocą do skarbcza, aby pod moim nosem opróżnić go z najcenniejszych dzieł sztuki.

Zbliżyłem się do żelaznych drzwi w głównym bunkrze i, tak jak to zrobił don Pedro, poruszyłem dźwignię dwa razy w prawo i raz w lewo. Niestety, drzwi ani drgnęły.

— Zamiast pistoletów i rewolwerów — stwierdziłem ponuro — należało wziąć palnik i butlę z tlenem. Te drzwi otwiera jedynie prąd elektryczny, a elektrownia nie działa.

Szybkim, krokiem ruszyłem do budynku, w którym była elektrownia. Być może zabrakło paliwa i turbina przestała pracować. Mogła też nastąpić jakaś awaria.

Budynek był niski, podobnie jak i skarbiec. Zbudowano go z uzbrojonego betonu. Żelazne drzwi stały otworem. Za nimi była ciemność. Nie mieliśmy latarki elektrycznej. Wyjąłem więc z kieszeni gazową zapalniczkę do papierosów i przyświecając nią sobie, wkroczyłem w ciemności na schody prowadzące gdzieś w dół. I wtedy Robin, który wciąż szedł przy mojej nodze, raptem rozpułnął się, po prostu przestał istnieć. A zamiast niego zaczęła mi

towarzyszyć sunąca w powietrzu ogromna latarnia, świecąca jakimś bardzo jasnym, niesamowitym blaskiem.

I znowu nie było przy mnie Florentyny, aby mogła się naocznie przekonać, że Robin to nie zwykły pies, ale twór z Przyszłości. Ale ona i inni pozostali przy wejściu do bunkra...

W blasku przedziwnej latarni dotarłem do dość obszernej sali przypominającej maszynownię statku. Pod pomalowanymi na biało blaszanymi pokrywami były mechanizmy i turbina elektrowni napędzanej mazutem. Od razu spostrzegłem czerwoną dźwignię przestawioną na „Stop”. A więc to nie brak mazutu spowodował unieruchomienie turbiny. Ktoś ją zatrzymał.

Zrobiłem trzy kroki do dźwigni i już niemal sięgałem do niej ręką, gdy zza jej obudowy wyszedł don Pedro z pistoletem w dłoni. Lufa pistoletu była skierowana prosto w moją pierś.

— Stój — powiedział cicho, ale w podziemnym pomieszczeniu głos zabrzmiał donośnie i głucho. — Czekałem tu na ciebie, Señor Cochecito. Twój przyjaciel już zapewne umarł z braku powietrza, a teraz przyszła kolej na ciebie, Dość długo wodziliście mnie za nos. Wczoraj jednak domyśliłem się prawdy. Nie wiem, jak to się stało, że spowodowaliście ucieczkę strażników, całego personelu i wszystkich gości. Być może macie na swych usługach diabła, który potrafi gnać lufy pistoletów maszynowych i czyni was niewidzialnymi. Ale teraz oto stoisz przed lufą mojej barrety i, nawet gdyby zjawił się tu sam diabeł, nie uruchomisz elektrowni.

Zrobiliśmy wielki błąd, zostawiając na wolności don Pedra. Niemal na naszych oczach odpłynął swą motorową łodzią, a my sądziliśmy, że ucieka. Tymczasem prawdopodobnie opłynął wyspę i zacumował gdzieś przy brzegu w strefie zakazanej. Potem zaczął się przy skarbcu. Być może Ralf Dawson był nawet ubrany w swój kombinezon, ale don Pedro widział jednak, jak otwierają się drzwi do podziemi, a potem do skarbcza. A wtedy zapewne pobiegł wyłączyć turbinę elektrowni i skarbiec zamienił się w pułapkę.

— Na wyspie jest już policja — skłamałem. — Przyplłynął zapowiedziany przez Casanovę jacht „La Paloma”, a na nim nasi przyjaciele. Nawet jeśli mnie pan zabije, w niczym nie zmieni to pana sytuacji.

— Nie dbam o to — powiedział. — Przyrzekłem swemu szefowi, że będę czuwał nad skarbem, choćbym miał zginąć. I dotrzymam słowa. Don Pedro nie boi się nikogo i niczego, nawet diabła.

Nie powiedział prawdy, bo sam jej pewnie nie znał. Nie ma na świecie człowieka, który w swej podświadomości nie kryłby jakiegoś lęku.

Raptem zgasła oświetlająca pomieszczenie latarnia i usłyszałem zdławiony strachem głos don Pedra:

— To ty, Susanna?! Przecież ty nie żyjesz! Zabiłem cię, bo podejrzewałem cię o zdradę... Nie podchodź do mnie... błagam cię, nie zbliżaj się!... Wiem, że jesteś upiorem, nie dotykaj mnie, nie dotykaj mnie!...

Głos przerodził się w krzyk strachu. I potykając się w ciemnościach o stopnie schodów, don Pedro wybiegł jak szalony z podziemnej elektrowni. Zaświeciłem zapalniczkę i zdołałem

trafić dłonią na dźwignię. Po sekundzie usłyszałem głośny szum uruchomionej turbiny. W sali natychmiast zabłyśnięto światło elektryczne. Wtedy i ja wybiegłem z podziemia. Don Pedro uciekł przez zakazaną strefę wyspy, przewracając się na porzucanym wszędzie żelastwie i raniąc do krwi. Pędził do małej zatoczki, gdzie na wodzie kołysała się jego łódź motorowa. Uciekał przed widmem dokonanej w przeszłości jakiejś okropnej zbrodni. Było to oczywiście zasługą Robina.

Don Gabriel i reszta moich przyjaciół, poza Florentyną, nie wiedzieli, kim jest don Pedro. Ze zdumieniem przyglądali się pędzącemu do łódki człowiekowi. Nie wydawał się im niebezpieczny, bo jeszcze w podziemiu elektrowni porzucił pistolet.

Tylko Florentyna wołała za uciekającym:

— Señor Pedro... Señor Pedro, co się panu stało?

Nie słyszał chyba tego krzyku. Gnany lękiem wskoczył do łodzi motorowej, uruchomił silnik i odpłynął na morze. A przy mojej lewej nodze znowu pojawił się wielki dog.

Poprowadziłem wszystkich aż do drzwi skarbcza. Ustawiłem odpowiednio zamek cyfrowy i drzwi otwały się same. Ze skarbcza wyszedł Ralf Dawson — uśmiechnięty, choć bardzo blady. Z sezamu bandy buchnęło na nas taką duchotą, że aż cofnęliśmy się na schody. Pracowały już jednak wentylatory, powietrze stawało się coraz znośniejsze i coraz łatwiej było oddychać.

Don Gabriel, Duncan i Rodrigo, a także Florentyna nie mogli opanować swej ogromnej ciekawości. W ostrym świetle żarówek oglądali kradzione na całym świecie dzieła sztuki — obrazy, biżuterię, rzeźby i trzy skrzynie pełne złotych zabytków z magazynów Muzeum Złota w Bogocie.

Oni podziwiali zrabowane skarby, a ja tymczasem wyprowadziłem Dawsona przed bunkier, gdzie po chwili doszedł do siebie i mógł mówić.

— Dziękuję ci, Tomasz — oparł na moim ramieniu swoją dłoń. — Wiedziałem, że zrobisz wszystko, aby mnie uwolnić z podziemia. Uratowałeś życie osobie, na której ci bardzo zależy. Nie, nie mnie — uśmiechnął się zagadkowo. — Ja przecież jestem nieśmiertelny. Nawet gdyby mnie zabito sto razy w twoim czasie, cały i zdrow, młodszy o kilkanaście lat zostaną zabrany z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku w czas przyszły. I stałoby się tak, nawet gdybym w tym skarbcu umarł z powodu braku powietrza. Nie mógłbym jednak... — urwał.

Odnosiłem wrażenie, że powiedział mi trochę za dużo. Natychmiast bowiem zmienił temat:

— Nie sądz, że cię chciałem oszukać, Tomasz, i dlatego sam tej nocy udałem się do skarbcza. Nie mogłeś jednak być przy mnie w chwili, gdy odnalazłem ów przedmiot i gdy go zniszczyłem. Czyniąc to bowiem, zarazem wysłałem w Przyszłość ogromny impuls. Ten przedmiot przekształcił się właśnie w ów impuls. Mnie ochraniała moja siła „psi”, ciebie nic by nie chroniło i dlatego nie mogłeś być przy mnie. Ale Przyszłość już wie, że jest uratowana. Wykonałem swoje zadanie. Wkrótce zniknę z twego czasu. I nic po mnie nie pozostanie, żaden ślad, Tomasz.

— Ja będę pamiętał — powiedziałem.

— Tak. Ale nikt nie uwierzy w twoje wspomnienia — uśmiechnął się smutno. — A ja o tobie zapomnę. Gdy będę przenoszony w Przyszłość, przestanę pamiętać o tym, co robiłem w twoim czasie i jakich spotykałem ludzi. Nie można bowiem żyć w Przyszłości, będąc obciążonym pamięcią życia z Przeszłości. To zbyt trudne... A teraz poproś wszystkich, aby opuścili skarbiec i zamknij go.

Gdy zebraliśmy się przed budynkiem, Ralf oświadczył:

— Na polecenie Tomasza wysłałem depezę do Connora i Esponozy. Myślę, że zjawią się tu nie później niż jutro w południe. Tomasz otworzy im skarbiec gangu i opowie, w jaki sposób wykonał swoje zadanie.

Don Gabriel, Duncan i Rodrigo byli wyraźnie zaniepokojeni.

— Nie chcemy mieć nic wspólnego z policją — zawołał don Gabriel. — Nikt się nie może dowiedzieć, że wymknęliśmy się z sanatorium doktora Alvareza.

Zapewniłem, że ani słowem nie wspomnę nikomu o ich udziale w odnalezieniu skarbcza. Dawson zaś przysiągł, że przed dniem jutrzejszym nie ma mowy o pojawieniu się policji. Don Gabriel zdecydował więc, że „La Paloma” odbije od wyspy dopiero o świcie, a tymczasem na statku Rodrigo wyda przyjęcie dla wszystkich uczestników przygody. Mieliśmy do dyspozycji cały hotel na wyspie, wspaniałą salę jadalną i dobrze zaopatrzoną spiżarnię oraz kuchnię, ale Rodrigo wolał swój jacht. Nie ma chyba bowiem nic bardziej ponurego od hotelu bez gości i bez obsługi.

Przyjęcie było długie i nudne. Don Gabriel, jak małe dziecko patające psoty, bez przerwy wyrażał swą radość na myśl, co będzie czuł i myślał don Stefano, kiedy dowie się, że jego sezam na wyspie La Jauja wpadł w ręce policji. Teresa van Hagen siedziała przy stole smutna i jak gdyby nieobecna myślami, jadła mało i źle wyglądała. Rodrigo i Duncan także raz po raz wzdychali, że znowu czeka ich monotony żywot w sanatorium doktora Alvareza. Florentyna zanudzała nas opowieściami o inwazji małych, zielonych ludzików.

A potem nagle ogarnęło nas uczucie radosnego zmęczenia. Zapragnąłem znaleźć się w swoim hotelowym pokoju i zasnąć — nareszcie spokojnie i bez zmartwień. Ralf zaproponował odpoczynek i natychmiast wszyscy z zadowoleniem zgodzili się na to. Dawson, Florentyna i ja wróciliśmy do hotelu. Robin poszedł z nami. Reszta została w kabinach na jachcie. Do dziś pamiętam dziwne spojrzenie, jakim obrzucił mnie Ralf, kiedy niemal równocześnie otwieraliśmy drzwi do swoich pokoi. Teraz wiem, że było to spojrzenie pożegnalne.

Spałem mocno i długo. Przed świtem obudził mnie jakiś dziwny szum, jak gdyby nad wyspą przelatywały tysiące ogromnych ptaków. Usiadłem na łóżku i pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to kartka papieru leżąca na moim nocnym stoliku. Był to list od Dawsona:

Drogi Tomaszu,

w chwili, gdy zaczniesz czytać moje słowa, ja już będę z powrotem w Przyszłości, w czasie i świecie, który musiałem opuścić, aby wykonać wielkie zadanie. Dziękuję Ci, że mi pomogłeś uratować daleką Przyszłość i szkoda, że nikt nie będzie wiedział o roli, jaką Ty i ja

odegraliśmy w owej sprawie. Jak wiesz, wracam w Przyszłość pozbawiony pamięci o tym, co robiłem w Twoim czasie, Tobie zaś nikt nie uwierzy, że byłeś moim przyjacielem i współtowarzyszem. Nie zostanie Ci nawet ten list, bo gdy go skończysz czytać, moje pismo zniknie.

Zabieram w Przyszłość Teresę van Hagen, choć wiem, że Ci to sprawi przykrość. Ratując mnie w podziemnym skarbcu, to ją właśnie uratowałeś. Tomaszu, a czy może być coś piękniejszego niż ocalić życie kobiecie, którą darzy się uczuciem? Gdybym umarł w skarbcu, nie mógłbym przenieść jej w Przyszłość, gdyż zabierany z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, nie pamiętałbym już, że taką osobę znałem. Zdaję sobie sprawę, że nie bardzo rozumiesz, o czym mówię, ale przecież wiele było między nami spraw, których nie rozumiałeś, a których ja nie byłem w stanie Ci wyjaśnić. Jedno wiesz: Teresa van Hagen, gdy ją poznałem, była kobietą umierającą na białaczkę. Wasi lekarze jeszcze nie potrafili tego leczyć. Moje specjalne lekarstwa broniły ją przed śmiercią. Teresa pomagała nam w poszukiwaniu zaginionego przedmiotu, a w zamian obiecałem jej życie w Przyszłości. Jej nieobecność w waszym czasie nie naruszy żadnej struktury, nie zagrozi Przyszłości, gdyż postarałem się nawet o to, aby na cmentarzu w Bogocie pozostał jej grób. Gdy ją poznałeś, była zarazem żywa i zarazem umarła, ale to jest właśnie jeden z wielkich paradoksów czasu, który kiedyś teoretycznie wyjaśnić będą umieli fizycy.

To samo tyczy Robina. Ratując Ci życie przed kulą don Pedra, dokonał ostatniej przemiany i umarł. To znaczy na zawsze zamienił się w psa, a jako pies nie może wrócić w Przyszłość. Będzie jednak zabrany w Przyszłość taki, jaki wysiadł z wehikułu. Pozostanie więc w Twoim czasie, zarazem jednak wróci ze mną.

On uratował Ci życie. Zaopiekuj się nim, Tomaszu, zabierz go do swego kraju. To wprawdzie nie będzie ten sam Robin, którego poznałeś w Diabelskiej Dolinie, ale zwykły pies, niemniej myślę, że pokochasz go równie mocno.

Po moim pobycie w Twoim czasie nie zostanie żaden ślad. Diabelską Dolinę zasypała lawina kamieni. Haczenda Teresy van Hagen właśnie płonie, a ci, którzy ją znali, rozbiegli się po świecie. Na moje polecenie doktor Alvarez zniszczył wszystkie papiery i dokumenty dotyczące mego pobytu w sanatorium. Również Duncan, Rodrigo i don Gabriel nigdy nie powiedzą, że znali jakiegoś Ralfa Dawsona. Każdy z nich, podobnie jak i Ty, dostał ode mnie list w tej sprawie. Kolejną niespodziankę szykuje Ci inspektor Esponzoza — ale o niej dowiesz się od niego.

Pozostaną jedynie w pamięci Twojej i Florentyny. Ona nigdy nie uwierzyła, że byłem człowiekiem z UFO.

Ty zaś będziesz milczał, ponieważ nie zechcesz, aby uznano Cię za szaleńca.

I jeszcze Robin. No cóż, przecież to zwykły pies. Będziesz tylko musiał wymyślić, skąd go wzięłeś.

Żegnaj na zawsze, Tomaszu. Żegnaj, drogi przyjacielu. Możesz opisać nasze przygody — zapewne ktoś zechce je wydrukować jako powieść z gatunku science-fiction, taką nowoczesną baśń. Ale czy kto wierzy w bajki?

Ściskam Cię serdecznie
Ralf Dawson

Gdy chciałem wrócić do początku listu, okazało się, że pod wpływem mojego spojrzenia napisane przez Ralfa słowa powoli zaczęły znikać, aż wreszcie rozpląły się zupełnie. Trzymałem w ręce tylko czystą kartkę papieru listowego. Ubrałem się i razem z Robinem, który tej nocy spał przy moim łóżku na małym dywaniku, wyszedłem z pokoju.

Wybiegłem przed hotel i w blasku wschodzącego słońca ujrzałem odpływający od przystani jacht „La Paloma”. Ktoś z niego patrzył w moim kierunku przez lornetkę, ktoś kiwnął dłonią na pożegnanie — kto, tego nie wiem, bo łyzy, tak, właśnie łyzy, przysłoniły mi cały widok.

Wreszcie jacht zniknął za horyzontem i już go nigdy nie zobaczyłem.

Potem usłyszałem za swoimi plecami stukot pantofelków i głos Florentyny:

— Odpłynęli, panie Tomaszu. Przestraszyli się inwazji małych, zielonych ludzików i uciekli stąd, podobnie jak wszyscy inni. A myślałam, że Dawson jest znacznie bardziej odważny.

— Dawson? — zapytałem.

— Tak. Dawson i pani Teresa van Hagen, don Gabriel, Duncan i Rodrigo. Oni wszyscy odpłynęli tym jachtem. Widziałam z okna swojego pokoju, jak przed świtem pan Dawson szedł z walizką w kierunku przystani.

— To niemożliwe — zawołałem. — Ralf Dawson i Teresa van Hagen odeszli w Przyszłość.

— W jaką Przyszłość — zdumiała się Florentyna. — Co pan opowiada za głupstwa? Odpłynęli stąd wszyscy razem.

Co miałem jej rzec? Czy Ralf oszukał mnie w swoim liście, czy też Florentynie tylko się wydawało, że widziała go idącego na przystań? A może po prostu poszedł na jacht po Teresę van Hagen. Nie, Dawson nie był oszustem. Przecież chodziłem z nim po wyspie w niewidzialnym kombinezonie, widziałem Robina, gdy zmieniał swą postać, byłem świadkiem, jak Ralf wyginał lufy pistoletów maszynowych, lewitował nad ziemią...

— O, zostawili panu Robina — zauważyła siedzącego przy mojej nodze psa. — I co pan z nim teraz zrobi?

— To mój pies. Kupiłem go od don Pedra — oświadczyłem.

— Od don Pedra? Przecież pierwszy raz widziałam tego doga w Diabelskiej Dolinie.

Wzruszyłem ramionami.

— Pani się coś pokręciło, panno Florentyno. Nigdy nie byliśmy w żadnej Diabelskiej Dolinie. To miejsce jest zasypane lawiną kamieni, jakże więc mogliśmy tam przebywać?

Zastanowiła się.

— Może pan ma rację, chyba coś pokręciłam. Wydarzenia jednak biegły tak szybko, że ledwie je zdołałam zanotować w pamięci. Wiem tylko, że po powrocie do Bogoty zostałam porwana przez Dawsona i oszołomiona narkotykami. Może pod wpływem narkotyku miałam wrażenie, że odwiedziłam Diabelską Dolinę i tam widziałam tego psa. Jakież to zresztą ma znaczenie, skoro niedługo wylądują tu latające talerze. Słyszysz pan ten hałas w przestrzeni?

— Owszem. To jednak nie są latające talerze, a policyjne śmigłowce.

W chwilę później cztery ogromne maszyny pomalowane na zielonkawy kolor wylądowały na wyspie. Z pierwszego śmigłowca wysiadł ubrany po cywilnemu komisarz Esponoza i jego pięciu ludzi, również w cywilu, ale uzbrojonych po zęby. Z drugiego wyskoczył Connor i dyrektor Marczak, z trzeciego — wysoki, siwowłosy mężczyzna w otoczeniu umundurowanych policjantów brytyjskich. Jak się okazało, był to gubernator Wysp Dziewiczych. Z czwartego zeszła na ziemię panna Leticia Lucinante wraz z dwoma fotoreporterami i kamerzystą. Tak więc Dawson dotrzymał słowa i „Wiadomości Bogoty” były pierwszą gazetą, której umożliwiono przekazanie czytelnikom szerokiej informacji o rozbiciu gangu don Stefano.

W trakcie rewizji przeprowadzonej w hotelu odkryto w pokoju don Pedra zamaskowany sejf. Był w nim pełny spis rzeczy — wspaniałych dzieł sztuki — skradzionych przez gang w różnych częściach świata i zgromadzonych na wyspie La Jauja. Connor i Marczak zajęli się sprawdzaniem spisu ze stanem faktycznym w podziemnym skarbcu, a mnie i Florentynę wziął na bok Esponoza i powiedział:

— Zanim przystąpimy do konferencji prasowej, na której opowie pan dziennikarce z „Wiadomości Bogoty”, w jaki sposób udało się odnaleźć skradzione zabytki, chciałbym przekazać w świat krótką depeszę o tym wielkim sukcesie. Całość komunikatu uzgodnię z panem Connorem, ale najpierw chciałbym uzyskać pańską zgodę na jego treść. Czy to pan, Señor Cochecito, i pańska współpracowniczka trafiliście na trop złodziei, wypłoszyliście z wyspy bandytów i dotarliście do podziemnego skarbcza?

— Nie, señor. Był ze mną Ralf Dawson oraz jego przyjaciele, których nazwisk nie chciałbym wymieniać — odpowiedziałem. — Udział Dawsona i jego przyjaciół uważam za równie ważny jak własny.

— Słusznie pan mówi. Byli to bowiem policjanci z Bogoty. Ralf Dawson to mój tajny agent F-1, a pozostali, których pan nie pragnie wymieniać, to agenci F-2, F-3, F-4 i F-5. Nie chciałem, aby ich twarze zanotowały dziennikarskie flesze i dlatego kazałem im o świcie odpłynąć z wyspy jachtem „La Paloma”. Czekają ich nowe, trudne zadania. Tym razem w walce z handlarzami narkotyków.

— A więc Ralf Dawson był agentem policji w Bogocie? — zawołała zdumiona Florentyna.
— I Duncan, Rodrigo, don Gabriel, Teresa van Hagen?...

— Psst — Esponoza położył palce na ustach. — Mieliśmy przecież nie wymieniać żadnych nazwisk.

— A opowiadał, że jest człowiekiem z UFO i sprawiał wrażenie szalonego. Pan Tomasz dał się nawet nabrać na jego gadanie... — oświadczyła Florentyna.

Salazar Esponoza odparł z powagą:

— Señor Cochecito jest zbyt mądry, aby komukolwiek dać się nabrać, proszę pani. Od początku wiedział, z kim ma do czynienia, i od początku z nami współpracował.

Milczałem. Jeszcze w Rodadero Ralf Dawson poinformował mnie, że zawarł z Esponoza dzentelmeńską umowę. Esponoza obiecał nie przeszkadzać w naszych poszukiwaniach złodziei, w zamian za to miał dzielić z nami sławę z odniesionego sukcesu.

— Czy zgadza się więc pan na następującą treść komunikatu — zwrócił się do mnie Esponoza. — „Policja kolumbijska przy pomocy swoich tajnych agentów i przy współpracy z międzynarodowym Biurem Koordynacyjnym, zorganizowanym do walki ze złodziejami dzieł sztuki, odnalazła wszystkie złote przedmioty z magazynów Muzeum Złota w Bogocie oraz przy okazji odzyskała ogromną ilość dzieł sztuki, które w ostatnich latach skradzione zostały w wielu zakątkach świata. Złote zabytki wrócą znowu do Bogoty, a pozostałe dzieła sztuki, po ustaleniu, skąd zostały ukradzione, trafią do swoich właścicieli”.

Uśmiechnąłem się:

— W porządku, señor. Sukces policji kolumbijskiej jest niezaprzeczalny. Podkreślił pan również rolę Biura Koordynacyjnego w tej ważnej sprawie. To mnie całkowicie zadowala.

Esponoza rozpromienił się i z radości poklepał mnie po plecach:

— Wspaniale, Señor Cochecito. Pan jest nie tylko znakomitym detektywem, ale i rozsądnym człowiekiem. Oddaję pana w ręce prasy, której opowie pan o swoich przygodach. Wierzę, że uwypukli pan udział naszych kolumbijskich agentów policyjnych w odnalezieniu skarbów. Proszę tylko nie wymieniać żadnych nazwisk.

Esponoza poszedł do Connora i Marczaka, którzy również przystali na treść komunikatu dla prasy światowej. Zadowalał on bowiem wszystkich.

Znalazłem się pod obstrzałem obiektywów fotoreporterów. Dość szczegółowo opowiedziałem panie Leticii Lucinante o naszych przygodach. Niemal w każdym zdaniu podkreślałem, jak wielką rolę w odnalezieniu zrabowanych dzieł sztuki odegrał agent F-1 oraz pozostali agenci inspektora. Wymieniłem też swój ogromny żal z powodu ich nieobecności na wyspie i wytłumaczyłem, że zostali skierowani do nowych, niezwykle ważnych zadań. Zresztą tak cenni ludzie powinni pozostać nieznanymi.

Miałem tylko jeden szkopuł: w jaki sposób wytłumaczyć masową ucieczkę gangsterów z wyspy La Jauja? Pomógł mi w tym jednak sam Esponoza, który także udzielił wywiadu „Wiadomościom Bogoty”. Powiedział on:

— Gdy gangsterzy dowiedzieli się, że mój agent F-1 zdołał nadać depezę do mnie i wkrótce pojawię się na wyspie La Jauja, wpadli w tak wielką panikę, że porzucili broń i uciekli.

Leticia Lucinante chciała też przeprowadzić wywiad z panną Florentyną, ale to się nie udało. Florentyna poszła z Connorem i Marczakiem do skarbcza bandy. Po drodze zobaczyła, że leżące na betonowym placu pistolety maszynowe strażników nie mają pokrzywionych luf.

— Nic nie rozumiem — krzyknęła. — Przecież tu miały wylądować zielone ludziki z UFO. Pokrzywiły lufy pistoletów, a teraz te lufy są proste. Czyżby ludziki zmieniły decyzję?

Gadała i gadała o zielonych ludzikach, próbowała też o nich opowiedzieć Leticii Lucinante. Aż wreszcie Marczak przerwał brutalnie jej wywody, stwierdzając, że panna Florentyna

doznała tak ciężkich przeżyć na wyspie La Jauja, gdzie żyła w otoczeniu gangsterów, że jest wyczerpana nerwowo i nie powinna udzielać żadnych wywiadów.

W pokoju hotelowym dyrektor Marczak i Connor podziękowali mi za pomoc w odnalezieniu skarbcza bandy don Stefano. Po tym sukcesie, stwierdzili, do Biura Koordynacyjnego wpłynęło wiele pieniędzy na dalszą działalność. Wyrazili mi też uznanie za to, że potrafiłem współpracować z policją kolumbijską, gdyż dzięki temu i inne policje w świecie nabiorą zaufania do Biura Koordynacyjnego.

Na zakończenie dyrektor Marczak powiedział:

— Jestem z pana rad, panie Tomaszu. Connor chce pana zatrzymać w Biurze Koordynacyjnym, ale, niestety, i pan, i ja musimy wracać do kraju. Otrzymałem list od Ministra Kultury i Sztuki, który pragnie nam powierzyć nowe, bardzo ważne zadanie. Tylko ja i pan możemy się go podjąć.

* * *

W tydzień później z portu Buenaventura odpłynął polski statek handlowy, wiozący ładunek kolumbijskiej kawy. Na statku było kilka kabin pasażerskich, w jednej z nich zamieszkała panna Florentyna, a w drugiej ja i Robin.

Florentyna znowu nosiła swoją okropną tunikę oraz naszyjnik z klocków, włosy miała w nieładzie i wygładała na brzydką, podstarzałą pannę.

Po powrocie do Warszawy wymówiła posadę w Ministerstwie Kultury i Sztuki i wystarała się o pracę tłumacza przysięgłego. Straciłem ją na zawsze z oczu. W jakiś czas później jej nazwisko odnalazłem na liście delegacji polskiej, wyjeżdżającej na międzynarodowy kongres UFO-logów do Paryża. Podobno stała się znanym i cenionym w świecie znawcą spraw związanych z UFO.

ZAKOŃCZENIE

Długo zastanawiałem się, czy napisać tę książkę. Kilka lat minęło od wydarzeń w Bogocie i na wyspie La Jauja. Sam już dziś nie wiem, czy Ralf Dawson był człowiekiem z UFO, czy też agentem F-1, najlepszym policjantem inspektora Esponozy. Nie potrafię z całkowitą pewnością stwierdzić, czy naprawdę poznałem Teresę van Hagen, byłem w Diabelskiej Dolinie, chodziłem w niewidzialnym kombinezonie, czy też to wszystko zrodziło się w mojej wyobraźni.

Ale przecież mieszka ze mną wielki dog arlekin o imieniu Robin. Chodzimy razem na spacerunki w okolicy Starego Miasta w Warszawie oraz na Wisłostradę.

Spróbowałem kiedyś pewnemu człowiekowi opowiedzieć historię Robina. Wysłuchał mnie z uwagą, a potem doradził: „Powinien pan napisać książkę o Ralfie Dawsonie i Robinie”.

Oto i ta książka. Kreślę jej ostatnie zdanie i patrzę na leżącego u mych stóp wielkiego, łaciatego doga. Za chwilę wstanę od maszyny do pisania i pójdę z nim na spacer. Na bardzo długi spacer...